

POLSKA OD DOŁU
Cała władza
w ręce nas

TEN LAICKI KRAJ
Kościoła we Francji
recepty na kryzys

PRZAŚNO-ZDRÓJ
Barbara Klicka
o ucieczce z sanatorium

ŻYCIE W KOSMOSIE
Wszystko, czego się
nie dowiecie na Ziemi

Kraków 7 kwietnia 2019 nr 14 (3639)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

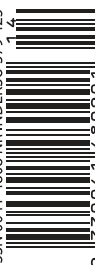
Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Szkoła przetrwania Bunt nauczycieli



W NUMERZE M.IN.
MAGAZYN LITERACKI
„KSIAŻKI W TYGODNIKU”
DODATEK EKOLOGICZNY
I CO₂ DALEJ?

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



 **Kraków**

kbf ★ RMF *Classic*

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

**12.
FESTIWAL
MUZYKI
FILMOWEJ
W KRAKOWIE
14-21.05.2019**

FMF Gala: The Glamorous Show
Disney in Concert: The Magic of Music
Dracula Live in Concert
Birdman Live in Concert

KUP BILET

biurofestiwalowe.pl
InfoKraków
salony Empik
salony MediaMarkt
eventim.pl

www.fmf.fm

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Organizatorzy: **kbf** ★ RMF *Classic*

Partner dla Krakowa:

 **BUKOVINA
RESORT**

Sponsor główny:


TAURON

KS. ADAM

Boniecki: Osamotnieni

W MOJEJ ULUBIONEJ KSIĄŻCE, „REKREACJACH Mikołajka” René Goscinny’ego i Jeana-Jacques’a Sempégo, jest opowiadanie pt. „Wizytacja”. W szkole Mikołajka zjawia się inspektor. Wchodzi do klasy, w której panuje niezły zamęt. Inspektor chce pokazać nauczycielce, jak się postępuje z rozbrzykanymi dziećmi. Kompletnie mu się to nie udaje. Bezradny, umazany atramentem, przed opuszczeniem klasy ściska rękę nauczycielki i w podniosłych słowach wyraża podziw dla jej pracy i powołania nauczycielskiego.



To komiczny opis tego, jak odległa bywa teoria różnych „wizytatorów” od realnej sytuacji w konkretnej szkole. Opowiadała mi zaprzyjaźniona nauczycielka z niewielkiego miasta, jak to jest, kiedy musi opanować grupę dwudziestu kilku dzieciaków, wśród których kilkoro ma ADHD, kilkoro pochodzi z rodzin dysfunkcyjnych czy z innymi trudnościami i często są niezdolne do skupienia uwagi, i kiedy jeden na całą szkołę psycholog nie jest w stanie zająć się wszystkimi, a od niej się oczekuje rzeczy wręcz niemożliwych. Na przykład, żeby wszystkie dzieci przeszły do następnej klasy, żeby bez uczenia się w domu opanowały zaprogramowany odgórnie materiał itd. Opowiadała mi, jak to jest, gdy w szkole nie ma rzutnika, a kiedy nauczyciel zechce powielić na fotokopiarce tekst dla wszystkich uczniów w klasie, za papier i kopiowanie musi płacić z własnej kieszeni. I jak to jest, kiedy z prowadzeniem czasochłonnej dokumentacji, której się wymaga od nauczycieli, trzeba się zmagać w swoim wolnym czasie.

Nauczyciele są zmęczeni i sfrustrowani. Niby wszyscy wiemy, że od szkół i nauczycieli zależy przyszłość narodu, oraz że – jak powiedziała prof. Elżbieta Mączyńska w rozmowie z „Tygodnikiem” o racjonalnym zadłużaniu państwa (nr 13/2019) – „gdy zadłużamy się na na edukację, rosną szanse na poprawę jakości życia”. Ale edukacja cierpi u nas na chroniczny niedobór pieniędzy. Wzniosłość misji nauczyciela wzniosłością, ale trudno w rozwiniętym państwie liczyć na wysyp Judymów i Siłaczek.

Najlepsi albo się nie garną do uczenia w szkole, albo odchodzą. Ci, którzy zostają, są coraz bardziej sfrustrowani. O sytuacji polskich nauczycieli i polskiej szkoły opowiada na łamach tego numeru dr hab. Mikołaj Herbst, badacz systemów edukacyjnych. „Siła nabywcza nauczycielskiej pensji w Polsce jest jedną z najniższych wśród krajów OECD” – mówi, system płac przypomina zmurszałą budowlę, do której dołącza się kolejne niefunkcjonalne przybudówki „albo łaty na ścianach, bo nieustannie coś przecieka”,

a szkoła zorganizowana jest „na podobieństwo koszar” i nie inspirowanie uczenia ani krytycznego myślenia. Postulaty płacowe nie wystarczą, by uleczyć polską edukację.

Każdy ma jakieś szkolne wspomnienia. Np. my, uczniowie dziesiątej męskiej klasy w roku 1950, bywaliśmy wobec niektórych nauczycieli bezmyślnie okrutni. Jednocześnie ta sama nasza klasa dla innych nauczycieli żywiła szacunek. Nie do pomyslenia były wygłupy np. na lekcjach prof. Kozickiego (matematyka), Żurawskiego (historia), jezuita o. Kamińskiego (na lekcjach jego następcy już tak), u całkiem wtedy młodej łacinniczki Stefanii Światłowskiej czy starszej pani nauczycielki rosyjskiego Chowańczakowej. U nich rozrabiacze zmieniali się w baranki. Oni budzili u nas *timor reverentialis* (lęk płynący z szacunku). Ich osobowość uniemożliwiała złe zachowanie. Inni pewnie też byli mądrzy, kompetentni i sprawiedliwi, ale nie mieli „tego czegoś”, co wzbudzało bezwzględny szacunek.

W „Tygodniku” często piszemy o edukacji. Teraz, w obliczu strajku nauczycieli, szkołą zajmuje się większość mediów. W części z nich można wyczytać, że strajk jest organizowany przed wyborami dlatego, żeby zaszkodzić partii rządzącej, że jest on polityczną akcją opozycji, że nauczyciele to grupa uprzywilejowanych i roszczeniowych nierobów. W ten sposób znikają problemy szkoły, a na pierwszy plan wchodzi strategia: najpierw nieprzyjaciela pozbawić społecznego szacunku, a potem w osamotnionego uderzyć. ©P

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!
powszech.net/podkast



My, Ziemianie

Sześcioro ludzi w kosmosie i dziesiątki tysięcy specjalistów w agencjach z całego świata współpracują pokojowo nad czymś, co jest prawdopodobnie najbardziej skomplikowanym przedsięwzięciem, na jakie poważyła się ludzkość.

– To absolutnie najlepszy model tego, jak powinniśmy ze sobą żyć i współpracować jako załoga statku kosmicznego „Ziemia” – opowiada „Tygodnikowi” **NICOLE STOTT**, astronautka, inżynierka, aquanautka, pilotka, malarka i edukatorka, która na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej spędziła 91 dni. – Codziennie zarządzamy tam zasobami tak, żeby mogło się na stacji toczyć życie. I nie wpadliśmy jeszcze na to, że na Ziemi musimy robić to samo.

Słuchaj w RSS | iTunes | Google Podcasts | Spotify



„TP” 11/2019

Rada nie taka prosta

Bardzo się cieszę, że wątek zapoczątkowany tryptykiem tekstów – od Jerzego Sosnowskiego, przez Szymona Hołownię, aż po księdza Jacka Prusaka – jest kontynuowany. Tak przynajmniej odebrałem kolejny tekst tego ostatniego autora pt. „Odruchy plemienne”. Mam jednak z tym tekstem niejaki problem, więc chciałbym zapytać, co dalej zrobić z tą „prostą” radą księdza? Przecież różnimy się nawet na poziomie przeżywania Eucharystii. To, co ksiądz o niej pisze, brzmi jak katalog życzeń. Cóż z tego, że podajemy sobie rytualnie rękę na mszy, jak po niej nie chcemy mieć ze sobą nic wspólnego? Cóż z tego, że pójdę na mszę bez kazania, skoro to nie tylko w nim przejawiają się

„plemienne” różnice (kazanie tylko pozwala je wyartykułować)? To się bierze z tego, że kim innym jest dla nas Jezus, że inaczej Go widzimy.

Jezus, o którym czytam na kartach Ewangelii, nie ma nic wspólnego z Jezusem ze Świebodzina. Jezus uniżający samego siebie na krzyżu nie ma nic wspólnego z Jezusem Królem Polski. Jezus zatrzymujący miecz Piotra nie ma nic wspólnego z Jezusem ze sztandarów tych, którzy byłiby w stanie sieć krzyżem. Podziały sięgają, według mnie, najgłębiej, jak tylko mogą. Dziś, kiedy Eucharystia służy jako jeszcze jeden oręż w walce politycznej (patrz: partyjne świętowanie urodzin ojca dyrektora), nie ma świętych miejsc. Brak nam jedyne go okrągłego stołu. Osobiście nie wierzę w żadne uwspólnienie. Cieszę się jednak, że są wśród nas tacy, którzy wierzą. Dziękuję im za to bardzo!

MIREK CHMIEL

Podziel się z nauczycielami

Od kilku lat obecny rząd proponuje nam, a często też realizuje absurdalne pomysły gospodarcze. Niektóre z nich są groźne, o dużej skali

rażenia dla finansów. Ostatni pomysł „skorumpowania” emerytów i osób do 26. roku życia moim zdaniem należy do grupy tych groźnych. Jak przyznaje ZUS, kwota jednorazowej wypłaty dla emerytów to około 11 miliardów złotych. To prawda, że wśród emerytów jest grupa osób o bardzo niskich dochodach i należy o niej pamiętać. Jest jednak także znacząca ich liczba o dochodach średnich i wysokich. Sądzę, że można – znacznie ograniczając tę emerytalną wrzutkę poprzez regresywny system wypłacanego świadczenia – znaleźć środki na poprawę płac nauczycieli. Pomysł wymuszania na rządzących zmiany decyzji byłby konstruktywną formą wsparcia strajku nauczycieli. Powinniśmy także przejąć inicjatywę w wymuszaniu na politykach opozycji rezygnacji z udziału w wyścigu na pomysły pod hasłem „po nas choćby potop”. Może warto zapytać emerytów, czy są skłonni podzielić się z nauczycielami. Ja tak.

HENRYK TOMECKI

Sprostowanie

Statystyki dotyczące pedofilii podawane przez księdza

z Atlanty w anegdocie przytoczonej przez Sebastiana Dudę w tekście „Międzypokoleniowa wyrwa” („TP” nr 12/2019) – ponad 6700 sprawców i 18 565 ofiar – dotyczy oczywiście całych Stanów Zjednoczonych, a nie samej Pensylwanii. Za pomyłkę przepraszamy!

REDAKCJA

PROŚBA O POMOC

Łukasz (37 lat) od dwóch lat walczy o powrót do zdrowia po niedokrwiennym udarze mózgu. Robi postępy, ale nadal nie jest samodzielny. Wspierają go rodzina i przyjaciele, którzy wierzą, że jeszcze zagra w piłkę z synkami. Żeby stało się to możliwe, Łukasz wymaga rehabilitacji przekraczającej możliwości finansowe rodziny. Potrzebne jest Wasze wsparcie. Przekazanie Łukaszowi 1 proc. swojego podatku: wypełniając PIT, wpiszcie nr KRS 0000207658, cel szczegółowy 1% – Łukasz Data – pomoc w leczeniu. Możecie też pomóc, wpłacając darowiznę na **konto: 58 8589 0006 0000 0011 1197 0001**, Caritas Archidiecezji Krakowskiej, Kraków, ul. Michała Ossowskiego 5, w tytule wpisując: „Łukasz Data – pomoc w leczeniu”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Pokaż swoją naturę, zaprezentuj kulturę!

Majówkowy dodatek **Włóczykij**

to znakomita okazja dla instytucji kultury, organizatorów festiwalu, menedżerów oraz regionalnych biur promocji, by pokazać się od najlepszej strony!

Dodatek ukaże się **w środę 24 kwietnia**

wraz z „Tygodnikiem Powszechnym”, **w podwójnym wydaniu na majówkę**, w zwiększonym nakładzie i z szeroką promocją!

Zapraszamy do współpracy – niższe ceny reklam pod adresem: reklama@tygodnik.com.pl i numerem **602 599 416**.



warszawa
7-19 kwietnia
2019

23.

wielkanocny
festiwal
ludwiga van
beethovena

beethoven.org.pl



Stowarzyszenie
im. Ludwiga
van Beethovena

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego



MIASTO
STOŁECZNE
WARSZAWA



Festiwal zrealizowany
dzięki wsparciu
finansowemu Miasta
Stołecznego Warszawy

FILHARMONIA
NARODOWA
Dyrektor Artystyczny JACEK KASPSZYK



PARTNER GŁÓWNY



MECENAS



TEMAT TYGODNIKA

**16 Szkoła przetrwania**

Z MIKOŁAJEM HERBSTEM
ROZMAWIA PRZEMYSŁAW
WILCZYŃSKI:

*Dyskusji o nauczycielskich
zarobkach nie da się prowadzić
na poważnie w oderwaniu
od pytania: kim ma być
nauczyciel i czego od niego
oczekujemy?*

**46 Przy stole z tyranem**

DOMINIKA MATEJKO

*W cieniu światowych konfliktów w Nikaragui trwa od roku
rewolucja przeciw skorumpowanemu lewicowemu reżimowi.*

**80 Czytanie z ciała**

Z BARBARĄ KLICKĄ ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA

*Klicka jest poetką i pisarką, autorką m.in. książek poetyckich
„same same” i „nice”, a także poematu scenicznego „Elementarz”,
laureatką Nagrody Poetyckiej Silesius i Nagrody Literackiej Gdynia.
Pod koniec stycznia ukazał się jej debiut prozatorski „Zdrój”.*

**26 Politycy, oddajcie władzę**

Z PROF. ANTONIM DUDKIEM I PROF. MACIEJEM KISIŁOWSKIM
ROZMAWIA RAFAŁ WOŚ:

*O posyłaniu sześciolatków do szkół, zmianach ustawy
antyaborcyjnej, a nawet podatkach można decydować na
poziomie województwa. Lekarstwem na polską polaryzację jest
decentralizacja.*

**40 Odwrot**

z Watykanu

ZUZANNA RADZIK

*Lucetta Scaraffia, redaktor naczelna
watykańskiego
kobiecego
magazynu,
ogłosiła, że ona
i jej redaktorki
podają się do
dymisji. Tłumaczę,
że rozbiły się o mur
patriarchatu.
Przyczyny dymisji
mogą być jednak
mniej wzniosłe.*

**94 Kogo one**

wołają

JACEK PODSIADŁO

*W miejscu uderzeń
o wieńiec serce
jest tak zbite,
że mógłbym
się przejrzyć
w lustreczku, które
w tym miejscu
powstało.*

■ W NUMERZE DODATKI ■

4 Tygodnik Czytelników

8 Twardy brexit zwykłych ludzi
MARCIN ŻYŁA

9-15 Wiadomości / Komentarze

24-25 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

26 Politycy, oddajcie władzę
ROZMOWA Z PROF. ANTONIM
DUDKIEM I PROF. MACIEJEM
KISIŁOWSKIM30 Obywatele chcą mieć głos
RAFAŁ ZYCHAŁ32 Przerwany krąg MARCIN
CHODUŃ: Grupa zapaleńców uczy
byłych więźniów, jak żyć od nowa

■ ■ WIARA

36 Moc pierworodnej
KS. ANDRZEJ MUSZALA:
Od Kościoła francuskiego możemy się
uczyć, jak przetrwać kryzys40 Odwrót z Watykanu
ZUZANNA RADZIK44 Puzzle duszy
MONIKA I MARCIN GAJDOWIE:
Ćwiczenia wielkopostne (4)

■ ■ ŚWIAT

46 Przy stole z tyranem
DOMINIKA MATEJKO48 To jest walka idei ROZMOWA
Z ENRIQUE BOLAÑOSEM GEYERFEM,
BYŁYM PREZYDENTEM NIKARAGUI50 Przedsmak kampanii
JAN SMOLEŃSKI: Zakończenie
śledztwa w sprawie Russiagate

Magazyn literacki „Książki w Tygodniku”

Najmłodsza poezja najakuratniej oddaje stan polskiej poezji w ogóle – kryzysu, w jakim znalazła się za sprawą gospodarki wolnorynkowej, i marginalizacji, na którą niegdyś skazała się sama wzruszeniami ramion.

Nagroda Literacka im. Wiesława Kazaneckiego

Odnalezione w tłumaczeniu

Dodatek ekologiczny „I CO₂ dalej?”

■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER 45 SZYMON HOŁOWNIA

74 WOJCIECH BONOWICZ 92 JAN KLATA

93 PAWEŁ BRAVO 100 STANISŁAW MANCIEWICZ

100 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JOANNA RUSINEK

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

51 Anioły nie opuszczają Trumpa

MARTA ZDZIEBORSKA:
Matki, których dzieci zginęły z rąk
nielegalnych imigrantów, ufają mu

54 Miasto generałów ROMAN

HUSARSKI: Nowa stolica Birmy

■ ■ HISTORIA

66 Wiek solidarności TOMASZ
TARGAŃSKI: Polski Czerwony
Krzyż skończył właśnie sto lat

■ ■ NAUKA

70 Kosmos bliski
PIOTR STANKIEWICZ
o stacjach kosmicznych

■ ■ KULTURA

80 Czytanie z ciała
ROZMOWA Z BARBARĄ KLIKĄ

84 Widmologie teatralne

DARIUSZ KOŚCIŃSKI:
Piotr Cieplak i Grzegorz Jarzyna
wystawiają Polskę współczesną87 Motyki w dłoń! MONIKA
OCHĘDOWSKA po wynikach
badań stanu czytelnictwa w Polsce88 Bohaterowie nie są zmęczeni
PIOTR TARCZYŃSKI o fenomenie
gry „Heroes of Might and Magic”90 Na jednej desce
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Jutro albo pojutrze”92 Dziedzictwo czasem
kłopotliwe LEKTOR o książce
„Miasto i polityka. Przypadki
Krakowa” Jacka Purchli

■ ■ ZMYŚŁY

94 Kogo one wołają
JACEK PODSIADŁO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

Jeśli ktoś chciałby wiedzieć, jak wyglądały XIX-wieczne stosunki pracy, to niech nie szuka daleko – **RAFAŁ WOŚ** radzi, by w tym celu zajrzeć na zaplecze polskiej gastronomii.
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ 17 mgnień Rosji

W Rosji nastąpił nagły renesans pociągów jeżdżących w celach propagandowych – **ANNA ŁABUSZEWSKA** na swoim blogu tłumaczy, jaki jest cel przejazdu pociągu, który w Dzień Obrońcy Ojczyzny wyruszył z Moskwy.
labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ
TYGODNIA



TWARDY BREXIT ZWYKŁYCH LUDZI

Wśród tych, którzy prowadzą interesy po obu stronach irlandzkiej granicy, dominują złość i zniechęcenie. Dla nich każdy brexit byłby lepszy od niepewności.

MARCIN ŻYŁA Z LONDONDERRY (IRLANDIA PÓŁNOCNA)

SEAN NICHOLAS MIAŁ 11 LAT, GDY PRZESTAŁ Świdzieć na prawe oko. Tamtego dnia szedł do sklepu i niestety wybrał złą drogę: trafił go, odbity rykoszetem od muru, pocisk wystrzelony przez ulsterskiego policjanta. W szpitalu założono mu 23 szwy; oko udało się uratować, ale wzroku już nie. Był rok 1987 i w Londonderry – drugim co do wielkości mieście Irlandii Północnej – trwały zamieszki między probrytyjskimi unionistami a sympatykami Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA). Musiało upłynąć kolejnych 11 lat, aby – po popisanii tzw. porozumienia wielkopiątkowego, kończącego konflikt w tej prowincji – sytuacja się uspokoiła.

Dziś Sean, Irlandczyk i obywatel Wielkiej Brytanii, pracuje w firmie transportowej i ma

na głowie największy od tamtych czasów kłopot: brexit i jego konsekwencje dla Zielonej Wyspy. – Cztery mile od Londonderry jest granica z Republiką Irlandii, a zaraz za nią jeden z naszych magazynów. Nie chcę myśleć, co będzie, jeśli za dwa tygodnie nasi kierowcy kilka razy dziennie będą musieli stać do kontroli na granicy – mówi „Tygodnikowi”.

W minionym tygodniu Izba Gmin w Londynie po raz trzeci odrzuciła uzgodnienia w sprawie brexitu wynegocjowane z Brukselą przez premier Theresę May. Jeśli politycy nie wypracują alternatywy, Wielka Brytania opuści Unię Europejską już w piątek 12 kwietnia bez żadnej umowy. Jaki będzie efekt tzw. twardego brexitu? Już nie niepewność (ta trwa od referendum

Mural ze sceną z „krwawej niedzieli”. Londonderry, Irlandia Północna, marzec 2019 r.

w 2016 r.), lecz po prostu złość dominiuje wśród ludzi, którzy tak jak Sean prowadzą interesy po obu stronach irlandzkiej granicy.

– Będzie brexit? OK. Nie będzie? Też dobrze. Tylko czemu tego jeszcze nie wiemy? Nawet Demokratyczna Partia Unionistyczna (DUP), największa w Irlandii Północnej, gra w Londynie w swoje gierki, nie do końca wiedząc, w co się pakuje. To się na nas wszystkich zemści – wyrzuca z siebie Sean.

Złości trudno się dziwić: w Wielkiej Brytanii trwa paraliż decyzyjny. Rząd May jest uzależniony od działających w Partii Konserwatywnej grup nacisku, wśród których silną pozycję mają wciąż zwolennicy twardego brexitu, wyjścia z Unii za wszelką cenę. Aby móc głosować kolejny raz „umowę rozwodową” w parlamencie, wycofano z niej zapisy dotyczące przyszłych stosunków z Unią. To już wyraz desperacji: przyznanie, że warunki współpracy będzie w praktyce dyktować Bruksela.

Podczas wizyty w Warszawie unijny negocjator Michel Barnier zapowiedział, że ewentualny brexit bez umowy będzie oznaczał nadszarpnięcie wzajemnego zaufania, i że negocjując nowy układ handlowy z Wielką Brytanią, Unia zachowa w nim niektóre zapisy wynegocjowanej już umowy (m.in. brytyjski wkład finansowy). Bruksela jest wciąż otwarta na inne rozwiązania – np. pozostanie Brytyjczyków w unii celnej i opuszczenie Wspólnoty dopiero 22 maja. Choć to pierwsze byłoby gorzkie do przełknięcia dla zwolenników twardego brexitu. Każde z tych rozwiązań dla milionów ludzi oznacza jednak frustrację.

Także tu, w Irlandii Północnej, gdzie na brexit nakładają się obawy z przeszłości. Sean Nicholas nie pamięta „krwawej niedzieli” z 1972 r., gdy brytyjskie wojsko zabiło w Londonderry 14 nieuzbrojonych cywilów. Bogside – republikańska dzielnica, w której doszło do masakry – od kilkunastu lat jest atrakcją turystyczną: działa tu muzeum, na ścianach domów można oglądać słynne murale.

– Zmieniło się dużo. Ale, niestety, powrót przemocy wciąż jest prawdopodobny – mówi Sean. – Kilka lat temu jedna z lokalnych bojówek, uznających się za spadkobierczynię IRA, wzięła sobie za cel dilerów narkotyków. A co, jeśli kiedyś wezmą innych?

© P

Prezydent Zełenski?

ZWYCIĘZĄ PIERWSZEJ TURU wyborów prezydenckich na Ukrainie został komik bez doświadczenia politycznego, na którego swój głos zdecydował się oddać niemal co trzeci wyborca. Jak na kogoś pozbawionego zaplecza i programu, kto nie prowadził tradycyjnej kampanii, jest to wynik zadziwiający. Wdarcie się Wołodymyra Zełenskiego na ukraińską scenę polityczną jest skutkiem ogromnej nieufności społeczeństwa do klasy politycznej i instytucji państwowych. Poparcie dla niego to głośny protest przeciwko temu, jak urządzone jest państwo ukraińskie, mimo upływu pięciu lat od rewolucji godności. Wielu Ukraińców chce wierzyć, że aktor komediowy, który w swej firmowej kreacji w serialu „Sługa narodu” naprawia Ukrainę jako nieoczekiwany prezydent, jest w stanie powtórzyć tę operację w rzeczywistości. Naiwne? Z pewnością. Jednak nie byłoby Zełenskiego, gdyby nie choroba trawiąca ukraińską politykę.

Urzędującemu prezydentowi Petrowi Poroszenko udało się dostać do drugiej tury, choć jego wygrana z Julią Tymoszenko nie była oczywista, zwłaszcza po ujawnionych w ostatnich tygodniach aferach korupcyjnych w jego otoczeniu. Ale zwycięstwo Poroszenki w drugiej turze, z obecnym 16-pro-



centowym poparciem, to zadanie być może nie do wykonania. Należy oczekiwać, że przed drugą turą (21 kwietnia) Poroszenko zmobilizuje wszystkie zasoby i na wszelkie sposoby zechce skompromitować Zełenskiego. Ale powodzenie tej operacji jest mało prawdopodobne.

Prezydentura Zełenskiego byłaby wielkim eksperymentem. Nie zaproponował on żadnej wizji państwa, z której można by go potem rozliczyć. Tajemnicą polisylną są jego związki z oligarchą Ihorem Koloomojskim. Co więcej, partia Zełenskiego będzie mieć szansę na dobry wynik w jesiennych wyborach parlamentarnych. Pytanie, czy państwo z takimi problemami jak Ukraina, w stanie wojny z Rosją, stać na fundowanie sobie tego rodzaju eksperymentów?

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Pożegnanie z jednorazówką

PLASTIKOWE SŁOMKI, sztućce i talerzyki, patyczki higieniczne, mieszadła do drinków, patyczki do balonów – wszystko to jest w niesławnej pierwszej dziesiątce przedmiotów jednorazowego użytku, które najczęściej lądują na brzegach mórz. Do 2021 r. mają zniknąć ze sklepowych półek – Parlament Europejski zatwierdził właśnie zakaz ich sprzedaży (obejmie on też styropianowe pojemniki na żywność).

Szacuje się, że w morzach pływa co najmniej 150 mln ton plastiku, a każdego roku do oceanów trafia kolejnych od 5 do 13 milionów ton. Prawie połowa wszystkich odpadów morskich to plastik z artykułów jednorazowego użytku. Wraz z plastikowymi odpadami z narzędzi połowowych te dwie grupy stanowią 70 proc. wszystkich odpadów morskich.

Prócz zakazu sprzedaży plastikowych jednorazówek (dla których są łatwo dostępne i przystępne cenowo zamienniki) nowe prawo zakłada większą odpowie-



działność producentów innych plastikowych produktów, wzmacniając zasadę „zanieczyszczający płaci”. Wprowadzane będą nowe wymogi dotyczące etykiet (m.in. na wyrobach tytoniowych, plastikowych kubkach, ręcznikach higienicznych i nawilżanych chusteczkach, by klienci byli lepiej informowani, jak je utylizować), a także cele recyklingowe dla wtórnych surowców plastikowych, m.in. butelek na napoje (selektywne zbieranie 90 proc. z nich do 2029 r.). Nowe przepisy zakładają też podnoszenie świadomości społecznej.

© EWELINA BURDA

Podarunek od Trumpa

WOJCIECH JAGIELSKI



UZNAJĄC SYRYJSKIE WZGÓRZA GOLAN – OKUPOWANE przez Izrael od zwycięskiej „wojny sześciodniowej” w 1967 r. – za część izraelskiego państwa, Donald Trump zakwestionował międzynarodowe prawo, zakazujące zaborów. Według Trumpa Izrael zajął Wzgórz Golan wskutek wojny obronnej, narzuconej mu przez arabskich sąsiadów, i ma prawo zdobyte ziemie zachować.

Prezydent USA chce w ten sposób pomóc premierowi Benjaminowi Netanjahu wygrać czekające go 9 kwietnia wybory. Przegrana mogłaby oznaczać dla premiera proces o korupcję. Ale Trump myśli też o reelekcji w 2020 r. Podarek ze Wzgórz Golan ma mu zjednać wyborców żydowskiego pochodzenia (2-3 proc.), a przede wszystkim sympatyzujących z Izraelem ewangelików, jedną czwartą elektoratu USA. Trump uznał już Jerozolimę za stolicę Izraela, wstrzymał pomoc dla Palestyńczyków, ogłosił Iran wrogiem Stanów. „Czy to nie Bóg zesłał Trumpa Żydom do obrony?” – zapytano szefa amerykańskiej dyplomacji Mike’a Pompeo. „Jako człowiek wierzący nie mogę tego wykluczyć” – odparł Pompeo, ewangelikanin. ©

Wyrok za wileńską masakrę

MARSZAŁEK DMITRIJ JAZOW, były minister obrony Związku Sowieckiego, oraz 66 innych sowieckich wojskowych, funkcjonariuszy partii komunistycznej i KGB zostało skazanych przez sąd w Wilnie na kary od 4 do 14 lat więzienia (94-letni Jazow dostał 10 lat), za zbrodnie wojenne i przeciw ludzkości. Niemal wszystkich sądzono zaocznie – przebywają w Rosji (Litwinom udało się aresztować tylko dwóch). Proces dotyczył wydarzeń ze stycznia 1991 r., zwanych „Krwawą niedzielą”: sowiecka armia i siły specjalne podjęły wtedy próbę zajęcia strategicznych punktów Wilna, by zablokować niepodległość Litwy (kraje bałtyckie ogłosiły ją w marcu 1990 r., Kreml jej nie uznawał). Gdy pod wieżą telewizyjną mieszkańcy usiłowali zatrzymać czołgi, zginęło 14 Litwinów, a 600-700 zostało rannych.

To „historyczny dzień sprawiedliwości” – komentuje wyrok prezydent Dalia Grybauskaitė, dodając, że „w poszukiwaniu prawdy (...) napotkaliśmy opór i brak dobrej woli ze strony Rosji” (jej Komitet Śledczy wszczął nawet sprawę przeciw litewskim prokuratorom i sędziom, za „ściganie niewinnych”). Śledztwo trwało od 2006 r. Próbowano przesłuchać w nim Michaiła Gorbaczowa, byłego sowieckiego przywódcę – Litwini także jego obarczają winą za masakrę – ale Rosja odmówiła pomocy prawnej.

© WOJCIECH PIĘCIAK (ZA: SRF, CENSOR.NET.UA)

KRAJ W SKRÓCIE

POCAŁUNKI. Krokusy kwitną, prezes i premier obiecują, a prezydentka para wymienia pocałunki podczas wizyty w zakładach przetwórstwa mięsnego. Chcielibyśmy umieć pisać o tym tak zmysłowo, jak autor portalu plotkarskiego: „Masarze wyłożyli na stoły to, co najlepsze: aromatyczne kielbasy, soczyste szynki i chrupkie kabanosy. Dudowie nie kryli zachwyty i z miejsca przystąpili do degustacji. Rozkoszując się wędlinami, prezydent zapozował do zdjęć, posyłając w stronę obiektywów przeszywające spojrzenia zza pęt kielbas”.



MARK LASYK / REPORTER

UMIZGI. A nowe obietnice rządzących dotyczą przyjętej przez Parlament Europejski dyrektywy o prawach autorskich. „Wszystkim naszym wspaniałym youtuberom, bloggerom, influencerom, forumowiczom, wszystkim internautom, że będziemy walczyć o wolność słowa w internecie” – powiedział Mateusz Morawiecki podczas gdańskiej konwencji PiS, dopowiadając: „Drodzy internauci, jesteście z wami”.

PORZUCENIA. Szkoda, że wśród internautów, z którymi jest premier, zabrakło przedsiębiorców, którzy w ostatnich dniach marca próbowali cyfrowo podpisać roczne sprawozdania finansowe logując się do serwisu ePUAP. Państwowe serwery nie wytrzymały, czego spróbujemy nie uznać za metaforę.

CZUŁE SŁÓWKA. Zauważmy jednak, że poza tym klimat dla przedsiębiorców pozostaje nie najgorszy. Agencja Fitch utrzymała rating Polski na poziomie „A-”, w uzasadnieniu chwalać „rozsądną prowadzoną politykę gospodarczą, silny sektor bankowy i dobrą sytuację fiskalną”.

WPADKI. Przedsiębiorcom odradzamy tylko jeżdżenie w pobliżu pojazdów Służby Ochrony Państwa. Informacje o kolizjach z udziałem tych ostatnich zamieszczamy tu częściej niż skrzydlate słowa wicepremiera Glińskiego, a tym razem rządowa limuzyna uderzyła w gdański tramwaj.

Psychiatria dziecięca w odwrócie

LEKARZE Z ODDZIAŁU PSYCHIATRII DZIECIĘCEJ szpitala WUM mieli dość: od miesięcy alarmowali, że warunki szpitalne urągają ludzkiej godności: dzieci po próbach samobójczych leżały na dostawkach na korytarzu. W grudniu złożyli wypowiedzenia, a szpital wypowiedział kontrakt z NFZ na psychiatrię dziecięcą. To był ostatni taki oddział w Warszawie. W ostatnich dniach marca Fundusz ogłosił, że wygospodarowano 1 mln zł na jego uratowanie – jednak przestanie on przyjmować przypadki nagle. Dzieci w stanach zagrożenia życia będą trafiały na oddziały dla dorosłych.

Psychiatria dziecięca jest w chronicznym kryzysie. Na 400 tys. dzieci z zaburzeniami przypada 416 specjalistów. To specjalizacja bardzo trudna, a wyceń świadczeń – a więc i zarobki – są niskie. Oddziałów jest w Polsce mało (kolejne znikają w ostatnich latach) i dysponują tak niewielką liczbą łóżek, że wielu zgłaszających się trzeba odsyłać do domu. „Stajemy przed dramatycznym pytaniem: czy powiesi się nastolatek z myślami samobójczymi odesłany ze szpitalnej izby przyjęć, czy ten przyjęty na oddział, któremu nie będziemy w stanie zapewnić opieki?” – mówi ordynator oddziału szpitala WUM prof. Tomasz Wolańczyk.

Przez ostatni rok resort zdrowia pracował nad założeniami reformy psychiatrii. „Konieczne jest w krótkim czasie podwojenie nakładów, to dopiero da szansę, obok reform strukturalnych, na poprawę” – ocenia Marek Balicki, psychiatra, były minister zdrowia. © MACIEJ MÜLLER

Oddział psychiatrii dziecięcej w krakowskim Szpitalu im. św. Ludwika – jedyny w Małopolsce, 2010 r.



MARK LASYK / REPORTER



ROMAN PACH / FORUM

Chatka już nie Puchatka

BIESZCZADZKI PARK NARODOWY pokazał wizualizację schroniska położonego na Połoninie Wetlińskiej po generalnym remoncie. Do tej pory turyści nazywali je pieszczotliwie „Chatką Puchatka” (na zdjęciu). Jak będzie z tą nazwą w przyszłości, nie wiadomo, gdyż po remoncie budynek będzie przypominać jedną z gospód z „góralskim jadłem” rozsianych wzdłuż ekspresówek. Czy powstanie wkrótce kolejny przydrożny bar, bieszczadzki odpowiednik Kasprowego – z wygodnym szlakiem prowadzącym z parkingu na Przełęcz Wyżniańskiej (godzina marszu) i szerokim tarasem, zachęcającym agentów do wystawienia stolików z parasolami? BPN, który wkrótce ogłosi przetarg na wykonawcę remontu,

tłumaczy się koniecznością: Lutek Pińczuk, legendarny gospodarz schroniska (na stałe od 1986 r.), zszedł z połoniny trzy lata temu; obiekt nie spełniał wymogów sanitarnych i środowiskowych; w letnie wakacje coraz liczniejsi turyści zadeptywali okolicę. Obiecując na odchodnym pozostawienie galerii zdjęć pokazujących „bieszczadzkie klimaty”, Park przyznaje jednak, że obiekt przestaje być schroniskiem i tylko w wyjątkowych sytuacjach będzie służył noclegiem.

To już kolejna w ostatnich latach (m.in. po babiogórskich Markowych Szczawinach) renowacja schroniska, która tak naprawdę oznacza rozbiórkę i postawienie budynku od nowa. Jak wtedy, także teraz – w środowisku turystycznym protesty i poruszenie. I jak wtedy, zapewne nie doprowadzą one do wstrzymania inwestycji. ©© MARCIN ŻYŁA

Sopot broni opiekunów, RPO broni Sopotu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



LUBIĘ, GDY PRZYCHODZI DWUDZIESTA. WTE-
dy mam trochę czasu na telewizor i książkę.
Czytam ostatnio »Północ-Południe«, a z gazet
te plotkarskie (...) Dowiem się z nich przynaj-
mniej, co słyhać na świecie. Bo ja świata w ogó-
le nie oglądam” – opowiadała rok temu w „TP”
kobieta opiekująca się sparaliżowanym mężem.
„Mam poważne problemy z kręgosłupem, je-
stem świeżo po zawale. Nam, opiekunom, sypie
się zdrowie (...) I jesteśmy więźniami własnych
domów” – dodawała inna kobieta.

Są ich tysiące: to wykluczeni opiekunowie
dorosłych osób niepełnosprawnych. Wyklu-
czeni, bo państwo nie ma pomysłu na ich od-
ciążenie. Wykluczeni, bo prawo różnicuje wy-

sokość wsparcia dla nich. Mimo iż w 2014 r.
Trybunał Konstytucyjny uznał, że dyspro-
porcje – 1470 zł, gdy niepełnosprawność pod-
opiecznego powstała w dzieciństwie, i tylko
520 zł, jeśli w dorosłości – są niezgodne z usta-
wą zasadniczą, rząd nie wykonał wyroku.

Z respektowania zakwestionowanych przez
TK przepisów wyłamał się Sopot. Teraz, zgod-
nie z decyzją wojewody pomorskiego, ma oddać
840 tys. zł. W obronie lokalnych władz stanął
właśnie Rzecznik Praw Obywatelskich, pisząc
do minister rodziny, pracy i polityki społecznej,
że stanowisko rządu „nie może być uznane za
zgodne z konstytucyjnymi standardami demo-
kratycznego państwa prawnego”. ©©

Podróże żywią

**W 2018 ROKU POLACY WYDA-
LI ZA GRANICĄ** rekordowe
21,5 mld zł – podał właśnie
GUS. Bilans zysków z ruchu
turystycznego mamy jed-
nak nadal na solidnym plu-
sie, ponieważ cudzoziemcy
w tym samym czasie zоста-
wili w Polsce 43,5 mld zł.

Gdyby ranking najbardziej
pożądanych turystów zagra-
nicznych skompletować wy-
łącznie na podstawie danych
GUS, utworzyliby go cudzo-
ziemcy, którzy przybyli dro-
gą morską. Każdy taki gość
zostawił w ubiegłym roku
w Polsce 1568 zł – o 30 proc.
więcej od przybyszów, któ-
rzy wybrali się nad Wisłę sa-
molotem i ponad trzykrotnie
więcej od obcokrajowców
wjeżdżających drogą lądową.

Największy ruch panował
tradycyjnie na zachodniej
granicy kraju, na którą przy-
padało aż 40 proc. ruchu do
i z Polski. Z zachodu wjecha-
ło również najwięcej kapita-
łu przywiezionego przez cu-
dzoziemców, choć to już nie
Niemcy – tradycyjnie uwa-
żani przez polską branżę tu-
rystyczną za najbardziej po-
żądanych klientów – wwo-
żą w przeliczeniu na głowę
najwięcej pieniędzy. W ta-
kim ujęciu najbardziej hoj-
nymi gośćmi są Ukraińcy,
pozostawiający nad Wisłą
średnio po 782 zł, oraz Bia-
łorusini, którzy wydawali
w 2018 r. po 660 zł. Przecięt-
ny turysta z Niemiec wydał
tylko 435 zł.

Rzecz jasna, statystyka
wprowadza nieco zamiesz-
ania do danych o ruchu gra-
nicznym, bo wielu „tury-
stów” zza polskiej wschod-
niej granicy stanowią cudzo-
ziemcy, którzy przyjeżdżają
do Polski do pracy. Ukraińcy
i Białorusini z terenów przy-
granicznych chętnie robią
też u nas zakupy, zwłaszcza
budowlane i motoryzacyj-
ne. Sporym wzięciem cieszy
się również sprzęt RTV AGD.

©© MAREK RABIJ

Czy można pocałować papieża

EDWARD AUGUSTYN



JESZCZE NIE TAK DAWNO CAŁOWANO GO W STOPE. Średniowieczny gest poddaństwa usprawiedliwiano, do połowy XX w., szacunkiem dla znaku krzyża wyhaftowanego na czubku papieskiego pantofla. (Ostatnia taka próba miała miejsce w 2002 r., gdy delegacja Beninu gościła u Jana Pawła II). Od Jana XXIII przyjęło się jednak, by papieża całować w dłoń – zakłopotanym tłumaczono, że chodzi o „pierścień Rybaka”.

Franciszek wprowadził nowe zwyczaje. Nikogo nie dziwi, że ludzie obejmują go, przytulają i całują w policzek. Dlaczego więc prosty odruch cofnięcia ręki, zarejestrowany 25 marca na spotkaniu z wiernymi w Loreto, wzbudził tyle emocji?

Na zarzuty, że papież zabrania ludziom całowania pierścienia, odpowiedział watykański rzecznik, ale w mało przekonujący sposób. „Chodzi jedynie o względy higieniczne” – tłumaczył. Złośliwi zauważyli, że w takim razie należałoby zabronić całowania relikwii świętych czy krzyża w Wielki Piątek, nie mówiąc już o święconej wodzie w kropielnicach, wyłęgarni bakterii. Pojawiły się też poważne zarzuty: ten papież bardziej troszczy się o ziemię, lasy amazońskie, dostęp do pitnej wody niż o zbawienie wiernych. Po włosku gra słów: bardziej obchodzi go „sanita” (zdrowie) niż „santità” (świętość).

Zarażenia się od papieża bakterią lub wirusem na razie nie stwierdzono. Za to objawy alergii na Franciszka widać coraz wyraźniej.

© © EDWARD AUGUSTYN

Watykańskie wytyczne

PAPIEŻ ZATWIERDZIŁ NOWE PRAWO chroniące dzieci i osoby bezbronne przed przemocą seksualną w Kurii Rzymskiej, Państwie Watykańskim i jego placówkach. Zgodnie z nim na każdym urzędniku spoczywa obowiązek poinformowania wymiaru sprawiedliwości o podejrzeniu przestępstwa. Wykorzystanie dorosłych bezbronnych (np. chorych czy upośledzonych fizycznie lub psychicznie) będzie traktowane równie surowo jak przestępstwo na dziecku.

Ogłoszono też wskazówki duszpasterskie (wytyczne) na temat ochrony nieletnich. Opracowanie takiego dokumentu Watykan nakazał wszystkim episkopatom w 2011 r. Wytyczne watykańskie zostały przyjęte jako jedno z ostatnich.

© © EA



VATICAN MEDIA / AFP / EAST NEWS

Franciszek w Maroku: święto migrantów

OBYŁO SIĘ BEZ NIESPODZIANEK. Mimo że podróż do Rabatu miała być okazją do świętowania 800-lecia spotkania św. Franciszka i sułtana al-Kamila al-Malika na przedpolach Damietty, to uścisków braterstwa pomiędzy ich współczesnymi odpowiednikami, Franciszkiem i królem Muhammadem VI, nie było. Była sztywna uprzejmość.

Podczas półtoradniowej wizyty (30–31 marca) Franciszek podpisał razem z królem Maroka apel o poszanowanie Jerozolimy jako miasta świętego, wspólnego dziedzictwa dla wyznawców trzech religii monoteistycznych, odwiedził Instytut Muhammada VI kształcący przyszłych imamów i uczonych muzułmańskich (mężczyzn i kobiety), spotkał się z 60 migrantami z Afryki subsaharyjskiej w biurze Caritas Rabat oraz odwiedził Ośrodek Pomocy Społecznej w Témara na przedmieściach stolicy. W katedrze św. Piotra w Rabacie spotkał się z duchowieństwem, a w Centrum Sportowym Księcia Moulaya Abdallaha odprawił mszę.

Media obiegi kadr z papieżem całującym dłoń ostatniego żyjącego trapiście z algierskiego Tibhirine o. Jeana-Pierre'a Schumachera (jego zamordowanych współbraci Kościół niedawno beatyfikował).

Przed rozpoczęciem papieskiej wizyty spekulowano o możliwości pod-

pisania przez Franciszka i Muhammada VI porozumienia, które legalizowałoby konwersję na chrześcijaństwo na terenie Maroka. Nie doszło jednak do tego, mimo oczekiwań ze strony około pięciotysięcznej społeczności żyjących w ukryciu marokańskich chrześcijan. Papież wspominał tylko, że „wolność religijna, która nie ogranicza się do swobody kultu, musi wszystkim dawać szansę, by żyli zgodnie ze swoimi przekonaniami religijnymi”.

Rozczarowani byli także ci, którzy liczyli na słowa zachęty do prowadzenia działań prozelickich (przedstawiciele Kościołów chrześcijańskich w całym regionie rywalizują o wiernych). Jednak Franciszek podkreślił, że prozelityzm „zawsze prowadzi w ślepą uliczkę”. Papież natomiast powracał do kwestii przywoływanych podczas poprzednich podróży: szanujcie Ziemię, prowadźcie dialog miłosierdzia, wspierajcie migrantów. Zwłaszcza o tych ostatnich upominał się prawie w każdym przemówieniu.

W Maroku przybysze nie cieszą się żadnymi przywilejami, nie mają prawa ubiegać się o status uchodźcy – mimo zapowiedzi króla, które pojawiają się od 2014 r., system azylowy nie został wprowadzony – oraz są nągnięci wykorzystywani. Dzięki Franciszkowi migranci w Maroku mieli swoje dwudniowe święto.

© ANNA WILCZYŃSKA z Rabatu

Arcybiskup Ryś przeprasza

ARTUR SPORNIAK



METROPOLITA ŁÓDZKI DŁUGO – BO PRZEZ BLISKO półtora roku od ingresu – zwlekał z publiczną reakcją na wzmagający się w polskim Kościele problem pedofilii. Jego wystąpienie nastąpiło jednak w dobrym momencie – po kryzysie wywołanym słowami, które padły na niedawnej konferencji w siedzibie Episkopatu podczas prezentacji danych statystycznych na temat przypadków wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych. W trakcie nabożeństwa pokutnego 29 marca w łódzkiej katedrze abp Grzegorz Ryś przeprosił ofiary. Ujawnił też skalę zjawiska w łódzkim Kościele od 1990 r.: czterech sprawców i 10 ofiar poniżej 18. roku życia oraz cztery osoby, „które przeżyły molestowanie na granicy życia dorosłego, tuż po uzyskaniu pełnoletności”.

Zapamiętane zapewne zostaną dwie rzeczy: obraz kłęzącego arcybiskupa wraz z biskupami pomocniczymi i najbliższymi współpracownikami z kurii podczas odtwarzania świadectwa ofiary molestowania oraz podkreślenie współodpowiedzialności wszystkich księży.

W rozmowie z KAI abp Ryś wyjaśniał, że odruch księży jest taki: „sprawca zrobił także mnie krzywdę”, gdy tymczasem myślenie powinno być takie: „co zaniedbałem?”. Metropolita łódzki za główne remedium uważa położenie nacisku na budowanie dojrzałej wspólnoty wśród księży.

Pytanie tylko, jak budować taką wspólnotę, nie powiększając jednocześnie mentalności klerykalnej w Kościele. ©P

Irlandia: mroczna przyszłość Kościoła?

„TRUDNO WYELIMINOWAĆ KULTURĘ KLERYKALNĄ. Nie pojawiła się znikąd, w formacji seminarialnej musimy więc zająć się jej korzeniami” – powiedział Diarmuid Martin, prymas Irlandii i arcybiskup Dublina (na zdjęciu). Przywołując wnioski z wizytacji apostolskiej z lat 2010-11, wezwał do zmniejszenia liczby diecezji i radykalnej odnowy kształcenia księży (prace nad programem trwają). Skrytykował jednocześnie tempo prac wizytatorów, które zamroziło na kilka lat potrzebne reformy.

Od początku lat 90. XX w. Kościołem w Irlandii wstrząsały skandale związane z ujawnianiem przestępstw pedofilskich duchownych i ich tuszowaniem. O ich skali wyobrażenie dają m.in. dwa opublikowane w 2009 r. raporty. Zespół sędziów Ryana opisał systemową przemoc wobec dzieci w szkołach prowadzonych przez Kościół; dokument obfitywał w tak makabryczne świadectwa, jak opowieść chłopca, którego przywiązano do krzyża i gwałcono. Inny raport, autorstwa sędzi Murphy, wykazał, że w archidiecezji dublińskiej ofiarą przestępstw seksualnych w latach 1975–2004 padło nawet 450 osób, a w ich tuszowaniu uczestniczyło 19 arcybiskupów i biskupów. Od 1995 r. Kościół zaczął wdrażać przepisy mające umożliwić skuteczną walkę z pedofilią. Po spotkaniu z Benedyktem XVI w 2010 r. biskupi przyznali, że w ich działaniach „oba wa przed skandalem i ochrona dobrej reputacji osób i Kościoła była ważniejsza od bezpieczeń-



NIAL CARSON / PA / EAST NEWS

stwa i dobra dzieci”. Jeden z księży powiedział: „Nasz kraj stał się tak katolicki, że zapomniał być chrześcijański”.

Autorytet Kościoła, w latach 80. XX wieku nie do podważenia, runął. W 1991 r. wyznawanie katolicyzmu deklarowało 91 proc. Irlandczyków, w 2016 r. – 76 proc. Od 1973 do 2011 r. liczba katolików deklarujących cotygodniowe uczestnictwo w mszy spadła z ponad 90 proc. do 40 proc. Niechęć do Kościoła Irlandczycy dali wyraz w 2018 r.: 66 proc. zagłosowało za usunięciem z konstytucji zapisu o ochronie życia nienarodzonych.

„Świątelnio w tunelu jest bardzo daleko” – mówił prymas Martin 27 marca w wykładzie na temat Kościoła przyszłości w Limerick. Dodał, że przywództwo w Kościele irlandzkim powinno mieć charakter synodalny, a uczestniczyć w nim powinni „świeccy i duchowni, kobiety i mężczyźni, starzy i młodzi”.

©P MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WOŁANIE O UMIAR.

„Rywalizacja polityczna dawno przekroczyła granice demokratycznych polemik i dotyka najgłębszych fundamentów naszej narodowej wspólnoty” – zauważają polscy biskupi w liście społecznym, który stara się uspokoić nastroje. Episkopat wzywa do refleksji nad językiem, apeluje do polityków i mediów o umiar. Dokument ma 33 tys. znaków ze spacjami.

TAJEMNICE KONKLAWY.

Watykanista magazynu „America” Gerard O’Connell w książce, która ukaże się w kwietniu, ujawnia m.in. wyniki pierwszego głosowania konklawe z marca 2013 r.: Angelo Scola z Włoch – 30 głosów, Jorge Bergoglio z Argentyny – 26, Marc Ouellet z kurii rzymskiej – 22, Seán O’Malley z USA – 10, Odilo Scherer z Brazylii – 4.

BRAK UMIARU. W gdańskiej parafii Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła odbyła się w niedzielę akcja ewangelizacyjna polegająca na... paleniu książek. Na stosie przed kościołem spłonęły m.in. książki o Harrym Potterze i z serii „Zmierzch”, a także figurki słonia czy kota. W akcji uczestniczył koszaliński ewangelizator ks. Rafał Jarosiewicz – prezes Fundacji SMS z Nieba, która w mediach społecznościowych uzasadniała palenie książek cytatami z Biblii. „Bez Bożego Ducha trudno to pojąć” – wyjaśniał z kolei mediom wikary z parafii. Bożego Ducha jednak brakło: inaczej przypomniałby, że książki palili w 1933 r. naziści.

LICZBA TYGODNIA

57 proc.

Polaków pozytywnie ocenia działalność Kościoła – wynika z badania przeprowadzonego w marcu przez CBOS. Rok temu w marcu pozytywnie Kościół oceniali 54 proc. Wzrost nastąpił mimo dystrybucji filmu „Kler” i nasilenia się świadomości kryzysu związanego z pedofilią.

Czas zmiany zmiany czasu

MAREK RABJ



WPRZYSZŁYM ROKU PO RAZ OSTATNI PRZESTAWIMY zegarki na czas letni i zimowy – postanowiła Bruksela, wzięwszy pod uwagę wyniki rekordowo popularnych konsultacji społecznych, w których wzięło udział 4,6 mln mieszkańców UE. Aż 85 proc. ma dość przestawiania zegarków dwa razy w roku.

Lud przemówił, bo każdy, kto w noc zmiany czasu choć raz utknął w pociągu, który w szczerym polu przeczekuje zbędne 60 minut, doceni ten pomysł, podobnie jak ci, którzy przez nagły harmider w czymś tak poukładanym jak doba niespodziewanie zaspali na ważną niedzielą uroczystości. Gospodarce w coraz większym stopniu korzystającej z automatów i robotów, które obywają się bez budzików, zmiana czasu też niewiele daje. Słowem – po co?

Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii właśnie zadało to pytanie Polakom. Ponad 78 proc. ankietowanych doszło do wniosku, że zmiana czasu to jego strata. Teraz jednak przed nami decyzja, przy którym czasie zostaniemy. Wiele wskazuje, że wybór padnie na letni, ale wtedy w grudniu będziemy witać słońce dopiero po godzinie ósmej. Bez względu na decyzje ciał przedstawicielskich, ciała niebieskie będą bowiem poruszać się po nieboskłonie na starych zasadach. ©P

Bez bólu, bez strachu

KILKA LAT TEMU 65-LETNIA WÓWCZAS JO CAMERON, pacjentka szpitala Raigmore w Inverness na północy Szkocji, wprowadziła lekarzy w zdumienie. Zdiagnozowano u niej poważny etap choroby zwyrodnieniowej stawów, wymagający operacji biodra. Po zabiegu kobieta nie odczuwała bólu. Wywiad lekarski ujawnił, że Jo nigdy nie odczuwała bólu, z czego nie zdawała sobie sprawy. Nie potrzebowała znieczulenia u stomatologa, w dzieciństwie późno zorientowała się, że złamała rękę, potrafiła przełykać gorące napoje. Szybko goiły się też jej rany. W historii jej rodziny zauważono podobne przypadki. Pacjentka prowadzi aktywny tryb życia, a w testach psychologicznych mierzących lękliwość i depresyjność uzyskuje najniższe możliwe wyniki. Doskwierają jej tylko problemy pamięciowe, co może mieć związek z niskim poziomem odczuwania strachu.

Jej przypadek zainteresował neurobiologów i genetyków, którzy odkryli u niej dwie mutacje odpowiedzialne za podwyższony poziom anandamidu – związku psychoaktywnego z grupy kannabinoidów, obecnych m.in. w marihuanie. Według autorów badania, Abdelli M. Habib i współpracowników, wiedza zdobyta w tym przypadku zapoczątkuje nowe metody leczenia bólu.

©P ŁUKASZ KWIATEK

KOSMOS W SKRÓCIE

WICEPREZYDENT USA Mike Pence nakazał NASA wysłanie ludzi na Księżyc w 2024 r. Kurs jest, nie ma za to ani gotowego pojazdu, ani rakiety, bo NASA planowała tę misję na rok 2028. Nie ma też żadnych dodatkowych pieniędzy.

NIE MA RÓWNIĘŻ SKAFANDRÓW. Pierwszy spacer kosmiczny przeprowadzony wyłącznie przez kobiety nie odbył się, bo na stacji jest tylko jeden gotowy skafander w rozmiarze M. Przygotowanie drugiego zajęłoby 12 godzin. Zamiast zmienić rozmiarówkę, agencja zamieniła astronautkę Anne McClain na Nicka Hague'a. NASA nie wyprodukowała żadnego nowego skafandra od 40 lat. Używane dziś pamiętają początki lotów promów kosmicznych.

NASA ma za to pod dostatkiem księżycowych skał. Dokładnie 381 kilogramów przywiezionych przez astronautów programu Apollo. Trzy pojemniki zawierające nietknięte od 50 lat próbki zostaną otwarte po raz pierwszy, a ich zawartość udostępniona uczonym.



MARSJAŃSKI ŚMIGŁOWIEC odbył swój ostatni lot na Ziemi. Ważąca 1,8 kg maszyna wzbiła się w powietrze w komorze próżniowej, w której odtworzono warunki z powierzchni Marsa. W 2021 r. ma stać się pierwszym latającym pojazdem na innej planecie.

INDIE PRZETESTOWAŁY BROŃ służącą do niszczenia satelitów. Są czwartym, po USA, Rosji i Chinach, państwem zdolnym do niszczenia celów w kosmosie.

ELON MUSK kończy przygotowania prototypu międzyplanetarnego pojazdu Starship. Pierwsze kilkusekundowe loty są spodziewane lada dzień. Docelowo Starship ma być trzykrotnie większy od prototypu i zabierać nawet stu pasażerów na Księżyc czy Marsa.

Grzyb żab

SERYJNY ZABÓJCA GRASUJE NA WOLNOŚCI. Ofiary wybiera nieprzypadkowo, najpierw pojawił się w Korei, prawdopodobnie w latach 80. ubiegłego wieku, ale obecnie działa na całym świecie. Doprowadził do wymarcia przynajmniej 90 gatunków płazów, głównie żab, ropuch i salamander. Zaatakował wiele kolejnych. Zidentyfikowano go już 20 lat temu, a 10 lat później opisano, w jaki sposób zabija swoje ofiary, ale dopiero niedawno udało się udokumentować jego wszystkie zbrodnie.

Mowa o pasożytniczym grzybie *Batrachochytrium dendrobatidis* – pseudonim BD – który wywołuje śmiertelną infekcję, atakując układ nerwowy ofiar. W artykule opublikowanym na łamach „Science” Ben C. Scheele i współpracownicy przeanalizowali raporty Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody oraz wiele publikacji naukowych, by oszacować szkody wyrządzone przyrodzie przez BD. Naukowcy zauważyli, że szczyt aktywności śmiertelności grzyba przypadł na lata 80., półtora dekady przed tym, zanim w ogóle zauważono jego istnienie. Aktualnie u 12 proc. z 501 zaatakowanych gatunków zaobserwowano przyrost liczebności niektórych populacji – oznakę tego, że infekcja została powstrzymana, gatunki najwidoczniej wypracowały mechanizmy obronne. Jednak ogromna większość z nich ciągle jest zagrożona, a liczba ich osobników od wybuchu epidemii spadła nawet o 90 proc.

Te liczby sytuują BD w ścisłej czołówce gatunków prowadzących do najbardziej dramatycznego spadku bioróżnorodności, obok szczurów i kotów. Do człowieka mu jednak ciągle daleko.

©P ŁUKASZ KWIATEK



Rycie pod Krecikiem

WNUCZKA ZDENKA MILERA, twórca znanej czeskiej bajki o Kreciku, nie może udzielać licencji producentom zabawek i przedmiotów z tą postacią – orzekł prawomocnie sąd w Pradze. To koniec jednego z kilku etapów wojny o prawa do Krecika, trwającej od ośmiu lat.

Tuż przed śmiercią w listopadzie 2011 r. Zdeněk Miler przeniósł na Karolinę Milerovą wszystkie prawa autorskie. W ten sposób jego wnuczka miała uzyskać także prawo do udzielania lukratywnych licencji na wytwarzanie zaba-



MICHAŁ KAMARYT / AFP / EAST NEWS

wek przedstawiających Krecika oraz innych przedmiotów z jego wizerunkiem. Milerová powołała do życia spółkę świadczącą takie usługi, ale wtedy do gry wkroczyli pozostali spadkobiercy, na czele z jej matką. Umowę zaskarżyła także kurator spadku po Milerze, Milena Fischerová. W ubiegłym tygodniu sąd w Pradze podzielił argumentację kuratorki, że treść umowy z 2011 r. nie jest dostatecznie precyzyjna, a w chwili jej zawarcia wnuczka artysty nie znała liczby i zakresu 375 umów licencyjnych na Krecika, które były wówczas niejawne.

Czeskie media szacują, że twórca Krecika zarobił na prawach do wizerunku tej bajkowej postaci około 200 mln koron, czyli równowartość 33 mln zł. Wartość rynkowa marki, jaką jest Krecik, sięga obecnie 70 mln euro. © MR

KULTURA W SKRÓCIE

ARTETERAPIA. Już w greckich asklepejonach prócz krzepiącego snu zalecano pacjentom udział w widowiskach teatralnych. O ile dziś bez zdziwienia oglądamy na scenie weteranów wojennych, dla których teatr jest jednym z elementów wspomagających proces wychodzenia z traumy, to uznanie innych sztuk jako form rehabilitacji wciąż traktujemy podejrzliwie. Na muzeum jako miejsce stworzone do terapii pierwsi spojrzeli Brytyjczycy. Trend podchwyciła Kanada. Dziś w samym Montrealu 26 tys. osób rocznie korzysta z programu zajęć prowadzonych przez kilku pełnoetatowych muzycznych terapeutów.

AUTOTERAPIA. Tymczasem autoterapię zafundowali sobie artyści w Wielkiej Brytanii. W londyńskiej galerii Patrick Heide Contemporary Art oglądać możemy prace inspirowane brexitem. Myśl o tym, jak wyglądać będą nowe relacje z europejskimi sąsiadami, którzy pozostają we Wspólnocie, zainspirowała też muzyków z The Matthew Herbert Big Band. Zdania na temat jakości utworów na płycie „The State Between Us” są podzielone jak brytyjski parlament.

AUKCJA. Nieco lepsze recenzje zebrał papież Franciszek, który w minionym tygodniu próbował sił w malarstwie pod okiem malarza i projektanta Domingo Zapaty oraz artysty streetartowego znanego jako Mr. Brainwash. Pomalowane przez nich wspólnie płótno zostało sprzedane na aukcji charytatywnej za 500 tys. dolarów. Artystyczne zdolności Franciszka oceniono jako dostateczne, choć rokujące na przyszłość.

RDC PIOTR STANKIEWICZ
POLSKIE RADIO

opowie Grzegorzowi Chłascie o stacjach kosmicznych (zob. s. 70)
w środę 3 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



IMAGO / BLICKWINKEL / EAST NEWS

Kinopisarka zrosnięta z kamerą

W MAJU SKOŃCZYŁABY 91 LAT. Wydawało się, że reżyserka Agnès Varda będzie z nami zawsze. Dziarska starsza pani z grzywką zarażała swą energią kolejne pokolenia. Od czasów filmowej Nowej Fali, której była matką-założycielką, udzielała się na różnych polach, eksperymentując z kinem i fotografią.

Świetna portrecistka kobiet (jak w filmie „Bez dachu i praw” z 1985 r.), inspirowała inne kobiety, by mówiły w filmach niezależnym głosem. Tworząc własny podgatunek – osobisty esej dokumentalny – przemierzała francuską prowincję, rejestrując z czułością twarze i pejzaże. Stała się zbieraczką osobliwości, zaciekawioną tym, co dla innych banalne i przeźroczyste. W 2017 r. jako pierwsza reżyserka w historii otrzymała Oscara za całokształt twórczości. Nazywano ją kinopisarką, bo filmy zawsze przepuszczała przez siebie, niemal organicznie zrosnięta z kamerą. Ostatni z nich, „Varda według Agnès”, który premierę miał na tegorocznym Berlinale, okazał się pięknym domknięciem jej całego życia w kinie.

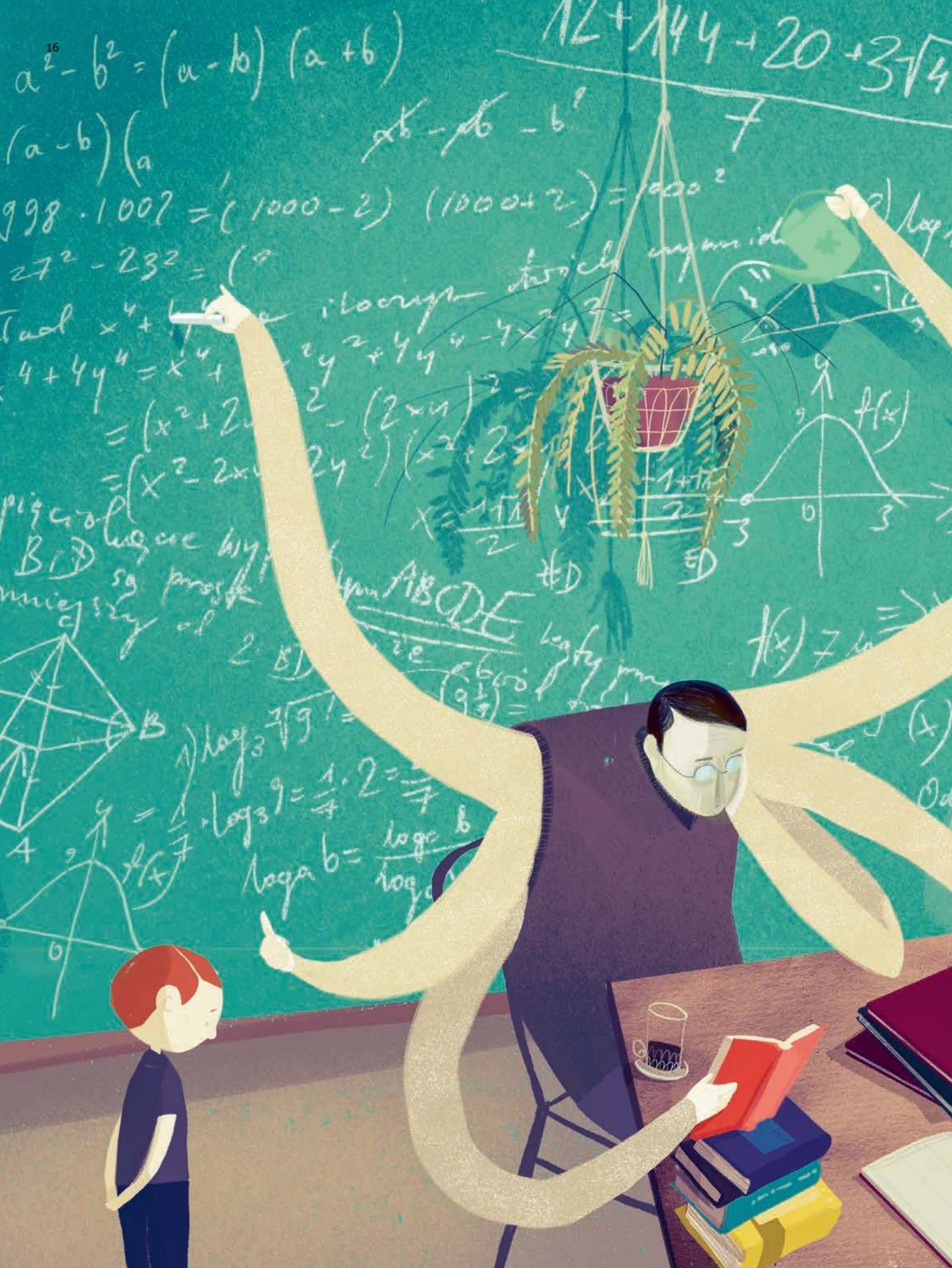
Autorka dokumentu „Twarze, plaże” zmarła w minionym tygodniu na raka. Pamiętając jej pierwszy ważny tytuł – „Cléo od 5 do 7” z 1962 r.; jego bohaterka oczekuje na wyniki badań onkologicznych – można dostrzec w tym złośliwość losu.

© ANITA PIOTROWSKA

Nowy dom „Dwutygodnika”

NIE BYŁO GO PRZEZ TRZY MIESIĄCE. Najważniejszemu internetowemu magazynowi poświęconemu kulturze (dwutygodnik.com) z początkiem roku odmówiono finansowania ze środków publicznych, mimo że przez 10 lat działalności zdobył zaufanie kilkudziesięciu tysięcy czytelników. Strona przestała być aktualizowana, ale na facebookowym profilu i tak toczyły się dyskusje na temat premier kinowych, nowych wystaw, książek. „Z tygodnia na tydzień bezruch stawał się coraz naturalniejszy – przyznaje Zofia Król, redaktor naczelna. – W dniu pierwszego niewydanego numeru spotkaliśmy się wspólnie posmucić. Dnia wydania drugiego już nawet nie zauważyliśmy”.

Redakcja nie poddała się jednak i nie rozpięchła, znalazła dla pisma nowy dom: wydawcą „Dwutygodnika” został stołeczny Dom Spotkań z Historią. „Będziemy wchodzić we współpracę także z innymi miastami” – mówi Zofia Król. Powstała fundacja, która ma wspierać pismo. Nowy numer ukaże się pod koniec kwietnia. © MONIKA OCHĘDOWSKA



TEMAT
TYGODNIKA

SZKOŁA PRZETRWANIA

DR HAB. MIKOŁAJ HERBST

EKSPERT DS. ZARZĄDZANIA OŚWIATĄ:

Państwo marnuje właśnie kolejną okazję, by określić, kim ma być nauczyciel przyszłości w przyszłej edukacji.

ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

CZYNNOŚCI TYGODNIOWO WYKONYWANE PRZEZ NAUCZYCIELA

(ŚREDNIA NA PODSTAWIE WYLICZEŃ Z „RAPORTU O STANIE EDUKACJI 2013”, W GODZINACH)

0,16

przygotowywanie dokumentacji związanej z awansem zawodowym

0,16

czynności wynikające z odrębnych umów

4,66

inne czynności

0,5

czynności związane z egzaminami zewnętrznymi (niewynikające z odrębnych umów)

0,33

wycieczki i wyjścia (poza godzinami lekcyjnymi)

0,57

kontakty z rodzicami

prowadzenie lekcji
15,3

2,16

prowadzenie innych zajęć z uczniami

przygotowywanie lekcji

7,07

przygotowywanie innych zajęć

3

tworzenie dokumentacji przebiegu nauczania i pracy szkoły

2,9

1,82

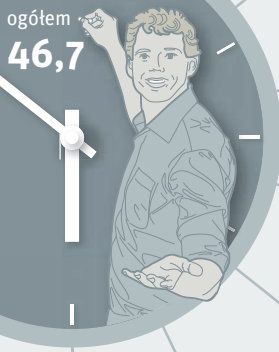
samokształcenie i doskonalenie zawodowe

0,75

kontakty z innymi nauczycielami

7,33

sprawdzanie prac



ŹRÓDŁO: IBE

LECH MAZURCZYK

szybko rozwijała się gospodarka, a wraz z nią rosły płace Polaków. W efekcie relacja nauczycielskich poborów do przeciętnej płacy w Polsce zmieniła się na niekorzyść tej grupy zawodowej. O ile jeszcze kilka lat temu średnia płaca nauczycieli przekraczała o kilkanaście procent średnią krajową, o tyle teraz te dwa wskaźniki się zrównały.

ZNP i niektórzy nauczyciele podają dane, wedle których nauczyciel zarabia znacznie mniej niż statystyczny Polak.

Wokół zarobków nauczycieli zrobił się informacyjny chaos. Sprzyja mu absurdalnie skomplikowany system wynagradzania tej grupy zawodowej. Sprawia on, że pensja zasadnicza wynosi przeciętnie około 60 proc. wszystkich nauczycielskich poborów. Wydaje mi się jednak, że uczniowie jest – wbrew wielu medialnym doniesieniom, również z ostatnich tygodni – podawać łączne zarobki nauczycieli, wraz ze wszystkimi dodatkami.

Tak liczone pobory dają wg MEN średnio, po niewielkich podwyżkach ze stycznia, 3045 zł nauczycielowi stażyście, 3380 zł kontraktowemu, 4385 zł mianowanemu, grupie najliczniejszej zaś, nauczycielom dyplomowanym, 5603 zł. Wszystko to – co ważne, a o czym zapomina często wspomnieć MEN – kwoty brutto. Dużo to czy mało?

Mało. Za mało. Siła nabywcza nauczycielskiej pensji w Polsce jest jedną z najniższych wśród krajów OECD. W moim przekonaniu już nauczyciel stażysta powinien otrzymywać pensję na poziomie krajowej średniej.

Ale co innego jest dla mnie najistotniejsze: nie wolno nam w tej dyskusji ograniczać się do zarobków. A już tym bardziej do pyskówki: Kto kłamie? Kto manipuluje? Kto dał sto złotych podwyżki, a kto nie dał? Dyskusji o nauczycielskich zarobkach nie da się prowadzić na poważnie w oderwaniu od zasadniczego pytania: kim ma być nauczyciel i czego od niego oczekujemy?

Jednym z wątków debaty o wynagrodzeniach nauczycieli jest natężenie pracy. Matematyczka z krakowskiego liceum opowiadała mi kilka dni temu zasłyszaną na Plantach rozmowę. „Nauczyciel ma fajnie, bo nie dość, że

⇒ **PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Nauczyciele „biorą nasze dzieci na zakładników”?**

MIKOŁAJ HERBST: Nauczyciele szykują się do strajku, do którego mają takie samo prawo, jak każda inna grupa zawodowa.

Wolno im tyle samo, co innym?

A nawet więcej niż choćby lekarzom: strajk nauczycieli nie wiąże się z zagrożeniem życia ani zdrowia ludzi. Ale odpowiem na pana wątpliwość pytaniem: czy słyszał pan o skutecznym strajku nauczycieli, który byłby „pokojowy” i odbywał się w wakacje?

Nie.

No właśnie. Nie sądzę też, by wypowiedzi pani minister Anny Zalewskiej o tym, że dzieci padną ofiarą strajku, były choć odrobinę bardziej etyczne od samej decyzji

o strajku i jego formie. Taki zarzut to też nic innego jak szantaż moralny.

Strajk jest po prostu z definicji najbardziej radykalną formą protestu, w której obie strony biorą – trzymając się tej metaforyki – zakładników. I jako taki musi być uciążliwy dla wszystkich, nie tylko dla rodziców, do których i ja należę, mając dwoje dzieci w wieku szkolnym. Także dla samych nauczycieli, bo oznacza obniżenie poborów, a nawet ryzyko utraty pracy. Skoro nauczyciele zdecydowali się ponieść to ryzyko, to znaczy, że sytuacja do tego dojrzała.

Nauczyciele zarabiają nędznie od lat.

Ich sytuacja uległa jednak w ostatnim czasie relatywnemu pogorszeniu. Dostali dość znaczące podwyżki w pierwszej dekadzie obecnego stulecia, a potem były one już minimalne, o ile w ogóle były. Równocześnie przez te wszystkie lata dość

pracuje 18 godzin, to jeszcze każda ma 45 minut” – usłyszała za plecami. Sama opowiada, że zdarza jej się odkryć wieczorem w torbie niezjedzoną kanapkę, że pracuje do 22.00 nad sprawdzianami, i że ma zajęte weekendy. Jaka jest prawda o pracy nauczycieli?

W 2013 r. Instytut Badań Edukacyjnych ogłosił raport z badań, według których łączny przeciętny czas pracy polskiego nauczyciela spędzającego tygodniowo przy tablicy między 18 a 27 godzin wynosi 46 godzin i 40 minut. Składa się na to – poza prowadzeniem lekcji i zajęć dodatkowych, ich przygotowaniem, a także sprawdzeniem prac – szereg czynności, takich jak tworzenie i wypełnianie dokumentów, kontakty z nauczycielami i rodzicami, wycieczki, prowadzenie egzaminów i wiele innych.

A cykl roczny? „Nauczyciel ma trochę więcej czasu wolnego” – powiedział premier Morawiecki, popełniając grubą polityczną nieostrożność, ale nie mijając się chyba z prawdą. Pytanie tylko, czy większa ilość urlopu jest nieuzasadnionym przywilejem, czy wypadkową specyfiki pracy: stresu, hałasu, podatności na wypalenie?

Zacząłbym od pytania, czy istnieje dobry pomysł, jak nauczycieli podczas wakacji wykorzystać. Mnie zwiększona ilość wolnego dla tej grupy zawodowej nie razi, na pytanie zaś, czy to dużo, czy nie, można odpowiadać z różnych punktów widzenia. Na przykład z perspektywy rodzica, którego kilkuminutowa wizyta w szkole skłania często do refleksji, że nie mógłby w niej pracować, bo „po tygodniu by zwariował”. Albo z perspektywy psychologa pracy, którym nie jestem. Gdybym odpowiadał na to pytanie jako badacz systemów edukacyjnych, ograniczyłbym się do ogólnego stwierdzenia: zawód nauczyciela jest szczególnie, bo ma szczególne znaczenie dla rozwoju kraju.

Wróćmy do zarobków, bo może najważniejszy jest nie tyle fakt, że polscy nauczyciele zarabiają za mało, ile niesprawiedliwy podział środków. Z przywołanego przez Pana raportu IBE wynika np., że różnica między tygodniowym czasem pracy polonisty a wuefisty wynosi do kilkunastu



My od szkoły niewiele oczekujemy.

Dziecko „ma być zaopiekowane”, szkoła „nie ma się zbyt wtrącać w wychowanie”, a w ogóle to „niech będzie święty spokój”. Strajk nauczycieli jawi nam się jako uciążliwość.

godzin. System wynagradzania tej różnicy „nie widzi”.

To poważny problem, choć warto sobie też zdać sprawę z tego, że kwestia ma również wymiar etyczny. Czy powinniśmy różnicować zarobki ze względu na uczany przedmiot? Rozbieżności między nauczycielami różnych przedmiotów to zresztą nie jedyna zmienna, której system wynagradzania „nie widzi”. Być może powinniśmy też brać pod uwagę tzw. utracione możliwości nauczycieli różnych dyscyplin?

Z przeprowadzonych przeze mnie na Uniwersytecie Warszawskim badań wynika, że ok. 40 proc. studentów filologii obcych robi uprawnienia nauczycielskie, podczas gdy w przypadku studentów matematyki dobrze jest, jeśli o takie uprawnienia stara się jedna osoba na roku! Szkoła jest dla nich po prostu miejscem nieatrakcyjnym, biorąc pod uwagę rynkowe możliwości dla matematyków. Nie chcę rozstrzygać, czy powinno się różnicować nauczycielskie pensje na podstawie tego kryterium.

Ale być może warto zdać sobie sprawę, że dyskusja na temat zarobków powinna dotyczyć nie tylko tego, co sprawiedliwe, →

Nauczyciele w liczbach

W ROKU SZKOLNYM

2017/2018 we wszystkich typach szkół i przedszkoli pracowało – w przeliczeniu na etaty nauczycielskie – niecałe 510 tys. osób. Niemal 87 proc. wszystkich nauczycielskich etatów należy do sektora publicznego, w którym zdecydowaną większość organów prowadzących stanowią gminy. To oznacza, że ponad 400 tys. osób pracuje zgodnie z uchwaloną w 1982 r. Kartą Nauczyciela, ustawą określającą szczegółowo warunki pracy, prawa i obowiązki, a także zasady awansu zawodowego i wynagrodzeń nauczycieli. Pozostali – a więc

zatrudnieni w sektorze prywatnym – pracują wedle powszechnie obowiązującego prawa pracy bądź kodeksu cywilnego.

Zdecydowana większość polskich nauczycieli zatrudniona jest w pełnym wymiarze. W przedszkolach odsetek ten przekracza 90 proc., kadry, w podstawówkach wynosi 86 proc., a w liceach 83 proc., a w szkołach ponadgimnazjalnych niecałe 80 proc. Najwięcej nauczycieli pracujących w niepełnym wymiarze zatrudniały w poprzednim roku szkoły policealne.

Struktura polskiej kadry nauczycielskiej według stopni awansu zawodowego stanowi tzw.

odwrotną piramidę – im wyższy stopień, tym większa liczba pedagogów. Większość nauczycielskiej kadry (55 proc.) to nauczyciele dyplomowani, nieco ponad 20 proc. to mianowani, 15,5 proc. kontraktowi, a niecałe 5 proc. – stażysty. Nauczyciele bez stopnia awansu stanowili w roku szkolnym 2017/2018 jedynie 3 proc. kadry. Największy udział nauczycieli dyplomowanych – około dwie trzecie – odnotowano w liceach ogólnokształcących oraz gimnazjach.

Źródło: GUS, raport „Oświata i wychowanie w roku szkolnym 2017/2018”

→ ale też tego, co efektywne dla systemu edukacji.

Nieefektywna jest z pewnością zasada „czy się stoi, czy się leży”. W Polsce nauczyciele świetni i ci przeciętni zarabiają podobnie.

Dzieje się tak, bo system płaci tylko teoretycznie kształtując dyrektorzy szkół.

Prawo określa tylko stawki minimalne. Co stoi na przeszkodzie, by dyrektor X dał pięciorgu swoim wybitnym nauczycielom nie tysiąc, ale dwa tysiące więcej?

Formalnie rzecz biorąc – nic. W praktyce – wiele. Po pierwsze, nie wszystkie gminy byliby na to stać. Ale nawet zakładając, że mówimy o gminie bogatej, system nauczycielskich płac jest tak absurdalnie skomplikowany, że każdy boi się go dotknąć. Najważniejsze dodatki – wiejski, za wysługę lat, trzynastka – są proporcjonalne do wynagrodzenia zasadniczego, więc wzrost tego ostatniego wywołuje mnożnikowy wzrost wydatków. Godziny ponadwymiarowe są tylko teoretycznie ponadwymiarowe, bo wynagrodzenie za nie wchodzi, zgodnie z Kartą Nauczyciela, w skład całkowitego wynagrodzenia nauczyciela, i dopiero ta całkowita pensja jest przez ustawę regulowana. Autonomia szkół i samorządów w dziedzinie polityki płacowej jest tylko teoretyczna. Choć formalnie zostawia się dyrektorom i samorządom ostateczną decyzję, system zniechęca do aktywnych działań. Łatwo rozłożyć ręce i powiedzieć: „Nie da się, bo nie pozwala Karta Nauczyciela albo budżet gminy”.

Nauczycielski system płac jest jak zmurszała budowla, do której – zamiast ją zburzyć i stworzyć nową – dokłada się kolejne niefunkcjonalne przybudówki?

Albo łaty na ścianach, bo nieustannie coś przecieka. Wynika to z tego, że Karta Nauczyciela, która dziś określa warunki

Dyskusji o nauczycielskich zarobkach nie da się prowadzić na poważnie w oderwaniu od pytania:

kim ma być nauczyciel
i czego od niego oczekujemy?

jego pracy, powstała na początku lat 80. A więc w czasie, gdy cały system był scentralizowany. Gdy edukację zdecentralizowano, samorządy i dyrektorzy szkół otrzymali – przynajmniej w teorii – możliwość kształtowania polityki edukacyjnej. Tylko że zmodyfikowana na tę okoliczność Karta Nauczyciela nie pasuje do nowej rzeczywistości: z jednej strony próbuje, i słusznie, stać na straży standardów w oświacie, z drugiej sankcjonować prawo do stanowienia polityki na szczeblu lokalnym. Kiedy stopień komplikacji regulacji powoduje, że standardy nie są przestrzegane, zamiast przemyśleć kształt regulacji, przyklejamy łaty. Tak powstała słynna tzw. czternastka, czyli dodatek mający wyrównać „straty” nauczycielom otrzymującym zbyt niskie wynagrodzenia. W ten sposób tworzy się w Polsce prawo.

Dałoby się inaczej?

Oczywiście, i to w bardzo prosty sposób. Jeśli zakładamy – a jest to moim zdaniem założenie słuszne – że państwo powinno regulować zarobki nauczycieli, to państwo powinno też w prosty sposób określić minimalny, łączny zarobek nauczyciela z każdym stopniem zawodowego awansu. Równocześnie powinno się zlikwidować większość dodatków. Sam jako pracownik naukowy dostaję – nie wiem po co – tzw. trzynastkę, choć wolałbym otrzymywać odpowiednio zwiększoną pensję dwanaście razy w roku. Z kolei na-

uczyciele pracujący na prowincji dostają tzw. dodatek wiejski, choć zarabiają tyle samo, co ci uczący w mieście, mając jednocześnie niższe koszty życia. To tylko przykłady absurdów – jest ich znacznie więcej.

Zostawiłbym dodatek za wysługę lat, a przede wszystkim ten motywacyjny, który jednak musiałby faktycznie zacząć pełnić motywacyjną funkcję. Czyli mieć związek z jakością pracy.

O tej jakości przy okazji kolejnych reform czy przesileń nikt nie chce mówić głośno.

A bez debaty na jej temat, a także na temat poziomu kształcenia nauczycieli nie ma sensu rozmowa na temat zarobków. Mówię to od lat, postulując m.in. wprowadzenie centralnego egzaminu nauczycielskiego.

Czemu miałby służyć?

Jeśli chcemy płacić więcej nauczycielom, a równocześnie pragniemy, by do zawodu trafiali najlepsi, to musimy mieć kontrolę nad tym, kim są ludzie rozpoczynający pracę w oświacie. Dzisiaj tej kontroli nie mamy.

Egzamin mógłby się odbywać po skończeniu studiów, i byłby egzaminem certyfikującym. Państwowym, nie korporacyjnym.

Co by sprawdzał?

Po pierwsze umiejętności kierunkowe, związane z ukończonymi przez absolwenta studiami. Po drugie: kompetencje pedagogiczne, być może także w wymiarze praktycznym. Przecież my w tej chwili nawet nie wiemy, jak kandydaci do zawodu są kształceni. Wiemy, że w wielu miejscach przygotowanie pedagogiczne jest fikcyjne. Wiemy też, że nauczyciele różnych specjalności przechodzą pod tym względem diametralnie różną drogę. Na przykład ci od nauczania wczesnoszkolnego to absolwenci pełnowymiarowych studiów pedagogicznych, a ci „przedmiotowi” takiego przygotowania często nie otrzymują. Nie potrafimy ocenić, jakie są konsekwencje tego, że ktoś kształci się na matematyka, fizyka, biologa, lingwistę, a dopiero na którymś etapie studiów albo po ich zakończeniu decyduje, że chciałby pracować w szkole, i w tym celu odbywa roczny kurs pedagogiczny. A co z nauczycielami, którzy uczą przedmiotów tylko na podstawie ukończonych studiów podyplomowych w da-



PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AG

MIKOŁAJ HERBST jest doktorem habilitowanym nauk ekonomicznych, adiunktem w Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych UW. Ekonomista edukacji, badacz systemów edukacyjnych i regionalista – autor kilkudziesięciu publikacji naukowych. Prowadzi także popularnonaukowy blog „Polityka oparta na wiedzy”.

nym kierunku? Naprawdę wierzymy, że mają wystarczające kwalifikacje?

Swego czasu dużo mówiło się o stworzeniu listy uczelni uprawnionych do kształcenia nauczycieli.

I słusznie, bo nad tym też nie mamy żadnej kontroli. Jest też inny problem: kształcenie nauczycieli jest w gestii ministra szkolnictwa wyższego, dla którego to jest tylko jeden z wielu problemów, natomiast żadnego wpływu na to kształcenie nie ma Ministerstwo Edukacji Narodowej.

Ktoś, kto na dźwięk słowa „centralizacja” dostaje drgawek, powiedziała by Panu, że weryfikacja przydatności do zawodu nauczyciela już się w Polsce odbywa: na poziomie dyrekcji szkoły. Może ona sobie zatrudnić, kogo chce.

Doskonale, tylko pytanie, czy jesteśmy z efektów tej weryfikacji zadowoleni? Prawda jest taka, że dzisiaj niewiele wiemy o selekcji do zawodu nauczyciela.

Nieco więcej wiemy o efektach tej selekcji. W latach 2011-16 w ramach programu OECD PIAAC przebadano kompetencje osób dorosłych w ponad 40 krajach. Mierzono m.in. poziom rozumowania matematycznego i rozumienia tekstu. Pomiar, w ramach którego w Polsce przebadano 9,4 tys. osób, pozwolił m.in. ocenić kompetencje osób wykonujących różne zawody, w tym nauczycielski. Wyniki okazały się dla polskich nauczycieli bardzo niekorzystne: ich rozumowanie matematyczne należy do najniższych wśród badanych krajów, niewiele lepiej jest z rozumieniem tekstu.

Pan chce powiedzieć coś, czego żaden polityk ani szef związku głośno nie powie, bo zostałby zjedzony. Otóż mamy w Polsce wielu kiepskich nauczycieli.

Mamy bardzo wielu wybitnych i wielu nienadających się do zawodu. Ale jeśli pyta mnie pan o – nieistniejącego w realnym świecie – „statystycznego polskiego nauczyciela”, to moja odpowiedź musi być twierdząca. Badania, którymi dysponujemy, pozwalają na taki wniosek: „statystyczny polski nauczyciel” jest relatywnie słaby.

W dodatku niezależnie od poziomu kompetencji jest pod ostrzałem z niemal każdej strony. Np. rodziców, którzy atakują go roszczeniami

i sprzecznymi wymaganiami. Nauczyciele nie mają też powodów, by czuć wsparcie społeczeństwa. 61 proc. Polaków jest przeciwne strajkowi podczas egzaminów.

Ze stosunkiem społeczeństwa do edukacji i nauczycieli jest inny, znacznie poważniejszy problem: my od szkoły niewiele oczekujemy. Dziecko „ma być zapiekowane”, szkoła „nie ma się zbyt wtrącać w wychowanie”, a w ogóle to „niech będzie święty spokój”. Deklarujemy co prawda od lat w sondażach zaufanie do szkolnictwa, ale jest to ten rodzaj zaufania, który niewiele nas kosztuje. Tymczasem strajk nauczycieli jawi nam się przede wszystkim jako uciążliwość.

Podobnie tłumaczy Pan – co prawda z czasem spadające, ale nadal utrzymujące się na wysokim poziomie – poparcie dla likwidacji gimnazjów?

W dużej mierze tak: spora część społeczeństwa nie tylko przyjęła bezkrytycznie obalony w badaniach mit o szczególnej agresji wśród gimnazjalistów, ale też z ulgą zaakceptowała powrót do ośmioklasowych podstawówek. Z gimnazjami

był kłopot: trzeba było dokonać dodatkowego wyboru, a potem na co dzień wozić dziecko do placówki bardziej oddalonej od domu.

A nastawienie nauczycieli? Zbliżający się strajk jest też protestem przeciw reformie?

Nie sądzę: nauczyciele mieli już okazję taki protest przeprowadzić. Były nawet w tej mierze czynione próby, także wtedy, gdy tę reformę dało się jeszcze powstrzymać. I skala odzewu oraz determinacji okazała się słaba. Nie mówię tego po to, by nauczycieli o cokolwiek oskarżać, ale by opisać rzeczywistość.

Choć nie wykluczam, że w obecnym wybuchu nauczycielskiego niezadowolenia jest pierwiastek frustracji z powodu reformy oraz jej skutków.

Frustracji uzasadnionej?

Nie mam co do tego wątpliwości. Obie zasadnicze zmiany dokonane przez obecną władzę, czyli wycofanie się z posyłania sześciolatków do szkół i likwidacja gimnazjów, były aktem triumfu czystej polityki nad edukacją, jako przedmiotem świadomego planowania.

→

Szkoła w cieniu strajku

„CZY WOBEC NIESPEŁNIENIA ŻĄDANIA (...) dotyczącego podwyższenia wynagrodzeń zasadniczych nauczycieli, wychowawców, innych pracowników pedagogicznych i pracowników niebędących nauczycielami o 1000 złotych z wyrównaniem od 1 stycznia 2019 roku, jesteś za przeprowadzeniem w szkole strajku począwszy od 8 kwietnia 2019 roku?” – na to pytanie odpowiadali nauczyciele w referendum zorganizowanym przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Wedle wstępnych wyników udział w strajku zadeklarowało niemal 79 proc.

szkół (najwięcej, bo aż 91 proc. w województwie kujawsko-pomorskim). Niezależnie od żądań ZNP własne postulaty wysuwa oświatowa Solidarność, domagająca się wzrostu płac wszystkich pracowników oświaty objętych Kartą Nauczyciela o 15 proc. z wyrównaniem od 1 stycznia tego roku. Od 11 marca trwa zorganizowana przez nauczycielską „S” okupacja budynku małopolskiego kuratorium, a od zeszłego tygodnia – głódówka. Jeśli w rozmowach rząd-ZNP nie nastąpi przełom, strajk w oświacie rozpocznie się 8 kwietnia w poniedziałek i potrwa

do odwołania. Formalnie rzecz biorąc, szkoły w czasie trwania strajku będą otwarte i będą musiały zorganizować opiekę dla dzieci. W praktyce jednak wiadomo, że wiele placówek nie jest na to przygotowanych. Nie wiadomo też, czy akcja nie zakłóci zbliżających się egzaminów. Ten gimnazjalny odbędzie się 10-12 kwietnia, ósmoklasisty od 15 do 17 kwietnia, matura przypada zaś w tym roku 6-8 maja. W sumie do wszystkich tych egzaminów przystąpi w tym roku ponad milion uczniów, z czego 300 tys. stanowią maturzyści.

→ Tym zmianom nie towarzyszyła żadna pogłębiona refleksja na temat systemu oświaty. A cała późniejsza narracja, polegająca na próbie wciągnięcia w reformę badaczy, była tylko usiłowaniami ratowania wizerunku. Tymczasem teza, że likwidacja gimnazjów była zmianą korzystną, jest naukowo nie do obronienia. I moim zdaniem przynajmniej w części środowiska, która związana jest z obecnym rządem, a zajmuje się edukacją, świadomość, że robimy coś szkodliwego, że marnujemy wieloletni wysiłek wielu ludzi, istniała od początku.

Reforma programowa?

Moim zdaniem jej istotą jest to, że szkoła lekko wycofuje się z dyskretnego stymulowania rozwoju na rzecz budowania wspólnej tożsamości. Co dla mnie, człowieka niepoczuwającego się do tożsamości w taki sposób, w jaki definiuje ją obecny obóz władzy, oznacza sprzeciw i konieczność częstych rozmów z dziećmi. A mówiąc wprost: niemal ciągłego podważania autorytetu szkoły.

Kolejna rzecz, która mi bardzo przeszkadza: ta reforma w znaczny sposób ogranicza autonomię szkoły. Chodzi mi o zmiany w ramowym programie nauczania, o sposób przeprowadzania ewaluacji zewnętrznej czy też o wzmocnienie władzy kuratorów. Przez lata próbowano wprowadzić zasadę, zgodną z paradyg-

matem zarządzania publicznego, że jeden organ nie powinien pełnić równocześnie funkcji doradczej i kontrolnej. Umocowanie kuratorów po reformie pokazuje, że może.

Ale nie chodzi tylko o stronę formalną tej reformy. Także o poczucie nauczycieli, że są ostatnimi czasami ściślej kontrolowani.

I że nie mają na nic czasu. Nauczyciele, niezależnie od poglądów, mówią dziś w zasadzie jedno: podstawy programowe są tak przetłuwane, że na nic im kreatywność i wolność. Trzeba galopować z programem.

I tu dochodzimy do tematu, na który przy okazji dyskusji o strajku – a szerzej: o kondycji zawodu nauczyciela w ogóle – nie ma dziś czasu ani miejsca. A jest to temat znacznie ważniejszy od nauczycielskich płac.

Co to za temat?

Zbliża się rewolucja. Władze oświatowe nic chyba o niej nie wiedzą, skoro odpowiedź na krytykę szkoły jest doładowanie podstaw programowych, bo widocznie „szkoła uczy za mało”.

Co to za rewolucja?

Ona polega na tym, że szkoła uczy coraz mniej. W tym sensie, że nie może już istnieć w starej, wykładowo-lekcyjnej formule, do której się przyzwyczailiśmy, bo

istnieją lepsze i łatwiej dostępne źródła wiedzy. Ta rewolucja oznacza, że nawet nasze sukcesy z ostatnich kilkunastu lat, jak wysokie miejsca w badaniu umiejętności piętnastolatków PISA, są jak osiągnięcia sportowe w konkurencji, która zaraz przestanie być dyscypliną olimpijską.

Podstawowe pytanie brzmi więc dziś: jak w ramach tej rewolucji przekształcić szkołę zorganizowaną na podobieństwo koszar wojskowych w instytucję, która ma tylko – albo aż – inspirować uczenie, dawać nawyk krytycznego myślenia, by pozostał on z młodym człowiekiem do końca życia?

Oczekiwanie, że strajk stanie się okazją do szerokiej debaty na temat edukacji i kondycji zawodu nauczyciela, to nie przejaw naiwności?

Rzeczywiście ta szansa, by o zarobkach nauczycieli rozmawiać w szerszym kontekście, jest jak dotąd marnowana. To, że na kwestiach płacowych koncentrują się nauczycielscy związkowcy, jest zrozumiałe. Szkoda natomiast, że państwo nie wykorzystuje okazji, żeby określić, kim ma być nauczyciel przyszłości w przyszłej szkole. Wymagałoby to jednak spojrzenia poza horyzont najbliższych wyborów. A to jest dla polityków trudne i – mam wrażenie – zdarza się coraz rzadziej.

©® Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMiani.pl

TYGODNIK Powszechny ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okeński, Marek Rabiś, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Łamza
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Janowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okeński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okeński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Manciewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adarot, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



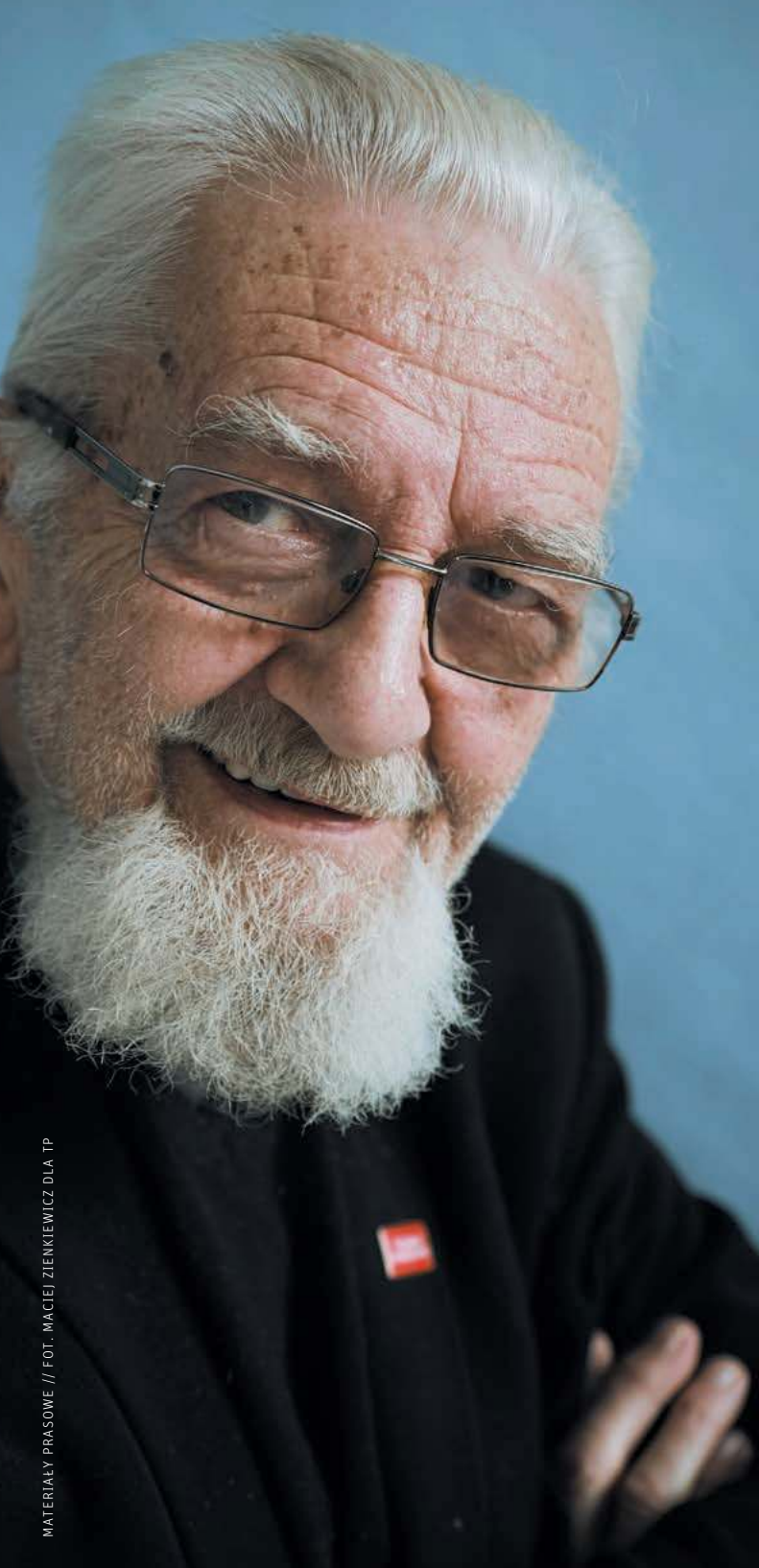
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



MATERIAŁY PRASOWE // FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TP

Dziękuję, Przyjaciele!

Bo to dzięki Wam „Tygodnik Powszechny”
jest niezależny. Bo to dzięki Wam na pytanie
„kto was finansuje?” z dumą odpowiadamy:

WY – nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.

Bo każda złotówka z Waszych wpłat
przyczynia się do rozwoju „Tygodnika”.

To dzięki Wam nasze pismo z roku
na rok zwiększa swój zasięg.
Jesteśmy SUWERENNI DZIĘKI WAM!

Z wdzięcznością,

Ks. Adam Boniecki
Przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego,
Redaktor Senior



Przeznacz 1% podatku na działalność Fundacji
Tygodnika Powszechnego – która dba o dziedzictwo
i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym
nr KRS 0000125605

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent
Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz
Fundacji: Santander Bank Polska S.A. numer konta
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN):
powszech.net/dar

TO TAKŻE DZIĘKI WAM:



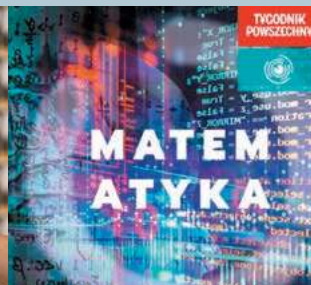
Conrad Festival



magazyn literacki
„Książki w Tygodniku”



Lekcje Czytania



cykl Wielkie Pytania
na Nowo



Copernicus Festival

PAWEŁ

Śpiewak: *Maharal i tolerancja*



POZNAŃSKI I PRASKI RABIN ZWANY MAHARAL (Jehuda ben Becalel), ten, który zasłynął w żydowskich legendach stworzeniem Golema, istoty bez duszy i woli, uczył, czym jest tolerancja, w sposób, który niczym nie różni się od współczesnych liberalnych zapatrywań. Obecnie

mówi się, że wolność poszukiwania prawdy czyni, że ta – stykając się z innymi prawdami czy nawet błędnymi zapatrywaniami – musi poszukiwać lepszych uzasadnień i jaśniejszej formuły istnienia. W starciu prawda, jeśli ma tylko dobrych obrońców, staje się mocniejsza, jest intensywniej odczuwana. Czasem taki pogląd mamy za naiwny. Wiemy, co potrafią demagodzy. Wszelako Maharal i John Stuart Mill – XIX-wieczny klasyk liberalizmu – mówili niemal to samo. W 1598 r. rabin pisał zwalczając wszelką cenzurę: „Miłość wiedzy i poszukiwanie prawdy sprawiają, że nie należy dystansować się od poglądu, z którym się nie zgadzamy i który jest nam obcy, nawet jeśli stoi w sprzeczności z wiarą i religią. Nie zamykamy nikomu ust, bo nie ostanie się miejsce, w którym objaśniona zostanie prawda religii. Powiedz wszystkim, żeby wypowiadali się w sposób swobodny, ponieważ brak odmiennych, opozycyjnych głosów prowadzi do osłabienia wiary. Wymaga tego rozum... Każdy, kto chce dowieść swojej odwagi, chce też godnego siebie oponenta, a zwycięstwo w dyskusji pokaże, jak silna jest ta odwaga”.

W judaizmie można znaleźć jeszcze inny argument za tolerancją. Wynika on z wiary w wolną wolę kierowaną rozumem. Ta jest ważniejsza niż prawda. Ważniejsze jest szukanie prawdy niż pewność, że się ją posiada i siedzi na niej jak na tronie. Tenże Maharal pisał: „Nawet jeśli sędziowie boją się, że oddalą od prawdy, a ich wyrok będzie niezgodny z prawdą, to mędrzec nie ma nic poza własnym rozumem, który pozwala im pojąć Talmud. Nawet jeśli rozum i mądrość poprowadzą ich w błędną stronę, Bóg ich kocha, gdy osąd opiera się na rozumie. Sędzia ma tylko swoje oczy. Opieranie decyzji na własnej rozumności jest lepsze niż opieranie się na gotowych przepisach, a sędzia, który opiera się na gotowych pewnikach, sam w istocie nie rozumie i zachowuje się niczym ślepiec”.

Znowu może to brzmieć naiwnie, ale trudno o piękniejszy hołd złożony ludzkiemu rozumowi. Umysł ludzki jest tu wyniesiony wysoko. Jest však najpiękniejszym dziełem Boga. Autonomia rozumu jest wysoce ceniona. W tym kontekście mistycy żydowscy przypominają nam znaną zasadę *cimcun*, co oznacza, że Bóg, który był wszystkim przed stworzeniem świata, cofnął się, skurczył, by stworzyć miejsce na naszą rzeczywistość. W kabalistycznym języku Bóg cofnął się, by stworzyć miejsce dla wolnej woli. „Tak też dzieci i społeczeństwa powinni stworzyć miejsce dla wolnej woli z nadzieją, że edukacja oraz rozum poprowadzą do prawdy, pozwolą im wybierać dobro nad złem i w ten sposób umocnić wspólnotowy wymiar istnienia jednostki”. Jakże wzniosłe i szlachetne są słowa wielkiego rabina. Chce się w nie wierzyć, choć wiemy aż za dobrze, że wolna wola może też prowadzić do zła radykalnego. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Śmiertelna niedziela*



PIĄTĄ NIEDZIELĘ WIELKIEGO POSTU, CZYLI Męki Pańskiej, do niedawna zwano Niedzielą Czarną albo Śmiertelną. W wielu kościołach zasłania się krzyże, dawniej również obrazy, a jeszcze dawniej, zwłaszcza podczas rekolekcyjnych nauk o końcu

świata – okna. Pewnie chciano w ten sposób nakłonić zmysły do postu. Przez pozbawienie bodźców chciano się ustrzec zagubienia w szczegółach i zwrócić uwagę na istotę Postu. Za tą intuicją warto by pójść też dziś i przyrzeć się temu, co uważamy za istotne i co chcemy chronić przed zmianą.

W Ameryce Południowej szykuje się synod panamazoński, z którym wiąże się wiele nadziei na poprawę funkcjonowania tamtejszego Kościoła. Na przykład prof. Francisco Taborda SJ ujawnił, iż ma nadzieję na zmianę technologii wypieku chleba mszalnego. „W Amazonii chleb jest wytwarzany z manioku” – zauważa jezuita. Polemizuje z nim inny profesor teologii, ks. Marek Morozowich: „Kościół zawsze używał pszennego chleba, kwaszonego lub praśnego. Kościół zawsze używał wina, czy to zmieszanego z zimną lub gorącą wodą, mieszanego raz lub dwa razy”. Czy jednak uzasadnienie, że „Kościół zawsze”, jest trafne?

W Dziejach Apostolskich czytamy, „że nie należy czynić trudności poganom zwracającym się do Boga, ale trzeba im napisać, aby się powstrzymali od spożywania pokarmów złożonych na ofiarę bożkom, od nierządu, od jedzenia mięsa z uduchowanych zwierząt i od krwi”. Mamy tutaj zalecenie o wysokim stopniu obowiązywalności. A jednak nie wystrzegamy się jedzenia kaszanki czy czerniny. Warto przypomnieć jeszcze inny tekst z Biblii, do którego podchodzi się wybiórczo. W Ewangelii św. Marka Jezus mówi, że „tym, którzy uwierzą, takie znaki będą towarzyszyć: W moje imię będą wyrzucać demony, będą mówić nowymi językami, węże będą brać do rąk, i choćby wypili coś zatrutego, nie zaszkodzi im. Będą na chorych kłaść ręce, a ci zostaną uzdrowieni”. O ile wielu próbuje uzdrawiać chorych i wyrzucać demony, o tyle chętnych do pobożnego eksperymentowania z węzami wielu nie ma. Choć ewangelikalni chrześcijanie z południa USA, zwani węzownikami (*snake handlers*), próbują – z fatalnym skutkiem.

Z tych dwóch przykładów, a wiele podobnych w Biblii i Tradycji można znaleźć, wyrasta pytanie: na podstawie czego jedne teksty odczytujemy dosłownie, a inne poddajemy daleko idącej reinterpretacji. Podobnie z orzeczeniami papieża i kurii rzymskiej. Wygląda na to, że dla myślenia o Kościele musi istnieć jakiś inny punkt odniesienia, nie tylko prawo i zwyczaj, a nawet Biblia i Tradycja. Może warto w Czarną Niedzielę pomyśleć o Duchu Pocięzycielu, który został nam dany i który nie przestał uczyć Kościoła wyczytywania ze współczesności woli Bożej. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Pierwsze przykazanie

Mateusz rzekł:
„Panie, chcę zobaczyć
miejsce życia, w którym
nie ma zła, lecz czysta
światłość” (...). Pan odparł:
„Każdy, kto poznał siebie,
zobaczył to
w każdej rzeczy”.

DIALOG ZBAWCY



Światłość i życie to
właśnie Bóg i Ojciec.
Z niego zrodził się
Człowiek. Jeśli więc
poznasz, że składasz się
z życia i światłości
i z nich pochodzisz,
powrócisz do życia.

POIMANDRES



Wybrał PIOTR SIKORA



Które jest pierwsze ze wszystkich przykazań? – pyta Jezusa uczony w Piśmie. A Jezus odpowiada: „Pierwsze jest: Słuchaj Izraelu, Pan Bóg nasz jest jedynym Panem. Będziesz miłował Pana Boga swego...”. Tak brzmi ów dialog w zapisie św. Marka (zob. Mk 12, 28-34). W zapisie Mateuszowym (zob. Mt 22, 36) faryzeusz i uczony w Prawie pyta nie o „pierwsze” (grec. *prōtē*; łac. *primum*), lecz o „największe” (dosł. wielkie – grec. *megale*; łac. *magnum*).

Niby to samo, ale chyba nie do końca. Nie zawsze to, co najważniejsze, mówimy jako pierwsze. Niejednokrotnie dokładnie przeciwnie – to, co najważniejsze, chcemy powiedzieć na samym końcu. To, co najważniejsze, stanowi punkt dojścia, niekoniecznie punkt wyjścia.

To „pierwsze” Żydzi traktują bardzo serio i dosłownie: „Szema” jest pierwszą modlitwą odmawianą rano (w sumie recytują ją w ciągu dnia czterokrotnie); jest też pierwszym religijnym tekstem wypowiadany przez żydowskiego chłopca w dniu uzyskania pełnoletniości.

„Pierwsze” jest na początku; jest otwierające; jest jak brama – jak wybór drogi. W tej mierze jest konieczne. Bez tego nic się nie uda. Bez tego każdy kolejny krok będzie pomyłką i będzie raczej oddalał, niż przybliżał do celu.

„Pierwsze” przed wszystkimi całopaleniami i ofiarami (Mk 12, 33) jest „słuchać” i „kochać” Boga. Nie słuchając Boga możemy się porywać – i niestety nierzadko porywamy się – na wielkie czyny i ofiary, by po latach odkryć (a czasami niestety nie), że zamiast urzeczywistniać Królestwo Boże na ziemi, staliśmy się zawadą w Jego rozwoju, tym większą, im bardziej żeśmy się napinali.

Wielkie całopalenia i ofiary mogą nierzadko służyć promocji samego siebie, i w tym sensie być tak naprawdę aktem bałwochwalstwa, a nie prawdziwej pobożności i kultu. Mogą być też rodzajem pobożnego handlu, rodzajem kontraktu, w myśl zasady „do ut des” (daję, żebyś dał).

Robimy w Kościele i w świecie wiele rzeczy wielkich i ważnych. Jezus każe nam się spytać: ile z nich ma jako swój motyw miłość do Niego? A nie do abstrakcyjnych idei i wartości? Albo – gorzej – dla autopromocji?

I jaki był/jest początek naszego działania: czy był to moment słuchania? Ile naszych inicjatyw, które uważamy za kluczowe (najważniejsze) dla życia naszego Kościoła, zrodziło się z naszej modlitwy? Rzeczywistej modlitwy – która była słuchaniem Boga, a nie manipulowaniem Nim i Jego Słowem dla własnych pomysłów i przekonań.

Ile ważnych rzeczy w życiu i w Kościele zrobiliśmy rzeczywiście „po Bożemu”? Jezus mówi: przyjrzyjcie się temu, co pierwsze. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 14 IV)

5. niedziela Wielkiego Postu:

Iz 43, 16-21; Ps 126; Flp 3, 8-14; J 8, 1-11;

Poniedziałek: Dn 13, 1-9. 15-17. 19-30.

33-62; Ps 23; J 8, 1-11;

Wtorek: Lb 21, 4-9; Ps 102; J 8, 21-30;

Środa: Dn 3, 14-20. 91-92. 95; Dn 3, 52-56; J 8, 31-42;

Czwartek: Rdz 17, 3-9; Ps 105; J 8, 51-59;

Piątek: Jr 20, 10-13; Ps 18; J 10, 31-42;

Sobota: Ez 37, 21-28; Jr 31; J 11, 45-57;

Niedziela Palmowa:

Łk 19, 28-40; Iz 50, 4-7; Ps 22;

Flp 2, 6-11; Łk 22, 14 – 23, 56.

POLITYCY, ODDAJCIE WŁADZĘ

O posyłaniu sześciolatków do szkół, zmianach ustawy antyaborcyjnej, a nawet podatkach można decydować na poziomie województwa. Lekarstwem na polską polaryzację jest decentralizacja – twierdzą

PROFESOROWIE **ANTONI DUDEK I MACIEJ KISIŁOWSKI**

RAFAŁ WOŚ: Zaproponowaliście spotkanie dwóch na jednego. Przewaga liczebna jest po Waszej stronie.

ANTONI DUDEK: Chcieliśmy pokazać, że nie tworzymy jednolitego środowiska. Ja jestem raczej centroprawicowy, a prof. Kisiłowski lewicowy. Ale nie budujemy żadnego politycznego ruchu. Razem z kilkudziesięcioma innymi osobami stworzyliśmy autorski pomysł nowego spojrzenia na polską politykę. Nazywa się to #ZdecentralizowanaRP.

A podobają Wam się grodzone osiedla?

AD: Mnie nie przeszkadzają.

MACIEJ KISIŁOWSKI: Mnie przeszkadzają zdecydowanie bardziej niż prof. Dudkowi.

Jak czytam założenia Waszej #ZdecentralizowanejRP, to widzę raczej #GrodzoneOsiedlaRP. Wydaje mi się, że chcecie, by mieszkańcy różnych regionów mogli sobie autonomicznie funkcjonować bez konieczności mierzenia się z innością. Niech liberalni gdańszczanie rządzą się po swojemu,

a konserwatywni mieszkańcy Podkarpacia po swojemu.

AD: Nie zgadzam się. Naszym celem jest osłabienie antagonizmu, który paraliżuje Polskę, i będzie ją paraliżował w następnej dekadzie jeszcze mocniej. W 2015 r. wahadło wychyliło się na korzyść PiS, ale za chwilę może się wychylić w przeciwnym kierunku i kraj pograży się w odmętach depisyacji. Po czym znowu wrócimy do obecnego stanu. Każda kolejna zmiana może być silniejsza. To niebezpieczne z dwóch powodów. Po pierwsze, w pewnym momencie ktoś – niekoniecznie PiS – naprawdę może przekroczyć granicę, za którą kończy się demokracja. Po drugie, to wahadło sparaliżuje kraj, zostawiając nas z nierozwiązanymi problemami strategicznymi.

Tylko czy Wasz pomysł rozwiąże problem polaryzacji? Pozwólcie, że zacytuję: „W Zdecentralizowanej Rzeczypospolitej żadna ze stron nie musi rezygnować ze swoich wartości”.

MK: W naszej propozycji nie mówimy o określeniu, które województwa będą konserwatywne, a które liberalne.



JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCIA GAZETA

Chcemy tylko ograniczyć możliwości używania centralistycznego aparatu władzy do narzucania wszystkim swojej wizji świata, niezależnie od lokalnej specyfiki. Chodzi o to, by wyzwolić się z logiki, w której wybory parlamentarne są grą o wszystko. Drogą byłaby decentralizacja kwestii spornych.

Na przykład?

MK: Tak było z posłaniem sześciolatków do szkół albo z podniesieniem wieku emerytalnego za poprzedniej władzy.

AD: I w przypadku likwidacji gimnazjów za czasów PiS. Tak może być, gdy PiS wygra drugą kadencję i zechce zaostrzyć ustawę antyaborcyjną. Wszystkie te sprawy można przerzucić na poziom lokalny i pozwolić, by tam o nich decydowano. Nie w Warszawie.



Nie skończy się tym, że Polacy przestaną być wspólnotą polityczną, a Polska zmieni się w udzielne księstwo? Siedzimy teraz przy jednym stoliku i kłócimy się o ważne dla całej trójki rozwiązania. Gdyby zaczął funkcjonować Wasz model, to Dudek siedziałby w jednym kąciu kawiarni, Kisilowski w drugim, a Woś w trzecim.

MK: To błędna analogia. W tym lokalu nikt nie ma pistoletu, żeby zmusić ludzi do tego, by go słuchali. A centralistyczne państwo ma taki pistolet.

Każde państwo go ma. Na tym polega władza publiczna.

AD: Pociągnę metaforę kawiarni. Co cztery lata wybieramy jej kierownika. Jeśli zaczniemy w tym lokalu hałasować

albo go demolować, musimy się liczyć z tym, że nas prędzej czy później przywoła do porządku. Tego nie kwestionujemy. Nie chcemy też zrezygnować z wyboru kierownika. Chodzi raczej o to, żeby on nie decydował o treści naszych zamówień i żeby bardziej liczył się z naszymi potrzebami.

A nie jest tak, że już to mamy? Przecież wiele decyzji podejmowanych jest na szczeblu samorządowym. Ostatnie przykłady z Warszawy to oczywiście Karta LGBT+, podpisana przez prezydenta Trzaskowskiego mimo kompletnie odmiennego zdania rządu centralnego. Albo trochę wcześniejsze fiasko rządu przy próbie dekomunizacji nazw ulic.

AD: Chcielibyśmy pójść dużo dalej.

Jak daleko? Decentralizacja podatków też wchodzi w grę?

AD: Tak. Uważamy, że patologią polskiego systemu jest to, że samorządy mają wiele zadań, ale pieniądze na nie wydziela im Warszawa. PIT i CIT powinny zostać na poziomie województw.

Chcecie powiedzieć, że regiony mają dostać również kompetencje do wyznaczania wysokości stawek podatków, które w większości zachodnich krajów stanowią najważniejszą część dochodów fiskalnych państwa?

MK: W Europie i Polsce najważniejszym źródłem podatków jest VAT. I on zostaje centralny, tak jak składki zdrowotne i emerytalne. PIT i CIT to dobry trzon nowych podatków wojewódzkich, już teraz ich znaczna część idzie do samorządów. ➔

→ **Po pierwsze: doświadczenie krajów, które się na to zdecydowały, pokazuje, że uruchomienie konkurencji podatkowej pomiędzy regionami tego samego państwa musi przynieść spadek danin publicznych i wpływów fiskalnych. Ekonomiści nazywają to wyścigiem do dna: Gdańsk wprowadza liniowy PIT na poziomie 19 proc. Warmińsko-Mazurskie odpowiada 15 proc. Kujawsko-Pomorskie przebiega, schodząc do 10 proc. I tak dalej.**

MK: Stworzenie mechanizmów zapobiegających „wyścigowi do dna” było jednym z głównych zadań, którymi zajmowaliśmy się przez niemal rok prac nad tym projektem. Stworzona przez nas propozycja reguł budżetowych (które w Polsce sprawdziły się np. w przypadku długu publicznego), koordynacyjnej roli nowego kolegium wojewódzkich ministrów i nowej, zdecydowanie bardziej redystrybucyjnej subwencji wyrównawczej z centrum do najbiedniejszych gmin pozwala uzyskać korzyści z decentralizacji unikając zagrożeń. Nasza propozycja jest w istocie dużo bardziej zabezpieczona przed wyścigiem do dna niż stan obecny. Dziś w ustawach o podatkach i opłatach lokalnych w ogóle nie ma minimalnych stawek – są tylko maksymalne, i to bardzo niskie. Miedziowa gmina Polkowice ma zerowy podatek od nieruchomości.

Pamiętajmy jednak, że zarówno w polskiej, jak i w zachodnioeuropejskiej strukturze wpływów podatkowych podatki majątkowe (np. od nieruchomości) nie odgrywają większej roli. Liczą się PIT, CIT i VAT.

MK: A może dlatego nie odgrywają, że neoliberalne centrum trzyma maksymalne stawki podatku od nieruchomości na bardzo niskim poziomie, uniemożliwiając stworzenie bardziej progresywnego systemu, szczególnie w bogatych miastach? Albo dlatego, że neoliberalne centrum lubi obniżyć sobie podatki dochodowe, wprowadzać nowe ulgi, bo i tak prawie połowa wpływów (nie) pójdzie do samorządów? Warszawa jest dobrym wujkiem obniżającym podatki, a samorządy muszą się martwić o to, jak dostarczyć usługi publiczne przy zmniejszonych przez centrum dochodach. Z tym systemem trzeba skończyć.

Skąd pomysł, że gmina Polkowice podniósłaby podatek od nieruchomości?

mości? Czy to nie jest myślenie życzeniowe?

MK: Powinien mieć pan więcej wiary w siłę lewicowych idei. Jestem przekonany, że w proponowanym przez nas systemie lewica będzie współzrządzić w kilku województwach. I walczyć o progresywne podatki nie tylko na łamach „Krytyki Politycznej”.

Ja po prostu chciałbym wiedzieć, czy macie pomysł na uniknięcie tego wyścigu do dna podatkowej skali pomiędzy województwami.

MK: Nasza propozycja zawiera regułę budżetową, podobną do istniejącej reguły konstytucyjnej ograniczającej deficyt. Każde województwo może sobie dowolnie ustawić stawki PIT i CIT, ale zmiana tych stawek nie może zmniejszyć dochodów budżetowych samorządu. Czyli nie będzie możliwości prowadzenia przez województwa morderczego wyścigu, kto oferuje niższe podatki.

Województwa mają decydować o stawkach podatkowych, ale nie o wysokości fiskalnych wpływów? To trochę, jakby powiedzieć: „Nie obchodzi nas, jak dodacie dwa do dwóch. Ważne, że ma wam wyjść cztery”.

JAKUB KAMIŃSKI / PAP



ANTONI DUDEK jest historykiem związanym

z Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Publicysta i autor wielu książek, m.in. wielokrotnie wznawianej „Historii Politycznej Polski 1989–2015”.

ARCHIWUM PRYWATNE



MACIEJ KISIOWSKI jest prawnikiem i specjalistą od zarządzania publicznego.

Pracuje na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie. Współautor książki „Administracja”, wydanej w pięciu krajach Europy Wschodniej i Azji Środkowej.

MK: Może z perspektywy skupionego na obrazie makro obserwatora to nie jest zmiana. Ale dla marszałka województwa będzie miała ogromne znaczenie. Dziś jest tak, że rząd wprowadza ulgę podatkową, a samorządy ponoszą tego konsekwencje. Swoją politykę muszą planować na podstawie tzw. dochodów własnych, na które nie mają wpływu. Trudno w tej sytuacji mówić o samorządności. Nasza propozycja to zmienia.

Drugi problem związany z podatkami ustalonymi na poziomie lokalnym jest jeszcze większy. Przerabiała to niedawno Hiszpania...

AD: ...gdzie po obaleniu dyktatury Franco autonomizacja była przeprowadzana w sposób asymetryczny i nieskoordynowany, a każdy region negocjował z rządem centralnym zakres własnych praw. To nie jest droga, którą chcemy podążać. My postulujemy jeden model decentralizacji dla wszystkich regionów. Każdemu tyle samo.

Ale ja mówię o czasach dużo bliższych. W 2011 r. w Hiszpanii weszły w życie przepisy głęboko decentralizujące system podatkowy w kierunku, którego i Wy się domagacie, czyli ustalaniu stawek PIT czy CIT na poziomie lokalnym. W efekcie rząd federalny ma coraz mniej pieniędzy na prowadzenie aktywnej polityki wyrównywania dysproporcji pomiędzy regionami. To wzmocnia tendencje separatystyczne, bo po co komu rząd, który nie może prowadzić aktywnej polityki ekonomicznej w żadnej dziedzinie?

MK: Hiszpańskie reformy podatkowe z 2011 r. nie mają nic wspólnego z naszą propozycją. Powtórzmy: decentralizacja była tu asymetryczna, dotyczyła jednych regionów, a innych nie, nie miała zabezpieczników, o których mówimy. A poza tym teza o związku między separatyzmem katalońskim, mającym głębokie podłoże historyczne i kulturowe, a tą konkretnie reformą (jedną z wielu wdrożonych w ostatnich latach w borykającej się z problemami ekonomicznymi Hiszpanii), jest co najmniej wątpliwa.

AD: Separatyzmów jest w dzisiejszej Polsce niewiele, nawet na Śląsku.

Nie mówię o separatyzmach odwołujących się do historii czy kultury.

Mówię o separatyzmach nowego typu, będących mieszkanką bieżących sympatii i antypatii politycznych z niechęcią bogatszych regionów do dzielenia się z biedniejszymi.

MK: Nie dostrzega pan przykładu Niemiec, które w systemie symetrycznie zdecentralizowanym przeprowadziły jeden z największych w historii projektów redystrybucyjnych, pompując we wschodnie landy około dwóch bilionów euro. Nie dostrzega pan ogromnej pomocy, której w symetrycznie zdecentralizowanej UE udzielono Europie Środkowej. Oraz zdecentralizowanych (choć unitarnych) państw skandynawskich, które są liderami redystrybucji. We wszystkich tych przypadkach stabilność polityczna oparta na mądrym zbalansowaniu wolności i solidarności była najlepszym gwarantem redystrybucyjnej polityki.

AD: W 20 lat po ustanowieniu samorządów wojewódzkich, których działalność dobrze ocenia większość Polaków po obu stronach barykady, nadszedł czas, aby dać im więcej władzy.

A czytali Panowie książkę Filipa Springera „Miasto Archipelag” – zbiorowy portret dawnych miast wojewódzkich, które na polskich reformach samorządowych straciły? Czy Wasza propozycja wychodzi im na przeciw, czy jest raczej ofertą dla i tak nieźle sobie radzących metropolii?

MK: Gdy chodzi o średnie miasta, to naszą główną propozycją jest to, żeby oprócz

sejmiku był jeszcze senat województwa. W jego skład wchodziłoby wszyscy wójtowie i burmistrzowie czy prezydenci wszystkich gmin i miast danego województwa, którzy akceptowaliby wojewódzkie prawa miejscowe.

I co to da mieszkańcom Suwałk albo Zawiercia?

MK: Że ich gminni przedstawiciele przestaną być petentami. Staną się senatorami województwa, o których poparcie się w stolicy województwa zabiega. Bo ich poparcie jest konieczne do tego, żeby w tym województwie cokolwiek się działo. Dziś gmina jako podstawowa jednostka samorządu terytorialnego jest sloganem. Mamy ją w konstytucji, ale nic z tego nie wynika.

Nazwijmy rzeczy po imieniu: chcecie stworzyć i dopieścić nową lokalną arystokrację polityczną.

AD: A jaką mamy alternatywę? Alternatywą jest raz lepiej, a raz gorzej oświecony władca w stolicy kraju. Mamy go od 30 lat, ale pogłębiająca się polaryzacja polskiej polityki na poziomie centralnym pokazuje, że to rozwiązanie coraz bardziej dysfunkcyjne. Jeśli nie znajdziemy modelu alternatywnego, niedługo dostaniemy w Polsce albo dyktaturę, albo paraliż państwa. Jeden i drugi scenariusz mnie martwi.

Nie tylko Pana.

AD: Założmy, że dokonuje się trzecia faza reformy samorządowej. Samorządy

zyskują nowe kompetencje. W związku z tym potrzebny jest organ kontrolny. Tę rolę może wziąć na siebie prezydent. To by oczywiście wymagało zmiany konstytucji, bo dziś kontrola samorządu jest domeną premiera. Można sobie wyobrazić taki *deal*. Prezydent zostaje nadzorcą samorządu, czyli zyskuje ogromną władzę. Bo to on od tej chwili będzie mógł uchylać wszystkie decyzje władz wojewódzkich. Ale w zamian musi zrezygnować z tego, co jest głównym mechanizmem konfliktogennym w polityce ogólnopolskiej, czyli z prawa weta. W ten sposób odblokujemy system polityczny. Do tego należałoby przekształcić Senat z tej karykatury Sejmu, jaką jest dzisiaj, w izbę samorządową.

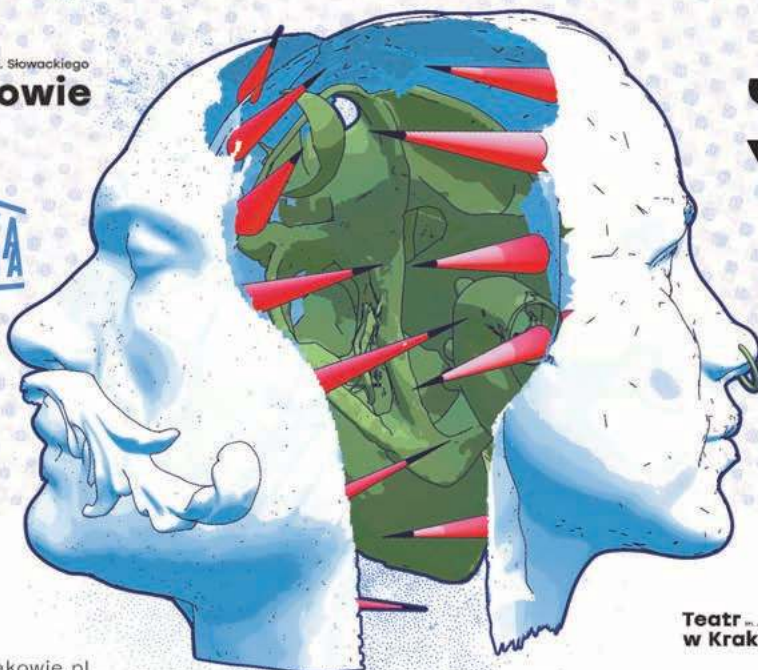
Zbyt łatwo skreślacie demokrację parlamentarną poprzez przypisanie działającym w jej warunkach partiom najgorszych cech. W ich miejsce chcecie wpuścić jakichś wyidealizowanych „ludzi, którzy lepiej czują sprawę lokalne”.

AD: Do pewnego stopnia zgadzam się z Jarosławem Kaczyńskim, gdy mówi o lokalnych sytuacjach i mafiach jako realnym problemie. Jednak w CBA albo bardziej zmasowane kontrole NIK jako antidotum nie wierzę. Proponujemy za to radykalne wzmocnienie mediów lokalnych. Powinna powstać instytucja centralna, która by działała na zasadzie podobnej do Narodowego Centrum Nauki: możliwie najmocniej oddzielona od

REKLAMA

Teatr
w Krakowie

**SZTUKA
MYŚLENIA**



Janusze vs hipsterzy

14.04.2019 16:00

Goście

**Ziemowit Szczerek
Leszek Jażdżewski**

Cykli spotkań o sprawach kluczowych prowadzą:
Piotr Augustyniak i Bartosz Szydłowski

Scena MOS — ul. Rajska 12
Bilety — 20 pln / 5 pln (studenci)

→ władzy partyjnej, ale jednak publiczna instytucja rozdzielająca granty. Na przykład na finansowanie portalu internetowego czy innego medium zajmującego się patrzaniem władzy wojewódzkiej na ręce.

MK: Oczywiście jest takie ryzyko, że politycy nasz pomysł wezmą, ale nie wdrużą wszystkich wymyślonych przez nas bezpieczników. To dla mnie największe zagrożenie.

Prędzej czy później będziecie się musieli też zmierzyć z zarzutem, że Wasze postulaty mogą doprowadzić do jakiejś formy zakwestionowania polskiej państwowości w obecnym kształcie granic. Widzicie taką możliwość?

AD: Nie.

A scenariusz, w którym gdzieś na wschodzie pojawiają się „zielone ludziki” albo finansowane z Moskwy partie postulujące nowe otwarcie relacji z Rosją?

MK: Temu brak decentralizacji nie zapobiegnie. Doniecka Republika Ludowa powstała w państwie unitarnym. Kurdyjscy separatysty są w państwie unitarnym, którym jest Turcja. Separatyzm rodzi się z tego, że ludzie nie czują się dobrze we własnym państwie. Symetrycznie zdecentralizowane państwa, takie jak Szwecja, Austria czy USA, to jedne z najbardziej stabilnych systemów konstytucyjnych – co oczywiście nie znaczy, że rządzą tam anioły.

Co w sytuacji odwrotnej? W Waszym programie przywidujecie ożywienie instrumentu referendum lokalnego. No to powiedzmy, że Gdańsk robi referendum w sprawie przystąpienia do strefy euro pod hasłem: „Duszno nam w Polsce Kaczyńskiego”. Co wtedy? Czołgi na Gdańsk? Negocjacje?

AD: Co to znaczy wprowadzić euro w jednym województwie? Zakazać tam używania złotówki? To jakiś absurd. My nie chcemy federalizacji. Chcemy więcej decentralizacji. Tylko tyle.

© TP Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

Prof. Dudek i prof. Kisilowski są związani ze stowarzyszeniem Inkubator Umowy Społecznej, którego propozycje można znaleźć na stronie zdecentralizowanarp.pl

Obywatele chcą mieć głos

RAFAŁ ZYCHAL

Ze swoim pomysłem od miesięcy odbijają się od partyjnych gabinetów. Gdyby udało się go zrealizować, byłby to kopernikański przewrót w polityce.

ZCZYM KOJARZYM PRAWYBORY? Przedwyborczym starciem o to, kto będzie ubiegał się o miejsce w Białym Domu czy na Kapitolu? Ci bardziej zanurzeni w polityce może jeszcze pamiętają te z Wrześni – choć był to raczej wyborczy festyn i symulacja głosowania. Nieśmiało do tej idei nawiązywała kiedyś PO – właśnie minęło dziewięć lat, od kiedy w wewnętrznych prawyborach wybrała swojego kandydata na prezydenta. Dziś to ona jest głównym adresem apelu osób skupionych wokół projektu „Obywatele mają głos”. Taki chichot historii.

Pierwsze skrzypce grają w nim Obywatele RP. Wraz z gronem organizacji pozarządowych idą do partii z prostym przekazem – koniec z odgórnym ustalaniem list wyborczych w gabinetach. Próbuje w ten sposób skruszyć fundamenty, na których partie budowały przez lata swoją potęgę. Łatwo nie będzie, bo transparentność i wewnętrzna demokracja to nie są najmocniejsze strony polskiego systemu politycznego.

Coś się ruszyło

Rozwiązaniem mają być swoiste prawybory w formie publicznych wysłuchań. Ma to być sposób na sprawdzenie, czy proponowani przez partie kandydaci będą w stanie godnie reprezentować wyborców. Długo jedyną odpowiedzią była cisza. Ostatnie tygodnie pokazują, że coś się w tej sprawie jednak ruszyło.

Choć na niedawnej konferencji w Warszawie zabrakło opozycyjnych liderów, to zjawilo się tam kilka znanych twarzy – choćby Michał Boni czy Kamila Gasiuk-Pihowicz. Zabrakło chyba tylko PSL, ale to akurat nieobecność usprawiedliwiona – w tym samym czasie ludowcy mieli wcześniej zaplanowane spotkanie. Padły też pierwsze obietnice.

– Nie da się już dłużej udawać, że nasza propozycja nie istnieje. Tę debatę trzeba podjąć, takie deklaracje tam padły. I ja się ich będę trzymał – zapewnia Paweł Kasprzak, lider Obywateli RP. – Dla nas to realizacja demokratycznych pryncypów. Dziś, w sytuacji plebiscytnego starcia, wyborcom nie pozostawia się wyboru – mają popierać tych, których wskazano w partyjnych gabinetach. My się na to nie godzimy.

I choć Kasprzak zastrzega, że u partyjnych liderów ich programowo naiwna wiara w demokratyczne pryncypia budzi często uśmiech, to dla jego środowiska takie prawybory są jedyną szansą na stworzenie koalicji, w której elektoraty się dodają, a nie wzajemnie zniechęcają. A to może pomóc pokonać populistów i populizm. – Widzimy strategiczną i logiczną wartość tej propozycji. Chcemy więc, by była debatowana publicznie. A strategia partii do tej pory polegała na tym, żeby zamiatać pod dywan i udawać, że jej nie ma. Bo ona jest w oczywisty sposób dla nich niewygodna – dodaje Kasprzak.

Pierwszy test

Eurowybory już za pasem i to one będą kolejnym testem dla Obywateli RP. Choć, mimo starań, nie udało im się zorganizować wysłuchań jeszcze przed stworzeniem opozycyjnych list, nie zamierzają z pomysłu rezygnować. Zaproszenia dla osób walczących o miejsce w PE są aktualne, a gotowe scenariusze debat wraz z pytaniami czekają. A tuż obok – kolejne etapy ich planu, którego zwieńczeniem ma być przemodelowanie naszej polityki.

Ze środowiska organizatorów płyną umiarkowane optymistyczne głosy: zainteresowanie partii jest większe niż kiedyś – mówią. Zamierzają też trzymać się deklaracji samych polityków – a część



WOJCIECH KRYŃSKI / FORUM

Demonstracja w obronie sądów, Warszawa, czerwiec 2018 r.

kandydatów już obiecała udział w takich wysłuchaniach. Wkrótce będzie można więc powiedzieć „sprawdzam”.

– Wśród wyborców opozycji wciąż dominuje pogląd, że w walce z PiS trzeba popierać najsilniejszego. Ten stadny instynkt jest naprawdę silny, a dla mnie – przerażający – mówi Kasprzak. – Jesteśmy ruchem obywatelskim, który nie może wyrażać partyjnych sympatii. Sytuujemy się w tej grze raczej jako sędziowie, nie zawodnicy. Ale jeśli kandydat X skutecznie przejdzie proces rekomendacji, to możemy się zaangażować w jego kampanię. Nie będziemy go popierać tylko dlatego, że należy do którejś z partii, ale dlatego, że spełnił konkretne warunki – wyjaśnia.

To dopiero początek drogi

Debaty polityków walczących o wyjazd do Brukseli to jedno, ale wydaje się, że środowisko Obywateli RP większość sił będzie chciało przenieść na kolejne wyborcze starcie – jesienny bój o parlament, zwłaszcza o Senat. Ta walka może być wyjątkowo ciekawa – także za sprawą ordynacji i jednomandatowych okręgów. Sam Paweł Kasprzak przekonuje, że jedna opozycyjna lista może zgarnąć nawet 90 proc. miejsc.

Pytanie, jak pogodzić interesy tak wielu środowisk? Zwłaszcza, że gdzieś w tle mającej konkurencyjną ideą wspólniej listy pod egidą Donalda Tuska. Tu swoje miejsce widzą właśnie Obywatele. Coraz gło-

śniej apelują, by kandydatów wylaniać na podstawie organizowanych przez nich prawyborów. Niech zdecydują ludzie, nie liderzy – mówią. A jako przykład skuteczności prawyborów podają Włochy, gdzie funkcjonują one na wielu poziomach.

– Chcemy walczyć z ogólnym ustalaniem list z powodów pryncypialnych, ale i racjonalnych. Wybory uzupełniające w Krokowej, mateczniku PO, pokazały jeszcze przed wyborami samorządowymi, że ogólnie namaszczonego kandydat tej partii może sromotnie przegrać z konkurentem z PiS. To powinna być ważna lekcja – zauważa Kasprzak.

– Jeśli na jesieni kandydaci znów zostaną wskazani w wyniku nietransparentnych targów partyjnych liderów, to taka lista będzie niewiarygodna i nie zmobilizuje ludzi. To będzie zwykły podział łupów – dodaje. I przypomina o ludziach, którzy nie chodzą do wyborów, a których wciąż jest blisko połowa. Dlaczego? – Bo nie wierzą w proces wyborczy. My, demokraci, daliśmy sobie odebrać centrum demokratycznych przekonań, jakim jest sens wyborów. Jesteśmy po to, by te wybory sensownymi uczynić – odpowiada.

Czy wyborcza dynamika pomoże?

Na korzyść inicjatywy „Obywatele mają głos” może zagrać nie tylko wyborcza dynamika, ale i retoryka, po którą partie

opozycji sięgają w trwającej już kampanii. Każda z nich demokrację ma na sztyku. Trudno będzie znów otwarcie zignorować apele o jakąś formę demokratycznej weryfikacji kandydatów. W wyborczym maratonie ważny będzie każdy głos, a zgrzyty i trzaski na tej linii będą dodatkowo cennym paliwem dla kampanii PiS. Bo ta partia stara się budować swój wizerunek właśnie na wiarygodności i dostrzymywaniu słowa.

Z pewnością będzie to też przedmiot wewnątrzopozycyjnych licytacji – zwłaszcza między Koalicją Europejską a Wiosną. Choć Robert Biedroń tworząc swoją partię chętnie organizował liczne debaty, początkowo nie palił się do udziału w projekcie prawyborów. Ale i tu się chyba coś zmieniło. Być może i dlatego, że po dość dynamicznym początku partia byłego prezydenta Słupska właśnie łapie zadyszkę.

Pomysł prawyborów wpisuje się również w toczące się debaty ekspertów, którzy zastanawiają się nad drogą wyjścia z klinczu, w jakim polska polityka jest już od wielu lat. Klinczu, który tak skutecznie zniechęca do niej kolejne pokolenia. Udział znanych nazwisk w takich wysłuchaniach z pewnością bardziej przyciągnie uwagę społeczeństwa niż akademicka debata. A to gra o potencjalnych wyborców, jest więc o co walczyć. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.

Przerwany krąg

MARCIN CHODUŃ

Więźniowie opuszczający zakład karny do niedawna byli zdani głównie na siebie. Na Śląsku grupa zapaleńców uczy ich, jak żyć od nowa.

MARCIN (36 LAT, RĘCE W TATUAŻACH): – Brało się wszystko, co się dało. Biedronki, Tesca, Reale.

Waldek (60 lat): – Zabawa, śpiew i wino, tak się to toczyło przez cały czas. Od wpadki do wpadki.

Paweł (31 lat, na głowie czapka bejsbolówka, tatuaż koło oka i na ręce): – Nigdy nie poszedłem do sklepiku w szkole, nigdy nie miałem oryginalnych butów. Dopiero, jak zacząłem kraść, to miałem pieniądze. Czułem się lepszy.

Robert (31 lat): – To były sklepy. Na zamówienia głównie: alkohole, sprzęt, takie tam.

Sebastian (32 lata): – Cały czas w tym samym kole, te same kręgi zataczałem: to samo towarzystwo, jedna okolica, jeden teren. Sklep, piwo. Kradzieże. To mnie kręciło. Poszedłem tam, bo oni byli bardziej poważani przez kobiety.

Nawiedzenie

Zabrze, ulica Wolności. Kamienica, drugie piętro. Na drzwiach napis: „Fundacja Pomost Nadziei”. Prezes: Edward Szeliga.

Szeliga, mężczyzna drobny, 46-letni, więźniami zaczął się zajmować w 2011 r.: jeździł po zakładach karnych i opowiadał osadzonym, że po wyjściu mogą już do więzienia nie wrócić. Szybko się zorientował, że samo jeżdżenie to za mało. – Że dobrze byłoby stworzyć takie miejsce, zaproponować byłym więźniom coś po zakładzie karnym – tłumaczy.

W 2012 r. idzie do prezydent Zabrza, Małgorzaty Mańki-Szulik: „Myślę o założeniu ośrodka dla byłych więźniów – czy miasto miałoby do dyspozycji jakiś lokal?”. Lokal się znajduje – i to nie gdzieś na obrzeżach, jak to zwykle bywa



Od lewej: Marcin, Edward i Waldemar, marzec 2019 r.

w przypadku ośrodków dla osób uzależnionych lub chorych na AIDS, tylko w samym centrum, przy głównym deptaku. Na początek dwa pokoje i kuchnia, ale wkrótce miasto daje całe piętro, niedawno – kolejne. – W ośrodku mamy aktualnie 21 miejsc i jesteśmy w trakcie powiększania o kolejnych 10 – mówi Szeliga.

Podopieczni fundacji mogą przebywać tu maksymalnie rok. Następnie trafiają do mieszkań readaptacyjnych, które też są pod jej opieką. Praca w ośrodku ma charakter interdyscyplinarny: są tu psychologowie i psychoterapeuci. Fundacja współpracuje także z kuratorami i doradcami zawodowymi.

Ze strony internetowej fundacji: „Wyszedłem z więzienia po 7 latach i 8 miesiącach. Pierwsze kroki skierowałem do sklepu, chciałem zrobić zakupy, by poka-

zać się dzieciom. W sklepie wytrzymałem może cztery minuty, wszystko mnie bombardowało: szum kółek wózków, natłok ludzi, głosy, wszystko, łącznie z kolorowymi światłami. Musiałem uciec”.

– Napisał to któryś z podopiecznych?

Szeliga: – Nie, to ja napisałem. Jestem byłym więźniem, sam tego doświadczyłem.

Gdy po wyjściu jeździł do zakładów karnych, wielu więźniów uważało go za nawiedzonego recydywistę.

Rogata dusza

Pukanie do drzwi. Do pokoju wchodzi kilku mężczyzn: Sebastian, Marcin, Waldek, Paweł i Robert.

Jak trafili do więzienia? Opowieści w sumie brzmią podobnie: w domu kiepsko, potem alkohol, narkotyki, kradzieże. Ale jednak każda historia jest nieco inna.

Weźmy Sebastiana. Długo nie siedział: wszystkiego rok i siedem miesięcy. Za co? Kradzieże, wyłudzenia kredytów... Zaczęło się, gdy miał 15 lat i umarł ojciec, alkoholik. Wtedy poczuł wolność. W domu mama i dwie siostry – nie upilnowały go. Jak wyszedł w 2013 r., od razu wpadł w stare towarzystwo. Znowu narkotyki, alkohol – jak przed odsiadką. W końcu jednak wziął się za siebie i poszedł do ośrodka dla uzależnionych w Toszku. Tam usłyszał o fundacji Pomost. W 2016 r. trafił do ośrodka. – Celem zmiana życia tu przyszedłem – kiwa głową.

Weźmy Marcina. Cztery lata odsiadki. Za włamania do mieszkań. W ośrodku od stycznia, i jest mu tu bardzo, bardzo dobrze. Dlaczego? Bo do tej pory po wyjściu z więzienia zawsze lądował na ulicy. A tam wiadomo: narkotyki, alkohol, kradzieże. Teraz ma pracę, może normalnie żyć. Nie musi już kraść.

– To wcześniej musiałeś? – śmieje się siedzący obok Paweł.

Cóż, Marcin upiera się, że musiał i tyle, bo życie go zmuszało, bo był bezdomny. Żył przez 10 lat z kobietą, Olą, ale w końcu ona miała dość awantur, ćpania i picia („Jak nie miałem na narkotyki, to wszystko w domu niszczyłem”). Jak poszedł do więzienia, zerwała z nim kontakt. Teraz ma nowe życie i Marcin nie chce jej przeskadzać. Dosyć ją już skrzywdził.

Weźmy Waldka. Dorastał w latach 70. Ojciec w SB, alkoholik. Ostry był – w domu dyscyplina jak cholera. A wokół dzieci kwiaty: zabawa, śpiew i wino. „Spodobała mi się ta kultura”. Bo on to, mówi, rogata dusza jest – zawsze szukał czegoś innego. Zaczął się alkohol, zaczęły kradzieże. Co kradł? – To takie głupie, drobne kradzieże były, z przypadku – opowiada. – Na przykład nową betoniarkę kie-

dys z kumplami ukradłem. – Betoniarkę?! – No tak. Szliśmy sobie ulicą, a tu facet ustawia nowiutką betoniarkę. A co to za problem taką betoniarkę nowiutką przynieść, kółeczka ma, siatkę tylko rozpruć, wynieść.

Weźmy Pawła. W więzieniu sześć lat. Kradzieże z włamaniem. Mieszkania. Telewizory, sprzęt. Zaczęło się w gimnazjum – od złomu. Potem były działki, piwnice. W domu mama, ojczym pijak, brat i siostra. Biednie. Wszystkie pieniądze z kradzieży szły na narkotyki. Pierwsza odsiadka – w wieku 18 lat. Po wyjściu – znowu kradzieże, wyroki w zawiasach. Wyjazd do Holandii – do mamy. Tam też włamania, odsiadka.

Weźmy Roberta. Nie to, żeby zły dom – normalny był. Ale on po prostu lubił kraść. Jak szedł do sklepu, to zawsze coś tam dzwignął. Dla samej przyjemności – potem często łupu nawet nie rozpakowywał, wyrzucał. W więzieniu ponad pięć lat. – Na co były potrzebne pieniądze? Jasne, że na narkotyki.

– A ja na przykład nigdy narkotyków nie brałem – wtrąca się Waldek. – Zawsze się ich bałem. Dopiero teraz na starość marihuany ze dwa albo trzy razy spróbowałem. Ale w sumie nie za bardzo mi się spodobało.

Skarb

– Jak to jest, gdy się wychodzi z więzienia?

Marcin: – Wszystko jest inaczej. Dużo zmian. Na przykład na dotykowych telefonach w ogóle się nie znałem.

Paweł: – Są różne dni, lepsze i gorsze. Jak coś nie wychodzi, to człowiek szybko doła łapie. Wtedy się myśli o różnych rzeczach. Czy o takim życiu jak wcześniej też? No też, ale myśleć o czymś, a zrobić coś – to jest różnica.

Szeliga: – Proszę sobie wyobrazić, że nagle z dwu-, trzyosobowej celi wychodzi się do marketu, gdzie jest sto osób. Ten pierwszy moment jest naprawdę przerażający. I towarzyszy mu uczucie, że wszyscy wokół wiedzą, że się siedziało.

– Nie chce się wrócić?

– W pewnym sensie tak. Bo więzienie to znane miejsce, a co za tym idzie – bezpieczne. Mimo że nie chce się w nim być.

Szeliga: – W życiu naszych podopiecznych zadziały się bardzo różne rzeczy, inne od tych, które dzieją się na wolności. Dlatego nasi specjaliści muszą niejako na nowo uczyć się swojego zawodu. Żeby mogli spojrzeć inaczej na pracę z tymi ludźmi. To specyficzna grupa ludzi. Musieliśmy dobrać do niej odpowiednie narzędzia i metody pracy.

Pomaga im w tym Katolicki Uniwersytet Lubelski, z którym fundacja Pomost współpracuje już od siedmiu lat.

Szeliga: – Wspólnie stworzyliśmy pierwsze w Europie narzędzia diagnostyczne do pracy z byłymi więźniami, metodologię pracy z wszystkimi dysfunkcjami, które powstają podczas odbywania kary. W tym sensie to jedyny taki ośrodek w Polsce – ukierunkowany na pracę z byłymi osadzonymi, z pełną wystandardyzowaną diagnostyką i metodologią pracy.

– Jakie to metody?

Katarzyna Majda, psycholożka, kierownik Ośrodka Readaptacji: – Jedną z nich są kwestionariusze zysków i strat osoby opuszczającej zakład karny. Dotyczą różnych sfer funkcjonowania człowieka, na przykład relacji rodzinnych, dumy z samego siebie, poczucia własnej wartości czy przekonania, że życie ma sens. Badani określają w skali 1 do 5, czy w danej sferze zyskali, czy stracili. Takie badania są →

TP

Kluby „TP” zapraszają

BIELSKO-BIAŁA

■ piątek, 12 kwietnia,
godz. 17.00

Spotkanie z Aleksandrą Łojek
„Belfast. 99 ścian pokoju”.

Miejsce: Książnica Beskidzka
(ul. Słowackiego 17A).

GLIWICE

■ poniedziałek, 8 kwietnia,
godz. 18.00

Spotkanie „Wyjść z logiki
plemiennej wojny”. Gościem
będzie Paweł Bravo. Miejsce:
Klub pracowników Politechniki
Śląskiej (ul. Banacha 3).

LUBLIN

■ piątek, 5 kwietnia,
godz. 17.00

Spotkanie „Europa w Polsce,
Polska w Europie – obywatel
wobec zmian w polskim
wymiarze sprawiedliwości”.
Miejsce: Teatr Stary
(ul. Jezuicka 18).

WARSZAWA

■ Sobota, 6 kwietnia,
godz. 16.00
Kawiarenka „Polska Żydowska.
Jaka pamięć leczy rany”.

Gościem będzie Michał
Okoński. Miejsce:
Stacja Muranów
(ul. Gen. Andersa 13).

■ Czwartek, 11 kwietnia,
godz. 19.00

Spotkanie z cyklu
„Wspólne czytanie”: „Jaki
Kościół jest do zbawienia
koniecznie potrzebny”.
Miejsce: sala KIK
(ul. Freta 20/24A).

→ po pewnym czasie powtarzane, a ich wyniki analizujemy.

Edward Szeliga: – Wylaniamy w ten sposób obszary do pracy. Naukowcy z KUL-u przesyłają nam swoje założenia, my to sprawdzamy w praktyce i potem wymieniamy się materiałami aż do momentu stworzenia odpowiednich standardów. Ponadto uruchomiliśmy program społeczności readaptacyjnej. Z tego, co wiem, to jedyna tego typu społeczność na świecie. Czym się charakteryzuje? Nasi podopieczni uczestniczą w warsztatach umiejętności psychospołecznych. Ponadto każdy z nich ma indywidualnego specjalistę do kontaktów na co dzień.

– Na czym polegają takie warsztaty?

Marta Kostuś, psycholożka: – Tworzymy dwie grupy. W pierwszej zajmujemy się podstawowymi umiejętnościami społecznymi, na przykład komunikacją czy udzielaniem informacji zwrotnych, w drugiej rozmawiamy o związkach czy o bliskości w ogóle.

Edward Szeliga: – Pamiętajmy, że nasi podopieczni to grupa ludzi, dla których w zakładzie karnym głównym narzędziem do załatwiania różnych spraw była przemoc. Fizyczna, słowna, psychiczna – każda. Dlatego tak ważne są dla nich ćwiczenia asertywności.

Katarzyna Majda: – W czasie tych ćwiczeń najpierw robimy część edukacyjną, w której staramy się przekazać określoną wiedzę – na przykład, jak powinny wyglądać relacje między ludźmi, czy też: że w ogóle istnieją emocje. I że nie tylko jest złość i radość, ale jeszcze wiele innych odczuć pomiędzy nimi. Albo że za złością kryje się często tęsknota, smutek lub troska o kogoś. Potem przeprowadzamy burzę mózgów, żeby zaktywizować uczestni-

70 proc. podopiecznych ośrodka nie wraca już do zakładów karnych.

W przeliczeniu na przestępstwa: na samym Śląsku mamy ich o 3200 mniej.

ków. Następnie dostają oni różne zadania – najczęściej odgrywają w parach różne scenki.

– Czy w tych scenkach pojawia się agresja?

Szeliga: – Tak. I takie sytuacje to dla nas skarb. Wtedy widzimy, co w tych ludziach siedzi.

Korzyść dla wszystkich

Według Szeligi zespół specjalistów ośrodka buduje w podopiecznych poczucie bezpieczeństwa. Mogą doświadczać samych siebie w nowych sytuacjach, a przez to uczyć się, że można w życiu postępować inaczej. A jak tego już doświadczą i zobaczą, że to działa, będą się bali to stracić. Stąd, zdaniem pracowników fundacji, sukces zabrzańskiego ośrodka – ponad 70 proc. jego podopiecznych nie wraca już do zakładów karnych (z pozostałych 30 proc. mniejsza część trafia znów za kraty, z resztą urywa się kontakt i nie wiadomo, jakie są ich losy).

Szeliga: – Właśnie udało się nam zawrzeć porozumienie z marszałkiem województwa śląskiego, prezydentem Zabrze i KUL-em, dotyczące wspólnych działań na rzecz readaptacji byłych więźniów. Bo to się wszystkim po prostu opłaca. Przez

nasz ośrodek przewinęło się od 2012 r. ok. 230 osób. 70 proc. z tej liczby to 160. Tyle osób nie popełniło już przestępstw. A zwykle, zanim przestępcy trafiają za kraty, popełniają ok. 20 czynów karalnych. Czyli mamy o 3200 mniej przestępstw na samym Śląsku – o tyle mniej jest włamań czy pobić.

Pracownicy fundacji mówią też o przełamywaniu negatywnych stereotypów dotyczących byłych więźniów. Z tego powodu podopieczni ośrodka wolontaryjnie wyremontowali już dwa przedszkola w Zabrze, co roku organizują też Dzień Dziecka.

Magdalena Mentel, psycholożka, pamięta, że jak powiedziała rodzicom, gdzie będzie pracować, to byli przerażeni. Ale gdy ostatnio podczas lepienia z podopiecznymi klusek śląskich zadzwoniła do mamy, żeby zapytać o przepis, to w słuchawce słychać było tylko jej swobodny, wesoły głos.

Janina Zawisza, psycholożka, opowiada z kolei, że gdy wspomina znajomym o nocnych dyżurach w ośrodku (jest wtedy sama z podopiecznymi), do dziś spotyka się z reakcjami: „O Boże, nie boisz się?”.

– Naprawdę się pani nie boi?

– Pierwszej nocy, owszem, miałam lekki dyskomfort, ale było to związane raczej z tym, że spałam w nowym miejscu. Poza tym na początku dyżuru przyszedł do mnie jeden z podopiecznych, Robert, i powiedział: „Wiesz, Jana, zawsze możesz się zamknąć. Tu masz zamek”.

Bilet

Przyszłość? Podopieczni fundacji widzą ją w jasnych barwach.

Waldek właśnie znalazł pracę jako opiekun ogródków działkowych. – Lubię to, to mnie postawi na nogi.

Robert pracuje w prywatnej firmie jako specjalista ds. handlu. Sam wynajmuje mieszkanie. – Ogarniam wszystko.

Paweł naprawia silniki elektryczne. – Myślałem, że to skomplikowane, ale nie jest. Mam umowę na dwa lata, więc jest dobrze.

Marcin jest zatrudniony w prywatnej firmie jako ślusarz. – Kupiłem ostatnio pierwszy w życiu bilet miesięczny. Jestem jak reszta społeczeństwa.

Sebastian pracuje jako operator maszyn obróbczych. Pół roku temu urodziła mu się córka. – Tego mi zawsze brakowało – mieć o kogo dbać. Wyszedłem z zakłętego kręgu.

© MARCIN CHODUŃ

Szczerze wyrazy współczucia dla

mgr Anieli Goc

Kancelarz Wyższej Szkoły Zdrowia, Urody i Edukacji w Poznaniu
w związku ze śmiercią

ś.†P.

Małżonka Pani Kancelarz

składa

J. TWARDOWSKA-RAJEWSKA

ANNA

Dziewit-Meller: Zgryzoty ze zgryzem



POŚRÓD WIELU NIESZCZĘĆ, KTÓRE MOGĄ PRZYDARZYĆ SIĘ CZŁOWIEKOWI, sporo jest tych z pozorów drobnych, niby nieznaczących, a jednak poważnie zatruwających życie. Np. złamany ząb. Zdarzyła mi się ta nieprzyjemność w ostatnich dniach, gdy chwilowo prze-

bywałam za granicą. Łapczywie spożywając oliwki, które postawił przede mną sympatyczny kelner, wsadziłam ich zbyt wiele naraz w paszczę i nagle trach, poczułam, że złe się stało. Pestka jednej z nich, w kontakcie z moją niegdyś kanałowo leczoną szóstką, okazała się srogim orężem. Szóstka beznadziejnie się ukruszyła, a jej ruina o nadszpodziewanie ostrych końcówkach totalnie zrujnowała mi wyjazd, bo poraniony język zmusił mnie do przerzucenia się na jedzenie wyłącznie w formie płynnej. Nie polecam.

Po powrocie do Polski natychmiast, z podkulonym ogonem, pobiegłam do mego dentysty, którego nie odwiedziłam ostatnio w wyznaczonym terminie. W pachnącym medykamentami i środkiem do dezynfekcji gabinecie, wysłuchawszy najpierw poważnej i dość długiej krytyki mej całkowitej beznadziejności i braku wyobraźni medycznej, poddałam się posłusznie procedurom. Doktor Krzysiek, pochylając się nad moim uszczerbionym garniturem, postanowił dodatkowo mnie pogłębić, jako że w jego mniemaniu zasłużyłam na karę, migając się od regularnych kontroli stomatologicznych. Jął więc roztaczać przede mną wizję medycznego koszmaru, bez mała siedmiu plag egipskich, które spadną na mój organizm, jeśli nie będę regularnie usuwać kamienia nazębnego. – To są miliardy bakterii, miliardy, dziewczyno! Rozumiesz? – zadawał mi pytanie, na które odpowiadałam ruchem gałek ocznych, mając w jamie ustnej waciki, ssak i wiertło. No coś tam rozumiem.

Chcąc jednak rozumieć jeszcze więcej, po powrocie z wizyty, z pełnym już uzębieniem doskonale przez doktora światłoutwardzonym, gryząc w końcu z przyjemnością stały pokarm, zaczęłam google'ować sobie różne dentystyczne przypadki.

I wtedy właśnie – na portalu dla lekarzy dentystów nowygnabinet.pl, szukając informacji o stanie opieki dentystycznej w Pol-

sce (pamiętając, że w mrocznych czasach końca komuny i początku transformacji, gdy chodziłam do podstawówki, gabinet dentystyczny w szkole był miejscem regularnie przeze mnie odwiedzonym, a darmowe plombi amalgamatowe założone mi wówczas przetrwały lata!), znalazłam interesująco wyglądającą informację, która brzmiała: „Ruch antykanalowy rośnie w siłę”. Sami rozumiecie państwo, że musiałam to sprawdzić.

W lapidarnej notce stało że: „coraz więcej pacjentów uważa, że leczenie kanałowe zębów może powodować nowotwory. Tak uważają ci pacjenci, którzy cierpią z powodu skutków złe przeprowadzonego leczenia kanałowego. Takie hipotezy szerzy tzw. »ruch antykanalowy«, który w ostatnim czasie rośnie w siłę. O tym, że problem z ruchem narasta, alarmują dentyści. Sprawa stała się jeszcze poważniejsza w ostatnim czasie za sprawą filmu dokumentalnego »Root Cause«. W filmie pojawiło się kilka hipotez, które mogą zniechęcać pacjentów do leczenia kanałowego – m.in. taka: »aż 97 proc. osób leczonych kanałowo zachorowało na raka«, »Leczenie kanałowe to też najczęstszy powód zawałów serca!«, »Powoduje również lęki, depresję i chroniczne zmęczenie«. Film w ostatnim czasie trafił na najbardziej popularne kanały streamingowe na świecie, można go oglądać również w Polsce. Światowe organizacje zrzeszające dentyistów wysłały pismo do serwisów udostępniających film z prośbą o jego usunięcie, bo fakty przedstawione tam nie mają żadnego odzwierciedlenia w medycynie”.

Amerykańskie stowarzyszenia zrzeszające specjalistów z dziedziny stomatologii rozpetwały w Stanach wielką burzę, domagając się m.in. od Netfliksa, Vimeo i Apple TV zdjęcia tej kontrowersyjnej produkcji, szerzącej pseudonaukowe bzdety wśród milionów subskrybentów. Chcąc, rzecz jasna, zobaczyć ten wykwit nowego średniowiecza, rozpocząłam poszukiwania – film oczywiście jest nadal dostępny w sieci, jedynie Netflix wycofał cichaczem produkcję, odmawiając jednak komentarza w tej sprawie. Można podejrzewać wobec tego, że nie o zdrowy rozsądek i prymat wiedzy nad dyrdymałami im idzie, ale o ochronę własnej reputacji jako platformy prezentującej wyłącznie treści wysokiej jakości. Kontrowersje wokół „Root Cause” nie służą, ciszej więc nad tym wyleczonym kanałem. Szkoda, bo jasne stanowisko Netfliksa mogłoby wpłynąć na tych widzów, którzy, nie daj Boże, zdążyli już uwierzyć w szkodliwe bajki szerzone przez twórców filmu.

Ja zaś – jako że wciąż żyję w poczuciu winy wobec mojego dentysty – piszę niniejszy felieton po to, by na końcu oświadczyć podpierając się autorytetem American Dental Association: ludzie, nie wiercie w te bzdury i dbajcie o zęby, a świat na pewno będzie trochę lepszy. ©

Sąd Rejonowy w Słubicach w sprawie pod sygn. akt I Ns 238/18 o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Stanisławie Gołasiu, zm. 11 kwietnia 2018 r. w Słubicach, którego ostatnio stałe miejsce pobytu znajdowało się w Słubicach przy ul. Żeromskiego 16/2, po którym majątek nie został ustalony – wzywa spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygnaturą akt I Ns 412/18 toczy się postępowanie z wniosku Anny Pilch z udziałem Dariusza Załęckiego i Julianny Kamińskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Edwardzie Stanisławie Załęckim s. Antoniego i Genowefy, zm. 15 stycznia 2012 r. w Gdyni, a mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w miejscowości Wawrzyszów, gmina Wolanów. Wzywa się spadkobierców wskazanego powyżej zmarłego, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Przysusze i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



MOC PIERWORODNEJ

Jak przetrwać kryzys Kościoła? Możemy się uczyć od tych, którzy już przeżyli trudny czas. Na przykład od niedocenianego w Polsce Kościoła francuskiego.

KS. ANDRZEJ MUSZALA

JUŻ CHYBA PO RAZ DWUDZIESTY ODPRAWIAM dwu- lub trzytygodniowe rekolacje na „pustyni” w jednej ze wspólnot kontemplacyjnych w południowej Francji. Po powrocie do Polski słyszę zwykle: „Francja? – Puste kościoły. Brudne. Ruina. Laickość. Bezbożność. Antyklerykalizm. Masoneria. Upadek wiary”. Zwykle moi rozmówcy przywołują w tym miejscu

rewolucję francuską i wszelkie zło, jakie ona zrodziła. Obrywa się też prezydentowi Francji i całej Unii Europejskiej. Na koniec najczęściej dodają coś w tym stylu: „Jeśli laicyzm nas jeszcze całkiem nie zalał, to dzięki Kościołowi w Polsce, ostoji chrześcijaństwa. Jeszcze tylko u nas wierni co niedziela zapełniają świątynie, a dzieci chodzą na katechizę”. Czy rzeczywiście?

Zaangażowanie

Przez wieki Francja była w zdecydowanej większości katolicka („pierworodna córka Kościoła”). Liczne diecezje francuskie posiadały seminaria z dużą liczbą kandydatów do kapłaństwa. W wielu rodzinach jedno z dzieci wybierało drogę duchowną. Duża liczba księży wyjeżdżała z tego kraju (misje w XVII-XX wieku opierały się w du-

Siostry kibicują kolarzom podczas
Tour de France w Brignoles, lipiec 2009 r.

zej części na duchowieństwie francuskim, kształtowanym w seminarium Towarzystwa Misji Zagranicznych – Missions Étrangères, działającym do dzisiaj). Kościół francuski dysponował wielkimi zasobami, także materialnymi; w każdej wiosce była świątynia, czasem dwie. Na jedną przypadało kilkuset wiernych; w każdej z nich posługiwał kapłan lub kilku.

Aż oto przyszły lata 60. XX w. (symboliczny stał się rok 1968 utożsamiany z początkiem „rewolucji kulturalnej”). Mentalność człowieka Zachodu bardzo szybko się zmieniła. Na to nałożyły się zmiany w sposobie funkcjonowania Kościoła po Soborze Watykańskim II. Dość duża część chrześcijan we Francji – i nie tylko – oddaliła się od wiary, liczba powołań sukcesywnie spadała. Parafie – siłą rzeczy – łączono w większe jednostki. Obecnie jeden kapłan przypada na kilka, czasem kilkanaście wiosek, stacjonując tylko w jednej z nich. W pozostałych miejscowościach kościoły sprawiają wrażenie pustych (odprawiana jest tam msza w niektóre niedziele) lub zostały zamknięte.

Nie jest to jednak tylko dowodem „laicyzacji” społeczeństwa; miejsc kultu było po prostu zbyt wiele, by nadal mogły być obsługiwane w takim stopniu jak poprzednio. Ci, którzy nadal uczestniczą w Eucharystii, przyjeżdżają do kościoła centralnego lub do wyznaczonego na daną niedzielę.

Dzisiaj około 7 proc. Francuzów uważa się za osoby wierzące, uczęszczające regularnie na niedzielną mszę, co w porównaniu z Polską (ok. 30 proc.) wypada statystycznie blado. Francuzi jednak wierzą inaczej niż Polacy. Jeśli ktoś się deklaruje jako katolik, zwykle angażuje się w przygotowanie mszy (świeccy czytają lekcje, grają, śpiewają, rozdają komunię świętą, roznoszą ją do chorych) i w życie parafii (animują grupy modlitewne lub są ich członkami, katechizują dzieci przy kościele). Wielu z nich uczestniczy w regularnej formacji duchowej, należąc do jednej z nowych wspólnot. Dużo osób odmawia codziennie jutrznię i nieszpory, modli się w ciszy (30 lub 60 minut). Oczywiście nie jest to reguła, ale jeśli Francuz wierzy, to wierzy konsekwentnie.

Ludzie Boga

Spójrzmy szerzej: co się dzieje między parafiami? W odległości 10 kilometrów od miejsca, skąd piszę ten tekst, znajduje się klasztor cysterski Sénanque, gdzie mnisi śpiewają codziennie boskie oficjum. Z drugiej strony – Le Barroux, a w nim pięćdziesięciu kilku benedyktynów, którzy czynią podobnie w nowo zbudowanym na wzór romański klasztorze. W ostatnich latach odnotowano tam napływ tylu kandydatów, że zmuszeni byli otworzyć drugą fundację (między Agen a Tuluzą). 2 kilometry dalej wyrósł klasztor żeński (kościół konsekrowany w 2005 r.) – tutaj 30 mniszek w średniej wieku około 40 lat żyje według zasady św. Benedykta „*Ora et labora*” (módl się i pracuj), nigdy nie opuszczając klauzury (*ora* w całości po łacinie). W innym kierunku – trapistki z Blauvac. Mogę do nich dojść pieszo lasem i między winnicami w ciągu półtorej godziny. Przeciętna wieku podobna. Ile ich jest? – nie wiem. Nie liczę. Nie potrafię wyjść z kościoła, kiedy śpiewają psalmy przy wtórce cytry.

Nieco dalej – benedyktyni w opactwie Ganagobie z wielowiekową tradycją. Bardziej na południe – klasztor żeński (Notre Dame de Fidélité de Jouques – 45 benedyktynek w wieku od 19 do 90 lat). W kierunku morza – samotnia kartuzów, zaplecze Wielkiej Kartuzji znanej z filmu „Wielka cisza”, do której przenoszą się starsi anachoreci, niezdolni już do dalszego pobytu w ostrym klimacie alpejskim. Kartuzki mają swoje samotnie koło Reillanne. Wszystkie zajęte. Kandydatki zgłaszają się najpierw na kilkumiesięczny okres próbny (w kolejce czeka obecnie kilkanaście młodych dziewcząt – przyjmują po dwie na kilkumiesięczny pobyt sprawdzający). Karmelitanki są w Arles i Marsylii; klaryski klauzurowe – w Aix-en-Provence, Mounfaveit i również w Marsylii, dominikanki klauzurowe – w Saint-Maximin-la-Sainte-Baume, wizytki – w Sorgues i Tarascon. Byłbym zapomniał – jeszcze Aiguebelle, klasztor trapistów (z jedynym polskim trapistą, o. Michałem Ziolo); stąd wyruszyli mnisi do Tibhirine w Algierii, męczennicy beatyfikowani w ubiegłym roku. Ich historię opowiada film „Ludzie Boga”.

Wydawało mi się, że to koniec, a tymczasem w tym roku odkryłem trzy kolejne miejsca. Pierwsze to opactwo w Lioba (benedyktyni i benedyktynki), gdzie teolog André Louf spędził kilkanaście ostatnich lat swojego życia. Drugie – mała wspól-

nota siostr w opactwie Epiphany, czerpiąca także z tradycji prawosławnej i żydowskiej (piękne nieszpory!). Trzecie – Le Tubet – miejsce, gdzie narodziła się wspólnota Małych Sióstr Jezusa (w duchowości Karola de Foucauld). Nad ich klasztorem cmentarz z grobem o. René Voillaume’a, w którego książkach – „Echach Nazaretu”, „Rekolekcjach watykańskich” i innych – zaczytywałem się jako kleryk. Wszystkie te miejsca znajdują się w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od mojej obecnej pustelni. W każdym na niedzielną Eucharystię gromadzą się rzesze wiernych. Co jeszcze odkryję w przyszłym roku?

Pewnego dnia jestem w benedyktyńskim opactwie Bec Hellouin (benedyktyni biali; to stąd wyruszył do Anglii mnich Anzelm, późniejszy biskup Canterbury, święty i doktor Kościoła). W sobotę o 21.00 siostry zabierają mnie do klasztoru ojców na Godzinę Czytań. Dzwony biją, z różnych stron schodzą się ludzie. Po wejściu do środka – w chórze klasztornym mnisi i mniszki, a w nawie głównej około 200 osób, w tym 40 skautów. Wszyscy śpiewają psalmy, potem słuchają czytań brewiarzowych. Pełną godzinę. Nikt nie wychodzi. Następnego dnia kościół jest wypełniony po brzegi. Msza święta gregoriańska trwa półtorej godziny. „Przyjeżdżam tu regularnie z Paryża – zwierza mi się pewna kobieta po wyjściu z kościoła. – Tu jest moje miejsce”.

Takich miejsc jest we Francji wiele. Nie dziwny się, że kościoły parafialne wydają na nieco opustoszałe. Chrześcijanie przychodzą do wspólnot monastycznych, by tam wzbogacać swoje wnętrza. A ja każdego roku stawiam sobie pytanie: skąd oni biorą ludzi? Bo przecież to nie są dziesiątki ani setki. To tysiące osób konsekrowanych. Już nie mówiąc o pustelnikach, których liczbę we Francji szacuje się na trzystu. I o dziewicach konsekrowanych: w całym świecie jest ich 4 tysiące, z czego we Francji – 650.

W Polsce życie monastyczne zostało wykorzenione podczas zaborów i do dziś nie może się odrodzić. Zniknęli kartuzi (kiedyś zasiedlali Gidle, Kartuzy, Berezę Kartuską). Cystersi i benedyktyni objęli parafie. Kameduli ostali się w formie szczątkowej na krakowskich Bielanych i w Bieniszewie. Trapistów nigdy nie było. Pewnym znakiem nadziei są Wspólnoty Jerozolimskie i Betlejemitki w Grabowcu pod Wejherowem (obie wspólnoty importowane →

→ z... Francji). Życie polskich chrześcijan opiera się na strukturze parafialnej; francuskich – w dużym stopniu na wspólnotach monastycznych.

I nowych wspólnotach.

Nowa droga

W moich zapiskach kleryckich zanotowałem: po dziesięciu latach kapłaństwa poproszę o „rok szabatowy” – rok pustyni, samotności i ciszy. Gdy zbliżał się ten czas, zacząłem poszukiwania, gdzie mogłbym zrealizować swoje pragnienie. W Polsce – owszem, jest wiele klasztorów. Ale miejsca na roczny pobyt w samotności nie znalazłem. Rozglądnąłem się szerzej i wtedy ktoś mi powiedział o wspólnocie w południowej Francji, która oferuje nie

tylko możliwość takiego pobytu, ale jest do tego przygotowana i umożliwia dalszą formację, nawet przez całe życie. Nie zawiodłem się.

Każdego dnia była konferencja o modlitwie i życiu duchowym. A potem praktyka: dwie godziny modlitwy w ciszy – godzina rano, godzina wieczorem i jeszcze trzy razy w tygodniu – godzina w nocy o 1.00. Do południa praca fizyczna w winnicy lub w lesie. O 12.00 msza. A po niej dużo czasu indywidualnego na czytanie i rozmyślanie. Obok mnie rok samotności przeżywało dwóch księży i kilkanaście osób świeckich. Większość z nich pozostała na drugi rok. Ja musiałem wracać – taką miałem umowę z moim biskupem. Później dowiedziałem się, że podobnych

miejsz, gdzie można zamieszkać i uczestniczyć w życiu danej wspólnoty, jest we Francji... ponad 300! Dzisiaj ponownie jestem w „moim miejscu”. Rok szabatowy odbywa tu teraz 5 księży i około 20 świeckich.

Nowe wspólnoty to druga – obok klasztorów monastycznych – przestrzeń duchowa chrześcijan we Francji. Gdy po roku '68 część księży porzuciła sutannę, niektóre parafie zostały bez duszpasterza. Wierni, jak pierwsi chrześcijanie, schodzili się na wspólne czytanie Pisma Świętego i modlitwę. Niektórzy biskupi dostrzegli w tym szansę: zadbali o formację duchową i teologiczną świeckich. I tak w różnych miejscach pojawiły się załóżki około 150 nowych wspólnot.

Niektóre z nich rozrosły się do dużych rozmiarów, przekraczając granicę francuską. Emmanuel (dzisiaj ponad 10 tysięcy członków, w tym kilkaset świeckich konsekrowanych), Wspólnota Błogosławieństw (Béatitudes), Chleb Życia (Pain de Vie), Wspólnoty Jerozolimskie, Skała (Le Rocher), Słowo Życia (Verbe de Vie), Nowa Droga (Chemin Neuf). Do tego trzeba dodać Ogniska Miłości Marty Robin (Foyers de Charité – kilkadziesiąt tysięcy członków), Équipes Notre-Dame ks. Henriego Caffarela, Arkę (l'Arche) Jana Vaniera, wspólnotę ekumeniczną w Taizé oraz wiele instytutów świeckich, których nazw nie sposób tu wymienić. Każda z tych wspólnot ma swój własny charyzmat, własny kształt, własną strukturę, nieraz własne seminarium.

Diakonia

We Francji działa wielu świeckich diakonów, celibatariuszy lub żonatych. W Toulonie Gilles Rebêche założył 30 stowarzyszeń do prowadzenia różnych dzieł charytatywnych i domów na terenie diecezji – dla imigrantów, bezdomnych, samotnych matek, wykorzystywanych dziewcząt, chłopców z ulicy, byłych więźniów. Zatrudnia w nich 250 pracowników etatowych, pomaga mu ponad 2 tysiące wolontariuszy, w większości młodych. Rozpoczął w latach 80., nie mając nic poza sercem i parą rąk. Dzisiaj jego Diakonia jest modelem służby Kościoła w całej Francji – podobne dzieła powstają w innych diecezjach.

Słuchając rekolekcji Gilles'a przed kilkanaście laty, zapamiętałem jedną myśl: Bóg objawił swoje imię i nazwisko w Piśmie Świętym. Imię – w Starym Testamencie

POŻEGNANIE

„Ja jestem drogą, prawdą i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze mnie” [J 14, 6]

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że 24 marca 2019 roku odszedł do Pana nasz wspólny Ojciec, Dziadek, Teść i Wujek

ur. 11.01.1931 w Lwowie

ś.†P.

prof. dr hab. Mieczysław Inglot

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się Mszą Świętą w Kościele Uniwersyteckim Najświętszego Imienia Jezus przy placu Uniwersyteckim 1 we Wrocławiu, 6 kwietnia, w sobotę, o godzinie 10.00.

Odprowadzenie na miejsce wiecznego spoczynku nastąpi o godzinie 12.00 na cmentarzu Grabiszyńskim.

Pograżona w żalobie

RODZINA

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko...”

Ks. J. Twardowski

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ś.†P.

prof. dr hab. Mieczysława Inglota

historyka literatury polskiej, edytora, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, cenionego znawcy literatury okresu romantyzmu, przyjaciela „Tygodnika Powszechnego” i zasłużonego członka Klubu „Tygodnika Powszechnego” we Wrocławiu.

Wyrazy żalu i współczucia Rodzinie i Bliskim

przekazują

PRZYJACIELE Z KLUBU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
WE WROCŁAWIU



ANDRZEJ MUSZALA

Wspólnota Jerozolimska, kościół Saint-Gervais, Paryż

(Ja Jestem); nazwisko – w Nowym (Pośród was jako ten, który służy). Oto pełne objawienie się Boga człowiekowi: „Ja Jestem pośród was jako ten, który służy”. Na taki obraz zostaliśmy stworzeni. Tak mamy żyć.

Przed laty biskup namawiał Gilles’a, by został księdzem. On jednak wolał być diakonem. Dziś ma około 60 lat i ciągle otwiera nowe domy.

Godzina czuwania

W przekonaniu polskich wiernych francuskie seminaria są puste. W latach 80. ubiegłego wieku biskup Paryża kard. Jean-Marie Lustiger odważył się na ryzykowny krok: zamknął seminarium na dwa lata (kandydaci musieli czekać albo przenieśli się do innych diecezji). W tym czasie dokonał gruntownej reformy seminarium, dostosowując system kształcenia kleryków do wymagań współczesnego świata. Wprowadził rok propedeutyczny, by każdy kandydat mógł dobrze rozeznaczyć swoją drogę życia. To teraz norma w całej Francji. Wzmocnił formację duchową: klerycy, a następnie księża paryscy modlą się w ciszy godzinie każdego dnia, w myśl słów Mistrza: „Jednej godziny nie mogliście czuwać ze Mną?” – Mt 26, 40. I otworzył Szkołę Katedralną (l'École Cathédrale; dzisiaj Collège de Bernardins), dla której

opracowano nowy system studiów. Zrezygnował z jednego budynku seminarium, rozmieszczając kleryków w grupach 8-, 10-osobowych, każda ze swoim ojcem duchowym, w specjalnie do tego przygotowanych domach przy wybranych parafiach.

Dzisiaj diecezja paryska wyświęca rocznie kilkunastu księży. Kilkanaście lat temu na spotkaniu w seminarium paryskim ks. Grzegorz Ryś, dziś biskup łódzki, zadał pytanie: „Ilu kapłanów wyświęconych »po reformie« porzuciło kapłaństwo?”. „Jeden” – padła odpowiedź. Przez cały ten czas nie odnotowano w diecezji paryskiej żadnego skandalu na tle materialnym lub seksualnym.

Wspomnijmy też o seminarium wspólnoty św. Marcina (St. Martin) w Évron, które od kilkunastu lat przeżywa swój niebywały rozkwit. W tym roku kształci się w nim około 120 kleryków. Po święceniach neoprezbiterzy wysyłani są w trzyosobowych grupach do parafii różnych diecezji, zwłaszcza tych, które cierpią na brak powołań. Jednak niektóre diecezje radzą sobie całkiem dobrze. Seminarium w Toulonie liczy około 70 kleryków, w Aix-en-Provence na rok propedeutyczny zgłosiło się 17 kandydatów. Dla porównania w Warszawie pierwszy rok studiów rozpoczęło ośmiu kleryków, w Gdańsku

sześciu, w Częstochowie trzech, w Olsztynie jeden...

Zaplecze

Kościół francuski jest ubogi. Nie dysponuje wielkimi zasobami finansowymi. Księża nie są zatrudnieni w szkołach i nie otrzymują pensji od państwa. W szpitalach kapłani posługują za darmo, nieraz mają do pomocy przeszkolonych świeckich, którzy roznoszą komunie i rozmawiają z chorymi. W pewnym kilkunastotysięcznym mieście miałem okazję spotkać się z grupą katolicką, posługującą w lokalnym szpitalu, liczącą 60 wolontariuszy opieki duchowej pod kierownictwem diakona świeckiego.

Kapłani na parafiach utrzymywani są z ofiar wiernych: według ogólnie przyjętej zasady proponuje się, aby każdy uczestnik niedzielnej Eucharystii raz w roku przeznaczył 10 proc. swojej jednej pensji miesięcznej na utrzymanie duszpasterzy; pieniądze dzielone są po równo. Przekraczający próg seminarium to prawdziwi radykałowie, decydujący się porzucić wszystko, by stać się ewangelicznymi uczniami Pana.

Na początku XX wieku wszystkie kościoły – jako obiekty historyczne – przeszły na własność państwa. Parafie nie mogą ich restaurować, odnawiane są z budżetu →

→ państwowego, którego ciągle brakuje. Uwzględnić trzeba przy tym ogromną liczbę kościołów zabytkowych we Francji. Dlatego polskiemu katolikowi, który znajdzie się w jednym z nich, wydaje się on często brudny i zaniedbany; jakże łatwo wówczas wydać pobieżny sąd o „upadku wiary” i „laicyzacji”!

Mimo to Kościół francuski radzi sobie całkiem dobrze na tle Kościołów w sąsiednich krajach. Całą dobę nadawany jest telewizyjny program katolicki KTO (także w wersji internetowej: www.ktotv.com). Szczególnie piękne są transmisje mszy i nieszporów z Notre Dame w Paryżu oraz liturgii z kościoła Wspólnot Jerozolimskich; co wtorek transmitowane są debaty teologiczne (Les Mardis des Bèrnardins). Od 1880 r. wydawany jest dziennik katolicki „La Croix”: czytał go już ojciec św. Teresy z Lisieux, o czym wspomina święta w swoich „Rękopisach”. Dziś ma on ponad stu-tysięczny nakład. Ukazuje się też wiele tygodników i miesięczników katolickich („Panorama”, „La Vie”, „Le Pèlerin”, „Croire”, „Famille chrétienne”, „France Catholique”, „Témoignage Chrétien”, „Il est vivant!”).

Teologia francuska jest ciągle jedną z najbardziej liczących się w Kościele; wystarczy wspomnieć o pionierskiej serii patrystycznej „Sources Chrétienne”, wydawanej od lat 40. XX wieku (wydano już ponad 600 tomów) i wielkich słownikach: „Dictionnaire de théologie catholique” (24 tomy) lub „Dictionnaire de spiritualité” (także 24 tomy). Dobrze trzyma się filozofia personalistyczna młodego pokolenia (François-Xavier Bellamy, Fabrice Hadjadj tłumaczony także na język polski), duchowość („Chcę widzieć Boga” o. Marii Eugeniusza OCD

jest podstawą formacji w wielu wspólnotach zakonnych na całym świecie) oraz liturgia (śpiew gregoriański z Solesmes, kanony z Taizé czy też kompozycje liturgiczne André Gouzes’a upowszechniane przez polskich dominikanów). I można by pisać o wielu jeszcze innych znakach nadziei...

Ubodzy, a wzbogacają wielu

Chrześcijanie francuscy przekładają wiarę na życie. Działają tu mocne ruchy pro-life, które organizują „Marsze życia” i prowadzą szeroką działalność edukacyjną i medyczną, jednak bez uciekania się do eksponowania zdjęć płodów po aborcji. Wystarczy wymienić Fundację Jérôme Lejeune lub stowarzyszenie Alliance Vita.

Żyją w państwie religijnie neutralnym – słowo „laicki” nie ma w języku francuskim znaczenia pejoratywnego, jak w języku polskim, oznacza po prostu „neutralny”. „Ubodzy, a wzbogacają wielu. Pogardzają nimi, a oni w pogardzie tej znajdują chwałę. Ublizają im, a oni błogosławią. Obrażają ich, a oni okazują wszystkim szacunek” – jak pisał autor Listu do Diogneta w II wieku po Chrystusie.

Nie jestem frankofilem. Dostrzegam także słabości, słysząc np. o przykrych skandalach we Wspólnocie św. Jana, której założyciel molestował wychowanki. Ale gdy czasem słyszę pogardliwe opinie o Kościele francuskim, niestety nieraz z ust moich współbraci księży, wypowiedziane zwykle z trudnym do ukrycia poczuciem wyższości, myślę o tym, że od chrześcijan we Francji można by uczyć się tego, jak wejść w trudne czasy, które dla naszego Kościoła właśnie się zaczęły.

© KS. ANDRZEJ MUSZALA

Odwrót z Watykanu

ZUZANNA RADZIK

Odchodzą, tłumacząc, że rozbiły się o mur patriarchatu. Przyczyny dymisji redakcji watykańskiego kobiecego magazynu mogą być jednak mniej wzniosłe.

RZUCAMY RĘCZNIK, PONIEWAŻ CZUJEMY się otoczone atmosferą nieufności i postępującej delegitymizacji, pod spojrzeniem, w którym nie czujemy szacunku i kredytu koniecznego, by kontynuować naszą współpracę” – napisała w liście do papieża Franciszka Lucetta Scaraffia, naczelna kobiecego magazynu „Donne Chiesa Mondo” wychodzącego jako comiesięczny dodatek do watykańskiego tygodnika „L’Osservatore Romano”. Dodawała, że wraz z ich odejściem kończy się nowe i wyjątkowe doświadczenie dla Kościoła: to, że po raz pierwszy samorządna grupa kobiet mogła pracować w sercu Watykanu, w wolności umysłu i serca.

Naczelna ogłosiła, że ona i jej redaktorki podają się do dymisji. Co nie jest do końca jasne, bo redakcja „DCM” w dużej mierze polega na pracy redaktorek z różnych sekcji językowych „OR”. Czy dziennikarki odchodzą, czy tylko rozwiązują zespół zostając na pierwotnych stanowiskach?

TP

W KOLEJNYM WYDANIU DODATEK Z CYKLU „MUZYKA W TYGODNIKU”

Dwa ponadczasowe tematy łączą się w programie tegorocznego

23. Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena

Dwa skrajnie różne sposoby wyrażania emocji: poetycka pieśń romantyczna (sięgająca aż do współczesności) – i ekspresyjne, choć abstrakcyjne, kwartety smyczkowe Beethovena. Oba będą także tematami naszego specjalnego dodatku towarzyszącego Festiwalowi, który znajdzie Państwo już w następnym numerze „TP”. Wraz z przeglądem festiwalowych koncertów – bo nie brak na nim i innych wydarzeń, których nie sposób opuścić.





DOMENICO STINELLIS / AP / EAST NEWS

Lucetta Scaraffia, była redaktor naczelna miesięcznika „Donne Chiesa Mondo”, Rzym, luty 2018 r.

O tej decyzji błyskawicznie rozpisala się światowa prasa, nie tylko branżowa, podchwytując sugestie o cenzurze i patriarchacie. Scaraffia wspomniała bowiem o uciszaniu inicjatywy i powrocie do dawnego zwyczaju decydowania na górze oraz klerykalnej autoreferencyjności.

Od grudnia 2018 r. Giovanniego Marię Viana w funkcji redaktora naczelnego „L'Osservatore Romano” zastąpił Andrea Monda i to jego nowe porządki oburzyły kobietą redakcję.

Czy jednak chodzi faktycznie o powrót patriarchatu? Sprawa nie wydaje się aż tak jednoznaczna. Na razie Monda podkreślił, że historia dodatku wbrew zapowiedziom Scaraffi wcale się nie kończy, oraz że zapewniał zespołowi „DCM” całkowitą autonomię i wolność.

Słuchanie kobiet

Siła oddziaływania dodatku „Donne Chiesa Mondo” jest niepodobna innym wyrażającym głos kobiet. Comiesięczny

suplement, który dociera do rąk prenumeratorów, dostępny jest po włosku, hiszpańsku i francusku, a po angielsku w wersji internetowej; ma ok. 12 tys. nakładu.

Jednak nie to stanowi o sile jego głosu, lecz fakt, że to watykańskie i zarazem kobiece pismo. Ilekroć redaktorkom zdarzyło się w jakiejś sprawie tupnąć nogą, od razu podchwytowały to inne duże media, choć nie zawsze był to najradzykalniejszy głos w danym temacie. Tak było przy okazji szumu, jaki wywołał lutowy numer ➔

TP

W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA” **DODATEK „TISCHNEROWSKI”**, a w nim:

- nieznany wywiad Natalii Adaszyńskiej z ks. Józefem Tischnerem z 1988 r. – o relacji mistrz–uczeń, o sensie uprawiania filozofii i o teatrze
- relacja z tegorocznych Dni Tischnerowskich
- portrety tegorocznych laureatów Nagrody Znaku i Hestii im. ks. J. Tischnera: dominikanina o. Ludwika Wiśniewskiego, eseisty Łukasza Garbala oraz Lidii i Jerzego Owsiazków

Zapraszamy do lektury!

ERGO
HESTIA

UNIWERSYTET
JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE

60
znak



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

→ wspominający o molestowaniu seksualnym zakonnic. Niby pisano o tym wcześniej gdzie indziej i bardziej dobitnie, ale to po publikacji „DCM” dziennikarze skonfrontowali z tematem papieża, a ten przyznał, że takie przypadki się zdarzają. Podobnie rok temu pismo zwróciło uwagę na źle opłacaną czy wręcz niewolniczą pracę zakonnic, co również wzmogło zainteresowanie tematem. Trzeba przyznać, że redakcja umiejętnie używa watykańskości tytułu do podkreślenia wagi niektórych spraw.

Niech nikt jednak nie ulegnie złudzeniu, że mieliśmy do czynienia z radykalnie feministycznym pismem, które co miesiąc gotowało rewolucję w Kościele i teraz zostało zdławione przez jeźdźców kościelnego patriarchy. To raczej starannie redagowany magazyn o religii, kulturze i sztuce, który co jakiś czas pozwalał sobie na zaczepkę w ważnej sprawie. Za to, że pismo brało na warsztat tematy od lat omawiane przez katolickie feministki, były one wdzięczne. Kilka lat temu zwróciło uwagę na temat diakonatu kobiet, który dzięki redakcyjnemu namaszczeniu przestał być czymś, o czym w katolickich kręgach nie wypada dyskutować.

Skąd więc w „L'Osservatore Romano” wziął się taki kobiecy magazyn? Za poprzedniego pontyfikatu Benedykt XVI zażył sobie obecności kobiet w „OR” jako dziennikarek. Wcześniej nie pracowała tam w roli dziennikarki żadna kobieta. To wtedy Giovanni Maria Vian zaproponował Lucettie Scaraffii prowadzenie stron „Donne Chiesa Mondo”. W 2016 r. z czterostronicowego dodatku przekształcił się on w czterdziestostronicowy magazyn o osobnym grzbiecie. Ta magazynowa forma miała „wytyczyć drogę nowemu, pozytywnemu nawykowi słuchania kobiet” – podkreślał w 2016 r. watykański sekretarz stanu kard. Pietro Parolin.

Intencje z początku były skromne. W pierwszym numerze dodatku w 2012 r. pisały: „Mamy nadzieję, że w ten sposób przysłużymy się zwiększeniu wiedzy na temat roli kobiet w Kościele dziś i w przyszłości”. I faktycznie, łamy wykorzystywały do pokazywania różnorodnego zaangażowania kobiet w Kościele. Jak tłumaczyła „Tygodnikowi” zaangażowana w tworzenie magazynu Giulia Galeotti („TP” nr 27/2016), redaktorki postanowiły pokazać, że kobiety to temat: – Ważne jest, jak zaczynamy. Uznałyśmy, że w Watykanie i w Kościele mądrzej jest nie pro-

Siła oddziaływania kobiecego dodatku

do watykańskiego dziennika
nie ma sobie równej.
Ilekcio redaktorkom
zdarzyło się w jakiejś sprawie
tupnąć nogą,
od razu podchwytowały
to inne duże media.

sić, tylko pokazać wszystkie rzeczy, które kobiety robią w Kościele katolickim. Jest tego sporo, a ludzie nie wiedzą lub udają, że tego nie dostrzegają.

Faktycznie, ich łamy pozwalały poznać katolickie autorki z różnych części świata, dowiedzieć się o zapomnianych kobiecych postaciach czy wysłuchać opinii żyjących. Galeotti w tamtej rozmowie podkreślała, że „Donne Chiesa Mondo” to pismo środka, i przyznawała też, że zadowolenie wszystkich jest misją niemożliwą. Oczekiwania wobec nich miały zarówno katolickie feministki, jak i Watykan, gdzie tematy związane z kobietami wciąż są obce i elektryzujące. – To, co drukujemy, ludzie traktują jak oficjalne wypowiedzi, ale tak nie jest. Jesteśmy grupą ludzi Kościoła, która stara się to robić jak najlepiej – mówiła Galeotti.

Osoba naczelnej

Tę grupę ludzi Kościoła zebrała Lucetta Scaraffia i być może najwięcej o tym przedsięwzięciu, w gruncie rzeczy dość autorskim, mówi postać samej naczelnej pisma.

Scaraffia była jedną z pierwszych włoskich feministek, która potem oddaliła się od liberalnego nurtu. Zajęła się studiowaniem sytuacji zakonnic, przeżyła nawrócenie. Konserwatystka: obrończyni encykliki „Humanae vitae”, przeciwniczka kapłaństwa kobiet, małżeństw jednopłciowych oraz adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Z jednej strony krytykuje Kościół w sprawach kobiet, z drugiej podkreśla, że jest lepiej niż mówią niektórzy. Na przykład ważne jest docenianie przez Kościół macierzyństwa, które świat traktuje lekceważąco.

Włoska prasa podkreśla, że jest eksfeministką i eksmarksistką, która w tej chwili jest na froncie obrony Kościoła przed polityczną poprawnością. I faktycznie tak brzmiał głos Scaraffii, gdy zasiadała w komisji bioetycznej. Zdawać by się mogło, że jest blisko bezpiecznego „nowego feminizmu”, gdyby nie zaskakiwała światowych mediów od czasu do czasu swoimi mocnymi wypowiedziami. W 2012 r. AFP cytowała jej słowa: „Nie da się tak dalej. W Kościele jest mizoginia i kobiety są rozgniewane”. Do znudzenia powtarza też, że kobiety są większością w Kościele i większością wśród osób zakonnych – i powinny być słyszane.

Podczas konferencji Catholic Women Speak w październiku 2018 r. wygłosiła płomienne przemówienie, w którym pytała, czemu dotąd mocniej nie konfrontowałyśmy się z hierarchią. I choć przemówienie zrobiło ogromne wrażenie swoją wyrazistością, mogło wydawać się też nie stosowne. Ostatecznie dosyć konserwatywna kobieta, która wybrała strategię działania od wewnątrz i przez kompromis, o „naszych zaniechaniach” mówiła również do obecnych na sali działaczek, z których niektóre już 40 lat temu demonstrowały na ulicach i zawsze w zdecydowany sposób mówiły, co myślą.

Kłopotliwe pytania

„Nowy magazyn ma zwrócić uwagę na głos kobiet – mówił o „Donne Chiesa Mondo” parę lat temu kard. Parolin. – Jeśli nie posłuchamy uważnie głosu kobiet w decydujących momentach życia Kościoła, stracimy kluczowy wkład geniuszu kobiet w Kościół”.

Ten szlachetny gest, jakim było utworzenie miejsca dla kobiet i ich wolnego głosu w watykańskiej redakcji, nie jest zupełnie niekontrowersyjny. Można bowiem zastanawiać się nad przejrzystością nominacji, np. dlaczego Scaraffia? Ale można też pytać: czy akurat kobieca redakcja powinna mieć większą autonomię wobec naczelnego niż wszystkie inne redakcje? Na czym fundowana jest ta wyjątkowość akurat kobiecego magazynu, że ma być niezależny od nowo mianowanych szefów, którzy biorą odpowiedzialność za watykańską komunikację? Ostatecznie mówimy o prasowym organie Watykanu, a nie niezależnej gazecie.

Tu dodatkowym tematem jest autorstwo przedsięwzięcia, jakim było „DCM”. To wielka władza, mieć taką pozycję, by

kształtować linię wpływowego pisma. Trzeba rozumieć swój przywilej. Chyba trudno uważać, że będzie się to działo poza watykańską i redakcyjną polityką albo kontrolą komunikacji płynącej z kościelnej centrali.

Cała ta sytuacja przypomina nam też o problemie nieprzejrzystości nominacji. Problemie, o który można potknąć się wszędzie w Kościele i w watykańskich urzędach.

Czemu akurat Scaraffia ma kształtować ton rozmowy o kobietach? Jak zwykle w Watykanie nikt nie ogłaszał konkursu. Scaraffia umiejętnie skorzystała z otrzymanej możliwości, ale ponieważ jest to *dream job* dla niejednej katolickiej feministki, warto pytać: czemu dotychczasowa linia pisma musi być nietykalna?

W rozmowie z Associated Press, które ujawniło sprawę, Lucetta Scaraffia wspomina, że Andrea Monda już w styczniu zasugerował jej, że przejmie rolę redaktora, a następnie wycofał się, gdy zespół zagroził dymisją. Wspomina też o wprowadzeniu na łamy „L'Osservatore Romano” autorem reprezentujących inną linię. Znów, skąd oczekiwanie, że naczelna kobiecego magazynu musi aprobować autorki publikujące na jego głównych łamach? To chyba dobrze, że „L'Osservatore Romano” włącza kobiecy głos nie tylko w stworzonym do tego celu dodatku. Zwłaszcza że ten głos nie był znacząco różny od linii pisma Scaraffii.

Bardziej wprost na ten temat pisze Rita Ferrone na łamach „Commonweal Maga-

zine”, sugerując, że właśnie może na tym polega problem. Dobre dziennikarstwo robione przez kobiety spoza zespołu Scaraffii sprawia, że kobiecy dodatek nie jest już czymś wyjątkowym. Daje do myślenia także fakt, że ostateczna decyzja o rezygnacji została podjęta po informacji, iż „L'Osservatore Romano” planuje zorganizować konferencję o kobietach.

Scaraffia stawia też zarzut delegitymizowania jej redakcji i zatrudniania tylko posłusznych kobiet. Taki argument to niebezpieczna broń. Bez konkretów pozostaje insynuacją skierowaną do nowych autorek „OR”, co jest nie fair. Poza tym mógłby być użyty również wobec naczelnej „DCM”. Owszem, udzielała ostrzejszych wywiadów i wpuszczała na łamy trudniejsze tematy, ale wciąż pasowała do linii redakcyjnej ze swoim konserwatyżmem. Z jakiegoś powodu wolność myśli i serca, którą zachwala w liście do papieża, nie obejmowała bardziej radykalnych głosów, obecnych przecież wśród kobiet w Kościele.

Zostajemy więc z pytaniem: czy poprzedni naczelny był bardziej otwarty na kwestie kobiet, czy też może bardziej otwarty na współpracę z Lucettą Scaraffią? Gromy posypały się na Mondę, jakby był reprezentantem cenzury i patriarchatu. Wiemy jednak tylko, że jest nowym naczelnym watykańskiej prasy i próbuje zacząć naznaczać ją swoim stylem zarządzania. Nie jest tajemnicą, że wbrew wcześniejszym zwyczajom pojawił się na styczniowym zebraniu redakcyjnym „DCM”,

a jego uwagi nie zostały dobrze przyjęte. Łatce „propagatora patriarchatu” przeczą fakty: wpuszczenie na łamy nowych kobiecych głosów, a także zaproszenie na spotkanie 1 kwietnia ponad 30 katolickich publicystek, wśród nich również tych, którym poetyka „wkładu geniuszu kobiety w Kościół” jest obca, i nie można powiedzieć, by były „posłuszne”.

To wszystko sprawia, że zwłaszcza włoska prasa, bliżej znająca Scaraffię, zaczęła podkreślać, iż przyczyną sporu nie jest patriarchat, lecz ambicje. Pozostajemy zatem z pytaniami, o co właściwie chodzi. Jeśli rzeczywiste ambicje wchodzą w grę, spektakularne publiczne odejście odda sprawie kobiecej niedźwiedzią przysługę.

Zadanie zostaje

Nie można jednak ignorować okoliczności, że kariery w Kościele robią zwykle kobiety lojalne i posłuszne. Na próżno szukać feministycznych działaczek i teolożek w radach duszpasterskich, na wydziałach teologicznych czy na kościelnych stanowiskach. Podobna zasada dotyczy także świeckich i w dużej mierze księży.

Wolność głosu w Kościele wymaga „wyalczenia” sobie niezależności, czasem wręcz zadbania, by materialny byt nie był zależny od konsekwencji wygłaszanych opinii. Jest to jedna z patologii systemu. Większość z nas nie ma jednak przywileju spektakularnego podania się do dymisji ani „rzucenia ręcznikiem”. W Kościele nie można zaprzestać pracy na rzecz równości kobiet i mężczyzn. © ZUZANNA RADZIK

REKLAMA



NOWI NIEWOLNICY BRANŻY NOWYCH TECHNOLOGII

W szczytowym okresie rozkwitu start-upów dziennikarz Corey Pein wyrusza do Doliny Krzemowej, by dowiedzieć się, dlaczego ta branża tak długo prosperuje. Aby w pełni zrozumieć zwariowaną rzeczywistość przedsiębiorców internetowych sam zostaje przedsiębiorcą.

Nowy Dzik Zachód to wnikliwy portret zafiksowanej na swoim punkcie branży high-tech. Obnaża jej zachłanność i pychę a także odstawia plany na przyszłość. Autor stawia alarmującą tezę: choć przyszłość nowych technologii przedstawia się obiecująco, to przeciętnym ludziom nie pozostanie nic oprócz intensywnej i nieprzerwanej pracy – aż do śmierci. Z tej ścieżki „postępu” ludzkość nie może już raczej zejść.

GAME OVER

www.wuj.pl



Cornelis Engebrechtsz, Powołanie Mateusza (ok. 1462–1527)

mechanicznie i staniemy się uważni na to, co mówimy, zostaniemy zaproszeni do tego, aby modlić się własnymi słowami, bardziej spontanicznie. Stopniowo otworzy się przed nami Pismo Święte. Zaczniemy je czytać i rozważać. Sięgnijemy po komentarze, które pogłębią naszą medytację. Będzie nas jednak coraz bardziej pociągała cisza. Aż wreszcie, pewnego dnia odkryjemy ze zdumieniem, że bardziej niż mówić, myśleć lub posługiwać się wyobraźnią podczas modlitwy, wolimy po prostu trwać miłosną uwagą przy Tym, w którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy (por. Dz 17, 28). Nasza modlitwa bardzo się uprości. Możemy powiedzieć, że przesunie się z głowy do serca. Nasze działanie (ja się modlę, ja rozważam, ja czytam, ja sobie wyobrażam) ustąpi aktywnej bierności, postawie, w której przyjmowanie Tego, który przychodzi, będzie miało kluczowe znaczenie. Warunkiem niezbędnym do tego jest, wspomniana już wyżej, wierność praktykowania.

Żyjemy w przedziwnych czasach, w których większość ludzi cierpi na swoistą duchową anoreksję – umierają z głodu, ale nie mają ochoty jeść. Wierna modlitwa wymaga decyzji. Staje się centrum naszego życia nie przez to, że będzie się wydłużała w nieskończoność, ale przez to, że stanie się stałą praktyką, którą podejmujemy codziennie. Niekoniecznie długo, ale stale, wiernie, najlepiej o tej samej porze dnia, w ten sam sposób (chyba że zostaniemy pociągnięci do zmiany), w określonym czasie (10-15 minut dla początkujących najczęściej wystarczy). Ale uważajmy, decyzja o wiernej modlitwie jest niebezpieczna, ona zmienia życie. Błahe z pozoru dziesięć minut jest jak pierwszy puzzle, który kładziemy w centralnym miejscu – wszystkie inne powinny się do niego dopasować. Albo dadzą się ułożyć wokół, albo nie należą do naszej układanki...

W tym tygodniu zachęcamy do tego, aby codziennie znaleźć spokojne miejsce i stały czas, w którym będzie można zasiąść do własnej podróży w głąb. Warto nastawić sobie minutnik na 10-15 minut. Ważna jest regularność i wierność temu, co podjęliśmy (stała pora, stały czas trwania, stała postawa i stała forma modlitwy). Chodźmy zobaczyć, gdzie On mieszka. ©

MONIKA I DIAKON MARCIN GAJDOWIE są małżonkami od 28 lat, rodzicami czworga dzieci, terapeutami i rekolekcjonistami.

Puzzle duszy

MONIKA I MARCIN GAJDOWIE

Jeśli będziemy wierni, to znaczy regularni w naszych praktykach duchowych, modlitwa będzie się zmieniała.

PRZEZ KOLEJNE TYGODNIE WIELKIEGO Postu rozważamy fragment Ewangelii Świętego Jana. Dzisiaj część czwarta. Pogrubioną czcionką zaznaczamy zdanie, nad którym chcemy się tym razem pochylić.

„Dwaj uczniowie (...) poszli za Jezusem. Jezus zaś odwróciwszy się i ujrzawszy, że oni idą za Nim, rzekł do nich: »Czego szukacie?«. Oni powiedzieli do Niego: »Rabbi! – to znaczy: Nauczycielu – gdzie mieszkasz?«. **ODPOWIEDZIAŁ IM: »CHODŹCIE, A ZOBACZCIE«.** Poszli więc i zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego” (J 1, 37-39).

Jezus zaprasza uczniów do wyruszenia w drogę. Nie udziela im informacji („Mieszkam na ulicy Jerozolimskiej 5a”), ale zachęca do osobistego doświadczenia.

Prawdziwi mistrzowie modlitwy nie przekonują nikogo o tym, że istnieje życie duchowe. Nie biegają za uczniami, prosząc, by ci podjęli praktykę. Nie toczą z nikim sporów na temat istnienia Boga. Do niczego nie zmuszają ani niczym nie straszą. Raczej przypominają nurka, który widząc wspaniały podwodny świat, wie, że

na próżno jest wylawiać morskie stworzenia, aby je ukazać komuś na brzegu – w rękach pozostaje jedynie bezkształtna masa. Przemieniony pięknem, którego doświadcza, nauczyciel zachęca ucznia: Sprawdź sam. Chodź i zobacz. Nie chcę i nie mogę za ciebie przejść tej drogi. Sam jestem w drodze. Mogę jedynie pomóc ci wyruszyć. Daj się zaskoczyć i osobiście poprowadzić łasce. Czy masz gotowość wyruszenia w nieznane? Czy jesteś zdecydowany?

Być może taki właśnie zamiar mieli autorzy tekstu, który rozważamy. Chcieli, aby czytelnik podjął własną praktykę duchową. Nigdzie dalej w tekście Ewangelii nie znajdziemy opisu tego, co zobaczyli uczniowie. Pozostajemy z niedosytem, który zaprasza nas do podjęcia osobistej decyzji. Bo tylko decyzje zmieniają życie...

Droga duchowa to proces. Śp. ksiądz Krzysztof Grzywocz mawiał, że Bóg kocha proces. Co to dla nas oznacza? Jeśli będziemy wierni, to znaczy regularni w naszych praktykach duchowych, modlitwa będzie się zmieniała. Na początku zazwyczaj modlimy się używając prostych formuł, przekazanych nam w dzieciństwie. Jeśli tylko nie będziemy ich powtarzali

SZYMON

Hołownia: Mniam mniam



PAN PREZYDENT DZIELI SIĘ NA TWITTERZE wspomnieniami z odwiedzin w masarni, zachwycając się mięsem „3-letniego byka ubitego przed dwoma dniami”, pompacyjnie deklaruje, że my dziś „dyktujemy światu, jak powinna być produkowana żywność, która sprzyja zdrowiu”. A ja zastanawiam się, czy naprawdę jest na tym świecie choć jedna dusza tak naiwna, by uwierzyć w tak amatorską i toporną kampanię, mającą rzecz jasna odczarować to, co parę miesięcy temu pokazał „Superwizjer”: zabijanie w mazowieckiej rzeźni krów tak chorych, że na rzeź wciągano je elektrycznymi wyciągarkami, rozsyłanie ich truchel po połowie Europy (o cudownych uzdrowieniach, jakich masowo dokonują nasze ubojnie, wiele pisze ostatni raport „Mięso poza kontrolą” przygotowany przez Greenpeace: u 22 proc. krów i u 35 proc. jadących do rzeźni świń wykryto zmiany chorobowe, ale 99 proc. z nich i tak zostało po śmierci uznanych za zdatne do spożycia).

Jasne, że szkoda, iż ten – cztery lata temu, pamiętam jak dziś – wielki miłośnik zwierząt nie pofatygował się do ubojni również dwa dni temu, by osobiście pozachwycić się zapędzaniem owego byka, który dziś tak mu smakuje, do zagrody, w której ktoś wstrzelił mu w mózg metalowy bolec, co z pewnością wywołało krwawienie ze zniszczonego w ten sposób mózgu, upadek, może drgawki. Czemu na pewno towarzyszył paniczny strach zwierzęcia.

Całe szczęście jednak, że trafiło na człowieka, który stale się uczy, wszędzie się uczy. Może (zaraz po tym, jak nauczył się, choćby ze znakomitej książki „Nauka o klimacie”, polecam, skąd bierze się globalne ocieplenie) nauczył się też, że promowanie spożycia i produkcji mięsa to jedna z najgłupszych rzeczy, jakie może zrobić dziś polityk świadomy i chcący rzeczywiście wziąć odpowiedzialność za losy wspólnoty. Może popieściwszy ego rzeźników, wysłucha też tych, którzy przekonują, że nie istnieje coś takiego jak mięso, które „służy zdrowiu”. Poczyta o tym, kto w Polsce rzeczywiście korzysta z dopłat rolnych, pozna pojęcie „chowu intensywnego”, zasępi się nad uprzedmiotowieniem polskiego rolnictwa. Dowie się, w jakiej skali przemysł spożywczy (jako jedyny tak w tym sprawny na świecie) przerzuca na innych wyborców pana prezydenta koszty swojej działalności.

Zamiast (co za zadanie dla głowy państwa) już po raz drugi służyć ministrowi rolnictwa za obwoźną marionetkę, której zadaniem jest napchać się przed obiektami mięskim i zamłaskać „mniam mniam”, zrozumie, że nikomu nie chodzi tu o to, by producentów żywności zostawić bez pracy, ale o to, by wreszcie wspólnie zacząć od nich wymagać odkrycia, iż nie żyją w wieku XIX, a XXI, w którym – jeśli wszyscy za chwilę nie mamy skończyć w oceanie świńskich odchodów, z rakiem je-

lita grubego, przebieżkowaniem, cukrzycą i drugą Wenezuelą (rolnictwo przemysłowe dokłada się potężnie do globalnego ocieplenia, globalne ocieplenie to rzeki bez wody do chłodzenia elektrowni), potrzebujemy innego modelu produkcji tego, co jemy, innego modelu jedzenia tego, co zjeść musimy. I nie chodzi tu nawet o owego byka, którego spotkał zaszczepiony pszczenia przez siedem sekund kubków smakowych pierwszego obywatela, a o to, że bezmyślne podążanie za mięsną apologią prezydenta może za pokolenie czy dwa skończyć się tym, że nie tylko byki będą miały w tym kraju przerąbane, ale i ich konsumenci.

Nie o ideologiczny weganizm tu chodzi, chodzi o horyzont myślenia, który u naszych przywódców (żeby była jasność – w tym względzie u poprzedniego dokładnie tak samo, jak u obecnego) jest tak boleśnie blisko. Oczywiście, że wiem, że zaczęła się kampania wyborcza. Nie muszę patrzeć w kalendarz – wiem to zawsze, gdy na spotkaniach, z którymi jeżdżę po Polsce, pierwsze ławki zaczynają nagle zaludniać się garniturem miejscowych posłów, senatorów, radnych. Gatunek *politiscus vulgaris* w naszych warunkach okres godowy ma co cztery lata. Mniej więcej na rok przed wyborami nagle znów ożywa jego Facebook, znów kompulsywnie przyjmuje wszystkie zaproszenia na Turniej Najpiękniejszych Balkonów, Święto Świni i obchody 32. Rocznicy Wyremontowania Parowozu. Idzie tam, gdzie wie, że będą ludzie, by przypomnieć im, że w ogóle istnieje. Później rzecz jasna będzie – na latarniach, płotach, kamienicach – ta galeria kiepskiego portretu. I wreszcie apogeum tarła: akt wyborczy, po którym polityk oddał się na trzy (czy cztery) lata, by kiedyś powrócić nabuzowany hormonami miłości do prostego ludu w opisanym wyżej trybie.

Rozmawiam z tymi ludźmi, w kuluarach, w poczekalniach, w samolotach. Nie są głupi, części z nich – niezależnie od ugrupowania – naprawdę zależy na tym, żeby coś sensownego zrobić. Gdy jednak przyjdzie co do czego, wszyscy – jak dziś pan prezydent – zapadają na zakaźną kadencjoję. Objężdżając po kolei gałęzie gospodarki i społecznego życia: tu dadzą sobie zrobić zdjęcie, jak zatopieni w modlitwie z Bogiem samym omawiają problemy republiki, tu trzyletniego byka wezmą na trzonołce, wysyłając jasny komunikat: „Rzeźnicy! Jestem jednym z Was”. Tu pogłaszczą maszynę w fabryce, tam na gospodarskiej wizycie w wojsku wystąpią w mundurze (wszak wiadomo, że jak ktoś się ubierze w mundur, to od razu rozumie, co to znaczy być żołnierzem).

To chyba Guy Verhofstadt (tak, właśnie ten, orędownik tej szatańskiej nałożnicy UE, do której pielgrzymuje teraz po pracę cały nasz rząd, niebaczny, że my nie chcemy wspierać ich na imigracji, bo przecież „ważniejsza jest pomoc na miejscu”) powiedział kiedyś, że polityk nie jest od tego, by mówić ludziom to, co chcą usłyszeć, ale od tego, by mówić im to, co ktoś im powiedzieć musi. To jest XXI wiek, panie i panowie. Numery z objężdżaniem masarni można było robić za Gomułki, maksymalnie za Gierka. Dziś nie potrzeba nam cywilizacyjnych grup rekonstrukcyjnych, które pokażą nam „szynkę jak za dziadka”. Trzeba ludzi, którzy nam, stawiającym właśnie pierwsze kroki na nieznanym lądzie, w świecie, w którym nic nie jest już tym, czym było (od jedzenia zaczynając, idąc przez technologię, media, politykę, zdrowie, na Kościele kończąc), wytyczą nowe drogi. Miast przekonywać, że aby dobrze iść do przodu, wystarczy (głośniejszym mlaszcząc) szybciej iść do tyłu. ©



Zatrzymanie znanej opozycjonistki Marii José Castillo podczas protestu przeciwko rządowi Daniela Ortegi. Managua, 16 marca 2019 r.

PRZY STOLE Z TYRANEM

W cieniu światowych konfliktów w Nikaragui trwa od roku rewolucja przeciw skorumpowanemu lewicowemu reżimowi. Czy mediacja Kościoła pomoże zakończyć kryzys, w którym zginęło już 500 ludzi?

DOMINIKA MATEJKO

OD WIELU MIESIĘCY JESTEŚMY ŚWIADKAMI burzliwych zmian w dwóch krajach Ameryki Łacińskiej. Łączy je to, że ich władze usiłowały wprowadzać socjalizm, a skończyły na dyktaturze. Po masowych protestach w Wenezueli, która obecnie ma dwóch prezydentów – jednego uznanego przez demokratyczną część kontynentu i Zachód, a drugiego uznanego przez zwolenników rewolucji kubańskiej w wersji à la Chávez oraz Rosję; obaj trzymają się w szachu – przyszedł czas na Nikaragwę.

W lutym opozycyjna koalicja, Alianza Cívica, podjęła kolejną próbę nawiązania negocjacji z 73-letnim prezydentem Danielem Ortegą. Od kwietnia 2018 r. w kraju trwa bowiem pełzająca rewolucja, której towarzyszą co chwila masakry demonstrantów.

W ciągu ostatnich 11 miesięcy w nikaraguańską ziemię wsiąknęło więcej krwi niż podczas ostatnich dekad – od zakończenia wojny domowej niemal 30 lat temu. Podczas protestów zginęło już prawie 500 osób (uwzględniając liczbę ludności to tak, jakby w Polsce zginęło ok. 3 tys.). Ponad 700 osób uznaje się za więźniów politycznych. Jeśli dodamy przymusowych emigrantów (ich liczbę szacuje się na 600 tys.) oraz kilkuset zaginionych, okaże się, że odsetek ludności tego sześciomilionowego kraju, który ucierpiał od 2018 r., jest znaczący.

Czy jest nadzieja na ugodę, na demokratyczne zmiany? Historia Nikaragui pokazuje, że kraj ten rzadko cieszył się trwałym pokojem. Ale Nikaraguańczycy, z którymi rozmawiałam, deklarują, że są gotowi zaryzykować wszystko, nawet życie, byle móc cieszyć się wolnością.

Z ojca na syna

Prezydentem Ortega jest od 2007 r. Urząd ten sprawuje po raz drugi – pierwszy raz było to w latach 1985-90. Wówczas zyskał miano ikony – zwłaszcza w ówczesnym bloku wschodnim i wśród zachodniej lewicy. Propaganda PRL przyrównywała go do Che Guevary i Fidela Castro. Jako lider Sandinistowskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego (FSLN; w skrócie: sandiniści), uznawany był za pogromcę prawicowego reżimu rodziny Somozów.

Bo Nikaragua nigdy nie była wolna od dyktatorów. Anastasio Somoza García, jego starszy syn Luis i młodszy syn Anastasio junior rządili autorytarnie krajem od 1937 r. Przez ponad cztery dekady

władza przechodziła z ojca na syna i tylko sporadycznie była przejmowana przez innego konserwatystę. Zwykle do czasu, aż kolejny Somoza podrośl na tyle, że wojskowy mundur ojca pasował jak ulał.

Patrząc na statystyki, ktoś mógłby powiedzieć, że za Somozów nie działo się źle. Wszystkie wskaźniki ekonomiczne utrzymywały świat w przekonaniu o dużym potencjale produkcyjnym kraju. Między rokiem 1948 i 1956 PKB wzrósł prawie dwukrotnie. W tamtych czasach Nikaragua była czymś w rodzaju dzisiejszych azjatyckich „tygrysów”. Jednak w praktyce tylko wąskie grono uprzywilejowanych – rodzina Somozów i jej otoczenie – mogło korzystać z rosnącego PKB. Przeciwnemu obywatelowi musiały wystarczyć okruciny.

Sandiniści obejmują władzę

Lud nie miał zamiaru trwać biernie. Wygrana w 1959 r. rewolucja kubańska szybko stała się inspiracją dla Nikaragui. Idee socjalistycznej rewolucji jednocyliły zresztą wtedy *guerrilleros* w Ameryce Południowej i Środkowej. Nikaraguańczycy, podobnie jak ich kubańscy towarzysze, walczyli przeciw burżuazji. Aby to osiągnąć, musieli pozbyć się Somozów, a to wymagało sprawnej organizacji: w 1961 r. powstał Sandinistowski Front Wyzwolenia Narodowego.

Przez prawie 20 lat sandiniści nie mogli pochwalić się większymi sukcesami. Dopiero w 1979 r. doszło do zdecydowanego zwrotu akcji. W lipcu tego roku partyzanci zdobyli Managuę, stolicę kraju, wraz z jej najważniejszą fortecą – pałacem prezydenckim. W ten sposób sandiniści przejęli władzę w kraju.

Anastasio Somoza junior rzucił się do ucieczki. Na pokład samolotu do Asunción, stolicy Paragwaju, zabrał synów i kochankę. Ucieczka pozwoliła mu przeżyć jeszcze tylko kolejny rok: w sierpniu 1980 r. został zamordowany przez argentyńskich partyzantów.

Kontratak

Przejęcie władzy przez FSLN było jednoznaczne z utratą strefy wpływów Stanów Zjednoczonych nad tą częścią Ameryki Środkowej. W porozumieniu z niewielką grupą nikaraguańskich opozycjonistów amerykańskie tajne służby utworzyły partyzanckie oddziały kontrewolucyjne o nazwie Contras.

Partyzanci w mgnieniu oka zorientowali się, że wojna z rewolucjonistami jest nie tylko misją, ale też doskonałym biznesem. Członkowie Contras, oprócz walki zbrojnej, zaczęli zajmować się również przemysłem kokainy do Stanów i sprzedają broni Iranowi (także tej, którą otrzymali od CIA).

Coraz skromniejszy budżet państwa i załamanie się komunizmu oraz rozpad Związku Sowieckiego – oznaczający koniec (lub przynajmniej znaczące ograniczenie) wsparcia dla sojuszników Moskwy z czasu zimnej wojny – ostatecznie skłoniły Ortegę do podjęcia negocjacji z opozycją. W 1990 r. zorganizowano wybory, które wygrała prawicowa Violeta Chamorro. Po przejściu władzy przez konserwatystów gospodarka została zreformowana, a rynek otwarty.

Ale i tym razem coś było nie tak. Najbiedniejsi Nikaraguańczycy nie chcieli czekać na długofalowe efekty reform gospodarczych. Chcieli wzbogacić się w możliwie jak najkrótszym czasie. A tylko Ortega – teraz w opozycji – twierdził, że potrafi dać każdemu tyle pieniędzy, ile potrzebuje, i to natychmiast.

Dyktatura jak bumerang

Jednak Ortedze nie leżało na sercu polepszenie sytuacji obywateli. A przynajmniej nie to było jego główną motywacją. Zależało mu na władzy: chciał ją odzyskać za wszelką cenę.

Jak na ironię, pomogli mu w tym konserwatyści. W 2000 r. Ortega podpisał pakt z Arnoldem Alemánem, prezydentem Nikaragui w latach 1997–2002. Na mocy paktu, zwanego „El Pacto”, progi wyborcze obniżono tak, aby można było wygrać wybory prezydenckie, zdobywając już 35 proc. głosów. W 2007 r. dyktatura wróciła niczym bumerang: Ortega po raz drugi został prezydentem, zdobywając za ledwie 38 proc. głosów.

Początkowo zapewnił prywatnych przedsiębiorców o zachowaniu *status quo*. „Wy zyskacie, ja zyskam” – mawiał i przez chwilę wszyscy mieli wrażenie, że teraz Ortega będzie mniej rewolucyjny, a bardziej przedsiębiorczy. Szybko okazało się, że prezydentowi postrewolucjoniście chodziło o zagarnięcie wszystkiego dla siebie.

W 2014 r. biskupi Nikaragui nie wytrzymali: wystosowali list, w którym skrytykowali coraz mniej demokratyczne poczynania rządu. Ostrzegali Ortegę, że „lata ➔

→ mijają i nikt nie jest nieśmiertelny”, a jego dyktatorskie zapędy prędzej czy później doprowadzą do rewolty.

Cztery lata później okazało się, że mieli rację.

Ulica w ogniu

Wiosną 2018 r. doszło do szeregu katastrof.

Na początku kwietnia zapłonął las tropikalny Indio Maíz. Rząd nie zareagował jak należy, nie podawał komunikatów o stanie sytuacji. Wiceprezydent – prywatnie żona prezydenta – stwierdziła jedynie, że „nie ma sposobu, żeby zapanować nad pożarem”. Widząc, jak jeden z najważniejszych lasów tropikalnych Ameryki Środkowej ginie w płomieniach, obywatele wyszli na ulice i wzywali rząd do działań.

To był początek dramatu.

Kilkanaście dni po pożarze rząd proponował reformę systemu ubezpieczeń społecznych. Zakładała podwyższenie składki i obniżenie o 5 proc. emerytur, i tak już mizernych. Wpływy uzyskane dzięki tym zmianom miały załatać dziurę budżetową powstałą w wyniku obsesyjnej korupcji.

W proteście przeciw poczynaniom rządu na ulicę wyszli najpierw emeryci. Potem dołączyli studenci: bronili rodziców, dziadków i swojej przyszłość. To był zwykły protest. Wystarczyłoby kilka godzin, może jeden dzień. Gdyby 18 kwietnia rząd spełnił żądania, protestujący wróciliby do domów. Ale padł strzał. Zabito człowieka. Od tego momentu nie było odwrotu, Nikaragua stanęła w ogniu.

Pobici, bo chcieli okna

Międzypaństwowa Komisja ds. Praw Człowieka twierdzi, że w starciach z policją zginęło ponad 325 osób. Nikaraguańskie Stowarzyszenie na rzecz Praw Człowieka podaje liczbę 586 zabitych. Setki ludzi aresztowano.

Wśród nich jest Rodrigo. Dla jego matki, Brendy Gutierrez, opowiadanie historii syna stało się misją. Walcząc o aresztowanych, Brenda ryzykuje. Byłyśmy umówione na rozmowę 12 marca. Na kilka godzin przedtem jej dom otoczyło wojsko, chcieli ją aresztować. Udało jej się schować w domu przyjaciół. Zadzwoiła do mnie kilka dni później. Chciała opowiedzieć światu o tragedii więźniów politycznych w jej kraju.

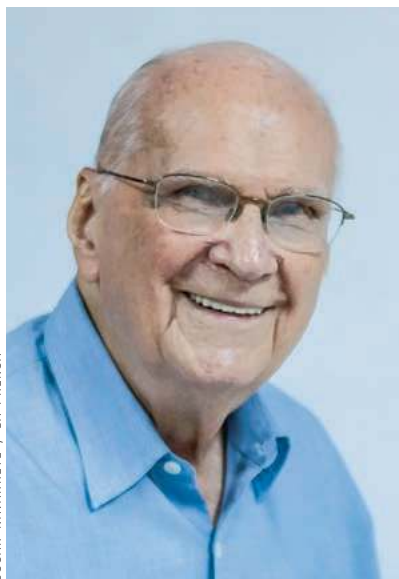
– Mojego syna aresztowali 11 lipca 2018 r., gdy wracał z protestów w Masai.

Zakapturzeni mężczyźni zatrzymali go i jego dwóch kolegów. Zaczęli do nich strzelać. Kiedy ich złapali, zabrali im ubrania, buty i zaczęli ich bić – opowiada Brenda. O aresztowaniu syna dowiedziała się przez internet. Od razu pojechała do El Chipote, najsurowszego więzienia w kraju, gdzie syn był przesłuchiwany.

Od tych wydarzeń minęło 10 miesięcy. Rodrigo został skazany na 16 lat i 6 miesięcy więzienia za „akty terroryzmu”. W celi, którą dzieli z kilkunastoma mężczyznami, nie ma okna. Wielu więźniów cierpi na infekcje skórne. Nie mają dostępu do opieki medycznej. Krótkie wizyty, przez szybę i w obecności policji, nie pozwalają na ocenę, w jakim stanie jest syn Brendy.

– W ubiegłym tygodniu, gdy u niego byłam, podniósł rękę i zobaczyłam, że ma sine ramię. Słyszałam, że jacyś więźniowie zostali pobici, bo domagali się okna w celi. Ale nie wiedziałam, że pobili też syna – mówi „Tygodnikowi” Brenda.

Byli więźniowie kontaktują się z nią, aby opowiedzieć to, o czym syn nie może mówić. Stąd wie, że syn jest torturowany, że do jedzenia dodają mu kawałki szkła i metalu, żeby wywołać krwawienia wewnętrzne. Historia Rodriga jest jedną z kilkuset. Matki więźniów oraz zabitych zażyły ruch Madres de Abril (Matki Kwietnia), którego celem jest przekazywanie informacji o więźniach i nakłanianie świata do interwencji.



OSCAR NAVARRETE / LA PRENSA

wrócić ze zdwojoną siłą. Nowa kadencja Ortegi jest tego przykładem. Czy Nikaragua bez wiecznie powracającego socjalizmu jest w ogóle możliwa?

ENRIQUE BOLAÑOS GEYER: Największą siłą socjalizmu jest populizm. To dzięki populizmowi socjalizm zyskuje powodzenie wśród najuboższych klas społecznych, a te – w Nikaragui i w całej Ameryce Łacińskiej – są najliczniejsze. Socjalizm w takiej formie, w jakiej występuje w Ameryce Łacińskiej, zawsze przynosił więcej strat niż korzyści. Dziś nie mamy żadnego polityka, który faktycznie przestrzegałby prawa. Ci, którzy raz sięgną po władzę, chcą ją zatrzymać na zawsze. Nie mamy kultury obywatelskiej. Świadomość i odpowiedzialność obywatelska nie istnieją.

To jest walka idei

ENRIQUE BOLAÑOS GEYER,
BYŁY PREZYDENT NIKARAGUI:

**Po raz pierwszy w historii
mojego kraju obywatele
prowadzą rewolucję
w sposób pokojowy.**

DOMINIKA MATEJKO: Historia Ameryki Łacińskiej pokazuje, że rewolucje socjalistyczne i dyktatury prawicowe odchodzą tylko po to, by

Nie ma zatem nadziei na zmianę w Nikaragui?

Niezupełnie. Od kwietnia 2018 r. widzimy zmianę w społeczeństwie. Pierwszy raz w historii Nikaragui obywatele prowadzą rewolucję w sposób pokojowy. Wychodzą na ulicę z flagami, śpiewają piosenki, które mówią o potrzebie odzyskania demokracji. To rząd odpowiada przemocą. My jednak kontynuujemy walkę w sposób pacyfistyczny.

Co Pan czuje, kiedy młodzi ludzie giną za Nikaraguę?

Ból i smutek. Ale to część naszej tradycji. My, Nikaraguańczycy jesteśmy walczeni. Jesteśmy bojownikami. To jest

Aresztowania w katedrze

Zatrzymania dotyczą nie tylko studentów. Władze prześladowają też przedstawicieli Kościoła katolickiego.

Biskupi i księża otwarcie krytykują działania rządu i to w Kościele protestujący znajdują pocieszenie i schronienie. Również dosłownie. W czasie jednego z pierwszych protestów grupa manifestantów schowała się w stołecznej katedrze. Musieli zostać w niej na dłużej, wolontariusze dowozili im więc jedzenie i wodę. W odpowiedzi wojsko zatrzymywało każde auto, które jechało w stronę katedry. Na elewacji kościoła do dziś widać ślady po pociskach.

walka idei. Walka między dwoma zupełnie różnymi systemami politycznymi. To decydująca bitwa i nikt nie może teraz stać z boku. Jeżeli ktoś nie walczy, to tak, jakby dał się pochować żywcem. Jakby przestał być Nikaraguańczykiem, jakby w ogóle przestał być człowiekiem.

Jak można walczyć bez przemocy?

Można, zwłaszcza w tych sferach życia, które galopujący totalitaryzm chciał zawłaszczyć dla siebie: w edukacji, w religii, w gospodarce. Totalitaryzmy zawsze człowieka zniewalają, więc musimy przekazać naszym dzieciom i wnukom wolność.

Także prowadzony dialog między Ortegą a opozycją jest formą pokojowej walki. Jest on jednak co chwila zrywany i wznawiany. Czy dalsze rozmowy mają sens?

Niestety jest prawdopodobne, że negocjacje zakończą się bez żadnych pozytywnych efektów. Takich problemów, jakie ma Nikaragua, nie rozwiązuje się bowiem z dnia na dzień. Przez ostatnie sto lat cierpieliśmy na dwie poważne choroby: korupcję i nadużycie władzy. One zrobiły z Nikaragui najbiedniejszy kraj w całej Ameryce Łacińskiej. Nie da się tego ot tak odwrócić. Ludzie liczą, że pewnego dnia dyktator odejdzie, nastanie raj na ziemi i spadnie manna z nieba. Tymczasem instytucje państwowe muszą zmienić swoje podejście i zacząć odpowiadać na potrzeby ludzi, a nie na prywatne potrzeby członków rządu. Mamy

Księża są też nieustannie podsłuchiwani. Procesje religijne są zakazane.

W maju 2018 r. Episkopat Nikaragui zgodził się na rolę mediatora w negocjacjach między opozycyjną Alianza Cívica a rządem Ortegi. Negocjacje zostały przerwane po czterech dniach, Ortega nazwał ludzi Kościoła „zdrajcami”. Rozmowy wznowiono pod koniec lutego tego roku. Tym razem Episkopat nie zgodził się mediuować, w negocjacjach bierze za to udział nuncjusz apostolski – Polak, Waldemar Stanisław Sommertag.

W marcu wskutek jego interwencji uwolniono sto osób. Opozycja chciała uwolnienia wszystkich więźniów politycznych i przyspieszenia wyborów pre-

wiele do zrobienia. Co do tego nie ma złudzeń. Nie będzie łatwo, ale są narody, które musiały się zmierzyć z podobnymi problemami, i którym się udało. Polska też walczyła z komunizmem przez 40 lat i wam się udało.

Co takie kraje jak Polska mogą zrobić dla Nikaragui?

Jako członek Unii Europejskiej Polska może nam pomóc, występując przeciwko działaniom rządu Nikaragui. Może też wspomóc nas w szkolnictwie, przez tworzenie programów stypendialnych i miejsc do nauki. Możecie dzielić się z nami przemyśleniami, bo, tak jak my, cierpieliście przez komunizm. Poza tym mówcie głośno o sytuacji w Nikaragui. O zabitych, dziesiątkach zaginionych, o setkach więźniów politycznych i ponad sześciuset tysiącach obywateli przebywających na przymusowej emigracji.

© Rozmawiała DOMINIKA MATEJKO

ENRIQUE BOLAÑOS GEYER (ur. 1928) był prezydentem Nikaragui w latach 2002-07. W wyborach w 2001 r. pokonał Daniela Ortegę, a po 2007 r. jego następcą został znów Ortega. Od lat 80. XX w. w opozycji wobec rządów sandinistów. Jest też założycielem największej biblioteki cyfrowej w Ameryce Łacińskiej, która zbiera wszystkie historyczne dokumenty rządowe opublikowane od XVIII w.

zydenckich, ale jeszcze do połowy marca Ortega nie był skłonny pójść na tak daleko idące ustępstwa.

Przebudzony

Alex Arana wyemigrował po przejściu władzy przez Ortegę w 2007 r. W ojczyźnie nie było dla niego przyszłości. – Przez te lata na emigracji nie interesowałem się moim krajem. Chciałem się odciąć od wszystkiego, co związane z Nikaraguą – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”. – Pamiętam, kiedy zaczęły się protesty. Obudziłem się 19 kwietnia i pomyślałem, że muszę coś zrobić. To było prawdziwe przebudzenie.

Od tego czasu Alex, wraz z grupą innych Nikaraguańczyków, zachęca społeczność międzynarodową do podjęcia działań na rzecz ich ojczyzny. W rozmowach z przedstawicielami ONZ i kongresmenami z Waszyngtonu mówi o potrzebie zastosowania sankcji wobec rządu Ortegi. Organizuje też protesty za granicą.

Do ojczyzny na razie nie wróci. Gdyby dziś wyładował w Managui, mógłby zniknąć bez śladu.

Dwa dni po naszej rozmowie w czasie protestu została aresztowana jego była żona Virginia Amador. Zatrzymani głośno krzyčili swoje nazwiska, by inni protestujący wiedzieli, kogo wojsko zabrało. Alex natychmiast opublikował w mediach społecznościowych nazwiska aresztowanych.

Dzięki temu rodziny szybko dowiadują się, czy ich najbliżsi wrócą z manifestacji.

Gallo – Nikaraguanka, która mieszka w Polsce – też organizuje protesty. Co prawda na mniejszą skalę. Pomagają jej polscy przyjaciele. Jednak przyznaje, że czuje się niezrozumiana przez większość Polaków. Gdy protestowała, trzymając flagę Nikaragui w parku w Koszalinie, ludzie odwracali głowy. – Polacy, wspierajcie nas – apeluje Gallo. Chce, by prawda o sytuacji w jej ojczyźnie dotarła do polskiego rządu i do świadomości Polaków.

Ciąg dalszy nastąpi

W wyniku negocjacji w środę 20 marca rząd zgodził się na uwolnienie wszystkich więźniów politycznych w przeciągu 90 dni. Pięć dni później papież Franciszek wezwał do jak najszybszego i pokojowego zakończenia kryzysu w Nikaragui.

Na razie jednak końca nie widać. Rozmowy trwają, ale trudno przewidzieć ich wynik.

© DOMINIKA MATEJKO



Donald Trump i jego sympatycy w Van Andel Arena w stanie Michigan, 28 marca 2019 r.

SCOTT OLSON / GETTY IMAGES

Przedsmak kampanii

JAN SMOLEŃSKI

Zakończenie śledztwa w sprawie Russiagate nie oznacza końca prawnych kłopotów Trumpa. Ale jego przeciwnicy powinni pogodzić się z tym, że nie jest on uzurpatorem, lecz wytworem obecnej kondycji amerykańskiej polityki.

RZECZNICZKA BIAŁEGO DOMU, SARAH Huckabee-Sanders, nie miała wątpliwości. „Ustalenia Departamentu Sprawiedliwości są całkowitym i kompletnym oczyszczeniem z zarzutów prezydenta USA” – pisała w niedzielę 24 marca na Twitterze. Takich samych słów (tyle że pisanych wielkimi literami) użył w swoim tweecie Donald Trump.

Ustalenia, o których mowa, to list prokuratora generalnego i szefa Departamentu Sprawiedliwości Nicholas Barra do członków Kongresu, podsumowujący raport ze śledztwa specjalnego prokuratora Roberta Muellera w sprawie tzw. Russiagate.

LIST NICHOLASA BARRA został wysłany w niedzielę 24 marca wieczorem – i przez cały poprzedni tydzień zdominował dyskusję publiczną w Stanach.

Republikanie odtańczyli taniec zwycięstwa, bo – według podsumowania Barra, śledztwo Muellera nie doszukało się dowodów na zмовę przestępczą między

członkami sztabu wyborczego Trumpa lub samym prezydentem a Rosją, w celu wpłynięcia na wynik wyborów prezydenckich w 2016 r. Podobnie Mueller nie zdecydował się jednoznacznie stwierdzić, czy prezydent utrudniał prowadzenie śledztwa. Tutaj sam Barr stwierdził, że do takiego przestępstwa nie doszło.

Część Republikanów przeszła do ofensywy, odgrzewając znaną opowieść o śledztwie Muellera jako „politycznym polowaniu na czarownice”. Trump sugerował, że mówiący o zмовie z Rosją są „zdradzieckimi” ludźmi. Sean Hannity z konserwatywnej Fox News obiecał, że dowie się, kto stał za „kłamstwami”, i poinformuje o tym swoich widzów.

Słowa Hannity’ego można łatwo zbyć, bo Fox News w ogóle, a program Hannity’ego w szczególności specjalizuje się w podgrzewaniu nastrojów. Trudniej zignorować to, co mówił szef senackiej komisji ds. sądownictwa Lindsey Graham, niegdyś wróg Trumpa w Partii Republikańskiej, a dziś jego zwolennik: zapowie-

dział śledztwo w sprawie rzekomych antytrumpowskich uprzedzeń w FBI i okoliczności rozpoczęcia śledztwa Muellera.

OFENSywa REPUBLIKANÓW nie dziwi, bo – wbrew interpretacji Białego Domu – jednak nie można mówić o całkowitym oczyszczeniu Trumpa i jego obozu z zarzutów, co zresztą wyraźnie napisał w swoim liście Barr. Mowa jest raczej o niewystarczających dowodach na przestępstwa, które zdefiniowano bardzo wąsko. Partia Demokratyczna kwestionuje decyzję Barra, przypominając, że zanim został prokuratorem generalnym, ostro krytykował śledztwo Muellera. Niektórzy komentatorzy twierdzą, że jego nominacja miała na celu ochronienie prezydenta przed zarzutami. Czy to podejrzenie uzasadnione, dowiemy się, gdy raport ujrzy światło dzienne (chcą tego Demokraci).

Opowieść o nieuzasadnionym „polowaniu na czarownice” też nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. Dzięki śledztwu Muellera zarzuty usłyszeli: były osobisty prawnik prezydenta Michael Cohen, były szef sztabu wyborczego Paul Manafort, były doradca ds. zagranicznych w sztabie George Papadopoulos, były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Michael Flynn czy długoletni przyjaciel Roger Stone. W każdym wypadku zarzuty były powiązane z kontaktami z Rosjanami.

List Barra podsumowuje na zaledwie czterech stronach kilkusetstronicowy raport (oparty na zeznaniach 500 świadków) i mówi tylko o tym, że Trump nie popełnił przestępstwa. Milczy natomiast w sprawie działań prezydenta, które – choć nie były podstawą do stawiania zarzutów kryminalnych – świadczą o tym, iż jest on skorpupowany lub podatny na obce wpływy. Dlaczego kłamano w sprawie spotkań między otoczeniem Trumpa a Rosjanami? Dlaczego kłamano w sprawie negocjacji dotyczących budowy Trump Tower w Moskwie, które trwały jeszcze w trakcie kampanii wyborczej? Wiele wskazuje, że to właśnie kontrwywiadowcze fragmenty raportu, o których podsumowanie Barra milczy, mogą udzielić odpowiedzi na te pytania.

KONIEC ŚLEDZTWA MUELLERA nie oznacza końca prawnych kłopotów Trumpa. W Nowym Jorku toczy się przeciw niemu śledztwo w sprawie nielegalnych działań, jakich miała się dopuścić jego organizacja charytatywna. Przeciw Trumpowi toczy

się też federalne śledztwo w sprawie łamania reguł finansowania kampanii (chodzi o kupienie milczenia aktorki porno Stormy Daniels, z którą miał mieć romans) oraz w sprawie finansowania i wydatków jego komitetu inauguracyjnego. Kolejna sprawa dotyczy molestowania: Trump miał na siłę całować i dotykać uczestniczkę swojego *reality show* „Apprentice”, Summer Zervos. Ten proces jest szczególnie dla Trumpa niebezpieczny, bo niewykluczone, że zostanie wezwany do zeznawania pod przysięgą. To tylko trzy z wielu śledztw, które trwają.

Jednak niezależnie od tych problemów podsumowanie raportu Muellera rozwiało fantazje, które zdawała się snuć część amerykańskiej centrolewicy: o tym, że Trump znalazł się w Białym Domu na skutek jakiegoś spisku. Wydaje się, że traktowali oni Muellera jak rycerza na białym koniu, który wykaże, iż Trump jest nieprawomocnym prezydentem i uzurpatorem. Spisek miał w ostateczny sposób udowodnić też, że demokracja w USA, mimo niedoskonałości, jest odporna na flirtujący z autorytaryzmem prawicowy populizm.

Nic takiego się nie stało i im szybciej przeciwnicy Trumpa pogodzą się z faktem, że jest on wytworem obecnej kondycji polityki w USA, tym lepiej dla nich. Wybory uzupełniające z 2018 r. pokazują możliwe wyjście: to skupienie się na problemach obywateli – wysokich kosztach życia, edukacji i opieki zdrowotnej czy niskich płacach. Russiagate nie była w tych wyborach aż tak istotna.

REAKCJE Z TEGO TYGODNIA pozwalają sądzić, jak brutalna będzie kampania przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. Ocena prezydentury Trumpa nie należy już bowiem do sądów, lecz jest kwestią czysto polityczną. Będzie ona w rękach wyborców, których trzeba przekonać i mobilizować. Trump może grać na chęci odwetu i ma do tego narzędzie: raport, który rzekomo pokazuje, iż od początku miał rację. I nie ma znaczenia, że fakty niekoniecznie są po jego stronie. Na rzecz Trumpa przemawia nie tylko poziom skomplikowania sprawy i jej niuanse, ale także upraszczająca przekaz polaryzacja. ©

Anioły nie opuszczają Trumpa

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

Były na jego wiecach, w Białym Domu i w konserwatywnej telewizji Fox News. Matki, których dzieci zginęły z rąk nielegalnych imigrantów, ufają prezydentowi USA. Bo tylko on chciał ich wysłuchać.

MILFORD, NIESPEŁNA 30-TYSIĘCZNE miasteczko w stanie Massachusetts. Na sennym osiedlu domów jednorodzinnych czarny pick-up ignoruje znak „stop” i taranuje nadjeżdżający z prawej strony motocykl. 23-letni Matthew uderza w maskę pick-upa, pada na jezdnię. Gdy po krótkiej chwili auto znów gwałtownie rusza, nogi chłopaka zaplątują się w podwozie. Prowadzący samochód nielegalny imigrant z Ekwadoru ignoruje krzyki chłopca, ciągnie go za sobą. Nie zwalnia, gdy próbują go zatrzymać przechodnie. Kiedy staje po 400 metrach, Matthew jest już martwy.

Godzinę później Maureen Maloney odbiera telefon i słyszy, że jej syn miał wypadek. Przerażona wsiada w samochód, pędzi do szpitala. Po drodze mija skrzyżowanie, na którym doszło do zderzenia. Widzi, że przewrócony motocykl nie ma śladów poważnych zniszczeń i powtarza sobie, że Matthew tylko trochę się poturbował. Gdy dociera na miejsce i lekarz zaprasza ją do sali konferencyjnej, wie, że to koniec. Maureen zna procedury. Pracuje jako pielęgniarka w sąsiednim szpitalu.

Pęknięte serce

– Lekarz powiedział mi wtedy, że mój syn zmarł zaraz po zderzeniu z pick-upem – tłumaczy Maureen „Tygodnikowi”. – Dopiero w sądzie dowiedziałam się, jak było naprawdę.

Podczas procesu wielokrotnie słyszała o krwi na karoserii. O odciskach palców syna świadczących o tym, że próbował wypłatać się spod kół. – Nie mogę wymazać tych scen z pamięci – wspomina. – Przez pierwsze miesiące po wypadku byłam bardzo lękliwa. Bałam się, że to samo spotka męża i starszego syna. Nie chciałam, by

wychodzili z domu. Czytałam, że po stracie bliskiej osoby można dostać zawału. Bardzo się wtedy o to modliłam, żeby mieć zawał.

Maureen budziła się rano i zadawała sobie pytanie, czemu jeszcze żyje. Wspomina: – Przy życiu trzymała mnie tylko walka o karę dla Nicolasa Guamana, mordercy mojego syna. W chwili wypadku był pijany. Z raportu policji wynika, że w jego samochodzie wałały się puste puszkę po piwie, śmierdząco alkoholem. Przed wypadkiem był trzykrotnie aresztowany za prowadzenie auta bez prawa jazdy, miał też wyrok w zawieszeniu za pobicie policjanta. Nie mogę zrozumieć, że jako nielegalny imigrant nigdy nie został deportowany ze Stanów – dodaje Maureen, która walczyła o skazanie mężczyzny za morderstwo drugiego stopnia.

Ostatecznie w 2014 r. zapadł wyrok skazujący go na karę co najmniej 12 lat więzienia, za nieumyślne spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym.

Uścisk prezydenta

Maureen Maloney jest dziś wiceszefową AVIAC – organizacji zrzeszającej rodziców, których dzieci zginęły z rąk nielegalnych imigrantów. O śmierci swojego syna opowiadała już dziesiątki razy. Najpierw były wywiady dla lokalnej prasy, potem dla Fox News i innych prawicowych mediów.

O 59-lacie z Massachusetts zrobiło się głośno pod koniec sierpnia 2016 r., gdy podczas wiecu wyborczego w Phoenix w Arizonie Donald Trump, ówczesny kandydat Republikanów na prezydenta, zaprosił ją na scenę. Oszołomiona, opowiedziała historię syna i wymieniła uścisk z Trumpem. Na koniec stanęła obok ➔

→ innych rodziców, którzy stracili dzieci z rąk nielegalnych imigrantów. Określani mianem *angel moms* i *angel dads* (anielskie matki, anielscy ojcowie), stali się bohaterami kampanii Trumpa na rzecz budowy muru wzdłuż południowej granicy USA.

Prezydent po raz kolejny wspomniął o ich losach w połowie lutego tego roku, gdy w Ogrodzie Różanym na terenie Białego Domu zapowiadał wprowadzenie stanu wyjątkowego. Swoją decyzję, która ma na celu zapewnienie funduszy na budowę muru, przedstawił jako odpowiedź na „napływ narkotyków, gangów i ludzi” przez granicę z Meksykiem.

Była to próba obejścia Kongresu, który nie chciał się zgodzić na przeznaczenie żądanych przez Trumpa 5,7 mld dolarów na budowę muru. Impas w tej sprawie doprowadził na przełomie roku do trwającego 35 dni częściowego zawieszenia działalności rządu federalnego. Ostatecznie w przyjętej ustawie budżetowej przeznaczono na budowę muru niecałe 1,4 mld dolarów. To zaledwie jedna czwarta kwoty, której domagał się prezydent.

Wykorzystując prawo pozwalające przesuwac środki w ramach budżetu w sytuacjach nadzwyczajnych, Trump podpisał rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wyjątkowego i ogłosił, że na budowę muru przeznaczy 8 mld dolarów. Jego decyzja pociągnęła zaraz falę pozwów sądowych ze strony władz 16 stanów, m.in. Kalifornii, Michigan, Maryland i Nowego Jorku (w połowie marca do pozwu dołączyły cztery kolejne stany, m.in. Massachusetts i Rhode Island).

W sprawie unieważnienia rozporządzenia dotyczącego stanu wyjątkowego zagłosowała Izba Reprezentantów i Senat. W połowie marca Trump zawetował jednak rezolucję Kongresu, pozostawiając niewielkie pole manewru. Izba Reprezentantów 26 marca podjęła nieudaną próbę oddalenia weta prezydenckiego. 248 kongresmenów głosowało za tym, aby odrzucić weto, a 181 było przeciwko. Do uzyskania większości kwalifikowanej (dwie trzecie) zabrakło 38 głosów (dla oddalenia prezydenckiego weta potrzebne jest uzyskanie takiej większości w obu izbach Kongresu).

Tym samym rozporządzenie Trumpa pozostaje w mocy. Dalsze rozstrzygnięcia w sporze politycznym należą teraz do sądów, rozpatrujących pozwy przeciwko decyzji Trumpa o wprowadzeniu stanu wyjątkowego.



MARTA ZDZIEBORSKA

Melanie Kortlang, której córkę w 2006 r. zabił nielegalny imigrant, mówi, że jest rozczarowana politykami Partii Demokratycznej. San Diego, 2019 r.

Tylko on mnie wysłuchał

– Tym razem musi się nam udać – mówi dziś z naciskiem Maureen Maloney, która wraz z innymi *angel moms* była wtedy w Ogrodzie Różanym.

Po raz kolejny trzymała w ręku zdjęcie syna i walczyła ze sobą, żeby się nie rozpłakać. – Zaproszenie do Białego Domu to był dla mnie wielki zaszczyt – mówi Maureen Tygodnikowi. – Chętnie bym jednak z niego zrezygnowała, gdyby mój syn mógł dalej żyć.

– Przed jego śmiercią nigdy nie interesowałam się polityką imigracyjną – dodaje Maureen. – Jak większość Amerykanów, byłam zajęta moją rodziną oraz pracą. Nawet nie byłam zagorzałą zwolenniczką Republikanów. Choć bliżej mi do konserwatystów, to nie zawsze zgadzam się z ich polityką.

– Pewnie zapytasz, czy nie czuję, że moja tragedia wykorzystywana jest do realizacji celów politycznych – Maureen Maloney faktycznie wyprzedza niezadane jeszcze pytanie. – Tak, mam tego świadomość i to nie jest miłe uczucie. Ale wiem też, że tylko Donald Trump chce wysłuchać mojej historii.

– Od śmierci Matthew minęło prawie osiem lat – dodaje Maureen. – Bardzo za nim tęsknię. Nie chcę, by inne matki spotykała taka sama tragedia. Ten mur musi powstać.

Kobiety za Trumpem

Melanie Kortlang, 57-latką z San Diego, stała się gwiazdą nagrania na ultraprawicowym portalu Breitbart News.

Jest połowa lutego 2019 r., okolice Kapitolu. Wściekła Melanie krzyczy w stronę Susan Davis, kongresmenki z Partii Demokratycznej.

W ręku trzyma zdjęcie swojej córki Amy, która w 2006 r. zginęła w wypadku samochodowym. Dziewczyna miała wtedy 22 lata. Tyle samo, co Rafael Ramirez Perez, nielegalny imigrant z Meksyku, który wjechał w jej auto po pijanemu.

– Gdy zobaczyłam kongresmenkę Davis, coś we mnie pękło – mówi „Tygodnikowi” Melanie. – Po raz ostatni widziałam ją w 2007 r. Podczas spotkania w jej waszyngtońskim biurze powiedziała mi o śmierci córki. Odparła, że Amy po prostu zginęła przez pijanego kierowcę. Nie chciała przyznać, że zabił ją nielegalny imigrant.

– Po śmierci córki wysłałam dziesiątki listów do amerykańskich polityków. Napisałam nawet do ówczesnego prezydenta George'a W. Busha. Nikt nie odpowiedział – podkreśla Melanie, z którą spotykam się po jej powrocie z Waszyngtonu.

Razem z innymi *angel moms* brała udział w wizycie organizowanej przez stowarzyszenie Women for Trump (Kobiety za Trumpem). Na kilka dni przed ogłoszeniem stanu wyjątkowego przez prezydenta uczestniczyły u stóp Kapitolu w konferencji prasowej na rzecz budowy muru. Odwiedziły też biuro spikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi i senatorki Kamali Harris (obie z Partii Demokratycznej). Harris ogłosiła, że będzie się ubiegać w prawyborach tej partii o nominację w wyborach prezydenckich w 2020 r.

– Żadna z nich nie chciała się z nami spotkać – mówi Melanie.

Moja córka też marzyła

Melanie: – Na drzwiach biura Kamali Harris widnieje tabliczka z napisem „Marzyciele mile widziani” [ang. *dreamers*; chodzi tu o imigrantów, którzy jako dzieci nielegalnie przyjechali do USA – red.]. Wszyscy mówią o tym, że „marzycielom” należy się prawo do pracy i ochrona przed deportacją. A przecież moja córka też miała marzenia. Dwa miesiące przed śmiercią wyprowadziła się z domu i wynajęła mieszkanie w górskim miasteczku Ramona. Znalazła tam pracę jako fryzjerka. Od kilku lat spotykała się z chłopakiem. Gdy doszło do wypadku, jechała, żeby mu kibicować w zawodach pływackich.

Matka wspomina, że ostatniego esemesa od córki dostała o 20.20 wieczorem. – Jak zwykle żartowała, często wysyłałyśmy sobie jakieś głupotki. Pół godziny później już nie żyła – Melanie płacze, gdy pokazuje zdjęcia czerwonej hondy civic.

Karoseria wygląda jak harmonijka. Siła uderzenia była tak wielka, że auto Amy odrzuciło na 60 metrów. Ucięło jej nogi, miała poważne obrażenia w okolicach brzucha.

Melanie: – W kostnicy pokazano mi tylko jej twarz. Nie wyglądała jak moja córka. Na przedzie miała wybity ząb, a moja Amy miała zawsze piękny uśmiech. Nigdy nie zapomnę, gdy musiałam zidentyfikować też jej auto. Na tapicerce widać było kawałki jej ciała. Mój były mąż zupełnie się wtedy załamał. To ja musiałam podjąć decyzję, jak ją pochować. Czy chciała tradycyjnego pogrzebu,

czy wolą być skremowana? Żaden rodzic nie rozmawia z dzieckiem na taki temat. To ja napisałam nekrolog do gazety i wybrałam ubrania, w których Amy miała być skremowana.

– Podczas pogrzebu obiecałam sobie, że nie pozwolę, by pamięć o niej umarła – opowiada Melanie, dotykając wisiora na szyi. W złotej łezce nosi garstkę prochów Amy.

Rozłąka, ale na zawsze

Rafaela Ramireza Pereza, sprawcę wypadku, Melanie nazywa potworem. Zanim wjechał w auto jej córki, uderzył w dwa inne. Trzy osoby zostały ranne. Mężczyzna miał na koncie cztery wyroki za jazdę po pijanemu. Za ostatni trafił na rok do więzienia i w marcu 2006 r. został deportowany do Meksyku. Kilka miesięcy później znów był nielegalnie w Stanach. Tej nocy, gdy zginęła Amy, prowadził po pijanemu auto należące do zatrudniającej go betoniarni. Sąd skazał go za morderstwo drugiego stopnia na 21 lat więzienia.

– Świadomość, że wciąż jest za kratami, daje mi spokój – mówi Melanie. – Wiem, że nie usiądzie znów za kółkiem i nie spowoduje śmierci innych ludzi. Nigdy mu tego nie wybaczę. Bóg nie ma mi tego za złe. W zeszłym roku wciąż trąbiło się o rozdzielaniu rodzin imigrantów na granicy z Meksykiem. Nikt nie mówi o tym, że ja straciłam córkę na zawsze. Gdyby już dawno na granicy powstał mur, morderca Amy nie wróciłby pewnie do Stanów, a moja córka nadal by żyła.

– Denerwuje mnie, gdy niektórzy nazywają mnie rasistką – dodaje matka. – A ja zawsze miałam wśród znajomych Azjatów, Afroamerykanów, Meksykanów. Mąż jest operatorem koparki na budowie, pracuje tam wielu imigrantów z Wietnamu. Tylko że oni przyjechali do Stanów legalnie. Niektórzy są tutaj od dziesięciu lat i wciąż nie mogą sprowadzić swoich rodzin, bo nie stać ich na kosztowną i skomplikowaną procedurę. Dlaczego media nie nagłaśniają takich historii? – mówi.

Kontakt wzrokowy

Spencer Golwach, 25-latek z Houston w Teksasie, żył na wysokich obrotach. W ciągu dnia prowadził sklep z gitarami, wieczorami dorabiał w magazynie jako operator wózka widłowego. W zespole The Dead Revolt grał jako basista. Styceń 2015 r. był dla niego szczególnie pra-

cowity. Jego sklep nie przynosił dużych zysków i chłopak przygotowywał się do przeprowadzki do mniejszego lokalu. Otwarcie zaplanował na 31 stycznia. Ale nowego sklepu już nie otworzył.

Noc wcześniej w Houston doszło do strzelaniny. Victor Reyes, nielegalny imigrant z Meksyku, w odstępie kilku minut strzelił do czterech osób. Wśród nich był Spencer, który niecały kilometr od domu czekał na skrzyżowaniu na zielone światło. Kula przebiła okno auta, trafiła go w głowę. Niedługo potem zabójca został zastrzelony przez policję.

– Do tej pory nie wiemy, dlaczego Meksykanin zabił naszego syna – mówi „Tygodnikowi” Julie Golwach. – Nie wiemy też, co on robił w Stanach. Z raportów policji wynika, że cztery razy deportowano go do Meksyku. Za kolejną próbę nielegalnego przekroczenia granicy trafił na rok za kraty. Kilka dni przed wyjściem na wolność pobił brutalnie współwięźnia.

– Nielegalni imigranci mogą czuć się w Stanach bezkarni – twierdzi Julie. – Niektórzy posługują się fałszywymi dokumentami. Gdy popełnią przestępstwo, trudno ustalić ich tożsamość. Jestem zmęczona tym, że od lat politycy nie chcą nic zrobić w sprawie muru. W połowie 2016 r. razem z innymi *angel moms* zorganizowałyśmy konferencję pod domem Paula Ryana [ówczesny spiker Izby Reprezentantów z ramienia Partii Republikańskiej – red.]. Nawet do nas nie wyszedł. W tym kraju każdy boi się być nazwanym rasistą.

Julie: – Nie podoba mi się, że prezydent ogłosił stan wyjątkowy, ale to teraz jedyny sposób na zbudowanie muru. Tylko Trump ma odwagę walczyć o bezpieczeństwo Amerykanów. Nie zapomnę, gdy spotkałam go po raz pierwszy. To było na jego wiecu wyborczym w Teksasie. Razem z grupą *angel moms* miałyśmy się z nim zobaczyć. Tego wieczoru były jednak duże opóźnienia organizacyjne i myślałyśmy, że już do nas nie podejdzie. Ale znalazł dla nas czas. Słuchał ze współczuciem, utrzymywał kontakt wzrokowy.

– W tamtej chwili poczułam, że naprawdę obchodzi go moja tragedia – mówi Julie. – Straciłam jedynego syna. W grudniu żegnałam na pogrzebie jego babcię, a w lutym stałam znów przy grobie, żegnając Spencera. Nie będzie go przy mnie, gdy będę się starzeć. Zabraknie go, gdy będę umierać. To dla niego walczę.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Miasto generałów

ROMAN HUSARSKI Z NAYPYIDAW (BIRMA)

Nowa stolica Birmy w niczym nie kojarzy się z azjatyckimi klimatami. Jest jak spełnienie totalitarnego snu. Nawet dziś, gdy krajem rządzi laureatka Pokojowej Nagrody Nobla.

NAINGA JEST WYRAŹNIE ZDENERWOWANY. – Media źle o nas piszą i tracimy przez to turystów. Że niby u nas jest niebezpiecznie? Jesteśmy w najbezpieczniejszym mieście Birmy! – Nainga ma powody, by tak twierdzić. Znajdujemy się w jednej z najbardziej zmilitaryzowanych stolic świata.

W 2005 r. ówczesny dyktator Than Shwe niespodziewanie ogłosił, że przenosi stolicę z Rangun do Naypyidaw. Wywołało to powszechne zaskoczenie. Niecałe pół roku później, już w 2006 r., w Dzień Armii Birmańskiej (przypadający na 27 marca), odbyło się oficjalne „otwarcie” nowej stolicy.

Naypyidaw znaczy „królewskie miasto”, choć bardziej adekwatną nazwą byłoby „miasto wojskowe”. Zbudowaną od zera aglomerację zaplanowano jak pod militarny spektakl; wielopasmowe ulice idealnie nadają się na monumentalne parady. Nie brak tu stacji radarowych wczesnego ostrzegania i artylerii przeciwlotniczej.

Miasto-twierdza było też manifestem generałów, którzy odrzucali ideę otwartej i pluralistycznej Birmy, zwalczali pro-demokratyczną partię NLD (Narodową Ligę na rzecz Demokracji), a Aung San Suu Kyi – przywódczynię opozycji i przyszłą laureatkę Pokojowej Nagrody Nobla (w 1991 r.) – umieścili w trwającym niemal 15 lat areszcie domowym.

Aby twierdza była czysta

Historia jest przewrotna. Dziś Suu Kyi zajmuje stanowisko „doradczyni państwa”, czyli *de facto* sprawuje władzę nad Birmą. Ostatnio przeniosła się na stałe do Naypyidaw. – Długo się wahała, ale teraz podkreśla, że życie w stolicy bardzo jej służy – komentuje Nainga.

Spotkałem go w 2012 r. w Sittwe, stolicy stanu Arakan, gdy konflikt między ludnością buddyjską a muzułmanami Rohingya po raz kolejny zbierał krwawe żniwo. Nainga pracował dla ważnej organizacji

pozarządowej, która starała się nieść pomoc ludziom uciekającym ze spalonych wiosek do stolicy stanu. Przy rozstaniu zapraszał do siebie w gości.

Okazja pojawiła się teraz. Gdyby nie Nainga, zapewne nie zdecydowalibyśmy się na podróż do stolicy. Bez własnego transportu trudno się po niej poruszać. Brakuje infrastruktury komunikacyjnej dla zwykłych ludzi, a tym bardziej dla gości z zagranicy, których nikt się nie spodziewa (prowadzącą dookoła stolicy linię autobusową zamknięto, brakowało turystów). Miasto podzielone jest siecią wojskowych checkpointów, a wszystko, co z braku wyboru można by tutaj nazwać „atrakcją”, oddalone jest od siebie nierzadko o dziesiątki kilometrów.

W Naypyidaw wszystko podlega surowemu administracyjnemu porządkowi. Poza elitami wojskowymi mieszkają tu politycy, urzędnicy, pracownicy organizacji pozarządowych, garstka cudzoziemców oraz, owszem, tysiące zwykłych Birmańczyków. Tyle tylko, że jedynym celem tych ostatnich jest utrzymanie w nienagannym łańdże tyleż luksusowych, co nierzadko kiczowatych hoteli i ciągnących się kilometrami ogrodów.

Nainga przekonuje, że hotele są spełnione, zwłaszcza podczas międzynarodowych konferencji. Trudno jednak pozbyć się upiornego wrażenia, że i hotele, i ogrody świecą pustkami. Sceneria mogłaby posłużyć za plan filmowy drugiej części „Łśnienia” Kubricka. To inny świat niż Rangun – postkolonialny, kolorowy, zatłoczony. Nie ma ulicznego gwaru ani ulicznej kuchni, charakterystycznej dla tej części świata. Próżno szukać sprzedawców mohinga, popularnego birmańskiego makaronu. Podobno dlatego, że miasto ma być czyste.

Próba legitymizacji

Nic dziwnego, że na podróżniczych forach odradza się wizytę w Naypyidaw.



Zapewne z tego powodu o mieście krąży wiele błędnych przekonań. Magazyn „Independent” pisał o stolicy z czterokrotnie większą powierzchnią niż Londyn, a jednocześnie z dziesięciokrotnie mniejszym zaludnieniem. To nieporozumienie ma swoje źródła w Wikipedii, która podaje obszar nie miasta, lecz jednostki administracyjnej obejmującej także okolicę.

Nie jest też prawdą, że miasto powstało pośrodku niczego. W okolicy znajduje się kilka miasteczek, z których największe to Pyinmana. Zyskało sławę i rangę symbolu po II wojnie światowej, gdyż to w nim szkoliły się kadry birmańskiej armii, które wyzwoliły kraj spod japońskiej okupacji.

Przenosząc stolicę w to miejsce, junta komunikowała, że to w jej rękach spoczywa dziedzictwo generała Aung Sana, twórcy niepodległości, nie zaś w rękach jego córki, Aung San Suu Kyi.

Próba historycznej legitymizacji była jednym z powodów wyboru tego miejsca. Obserwatorzy wskazywali też na tradycję zmieniania stolic w Birmie (historycy mówią, że działo się to aż 14 razy), strach przed atakiem ze strony morza, potrzebę kontroli, a nawet... wpływ wróżbitów.

Ale Nainga ma bardziej pragmatyczne wyjaśnienie: – Naypyidaw jest pośrodku kraju, a to zawsze dobra lokalizacja dla stolicy.

Centrum i peryferia

Korzenie takiego myślenia mogą mieć źródło w kosmologii buddyjskiej lub hinduistycznej. To na niej opiera się polityczna



ROMAN HUSARSKI

Ulice w nowej stolicy Birmy idealnie nadają się na wielkie parady wojskowe. Naypyidaw, 2019 r.

teoria mandali. Modelu tego używano tradycyjnie do opisu władzy w królestwach Azji Południowo-Wschodniej: możliwości oddziaływania władcy, silne w centrum, malały wraz z każdym kolejnym kilometrem prowadzącym od stolicy ku peryferiom.

Model ten dobrze oddaje także sytuację Birmy. Generałowie i politycy mogą czuć się w pełni bezpieczni w stolicy-twierdzy. W odróżnieniu od Rangun, gdzie w herbaciarniach intelektualści i studenci zamknięcie dyskutują o reformach, na murach co rusz pojawiają się antyrządowe hasła, a na punkowych koncertach młodzież wykrzykuje swoje niezadowolenie.

Dalej, na terenach przygranicznych, kontrola nierzadko zanika całkowicie. Gdy w 2016 r. przekraczałem granicę birmańsko-tajską, zdumiony byłem posterunkami ustawionymi przez armię Karenów (to druga pod względem wielkości mniejszość etniczna, od dekad prowadzi walkę). Dalej: islamistyczne grupy partyzanckie atakują birmańskie posterunki przy granicy z Bangladeszem, a w stanie Arakan armia ponownie toczy boje z separatystami walczącymi o niepodległość stanu. Na północy zaś zbrojny opór stawiają Kachini, którzy utworzyli własne parapaństwo, swoiste birmańskie Naddniestrze (rolę Rosji odgrywają tu Chiny). Napięta sytuacja jest w stanie Wa w północno-wschodniej Birmie, przy granicy chińskiej.

Jak widać, kręgi mandali blakną na peryferiach. Jeżeli przyjąć, że centrum to porządek, wówczas peryferie (granice) to chaos.

W stalinowskim stylu

Naypyidaw w niczym nie kojarzy się z Azją Południowo-Wschodnią. Jest jak spełnienie totalitarnego snu. Choć akurat to może nie powinno dziwić – przy jego budowie brali udział inżynierowie z północnokoreańskiego Pjongjangu.

Wszystko jest tu monumentalne. Pośrodku rond postawiono gigantyczne pomniki kwiatów. Wjazd do parku miniaturowo przypomina lotnisko. Budynki administracyjne nasuwają skojarzenia ze stylem epoki stalinowskiej.

Do *hluttaw* (parlamentu), który z daleka przypomina kiczowaty zamek, stylizowany na średniowieczny, nie sposób jest podjechać na tyle swobodnie, aby zrobić zdjęcie. Ci, którzy przeszli długi proces rejestracji i uzyskali zgodę na zwiedzanie parlamentu, donoszą o gigantycznych i pustych salach pełnych złota i drogiego drzewa tekowego.

W pobliżu miasta blaskiem oślepia prawie stumetrowa Pagoda Uppatasanti. Jej nazwa pochodzi od buddyjskiej sutry z XVI w., która tradycyjnie recytowana była w czasach kryzysu, szczególnie w obliczu inwazji obcych mocarstw. Zbudowana pod nadzorem ówczesnego dyktatora, generała Thana Shwe, jest symbolem sojuszu buddyjsko-militarnego.

Pompatyczność miasta z pewnością zachwyciłaby Kim Ir Sena. Tymczasem Nainga co krok podkreśla swoją radość z przeprowadzki z Rangun do Naypyidaw, które określa jako „porządne” i „wzorcowe”.

Ku chwale wojska

Jedną z „atrakcji” Naypyidaw jest Muzeum Armii. Istnieje od 2012 r. i jest tak duże, że zaleca się wynajem taksówki, by zwiedzić wszystkie place, na których znalazły się wystawy czołgów, helikopterów czy okrętów. Naing uważa, że potrzeba kilku dni na zwiedzenie całości.

W ogromnej sali wejściowej gości wita portret generała Aung Sana. Po jego obu stronach wiszą podobizny innych wojskowych, którzy twardą ręką rządząli przez ostatnie dekady: Ne Wina (1962-88) i Thana Shwe (1992-2011).

Muzeum zwiedzamy samotnie, o tej porze wycieczki szkolne skończyły już obchody. Rzędy gablot wypełnionych prezentami, które junta otrzymywała od sojuszników (afrykańskich watazków i innych autokratów), wyglądają jak próba leczenia kompleksów.

Z ciekawszych eksponatów można wymienić wyposażenie wojskowego buddyjskiego kapelana, na które składa się m.in. miska jałmużna z nierdzewnej blachy, charakterystyka osła bojowego i „pomnik” butów wojskowych. Osobną salę poświęcono osiągnięciom wojska w pomocy cywilom: są tu zdjęcia uśmiechniętych generałów otwierających drogi i elektrownie.

Opuszczając ten przybytek, zatrzymaliśmy się obok monumentu na cześć armii (przedstawia trzech żołnierzy w uścisku, z wniesionymi w zwycięskim geście ramionami). Zaskoczyliśmy tu parę młodych ludzi, kryjącą się w jego cieniu. Speżeni, odsunęli się od siebie. Zapewne sądzili, że nie będzie tu nikogo.

W kawiarni generała

Po trudach zwiedzania zatrzymujemy się w luksusowej kawiarni Shwe Lal Taw pośrodku równiny. Jej właścicielem jest były prezydent i emerytowany generał Thein Sein.

– Można go tu czasem spotkać, wspinały człowiek – Nainga nie ma wątpliwości, że był to najlepszy prezydent kraju. Za jego rządów Birma otworzyła się na świat. Jednak był on też odpowiedzialny za wstrzymywanie międzynarodowej pomocy dla ofiar cyklonu Negirs (zginęło wtedy 100 tys. ludzi, a ponad milion straciło domy).

Pytam o obecny rząd. Podkreślam, że kraj diametralnie się zmienił od 2011 r. Wtedy nie było nawet bankomatów, nie mówiąc o internecie, teraz powszechnie ➔

→ dostępnym. Wówczas należało zabrać zapas gotówki, którą potem wymieniano się na lokalną walutę u ulicznych cinkciarzy. Dziś to przeszłość, kwitnący biznes widać w każdym mieście.

Nainga studi entuzjazm. Ekonomia zwolniła, biznes należy głównie do Chińczyków, a biurokracja uniemożliwia zwykłym ludziom wejście do gry. – Mamy tyle niewykorzystanego potencjału. Choćby turystyka: na południu mamy najpiękniejsze wyspy w Azji, ale ilość formalności, jakie trzeba spełnić, by otworzyć biznes, jest zatrważająca i zniechęca. Suu Kyi nie zrobiła jak na razie nic – mówi rozczarowany.

Osiem lat temu Nainga uważał Suu Kyi za jedyną nadzieję. Dziś wzdycha: – Wszystko przez jej upór. Gdy wszyscy mówią, że coś jest czarne, ona będzie się upierać, że białe. Tylko po to, by pokazać swoją władzę. Z nikim się nie liczy, wszystko wie najlepiej. Jak w takich warunkach reformować kraj?

Nainga należy do wyższych warstw społecznych, nie reprezentuje typowych poglądów na temat Aung San Suu Kyi. Jeżdżąc po kraju odnosiłem wrażenie, że większość Birmańczyków cieszy się z jej

rządów, a krytyka ze strony Zachodu wręcz działa na jej korzyść. Owszem, jej milczenie w kwestii dramatu Rohingów doprowadziło do tego, że nikt nie nazwie już jej *human rights superstar*. Ale w zamian zapewnia sobie poparcie u przeważającej większości i nie prowokuje generałów (oni wciąż są zdolni do ponownego przejęcia władzy).

Krytyczny wobec Aung San Suu Kyi, Nainga chwali ją jednak w kwestii Rohingów. – Rozwiązała tę sprawę – przekonuje. Wygnanie prawie miliona ludzi do sąsiedniego Bangladeszu trudno nazwać sukcesem, ale najwyraźniej większość Birmańczyków tak uważa.

Gdy wspominam buddyjskiego mnicha U Wirathu, islamofobicznego demagoga, który zasłynął z rasistowskich wypowiedzi wobec Rohingów, Nainga broni duchownego. – Lubię go, nie boi się mówić tego, co myśli – przekonuje. Brzmi to paradoksalnie w ustach przedstawiciela mniejszości, Nainga jest bowiem Szanem (to grupa etniczna spokrewniona z Tajami).

Niestety, Rohingowie to mniejszość, do której irracjonalną awersję żywią wszyscy,

łącznie z innymi mniejszościami muzułmańskimi. Trzeba być jednak naiwnym, by nie dostrzegać, że rozbuchana buddyjska ksenofobia po Rohingach oberze sobie kolejny cel.

Zagadka noblistki

To paradoks: politycy rządzącej partii, uważanej za demokratyczną i proreformatorską, urzędują w mieście, które jest owocem ksenofobicznego birmańskiego nacjonalizmu. Aung San Suu Kyi mieszka zaledwie kilka ulic (długich i pustych) dalej od generałów odpowiedzialnych za tragedię kraju, włączając w to dramat Rohingów.

Niektórzy uważają, że noblistka jest zakładniczką wojskowych. Inni, że w pościgu za władzą zapomniła o swoich ideałach. Albo że od początku chodziło jej tylko o władzę. Jeszcze inni tłumaczą jej milczenie wiekiem (ma 73 lata).

Jedno jest pewne: choć po latach izolacji Aung San Suu Kyi ma wreszcie władzę, to moralnie przegrała. Areszt domowy zamieniła na wojskowe miasto Naypyidaw.

Nainga przekonuje, że nie ma co się temu dziwić: – Przecież jest córką generała.

© ROMAN HUSARSKI



Wydostać się z getta nie było trudno.
Życ poza gettem było trudno.

Romek Marber, Bez goryczy

pamięć leczy rany
Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska” **do kupienia**
w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNERZY WYDANIA



i CO₂ dalej?

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 14/2019

PARTNER DODATKU:

 **ClientEarth**
Prawnicy dla Ziemi





Przy Szybie Prezydent w dniu otwarcia szczytu klimatycznego COP24, Chorzów, grudzień 2018 r.

Przekleństwo ciekawych czasów

PIOTR SIERGIEJ

W nieodległej przyszłości energia przeznaczona na wydobycie paliw kopalnych może zacząć przewyższać energię pozyskiwaną z ich spalania. Wąż zacznie zjadać własny ogon.

To będzie interesujący świat. W ciągu najbliższych kilkadziesiąt lat zdarzą się rzeczy bez precedensu w historii ludzkości. Przed nami wielka niewiadoma – jedną pewną rzeczą będzie zmiana.

Podniesienie poziomu mórz i oceanów, wzrost temperatury powietrza, przemiany społeczne, masowe migracje ludności wywołane głodem lub nagłymi zjawiskami pogodowymi, przesuwanie się linii brzegowych, a nawet – zmiany granic państw... W historii takie przemiany nigdy nie dokonywały się pokojowo. Teraz tych zmian będzie jeszcze więcej. Więk-

szość z nas na nich straci. Mówiąc ściśle: stracimy wszyscy.

Prof. Szymon Malinowski, dyrektor Instytutu Geofizyki na Wydziale Fizyki UW, porównuje sytuację naszej cywilizacji w obliczu nadchodzących zmian klimatycznych do człowieka stojącego przed plutonem egzekucyjnym. Karabin jest wycelowany, a palec naciska spust coraz mocniej. Nie wiadomo tylko, w którym momencie broń wypali.

Budapeszt w Warszawie

Podsumowujący ponad 6 tysięcy prac naukowych najnowszy raport Międzyrzą-

dowego Panelu ds. Zmian Klimatu (IPCC) z 2018 r. nie pozostawia złudzeń. Czekają nas, poza oczywistymi konsekwencjami zmian klimatu (np. ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi), pożary oraz niedobory żywności. Ich przyczyną będzie emisja dwutlenku węgla pochodząca ze spalania paliw kopalnych: węgla, ropy naftowej i gazu.

Gdy w listopadzie 1990 r. IPCC opublikował pierwszy raport, stężenie dwutlenku węgla na Ziemi wynosiło 353 ppm. Obecnie sięga już poziomu 411 ppm. W ciągu zaledwie 29 lat wzrosło o ponad 16 proc. (od 1958 r. – o ponad 30 proc.).

Dwutlenek węgla stanowi świetną warstwę termoizolacyjną Ziemi. Nie bez powodu nazywamy go gazem cieplarnianym. Wzrost jego stężenia można porównać do termomodernizacji, jakiej poddajemy nasze domy ocieplając je styropianem czy wełną mineralną. Co się jednak dzieje w ocieplonym domu, w którym nie zmniejszamy temperatury grzejników? Rośnie temperatura w pomieszczeniach.

Podobnie jest z naszą planetą: emisja gazów cieplarnianych doprowadziła już do wzrostu średniej temperatury na Ziemi o 1 st. Celsjusza (swoją drogą, trzeba przyznać, że to największe inżynierskie osiągnięcie ludzkości: udało nam się doprowadzić do zmiany bilansu cieplnego całej planety!). Wydawałoby się, że to niewiele, ale średnia temperatura na planecie to nie to samo, co pokazuje termometr za oknem. W czasie epoki lodowcowej ok. 20 tys. lat temu, gdy lądolód przykrył dużą część Europy, średnie temperatury były niższe „zaledwie” o ok. 3 st. Celsjusza.

Fizyk i analityk trendów Marcin Popkiewicz porównuje ilość dodatkowego ciepła, jakie otrzymuje obecnie Ziemia, do wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie. Ile ciepła więcej mamy na skutek globalnego ocieplenia? Jego zdaniem to odpowiednik czterech eksplozji jądrowych na sekundę. W ciągu doby w atmosferze Ziemi gromadzi się dodatkowa energia cieplna, porównywalna do prawie 350 tys. eksplozji atomowych o sile 15 kiloton.

Już teraz zmiany klimatu stopniowo przesuwają w Europie strefy klimatyczne. W Warszawie cieszymy się temperaturami, jakie jeszcze 50 lat temu panowały w Budapeszcie. W Petersburgu zapanował klimat Warszawy z 1970 r. W basenie Morza Śródziemnego wzrost temperatur sprawia, że życie w miesiącach letnich staje się bardzo uciążliwe.

Polski węgiel na 200 lat

Nagły wzrost stężenia dwutlenku węgla jest precedensowy w historii naszej planety. Podobny jego poziom na Ziemi występował ostatnio prawdopodobnie kilkanaście milionów lat temu.

W ciągu ostatnich 200 lat spalono na naszej planecie paliwa kopalne, które tworzyły się w warstwach geologicznych przez dziesiątki milionów lat. Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej (IEA) w roku 2015 wydobyto prawie 8 mld ton węgla. Gdyby załadować ten węgiel do wagonów, opasałyby one równik

40 razy. Każdego dnia spala się na świecie ropę naftową, którą można zmieścić w baryłce ponad dwukrotnie wyższej od Pałacu Kultury w Warszawie. Spalając paliwa kopalne, dokładamy do atmosfery ponad 37 mld ton dwutlenku węgla rocznie – ponad 1000 ton na sekundę!

Od początku rewolucji przemysłowej emisje gazów cieplarnianych na świecie wzrastają średnio o ok. 2,5 proc. rocznie. Oznacza to, że podwajają się w ciągu zaledwie 28 lat. Od roku 1989, czyli od zmiany ustroju w Polsce, spalono na świecie więcej paliw kopalnych niż w całej wcześniejszej historii ludzkości.

Znając poziom wzrostu emisji i konsumpcji węgla czy ropy naftowej, możemy zatem spróbować przewidzieć przyszłość. Jaka będzie, jeśli nie zmienimy naszego uzależnienia od paliw kopalnych? W roku 2075 będziemy zużywać czterokrotnie więcej paliw kopalnych niż obecnie. Załóżmy, że uda się nam „dopasować” wydobywanie węgla i ropy naftowej do zapotrzebowania. Wzrost gospodarki oznacza jednak, że w ciągu kolejnych 28 lat będziemy musieli znaleźć jeszcze dwukrotnie więcej paliw kopalnych – czyli ośmiokrotnie więcej niż dzisiaj. Nasze aspiracje i lepsza jakość życia związane ze spalaniem paliw kopalnych są na kursie kolizyjnym z dosyć szybkim wyczerpywaniem się dostępnych zasobów.

Polską specyfiką jest uzależnienie naszej gospodarki od spalania węgla. Podczas szczytu klimatycznego w Katowicach prezydent Andrzej Duda mówił, że zapasy węgla wystarczą nam „na dwieście lat”. To szacunek, który pomija rachunek ekonomiczny i koszty wydobywania „czarnego złota”. Nawet jeśli uda nam się ten węgiel wydobyć, koszty pozyskania przewyższą prawdopodobnie jego wartość. Już dziś do wydobywania węgla w Polsce dopłacamy miliardy złotych rocznie. Ile dopłacimy, gdy wydobywać będziemy go z jeszcze większych głębokości i w trudniejszych warunkach? W nieodległej przyszłości energia przeznaczona na wydobywanie paliw kopalnych może zacząć przewyższać energię pozyskiwaną z ich spalania. Wąć zacznie zjadać własny ogon.

Złe paliwo, złe powietrze

Jeden z efektów spalania paliw kopalnych ma bezpośredni wpływ na nasze zdrowie i życie.

10 stycznia 2017 r. w szkole podstawowej w Knurowie na Śląsku tuż po rozpo-

częciu lekcji jedno z dzieci źle się poczuło. Poprzedniej nocy o godzinie 23 w szkole uruchomił się alarm pożarowy, otwierając w budynku klapy dymowe. Rano, po przyjeździe trzech jednostek straży pożarnej i stwierdzeniu wysokiego stężenia tlenu węgla oraz zadymienia widocznego na korytarzach budynku, ewakuowano szkołę. Powodem był dym przedostający się do budynku z pobliskich posesji.

Styczeń 2017 r. był zimnym miesiącem, co przełożyło się na wyjątkowo wysokie stężenia pyłów zawieszonych na terenie całego kraju. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w tym miesiącu w Polsce zmarło aż o 23,5 proc. ludzi więcej niż w analogicznym miesiącu rok wcześniej. To 11 tys. ludzi. W Krakowie liczba zgonów w tym miesiącu wzrosła o 35,4 proc. w porównaniu ze średnią ze stycznia z lat 2011-16. Według raportu Narodowego Funduszu Zdrowia, „potencjalną przyczyną wzrostu liczby zgonów w styczniu 2017 r. jest skokowe pogorszenie jakości powietrza, które może rodzić gwałtowne konsekwencje zdrowotne u osób szczególnie podatnych, w tym ze strony układu krążeniowo-oddechowego”.

Podatek węglowy na ratunek?

Z ankiet przeprowadzanych w 26 krajach przez Pew Research Center wynika rosnąca świadomość zagrożenia, jakim są globalne zmiany klimatyczne. To największa obawa obywateli ankietowanych państw – częstsza od poczucia zagrożenia przed tzw. Państwem Islamskim i cyberatakami.

W ciągu pięciu lat poczucie, że zmiany klimatu stanowią główne zagrożenie, wzrosła z 56 do 67 proc. Aż w 13 państwach zmiany klimatyczne uznano za najważniejsze zagrożenie. W Polsce uznało tak 44 proc. ankietowanych mężczyzn i 61 proc. kobiet.

Nowym zjawiskiem są protesty młodych przeciwko dotychczasowej polityce klimatycznej. W marcu w ok. 120 państwach odbyły się akcje protestacyjne uczniów, którzy zaalarmowani brakiem działań opuścili lekcje i wyszli na ulice. Młodzi przyglądają się rzeczywistości pełni obaw – i zaczynają rozliczać polityków z dotychczasowych działań.

Co zatem udało się osiągnąć po ponad 20 latach negocjacji klimatycznych? Uczciwa odpowiedź powinna brzmieć: niewiele. Podpisano porozumienia →

→ i pochyłono się nad powagą problemu. Od Szczytu Ziemi w Rio de Janeiro, kiedy rozpoczęto negocjacje klimatyczne, minęło już 27 lat – a globalna emisja dwutlenku węgla wzrosła prawie dwukrotnie. Jesteśmy świadkami kolejnych konferencji, na których wygłaszane są coraz ostrzejsze w tonie apele. Raporty klimatologów prezentują rzeczywistość w coraz ciemniejszych barwach. Wydaje się, że naukowcom zabrakło języka do opisywania nadchodzącego zagrożenia. Jeszcze kilkanaście lat temu świat nauki zdawał się wierzyć, że przedstawienie rzetelnych scenariuszy nadciągającej katastrofy pomoże politykom zrozumieć powagę sytuacji. Dzisiaj słychać głosy, że trzeba było krzyć głośniejsze.

Można odnieść wrażenie, że przyjazd na konferencję to tylko dobry pretekst do pozorowania działań rządów największych klimatycznych grzeszników. Obraz nie jest jednak czarno-biały. Konferencje klimatyczne podnoszą świadomość powagi problemu i prowadzą do pewnych działań ze strony rządów i instytucji. Efekty łatwiej dostrzec w skali lokalnej: determinacja Unii Europejskiej w zmniejszaniu emisji dwutlenku węgla, działania Chin rozwijających energetykę odnawialną, deklaracje rządów o całkowitym odejściu od węgla czy sektora bankowego o zaprze-

staniu finansowania inwestycji opartych na węglu.

Argumentacja naukowców brzmi następująco: jeśli chcemy zapobiec postępującemu ociepleniu i katastrofalnym skutkom zmian klimatycznych, konieczna jest szybka transformacja światowej gospodarki. Oznacza to redukcję do zera emisji dwutlenku węgla na świecie, czyli zaniechanie spalania paliw kopalnych w ciągu najbliższych 30 lat. Brzmi jak scenariusz nie do wyobrażenia? Niekoniecznie. W 2017 r. powstała Carbon Neutrality Coalition – koalicja 19 państw, która postawiła sobie za cel osiągnięcie tzw. neutralności węglowej w drugiej połowie XXI w. Do grupy należą m.in. Kanada, Wielka Brytania, Niemcy i Francja.

Jedną z proponowanych metod pozwalających zmniejszyć emisyjność światowej gospodarki może stać się tzw. podatek węglowy. To propozycja nałożenia na wszystkie produkty podatku, którego wysokość zależna będzie proporcjonalnie od emisji gazów cieplarnianych wyemitowanych podczas produkcji. Takie rozwiązanie popiera m.in. zeszłoroczny laureat ekonomicznego Nobla William Nordhaus. Idea podatku opiera się na zasadzie „zanieczyszczający płaci” i oznacza, że kupujący towary „wysokowęglowe” płacić będą za ich negatywny wpływ na środowisko. Ta-

kie narzędzie może stać się skutecznym bodźcem ekonomicznym skłaniającym producentów do zmniejszania emisyjności dwutlenku węgla. Ciekawa jest propozycja ekonomistów, którzy zakładają, że podatek węglowy będzie neutralny fiskalnie. Pobierany podczas kupowania towarów będzie zwracany kupującemu albo w formie dywidendy, albo zwolnienia podatkowego.

Młodzi rozliczą

Zdaniem prof. Szymona Malinowskiego problemy wynikające ze zmian klimatu zaczną się już w następnym pokoleniu. To ci młodzi ludzie, którzy zamiast na lekcję wyszli na ulice, będą pierwszą generacją odczuwającą zmiany klimatu na własnej skórze. Na demonstracjach pojawili się z zaangażowaniem i poczuciem zaalarmowania. Za kilka lat, gdy otrzymają prawa wyborcze i pójdą do urn, zdecydują, kto będzie najlepiej reprezentował ich poglądy. Pytanie, czy znajdą się politycy gotowi przedstawić im ofertę, która odniesie się do prezentowanych przez nich postulatów. I odpowiedzieć na pytanie o największe wyzwanie, przed jakim stoi nasza cywilizacja.

© PIOTR SIERGIEJ

Korzystałem z: Aleksandra Kardaś, Szymon Malinowski, Marcin Popkiewicz „Nauka o klimacie” (2018).

„Później” właśnie nadeszło

TRZY LATA TEMU NARODY

ŚWIATA uzgodniły w Paryżu cel – ograniczenie ocieplenia klimatu o maksymalnie 2 st. C ponad poziom z epoki przedprzemysłowej, z podjęciem starań, by było to raczej 1,5 st. Przekroczenie tego progu spowoduje, że na Ziemi zapanują temperatury, jakich nie było od ponad miliona lat, a w rezultacie zaczną się uruchamiać sprzężenia zwrotne systemu klimatycznego, takie jak emisje metanu i dwutlenku węgla z wiecznej zmarzliny, zanik lodu morskiego w Arktyce czy destabilizacja pokładów hydratu metanu w dnie oceanicznym. Co trzeba zrobić, żeby ochronić klimat? Według raportu Międzyrządowego Panelu

ds. Zmian Klimatu (IPCC) emisje dwutlenku węgla ze spalania paliw kopalnych muszą spaść o połowę do 2030 r. i do zera kilkanaście lat później. Nie da się tego zrobić bez szybkiego odejścia od węgla, a następnie także ropy i gazu. Z wielu względów warto zacząć zmiany od siebie, jednak to nie wystarczy, potrzebne są zmiany systemowe. Konieczna jest szybka, głęboka i powszechna przebudowa systemu energetycznego, przestawienie go na bezemisyjne źródła energii. Niezbędna jest także znacząca poprawa efektywności energetycznej: nowe domy powinny być budowane jako zeroenergetyczne, a istniejące – poddane głębokiej termomodernizacji.

Musimy odejść od prywatnych aut na rzecz transportu miejskiego, rowerów. Produkowane rzeczy muszą być trwałe, łatwe w naprawie i projektowane do łatwego odzysku surowców. Podróże samolotami i jedzenie mięsa muszą zostać opodatkowane na zasadzie „zanieczyszczający płaci”. Owszem, wiele z tych działań może spotkać się niezadowolaniem różnych grup – od górników przez miłośników jedzenia mięsa po zapalonych kierowców – jednak żadne z nich to nie koniec świata. Alternatywą zaś jest koniec świata. Prawa fizyki zupełnie nie przejmują się tym, co nam się podoba i jest politycznie akceptowalne. Przez lata odkładaliśmy działania „na później”.

Teraz to „później” nadeszło, a cenę za nasze traktowanie atmosfery jak darmowego ścieku dla kominów i rur wydechowych zapłacą nasze dzieci. Nic dziwnego, że wychodzą na ulice, domagając się od dorosłych, by wreszcie zaczęli zachowywać się odpowiedzialnie. Nie wystarczy, że mówimy, jak troszczymy się o przyszłość naszych dzieci – musimy pokazać, że naprawdę tak jest. ©

MARCIN POPKIEWICZ,

z wykształcenia fizyk, jest analitykiem megatrendów. Redaktor portalu ziemianarozdrozu.pl i naukaoklimacie.pl, autor książki „Świat na rozdrożu”, „Rewolucja energetyczna. Ale po co?”, współautor książki „Nauka o klimacie”.

Albo klimat, albo węgiel

ILONA JĘDRASIK:

Elektrownia Bełchatów emituje tyle dwutlenku węgla, ile 7 mln samochodów okrążających świat wzdłuż równika. Jeśli nie zatrzymamy tej emisji, czeka nas katastrofa.

DOMINIKA WANTUCH: Podczas szczytu klimatycznego w Katowicach słowo „dekarbonizacja” padło z mównicy kilkanaście razy. Dekarbonizację rozpoczynają kolejne państwa Unii Europejskiej. Według głośnego raportu Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu (IPCC) jej rozpoczęcie jest niezbędne, jeśli chcemy zatrzymać globalne ocieplenie i wzrost temperatur na poziomie 1,5 stopnia Celsjusza. Czym jest dekarbonizacja?

ILONA JĘDRASIK: Termin ten oznacza eliminację antropogenicznej emisji dwutlenku węgla ze względu na jego szkodliwość dla klimatu. Dwutlenek węgla stanowi niemal 80 proc. emitowanych przez człowieka gazów cieplarnianych. A jako że powstaje głównie w wyniku spalania paliw kopalnych, to w praktyce mówimy o odchodzeniu od używania węgla, ropy i gazu jako podstawowych surowców energetycznych.

Jest inna droga niż odejście od węgla, by powstrzymać zmiany klimatyczne?

Nie ma. Węgiel odpowiada obecnie za 25 proc. światowej emisji dwutlenku węgla, a w Polsce za jedną trzecią. Oczywiście, biorąc pod uwagę emisje historyczne – od początku ery industrialnej – rola spalania węgla w zmianach klimatu jest znacznie większa. Węgiel jest też dwukrotnie bardziej emisyjny niż gaz i o jedną trzecią bardziej niż ropa. To nie oznacza, że nie mu-

simy zredukować innych paliw kopalnych. Jednak już rezygnując z węgla będziemy emitować znacznie mniej gazów cieplarnianych. Raport IPCC potwierdza, że węgiel jest największym trucicielem klimatu.

Tymczasem w Polsce dalej go wydobywamy, a polski rząd planuje otwieranie kolejnych kopalni.

To bardzo niepokojące, bo biorąc pod uwagę, ile dwutlenku węgla emitujemy na jedną kilowatogodzinę wytworzonej energii, Polska ma drugą najbardziej emisyjną energetykę w Unii Europejskiej. Więcej emisji mają tylko elektrownie w Estonii.

A Niemcy? Emitują więcej dwutlenku węgla niż Polska.

Ale są też większym państwem, z większą liczbą ludności i znacznie większą gospodarką. Ich emisja dwutlenku węgla na jednostkę wytworzonej energii jest – na

szczęście dla klimatu – o ponad 30 proc. mniejsza.

Mamy też elektrownię, która jest największym trucicielem Europy.

Mowa o elektrowni Bełchatów. Ona jedna odpowiada za 10 proc. wytworzonych w Polsce gazów cieplarnianych. Niedawno wspólnie z naukowcami z portalu „Nauka o klimacie” porównaliśmy ilość emitowanego przez nią dwutlenku węgla do ilości gazów cieplarnianych powstających przy produkcji mięsa, którego hodowla i produkcja też wiąże się z emisją. Okazało się, że roczna emisja dwutlenku węgla z Bełchatowa – czyli ponad 37 mln ton – odpowiada spożyciu wołowiny przez Polaków przez 15 lat. Albo ilości dwutlenku węgla, jaką emituje dwie trzecie całego transportu w Polsce. Albo 7 mln samochodów okrążających Ziemię wzdłuż równika. Odkrywką Bełchatowska jest podobno trzecim wytworem człowieka widzianym z Księżyca – obok ➔

ADAM STAŚKIEWICZ / EAST NEWS



Elektrownia Bełchatów, Rogowiec, styczeń 2018 r.

→ Wielkiego Muru Chińskiego i kolei transsyberyjskiej.

„Wydobycie węgla brunatnego ze złoża Bełchatów jest źródłem emisji gazów cieplarnianych. Emisje metanu dodają do efektu cieplarnianego 900 tys. ton dwutlenku węgla” – czytamy w raporcie „Jaki węgiel dla Elektrowni Bełchatów?”, wydanym przez ClientEarth. Dr Michał Wilczyński pisze w nim, że jeśli elektrownia będzie się opierać tylko na złożu Szczerców, emisja rtęci do atmosfery wzrośnie o 5 ton rocznie, a ołowiu o 168 ton. Będzie to miało dramatyczny wpływ na nas i na nasz klimat.

Rzeczywiście, powinno nas niepokoić, że największa elektrownia w Europie za dwa lata będzie opalana dużo gorszej jakości paliwem. Wiemy, że zasoby węgla z jednego złoża w Bełchatowie wyczerpią się w 2020 r. W kolejnym do elektrowni Bełchatów będzie już dostarczany węgiel tylko ze złoża Szczerców. Przy obecnym wydobywaniu około 2030 r. i tam skończą się zasoby. Jak zamierza sobie z tym poradzić elektrownia? Przesiedlić 3 tys. osób, wyburzyć 33 wsie i zbudować – a raczej: wydrążyć w ziemi – nową kopalnię odkrywkową koło Żłoczewa.

Ostatnie raporty Polskiej Grupy Energetycznej wskazują, że nawet sam inwestor ma wątpliwości, czy to dobry pomysł – wobec narastającego sprzeciwu społecznego wobec węgla, braku stabilnej polityki energetycznej i dużych kosztów takiej inwestycji. Ta świadomość nie przeszkadza jednak w forsowaniu powstania inwestycji.

Dlaczego Żłoczew może być nieoptyczny?

Po pierwsze, kopalnia będzie oddalona o 50 kilometrów w linii prostej od elektrowni.

Węgla brunatnego jako takiego się nie transportuje, bo nie pozwalają na to jego właściwości fizyczne. Dlatego na świecie kopalnie są oddalone od elektrowni maksymalnie o 20 kilometrów. Żeby transportować węgiel ze Żłoczewa, konieczne będzie wybudowanie linii kolejowej. Co więcej, Żłoczew byłby najgłębszą odkrywką węgla brunatnego w Polsce i jedyną, gdzie aby rozkruszyć skały, trzeba wykorzystać materiały wybuchowe, bo węgiel znajduje się na głębokości nawet ponad 3500 metrów.

Odkrywka bełchatowska jest trzecim **wytworem człowieka widzianym z Księżyca** – obok Wielkiego Muru Chińskiego i kolei transsyberyjskiej.

Z czym jeszcze się to wiąże?

Węgiel brunatny jest najbrudniejszym paliwem kopalnym. Jest mniej kaloryczny niż węgiel kamienny i zawiera nawet trzykrotnie więcej rtęci. Jeśli chodzi o samo porównanie węgla brunatnego, to złożo Szczerców, choć jest oddalone od Bełchatowa tylko o 20 kilometrów, ma inne właściwości chemiczne. Jest w nim o 35 proc. więcej rtęci i ołowiu. Jest też bardziej zsiarzony i zawiera więcej popiołu. Ten popiół po spaleniu jest wrzucany na wielką hałdę i przy wietrznej pogodzie rozdmuchiwany na dziesiątki kilometrów. Złożo Żłoczew będzie jeszcze bardziej zanieczyszczone, co oznacza większe koszty przy jego wykorzystaniu, bo np. potrzeba więcej filtrów.

Podsumowując ten wątek. Podczas gdy Unia Europejska mówi: „odchodzimy od węgla”, my planujemy wydanie setek milionów złotych na najbardziej szkodliwe paliwo? Dokładnie tak.

Brzmi przerażająco.

Jeszcze bardziej powinny przerażać bezpośrednie skutki wpływu kopalni odkrywkowych na lokalne środowisko. W wyniku działalności odkrywki Żłoczew wody gruntowe obniżą się na powierzchni nawet 800 kilometrów kwadratowych wokół kopalni. To odpowiednik dwóch trzecich powierzchni Łodzi. Czyli nie tylko zostaną zniszczone 33 wsie, ale na ogromnym obszarze będzie brakować wody. To oznacza ogromne konsekwencje dla okolicznych mieszkańców: pustynnienie regionu, a co za tym idzie pogorszenie warunków rolniczych, straty upraw, mniejsze przychody z rolnictwa. Dla wielu gospodarstw będzie to oznaczać koniec działalności. Budowanie odkrywki powoduje degradację gleb i zmniejszenie dostępności wody na kilkadziesiąt lat. Tego nie da się szybko naprawić.

Mówimy o skutkach działalności tylko jednej elektrowni węglowej. Ale przecież mamy ich znacznie więcej w Polsce. Co ich działalność oznacza dla klimatu?

Według rządowego dokumentu „Polityka ekologiczna państwa 2030” województwo łódzkie jest najbardziej zagrożone silnym pustynnieniem. Już dziś jego mieszkańcy odczuwają deficyt wody – komunikaty, by ograniczać zużywanie wody, powtarzają się w czasie upałów letnich od kilku lat. To zjawisko będzie się nasilać. Szacuje się, że na 90 proc. terytorium będą występować opady poniżej 400 mm rocznie.

Autorzy tego raportu piszą, że ocieplenie klimatu będzie skutkować ekstremalnymi zjawiskami w całej Polsce. Czekają nas fale upałów i mrozów, susze, powodzie, huragany i wichury.

Nie będziemy musieli czytać o tsunami w Azji czy suszy w Afryce, by zrozumieć, czym są zmiany klimatyczne.

Będziemy ich doświadczać w Polsce – np. suszy na Kujawach i równoległych powodzi w dolinach Warty i Wisły. Ekstremalnych trąb powietrznych i wichur możemy spodziewać się na północy Polski, w województwach mazowieckim i lubuskim. W Małopolsce czekają nas masowe ruchy ziemi i osuwiska.

Ekstremalne zjawiska mamy w Polsce już dziś. Niedawne wichury, wcześniej letnie susze. Wiosna, która zaczyna się w grudniu, a potem ataki zimy z końcem kwietnia. Problem w tym, że nie łączymy często tych zjawisk ze zmianami klimatu.

To prawda. Za mało mówimy o przyczynach. O tym, że zmieniając temperaturę powietrza, podgrzewając oceany zmieniamy ciśnienie między prądami powietrza.

W zależności od tego, w jakim kierunku się ono zmieni, możemy mieć do czynienia albo z gwałtownymi zjawiskami pogodowymi, albo z pogodą długotrwale niezmenną, na przykład z trwającymi kilka tygodni upałami.

A 80 proc. gazów cieplarnianych stanowi dwutlenek węgla.

Gazy cieplarniane są w środowisku naturalne. To, że Ziemia jest ciepłą planetą, i że możliwe jest na niej życie, zawdzię-

czamy właśnie gazom ciepłarnianym. Problem pojawia się, gdy naturalna równowaga zostaje zachwiana i ilość gazów wzrasta. Wtedy więcej promieni Słońca odbija się od warstwy gazów i wraca na Ziemię, ogrzewając ją coraz bardziej. I choć gazy ciepłarniane, które powstały w wyniku działalności człowieka, stanowią zaledwie 3 proc. wszystkich gazów ciepłarnianych, to samo to niewielkie zaburzenie powoduje zachwianie naturalnego systemu funkcjonowania Ziemi.

Zjawiska pogodowe są tylko jednym z nich. Kolejnym jest np. ocieplenie oceanów, które prowadzi do ich zakwaszenia. W efekcie, za kilkadziesiąt lat wyginą skorupiaki, rafa koralowa zostanie zniszczona.

Konsekwencje odczuwamy na naszym zdrowiu. Przybędzie np. kleszczy, co spowoduje zwiększenie przypadków boreliozy i kleszczowego zapalenia mózgu. Pojawiają się nowe gatunki szkodników, będziemy musieli liczyć się z coraz częstszymi ostrzeżeniami dotyczącymi występowania sinic w Bałtyku, które już minionego lata zniszczyły urlop wielu Polakom. Pogorszą się warunki hodowli ziemniaka, który jest ważną częścią naszej gospodarki rolniczej. Okresowe przymrozki wiosną doprowadzą do tego, że będziemy mieć trudności z uprawą owoców sezonowych. No i oczywiście zanieczyszczone powietrze będzie wpływać na nasze zdrowie.

Za tę brudną energię będziemy musieli też dużo płacić, ponieważ wzrosną koszty emisji dwutlenku węgla, opłaty dla insta-

lacji, które wytwarzają brudną energię. Te opłaty przemysł przerzuci na odbiorców. Grozi nam też, że dostaniemy mniej pieniędzy z Unii, ponieważ w następnej tzw. perspektywie finansowej aż 25 proc. funduszy strukturalnych będzie przeznaczone na ochronę klimatu. Czyli tylko na czystą energię.

Na zmianę myślenia i działania nie mamy zbyt wiele czasu.

IPCC wspomina o roku 2030. Polska na razie w ogóle nie zakłada dekarbonizacji. Politycy powtarzają, że jest niemożliwa, bo 80 proc. produkowanej u nas energii pochodzi z węgla. Ale to nieprawda. Chodzi o to, że 80 proc. mocy w energetyce jest zainstalowana w elektrowniach węglowych. Z węgla wytwarzane jest ok. 70 proc. energii. Ale były już w Polsce dni, gdy 50 proc. energii była wytwarzana z wiatru. W chwili gdy rozmawiamy, 17 proc. energii produkowane jest z odnawialnych źródeł.

Rząd niedawno ogłosił zmierzch energii produkowanej z wiatru na lądzie.

To wbrew ekonomii i logice. Elektrownie wiatrowe są dziś najtańszym źródłem pozyskiwania energii. Co więcej, mamy technologię i ludzi, którzy są w stanie ją rozwijać. Wywoływanie strachu przed wiatrakami na lądzie jest nieuzasadnione, bo badania potwierdzają, że poza hałasem i polem elektromagnetycznym wiatraki nie szkodzą naszemu zdrowiu. W Polsce jednak przez lata pielęgowano

mit, że wiatraki mogą wywoływać choroby. To niewiarygodne, że ludzie boją się technologii stosowanej w całym zachodnim świecie, a nie boją się komina sąsiada, z którego wychodzi trujący dym. Owszem, zdarzały się sytuacje, że wiatraki były montowane w sposób nieprzemyślny, za blisko domów, powodując dyskomfort i hałas. Ale to nie powód, by całkowicie je eliminować.

Jakie są inne źródła czystej energii, w które powinniśmy inwestować i je rozwijać?

Mamy możliwości, by rozwijać małe jednostki gazowe, wiatraki na morzu, energię ze Słońca. Tę ostatnią możliwość Polacy zauważyli – w cztery lata powstało 50 tys. przydomowych mikroinstalacji słonecznych. Możliwości więc są. Poparcie społeczne też. Teraz potrzebny jest racjonalny program sprawiedliwej transformacji – i odważne decyzje polityków.

© Rozmawiała DOMINIKA WANTUCH



ILONA JĘDRASIK

jest kierowniczką projektu Polska Energia organizacji ClientEarth Prawnicy dla Ziemi. Zajmuje się energią odnawialną, efektywnością energetyczną i rozwojem gospodarki niskoemisyjnej.

DOMINIKA WANTUCH jest dziennikarką „Gazety Wyborczej”.

CO₂ zmienia klimat?

PRZEGLĄD BLOGÓW NAUKOWYCH

crazy nauka.pl W porównaniu z 1980 rokiem Ziemia doświadcza ponad dwukrotnie więcej upałów, susz i związanych z nimi pożarów lasów. Liczba burz jest dwukrotnie większa niż 38 lat temu. To tylko przedsmak tego, co nas czeka.

doskonaleszare.github.io To, że niektórych skutków zmiany klimatu nie da się już uniknąć, nie oznacza, że należy usprawniać brak jakichkolwiek działań. Faktycznie, kolektywnie jako ludzkość zawaliliśmy pierwsze podejście do redukcji emisji gazów ciepłarnianych 30 lat temu. Jednak globalne ocieplenie nie jest problemem binarnym, który można rozwiązać albo nie, i prawdopodobnie nigdy nie będzie tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej.

naukaoklimacie.pl Także rolnictwo zaczyna borykać się z poważnymi problemami. Susze na Wielkich Równinach USA już teraz zagrażają tamtejszej tradycyjnej ekstensywnej hodowli bydła. W południowej części regionu parowanie przeważa nad opadami praktycznie we wszystkich miesiącach roku. Każda, nawet drobna zmiana w temperaturze ma więc znaczenie – straty w plonach dla ekstremalnych susz rosną tu o ok. 25 proc. na każdy stopień globalnego ocieplenia.

chronmyklimat.pl Większość ludzi nie wie, że 51 proc. całego oleju palmowego importowanego do Europy trafia do naszych samochodów. UE subsydiuje go jako „ekologiczny biodiesel”, mimo że jest trzykrotnie gorszy dla klimatu niż zwykły diesel z powodu wylesiania, które powoduje. Niepokojące jest to, że Komisja UE jest lobbowana przez indonezyjskie i malezyjskie rządy, aby nadal promować olej palmowy w oleju napędowym. Grożą one Komisji, że nie podpiszą ważnych transakcji handlowych z Europą.

Nie tylko ten jeden dzień

DAWID KRAWCZYK

Zrezygnowali z plastikowych słomek i sztućców, ale wiedzą, że ich indywidualne wybory nie zatrzymają globalnego ocieplenia. Licealiści zerwali się z lekcji, żeby na marszach w całej Polsce domagać się od polityków przeciwdziałania zmianom klimatu.

Nie tak. Trzeba rozkruszyć, najlepiej potrzeć o chodnik i dopiero później po twarzy” – dziewczyna w czarnym sztucznym futrze zabiera chłopakom kawałek węgla i instruuje ich, jak porządnie się usmarować. Działa. Czerwone policzki przetarte węglem wreszcie wyglądają jak uwalane sadzą. Jest 9 rano, za godzinę z Ogrodu Saskiego w Warszawie ma ruszyć demonstracja Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Węgiel na twarzy to ich znak rozpoznawczy.

Kasia odlicza minuty do startu i sprawdza listę osób, które mają przemawiać ze sceny zaimprovizowanej na samochodzie. „Właśnie, gdzie jest ten nasz samochód? Gdzie jest Ignacy?” – rzuca do grupki skupionej na wymyślaniu hasła do skandowania. Na skrzyżowanie wjeżdża chłopak z długimi włosami w kurtce moro. Zeskakuje z samochodu. „Wszystko jest na miejscu” – uspokaja Ignacy.

Pół godziny do startu demonstracji. Zgodnie z planami lekcji dobiega końca druga godzina lekcyjna. Ale dzisiaj, w piątek 15 marca, ławki w liceach są przerzedzone. Za to wagony stołecznego metra muszą pękać w szwach. Kasia i Ignacy widzą, jak ze stacji metra co kilka minut wychodzi kilkaset osób z transparentami, trąbkami i parasolkami. „Tu już jest kilka tysięcy ludzi. Nie mieszczą się w parku, a jeszcze nie zaczęliśmy” – ekscytuje się Marek, tegoroczny maturzysta.

Szkolny strajk dla klimatu

Lato 2018 r. było w Szwecji wyjątkowo gorące. W lipcu strażacy zmagali się z falą upałów i pożarów w pobliżu koła podbiegunowego. Na początku września 15-letnia wówczas Greta Thunberg zostawiła podręczniki w domu i nie poszła do szkoły. Wzięła za to transparent z napisem „Skolstrejk för klimatet” („Szkolny strajk dla klimatu”) i usiadła na schodach Riksdagu, szwedzkiego parlamentu. Poszła na wagary, żeby zaprotestować prze-

ciwko brakowi działań w sprawie zmian klimatu.

9 września Szwedzi mieli głosować w wyborach parlamentarnych, a Greta zapowiedziała, że do tego czasu strajkuje i nie wróci do szkoły. Po wyborach nie zrezygnowała z protestu, co piątek przychodzi pod Riksdag i domaga się od szwedzkiego rządu ograniczenia emisji dwutlenku węgla zgodnie z zapisami porozumienia Paryskiego. W grudniu Thunberg przyjechała na szczyt klimatyczny do Katowic.

„W 2078 r. będę obchodziła swoje 75. urodziny. Jeśli będę miała dzieci, być może spędzę ten dzień z nimi. Może zapytają mnie o was, może zapytają, dlaczego nic nie zrobiliście, kiedy wciąż była szansa działać – mówiła w Katowicach Thunberg. – Mówicie, że kochacie swoje dzieci ponad wszystko. A mimo to na ich oczach kradniecie im przyszłość. Dopóki nie skupicie się na tym, co trzeba zrobić, zamiast na tym, co jest popularne politycznie, nie ma nadziei na zmiany. Nie można poradzić sobie z kryzysem, jeśli nie traktuje się go jak kryzysu”.

Pokojowy protest

Gdyby nie samotny protest Greta, 15 marca ulice w centrum Warszawy nie zostałyby zablokowane przez kilka tysięcy nastolatków. Ignacy Pułka i Kasia Osuch dowiedzieli się o strajkującej uczennicy ze Sztokholmu jeszcze w zeszłym roku. – Kilkoro znajomych wpadło na pomysł, że zrobimy jeden dzień akcji dla klimatu – opowiada Ignacy. Uczy się w pierwszej klasie Wielokulturowego Liceum Humanistycznego im. Jacka Kuronia na warszawskiej Pradze.

– To były skromne pomysły. Rozwiesiliśmy po szkole kartki: „Korzystaj z jednego kubka, a na koniec dnia go umyj”. I udało nam się wymienić plastikowe sztućce na metalowe. Na stałe, a nie tylko na ten jeden dzień. Greta mówiła, żeby zorganizować się najpierw w szkołach, więc tak zaczęliśmy – opowiada. Ignacy i jego

znajomi postanowili, że będą działać dalej i chcą wyjść poza obręb jednej, niepublicznej szkoły w stolicy.

– Dostałam telefon od znajomych z „Kurononia”, czy nie chcę się włączyć i zaangażować swojej szkoły, bo robią strajk klimatyczny. Nie byłam pewna, ale poszłam na spotkanie – mówi Kasia Osuch. Przygotowuje się w tym roku do matury. Kończy dwujęzyczne liceum im. Miguela de Cervantesa. W maju pisać będzie egzaminy z polskiego i filozofii. Jeśli pójdą po jej myśli, to zaczną studia z socjologii na Uniwersytecie Warszawskim. Strajk Klimatyczny nie był jej pierwszą demonstracją.

Kiedy nie uczy się do matury, stara się wspierać potrzebujących jako wolontariuszka. W Warszawskim Domu pod Fontanną rozmawia z osobami w kryzysie zdrowia psychicznego, w Muzeum Sztuki Nowoczesnej pomaga przy prowadzeniu warsztatów dla dziewczyn z ośrodków wychowawczych. W styczniu, kiedy odebrała telefon od znajomych ze Strajku Klimatycznego, nie narzekając na nadmiar wolnego czasu, ale i tak się zgodziła. – Trochę niepokoiła mnie nazwa „strajk”, kojarzyła mi się z ostrą formą sprzeciwu. A dla mnie najważniejsze jest, by protestować pokojowo. Kasia zgłosiła się do odpowiadania na wiadomości, które spływały na facebookowej stronie. – Byliśmy skupieni na „Marszu dla klimatu”, który miał przejść przez Warszawę 15 stycznia. Ale ze względu na żałobę po prezydencie Adamowiczu przenieśliśmy go na miesiąc później – opowiada.

Na początku lutego zmarł Jan Olszewski, a kilka dni później prezydent Duda ogłosił trzydniową żałobę. Data „Marszu dla klimatu” znowu pokrywała się z ogólnonarodową żałobą, ale organizatorzy nie chcieli przekładać go po raz kolejny. 16 lutego na placu Trzech Krzyży trwały uroczystości pogrzebowe, a kilkaset metrów dalej pod Sejmem Kasia i Ignacy krzyczeli, że „Nie ma Planety B”. – To było dość niezwykłe. Wracaliśmy



Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, Warszawa, 15 marca 2019 r.

z transparentami z Wiejskiej, część z nas przebrana za zwierzęta, a na placu Trzech Krzyży wszyscy śpiewali „Barkę” – wspomina Kasia. Pod Sejm przyszło wtedy około 200 osób.

Odmawiając słomek świata nie zbawimy

Miesiąc później w Ogrodzie Saskim tłoczyło się już kilka tysięcy uczniów i uczennic. Po godzinie dotarli pod Ministerstwo Energii. Imprezowe kawałki leciały z głośników na zmianę z przemówieniami uczestników. „Dużo ludzi mówi, że my, indywidualne jednostki, mamy naszym przykładem pokazywać, jak należy dbać o środowisko – mówił Ignacy zaraz po tym, jak udało mu się wdrapać na scenę. – Mamy dokonywać świadomych wyborów: kupować ekologiczne produkty, ubierać się w ubrania niewyprodukowane na Dalekim Wschodzie przez dzieci. Mamy nie korzystać z plastikowych opakowań i jednorazowych słomek. Jak przestaniemy z nich korzystać, to koncernom przestanie opłacać się ich produkcja. Ale nie tylko po naszej stronie

leży odpowiedzialność za to, co dzieje się na naszej planecie”.

Udało mu się skupić na sobie uwagę roztańczonej młodzieży, więc kontynuował: „Największymi trucicielami są wielkie korporacje, a wraz z nimi państwa, które na to pozwalają, bo zyskują na tym ogromne pieniądze”.

Kilka dni po strajku znowu spotkałem się z Ignacym. Tym razem po lekcjach. – Trochę ludzi nie było zadowolonych z tego mojego przemówienia – przyznał. Dlaczego? – Samo to, że odmawiając plastikowych słomek nie zbawimy świata, może jeszcze nie jest takie kontrowersyjne. Ale już ta krytyka korporacji nie podobała się wolnorynkowym kolegom. A takich też mamy w MSK – tłumaczy Ignacy.

Wielokrotnie ze sceny w czasie marszu padały zapewnienia, że strajk nie jest inicjatywą wyłącznie lewicowej czy prawicowej młodzieży. Po antykapitalistycznym wystąpieniu Ignacego inny uczestnik cytował papieskie encykliki i opowiadał o chrześcijańskiej trosce o planetę. – Zależy nam przede wszystkim na tym, żeby kwestia zmiany klimatu zajmo-

wała istotne miejsce w debacie publicznej – podkreśla Kasia. – Nie jesteśmy ekspertami. Zresztą to nie nastolatki powinny wypracowywać rozwiązania problemów, tylko ministerstwa.

– Bardzo chcielibyśmy, żeby zmiana klimatu była jednym z kluczowych tematów nadchodzącej kampanii wyborczej – podkreśla Kasia.

Nie tylko Młodzieżowy Strajk Klimatyczny

Demonstracja młodzieży w Warszawie trwała ostatecznie kilka godzin i przerodziła się w plenerową imprezę pod budynkiem ministerstwa. – Jak już wszyscy się rozeszli, to usiedliśmy w ekipie organizatorów i popłakaliśmy się z emocji – wspomina Kasia. – I wszyscy byli zgodni, że to dopiero początek.

Młodzieżowy strajk nie jest i nie chce być powiązany z żadną partią polityczną. Z ostrożnością też podchodzi do współpracy z dużymi organizacjami pozarządowymi zajmującymi się ekologią. Co najmniej tak samo jak na klimacie zależy im na niezależności. Chociaż zawsze z uznaniem wypowiadają się o innych krajowych inicjatywach na rzecz klimatu.

Akcja Demokracja, organizacja pozarządowa znana z protestów w obronie praworządności i sądownictwa, od kilku miesięcy organizuje „Akcję Klimat”. W czasie katowickiego COP-u zorganizowali happening promujący odnawialne źródła energii. Aktywiści Akcji Demokracji domagają się od polityków, żeby zajęli się zwalczaniem smogu. Na Dolnym Śląsku działa Alarm Smogowy – stowarzyszenie rozlicza lokalnych urzędników z działań na rzecz czystego powietrza. W połowie lipca odbędzie się kolejna edycja Obozu dla Klimatu – kilkudniowych warsztatów dotyczących ekologii i środowiska.

Greta Thunberg co piątek wędruje ze swoim transparentem pod szwedzki parlament. Organizatorzy Młodzieżowego Strajku Klimatycznego również zapowiadają regularność. Chcą protestować na ulicach polskich miast co miesiąc. Warszawska grupa już ogłosiła datę kolejnego strajku na 12 kwietnia. Terminy protestów w innych miastach są właśnie ustalane. ©

WIEK SOLIDARNOŚCI

Zauważano go zwykle w momentach najtrudniejszych.
Ale jego aktywności nie ograniczały się do czasu wojennego.
Polski Czerwony Krzyż skończył właśnie sto lat.

TOMASZ TARGAŃSKI

CHOĆ POWSTAŁ WKRÓTCE PO ODZYSKANIU przez Polskę niepodległości, to bynajmniej nie „na surowym korzeniu”.

Jeszcze podczas I wojny światowej – konfliktu, który na swoim froncie wschodnim pozostawił ogromne zniszczenia na ziemiach polskich należących do Austrii i Rosji – we wszystkich trzech zaborach działały organizacje nawiązujące do idei Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Ruch ten, zainicjowany w 1863 r. przez szwajcarskiego handlowca i filantropa Henriego Dunanta – kilka lat wcześniej był on świadkiem cierpień żołnierzy i cywilów podczas wojny między Austrią a Francją i Włochami – wzywał do solidarności i niesienia pomocy wojskowym oraz cywilnym ofiarom wszelkich konfliktów. W zaborze rosyjskim działał zatem Polski Komitet Pomocy Sanitarnej, w pruskim Komitet Niesienia Pomocy Rodakom w Królestwie, a w austriackim Krajowe Stowarzyszenie Mężczyzn i Dam Czerwonego Krzyża w Galicji.

W chwili, gdy Polska wróciła na mapę świata i zyskała uznanie międzynarodowe, zniknęły też przeszkody, aby zarejestrować ogólnokrajową organizację Czerwonego Krzyża. Doszło do tego 18 stycznia 1919 r. w hotelu Bristol w Warszawie. Tego dnia wszystkie działające na ziemiach polskich organizacje kierujące się zasadami humanitaryzmu, bezstronności, neutralności i powszechności połączyły siły, tworząc Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża. Patronką ruchu została Helena Paderewska – żona Ignacego, ówczesnego premiera i ministra spraw zagranicznych.

Rok 1920: za frontem i w Moskwie

Pierwszym konfliktem, w którym PCK podjął działania, była wojna polsko-bolszewicka – zaczęła się wkrótce po tym, jak PCK zaczął działalność. Ludzie z czerwonym krzyżem na ramieniu, mężczyźni i kobiety, zakładali szpitale polowe, a siostry PCK prowadziły punkty sanitarne dla uchodźców z terenów objętych walkami.

Organizacji udało się założyć nawet swoje przedstawicielstwo w Moskwie. Stanowisko pełnomocnika pełniła tam Jekatierina Pieszkowa (żona Maksyma Gorkiego). Szukając jeńców oraz zakładników, przetrzymywanych przez władze bolszewickie, pomagała rodzinom odnaleźć swoich bliskich.

Pieszkowa działała również na rzecz umożliwienia wyjazdu do kraju wielu Polakom – w sumie było to kilkaset tysięcy osób, które albo podczas I wojny światowej znalazły się w Rosji, albo pochodziły z terenów, które po pokoju ryskim z 1921 r. znalazły się w Rosji bolszewickiej. PCK pomagał też sprowadzić do kraju żołnierzy wziętych do niewoli podczas wojny (choć z tych wróciło niewiele; większość, o ile nie została zabita od razu, zginęła w obozach pracy przymusowej).

Z kolei w czasie powstań śląskich, w latach 1919-21, wobec dojmujących chwilami braków zaopatrzenia w żywność, działacze i wolontariusze PCK organizowali na Górnym Śląsku stałe i ruchome punkty wydawania posiłków.

Obowiązką związane z udzielaniem pomocy sanitarnej tworzącemu się Wojsku Polskiemu, otaczanie opieką uchodźców,

żołnierzy i ich rodzin sprawiały, że PCK z jednej strony zyskał olbrzymią sympatię w społeczeństwie, z drugiej jednak strony związał się, siłą rzeczy, z państwem i jego instytucjami (np. w latach 1920-26 funkcję prezesa Głównego Komitetu PCK pełnił wojskowy – generał Józef Haller).

W zamian za świadczoną Rzeczypospolitej pomoc PCK, w okresie międzywojennym cieszył się przywilejami: sejmowa ustawa oddawała do dyspozycji organizacji część wpływów ze sprzedaży biletów na widowiska, koncerty czy zawody. Później, po II wojnie światowej, ważnym źródłem finansowania stanęły z kolei tzw. nawiązki sądowe, które sprawcy przestępstw będą musieli wpłacać na rzecz PCK.

Desant sanitariuszek

Ważną częścią przedwojennej działalności PCK było promowanie krwiodawstwa. Na początku XX w. transfuzjologia wciąż była nowinką i wielu patrzyło na nią podejrzliwie. Poza prof. Ludwikiem Hirszfel-dem dużą rolę w upowszechnieniu wiedzy o przetaczaniu krwi odegrał prowadzony właśnie przez PCK Instytut Przetaczania i Konserwacji Krwi w Warszawie. Stojący na jego czele Henryk Gnoiński był autorem popularnej broszury edukacyjnej „O przetaczaniu krwi”. W tym czasie duża część przetaczanej krwi pochodziła od dawców płatnych (dla niektórych było to jedyne źródło dochodu) – idea honorowego krwiodawstwa dopiero się zakorzeniła.

W drugiej połowie lat 30., gdy rosło prawdopodobieństwo kolejnej wojny, przygotowywał się do niej także PCK. Doświadczenie z poprzedniego kon-



Sanitariuszki ze Szkoły Pielęgniarstwa PCK podczas kursu spadochronowego. Warszawa, Pola Mokotowskie, 1938 r.

fliktu zbrojnego uczyło, że wielu rannych w ogóle nie docierało do szpitali, konając w transporcie – w wozach konnych na wyboistych drogach. Antidotum na opieszałość transportu miało być stworzenie nowoczesnej eskadry samolotów sanitarnych. PCK złożyło zamówienie na sześć takich maszyn w Lubelskiej Wytwórni Samolotów. Konstrukcja górnopłatowca o nazwie LWS-2 była gotowa w 1937 r. W specjalnie przystosowanym kokpicie za kabiną pilota zaprojektowano miejsce dla dwóch chorych na noszach i rozkładany stolik, gdzie lekarz mógłby udzielić natychmiastowej pomocy.

Eskadra ratunkowa PCK zaprezentowała się publiczności w maju 1938 r. na Polach Mokotowskich w Warszawie. Poza pokazowymi lotami bohaterkami dnia były uczennice ze szkoły pielęgniarstwa i zarazem absolwentki kursu spadochronowego organizowanego przez PCK. Kurs, w którym udział wzięło osiem kobiet, obejmował część teoretyczną, zajęcia z ratownictwa i szkolenie ze skoków z różnej wysokości.

Desant sanitariuszek z czerwonym krzyżem na ramieniu wzbudził sensację. Zaraz po wylądowaniu jedna z nich, Ałła Maksymowiczówna, tak opisała swoje wrażenia w rozmowie z dziennikarzem „Gońca Warszawskiego”: „Leci się głową w dół (...). W pierwszej chwili zawsze muszę walczyć z potrzebą natychmiastowego pociągnięcia za rączkę spadochronu. Bo widzi pan, trzeba chwilę zaczekać. Dopiero potem pociągam, czuję mocne szarpnięcie za ramiona i już... po całej emocji”.

Hans Frank jest urażony

Już wkrótce, podczas okupacji niemieckiej, PCK miał być jedyną tolerowaną przez Niemców organizacją z przymiotnikiem „polski” w nazwie (na terenach okupowanych przez Związek Sowiecki działalność PCK była niemożliwa, gdyż władze sowieckie nie podpisały konwencji genewskich).

Zarząd PCK był świadomy kapitału moralnego, jaki organizacja ma w społeczeństwie, dlatego przywiązywał wagę do zachowania niezależności wobec Niemców.

Jednak urzędnicy Generalnego Gubernatorstwa wciąż czynili zakusy, by zyskać przychyłność PCK, oferując w zamian pewne profity.

Przykładem propozycja gubernatora Hansa Franka – opisana przez Marię Tarnowską, wiceprezes PCK, w tomie „Przyszłość pokaże...” – aby dochody z kasyna przy alei Szucha w Warszawie przeznaczyć na finansowanie organizacji. Przy alei Szucha swoją siedzibę miało też Gestapo, tu zwożono aresztowanych – i zapewne także gestapowcy uprawiali hazard w pobliskim kasynie.

W oficjalnym piśmie zarząd PCK propozycję Franka odrzucił, co poskutkowało wizytą funkcjonariuszy SD (Policji Bezpieczeństwa) i Gestapo. Stwierdzili, że gubernator Frank czuje się osobiście urażony. Tarnowska i prezes Wacław Lachert ponownie odmówili przyjęcia pieniędzy, powołując się na względy moralne.

Innym razem urzędnicy Generalnego Gubernatorstwa chcieli skłonić przedstawicieli PCK do wizytacji obozu jeńców w Murnau w Bawarii. Organizowanie ➔

→ podobnych „wycieczek” miało pokazać, że wbrew pogłoskom Niemcy przestrzegają konwencji międzynarodowych i traktują jeńców z szacunkiem. Prezes Lachert zapisał we wspomnieniach, że odmówił wzięcia udziału w tej inspekcji, a na odchodnym dodał, że wolałby raczej wiedzieć, „co się dzieje w Dachau, Oświęcimiu, Majdanku i innych więzieniach, a nie wizytować swych rodaków we wzorowym obozie dla dogodzenia propagandowym celom niemieckim”. Lachert wielokrotnie zgłaszał protesty w sprawie losu aresztowanych i wyroków śmierci; pozostawał bez odpowiedzi.

Pracownicy PCK utrzymywali kontakt z Żydami z warszawskiego getta, mieli do dyspozycji stałe przepustki, które umożliwiały im przenoszenie wiadomości między stroną aryjską a gettem. Za murami działał też ośrodek pierwszej pomocy PCK. Z kolei w czasie powstania warszawskiego PCK udzielał pomocy walczącym i cywilom. Zbierał informacje o zabitych i rannych: lekarze i sanitariuszki (wśród nich Irena Sendlerowa) odnotowywali miejsca pochówków; ich ewidencja służyła potem podczas poszukiwań i ekshumacji.

Gdy powstanie upadało, Maria Tarnowska prowadziła z ramienia PCK negocjacje z Niemcami w sprawie wyjścia ludności cywilnej z miasta. Na mocy umowy kapitulacyjnej z 2 października 1944 r. PCK był odpowiedzialny za ewakuację z Warszawy wszystkich szpitali i punktów opatrunkowych. W ten sposób udało się wyprowadzić z miasta 5 tys. rannych.

Rok 1943: w katyńskim lesie

Chwilą próby dla PCK stał się Katyń.

Po odkryciu grobów polskich oficerów Niemcy poprosili o „pomoc” w określeniu

daty ich śmierci. Było oczywiste, że nadanie przez władze niemieckie rozgłosu tej zbrodni miało na celu odwrócenie uwagi od własnych zbrodni i osłabienie koalicji mocarstw zachodnich ze Stalinem.

PCK nie chciał dać się wciągnąć w rozgrywkę między Związkiem Sowieckim a III Rzeszą. Sprawa dotyczyła jednak zaginionych oficerów, nad których losem zastanawiały się rodziny w kraju i rząd w Londynie.

Kiedy więc dowództwo Armii Krajowej zezwoliło na wyjazd do Katynia zaufanym przedstawicielom PCK, zarząd wyznaczył do tego m.in. specjalistę medycyny sądowej dr. Mariana Wodzińskiego. Podczas trwających pięć tygodni ekshumacji Wodziński kierował Komisją Techniczną PCK. Udało mu się dokonać prawie 3 tys. identyfikacji (na ok. 4500 znalezionych zwłok), określić sposób dokonania zabójstw i rodzaj użytej broni.

Rola PCK w sprawie Katynia nie skończyła się na ekshumacjach. Jego pracownicy brali udział w badaniu odnalezionej przy zwłokach dokumentacji, opracowaniu listy ofiar i wydawaniu świadectw zgonu. Dzięki temu rodziny oficerów po raz pierwszy mogły uzyskać wiarygodne informacje na temat losu bliskich.

Po powrocie z Katynia sekretarz generalny PCK Kazimierz Skarżyński sporządził poufne sprawozdanie na temat tego, co widział. Przekazany władzom AK, raport ten trafił później do rządu w Londynie. Jako groźni świadkowie zbrodni Skarżyński, Wodziński i inni członkowie Komisji Technicznej byli po wojnie represjonowani przez komunistów i często zmuszani do ucieczki z kraju.

Z mordem w Katyniu wiąże się też – nie wyjaśnione do dziś – losy tzw. archiwum

Robla. Chodzi o skrzynie, w których członkowie Komisji Technicznej złożyli dokumenty dotyczące tożsamości ofiar, w tym obrączki, papierosnice i inne przedmioty.

Do 1944 r. skrzynie przechowywano w Krakowie, w Instytucie Medycyny Sądowej i Kryminalistyki. Część została wywieziona przez Niemców przed nacierającą Armią Czerwoną, część zaś udało się ukryć – dzięki pomocy dr. Jana Zygmunta Robla, żołnierzy Armii Krajowej i pracowników krakowskiego PCK.

Jedna ze skrzyń, gdzie znajdowała się część skatalogowanych przez Robla materiałów, miała zostać zakopana na podwórku kamienicy Małopolskiego Oddziału PCK. Prowadzone parę lat temu badanie georadarem, zlecone przez IPN, nie przyniosło jednak rezultatów.

Po roku 1945: ktokolwiek widział...

Już w 1920 r., podczas wojny polsko-bolszewickiej, PCK uruchomił Biuro Informacji i Poszukiwań, które zbierało dane o ofiarach. Ale „karierę” biuro to zrobiło po 1945 r., gdyż gromadziło informacje od polskich jednostek wojskowych w kraju i za granicą, spisywało poległych i rannych oraz odpowiadało na pytania ludzi szukających krewnych. Kartoteki tworzone nawet poprzez spisywanie nazwisk z grobów.

W reportażu Polskiego Radia, nagrany w 1981 r., Antonina Sztomberkowska tak opisywała uruchomienie zaraz po wojnie warszawskie biuro PCK jako „miejsce spotkań” mieszkańców stolicy: „Tu były niesamowite kolejki, często ludzie spotykali się już w tych kolejkach, bo jedni czekali, żeby zgłosić poszukiwanie, a drudzy wracali do kraju i rejestrowali się w PCK”.

PCK dzisiaj

STANISŁAW KRACIK

JUBILEUSZ, który nie prowadzi do refleksji nad dniem dzisiejszym, będzie zmarł. Duma z dokonań tych, co byli przed nami, musi prowadzić do pytania o to, na ile dzisiaj – w innych warunkach – potrafimy

sprostać nowym potrzebom i wyzwaniom.

Te nowe zadania dzisiaj to edukacja w zakresie prawa humanitarnego i pierwszej pomocy, usługi opiekuńcze dla osób starszych oraz osób z niepełnosprawnościami, zapobieganie skutkom katastrof i klęsk żywiołowych oraz, po czwarte, honorowe krwiodawstwo.

Idee Czerwonego Krzyża pozostają niezmiennie, ale sposób ich wprowadzania do

praktyki musi się zmieniać tak, jak zmieniają się nasze sposoby porozumiewania się i warunki, w jakich żyjemy. Szukamy nowych dróg docierania do ludzi, którzy zechcą oddać krew nieznanemu sobie bliźniemu, ale piękno tego gestu pozostaje niezmiennie. Uczymy tego samego zestawu kanonów międzynarodowego prawa humanitarnego, wykorzystując nowe ścieżki przekazywania informacji.

Poszerza się zakres wiedzy i narzędzi udzielania pierwszej pomocy, ale cel, jakim jest ratowanie życia, jest ten sam. Mamy w kilkunastu Grupach Ratownictwa Medycznego najnowszy sprzęt techniczny i ustawicznie doskonalących swoje umiejętności ratowników, ale niezmiennym ich zadaniem pozostaje pomoc poszkodowanym. ©

STANISŁAW KRACIK jest prezesem Polskiego Czerwonego Krzyża.



Pracownicy PCK pomagają polskim wygnańcom, transportowanym z ziem wschodnich na ziemie poniemieckie. Dworzec kolejowy w Łodzi, 1945 r.

KRZYSZTOF CHOJNACKI / EAST NEWS

Szczególną rolę w archiwach PCK odegrały karty z personaliami polskich dzieci odebranych rodzinom i oddanych na wychowanie rodzinom niemieckim (po wojnie Trybunał w Norymberdze uznał rabunek dzieci za zbrodnię ludobójstwa). Odwołując się do tych zasobów ludzie, którzy często nie byli świadomi własnego pochodzenia, mogli po latach odnaleźć swoich prawdziwych rodziców.

W 2015 r. w Warszawie doszło do wyjątkowego spotkania – relacjonowanego przez polskie i zagraniczne media – rozdzielonych podczas wojny bliźniaków. Bracia odnaleźli się po 68 latach właśnie za pomocą Biura Informacji PCK.

Począwszy od 1945 r. do dziś, do Biura Informacji wpłynęło ponad 4,4 mln spraw i indywidualnych zapytań. Do tej chwili udało się ustalić losy 650 tys. ludzi na całym świecie. Współczesnym wcieleniem tej strony działalności PCK jest projekt „Trace The Face”, który pozwala współczesnym migrantom na poszukiwanie bliskich za pośrednictwem internetu.

Rok 1956: na pomoc Węgrom

Zapoczątkowana w 1948 r. przez komunistyczne władze PRL stopniowa nacjonalizacja majątku PCK – szpitali, sanatoriów, przychodni czy stacji pogotowia – była

dla organizacji ciężkim ciosem. Z drugiej strony pozwoliło to PCK przekształcić się w samowystarczalną instytucję, funkcjonującą niezależnie od państwa.

O ile więc po II wojnie światowej skala działań organizacji została ograniczona (także pod względem prowadzenia misji międzynarodowych), o tyle jej kapitał społeczny okazał się bardzo wysoki.

PCK zapracował na niego również za sprawą Węgier: gdy jesienią 1956 r. Węgrzy podjęli próbę zbrojnego powstania antykomunistycznego, a Węgierski Czerwony Krzyż zaapelował o pomoc (w tym o krew dla rannych powstańców), i gdy okazało się, że ludzie w całej Polsce – chwilowo płynącej na fali popaździernikowej „odwilży” – gotowi są pomóc, to właśnie PCK zapewnił logistykę tej pomocy.

Lekarstwa, opatrunki, a także krew, jak też żywność – wszystko to popłynęło na Węgry szerokim strumieniem: samolotami, ciężarówkami i koleją. PCK zebrał też na pomoc dla Węgrów kilkadziesiąt milionów złotych.

Być może także dlatego w okresie PRL-u Czerwony Krzyż stał się organizacją masową: w 1970 r. liczył ponad 5,5 mln członków. Potem, w czasie stanu wojennego, przedstawiciele PCK składali regularne wizyty w ośrodkach internowania

działaczy opozycji, udzielali pomocy ich rodzinom, organizowali korespondencję.

„Na miarę sił”

Swoją działalność w czasach komunistycznych PCK zakończył w sposób poniekąd symboliczny: gdy w grudniu 1989 r. Rumunia dołączyła, jako ostatni kraj, do tamtej Jesieni Ludów, ale bynajmniej nie na sposób pokojowy, i gdy w Bukareszcie oraz innych miastach połała się krew – PCK znów okazał się jedyną istniejącą wtedy strukturą zdolną do zapewnienia logistyki pomocy, którą zbierano wówczas w wielu polskich miastach.

A potem nastąpił koniec PRL i komunizmu. W wolnej Polsce PCK znalazł się w nowej sytuacji (zaczęło powstawać wiele inicjatyw o charakterze humanitarnym) i stanął przed nowymi wyzwaniem.

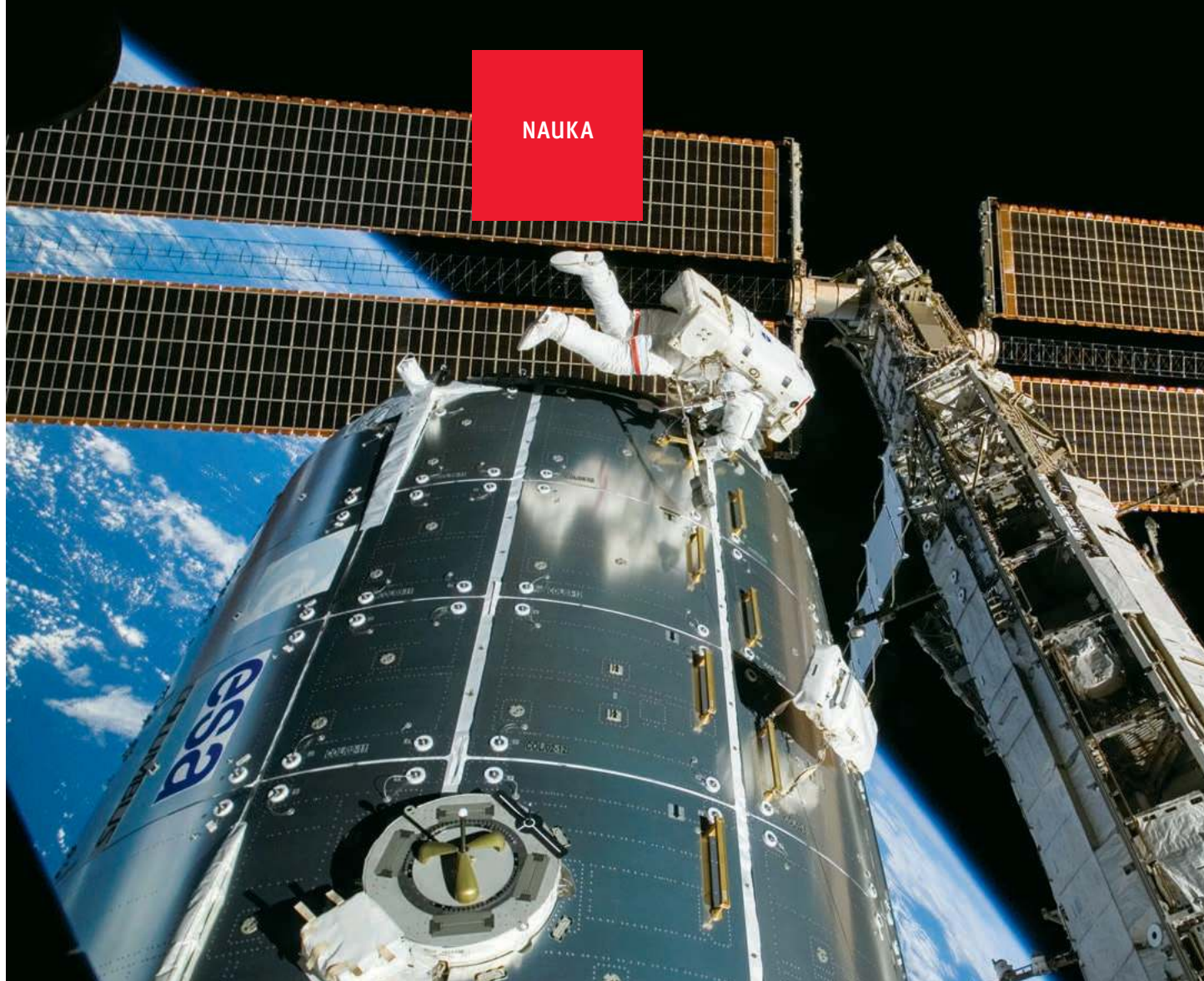
Dziś, poza akcjami pomocowymi i ratowniczymi w kraju (np. w czasie powodzi) oraz za granicą, PCK w coraz większej mierze koncentruje się na takich sprawach jak zwalczanie skutków ubóstwa, bezrobocia czy bezdomności. Podejmuje też inicjatywy edukacyjne, mające kształtować świadomość w zakresie ochrony życia i zdrowia czy prawa międzynarodowego.

Ponad 150 lat temu Henri Dunant pisał: „Wszyscy w ten czy inny sposób, każdy w swej dziedzinie i w miarę swych sił, mogą przyczynić się w jakimś stopniu do szlachetnego dzieła”. Humanitarne problemy, które przynosi wiek XXI, potwierdzają te słowa – zapotrzebowanie na ów odruch bezinteresownej solidarności jest, w skali globalnej, równie wielkie jak kiedyś. Jednak, z drugiej strony, w wątpliwość podawana bywa sama idea pomocy humanitarnej: niektórzy widzą w niej – zwłaszcza w krajach Azji czy Afryki – obracający miliardami „przemysł”.

Receptą na to może być rozszerzenie definicji Dunanta: obok altruizmu i miłosierdzia równie ważne stają się przejrzystość i rzetelna informacja o swych działaniach. One budują zaufanie – pojęcie dziś chyba kluczowe.

© TOMASZ TARGAŃSKI

Korzystałem z: Z. Abramek „Powstanie i działalność Polskiego Czerwonego Krzyża” (2001); A.M. Stefanicka „Spieszymy z pomocą. Historia towarzystwa pomocy Polakom” (2016); M. Cichocka „Polski Czerwony Krzyż w latach 1919-2004” (2006); kwartalnik „Karta” nr 98/2019; internetowe archiwum PCK (www.100lat.pck.pl).



Międzynarodowa Stacja Kosmiczna już ponad 20 lat krąży po orbicie.

KOSMOS BLISKI

Stacje orbitalne są astronomicznie drogie i nie doprowadziły do żadnego spektakularnego odkrycia. Ale trudno sobie wyobrazić, byśmy mogli z nich zrezygnować.

PIOTR STANKIEWICZ

WCHWILI ZAMKNIĘCIA TEGO NUMERU „Tygodnika” cała ludzkość znajduje się na planecie Ziemia... poza sześcioma osobami, które przebywają na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). Jest ona zamieszkała nieprzerwanie od 2 listopada 2000 r. Jako gatunek weszliśmy więc w stadium „kosmicznej dojrzałości”, bo stuknęło nam symboliczne 18 lat, gdy

ktos z nas stale jest poza macierzystą planetą.

Przed ISS był Mir, przed nim Skylab i szereg radzieckich Salutów. Chińczycy eksperymentują ze stacjami Tiangong, a lista projektów planowanych, ale niezrealizowanych jest jeszcze obszerniejsza – wymienimy tylko niedoszłą amerykańską stację Freedom czy radzieckiego MIRA 2.

Ale czym w ogóle są stacje kosmiczne? I przede wszystkim: po co je budujemy?

Triumf Rosjan

Zacznijmy od nazwy, bo w etymologii kryje się ironia. Słowo „stacja” pochodzi od łacińskiego *sto, stare* – czyli „spoczywać w miejscu, być nieruchomym” – a stacja kosmiczna jest przeciwieństwem spo-



NASA

czynku: porusza się po orbicie z prędkością prawie 8 km na sekundę. Gdyby nie taka prędkość, korygowana w miarę, jak tarcie o resztki atmosfery wyhamowuje stację – spadłaby ona na Ziemię.

Stacja kosmiczna jest przeznaczona do funkcjonowania wyłącznie poza atmosferą ziemską – nie ma „lądowika”, modułu powrotnego. Raz wystrzelona, pozostaje w kosmosie i nie wraca w całości na Ziemię (co najwyżej spala się w atmosferze i spada do oceanu), a transport załogi obsługują niezależne od niej statki kosmiczne – rosyjski Sojuz, wahadłowiec amerykańskiego rządu (już nie) czy Dragon firmy SpaceX Elona Muska (już wkrótce). Wczesne stacje (niektóre z serii Salut i stacja Skylab) były wystrzeliwane w gotowym stanie, obecnie jednak stacje buduje się z modułów wynoszonych na orbitę kolejnymi rakietami. ISS składa się z kilkunastu głównych elementów, dodawanych regularnie od 1998 r.

Tak jak Amerykanie pokonali Rosjan w wyścigu na Księżyc, tak Rosjanie zwyciężyli na froncie stacji kosmicznych. Przez dziesiątki lat mieli na nie monopol. Amerykanie zaliczyli tylko krótki epizod ze Skylabem w latach 1973-74, a Rosjanie rozwijali serię stacji Salut i Almaz, a potem przeszli długą przygodę z Mirem. Amerykanie nigdy nie dorobili się własnej, wieloletniej stacji orbitalnej na wyłączność.

Co więcej, nawet obsługa ISS zaskakuje często spada na Rosjan. Przez dwa i pół roku po katastrofie Columbii (2003-05) załogi były przewożone na i z ISS wyłącznie rosyjskimi Sojuzami i tak samo jest obecnie – w tym roku osiem lat już minie od wycofania wahadłowców z użytku.

To zresztą znak zwrotu, który dokonał się w myśleniu o lotach załogowych. Na przełomie lat 70. i 80. wydawało się, że model jednorazowych statków, które wodują w oceanie, zastąpią „kosmiczne samoloty”, które elegancko lądują na pasie lotniska. I zastąpiły... ale tylko w Stanach i tylko na 30 lat. Dzisiaj o nowych wahadłowcach nikt nie mówi, a zarówno NASA (pracująca nad statkiem Orion), jak i SpaceX (Dragon) znów myślą w kategoriach starych, dobrych kapsuł i wodowań.

Zmiana paradygmatu

Stacje kosmiczne obmyślano na długo, zanim stały się rzeczywistością. Mniej lub bardziej fantastyczne pomysły pojawiały się już pod koniec XIX wieku i potem w pierwszej połowie wieku XX, na długo przed lotem Gagarina. Jednak to, co współcześnie nazywamy „stacją kosmiczną”, to wynik zmiany paradygmatu ludzkiej obecności w kosmosie, do której doszło po wyścigu na Księżyc z przełomu lat 60. i 70. Mówiąc najprościej, model „latać daleko” (ku Księżycowi i planetom) został wtedy zastąpiony przez model „latać na długo”.

Spójrzmy na liczby. Po pierwsze, odległość. Od powrotu astronautów Apollo 17 z Księżyca w grudniu 1972 r. żaden człowiek nie był nigdy dalej niż na niskiej orbicie okołozemskiej, na której krążą stacje. To jest kosmiczna różnica skali, trzy rzędy wielkości. Księżyc jest oddalony o prawie 400 tysięcy kilometrów, czyli ćwierć miliona mil w amerykańskiej nomenklaturze. A niska orbita okołozemska? Ona jest tak niska, że mówimy tu jeszcze o „wysokości”, a nie „odległości”. Kiedy ISS przelatuje nad Rynkiem Głównym w Krakowie na wysokości 410 kilometrów, to jest to ten sam dystans, co z ko-

ścioła Mariackiego do mostu Karola w Pradze. Niby kosmos, ale bliski.

Astronauta Apollo popatrzą za to z szalkiem na czas trwania lotów, na jaki pozwalają stacje kosmiczne. W chwili gdy wspomniana załoga Apollo 17 wracała z Księżyca, absolutny rekord długości załogowego lotu kosmicznego wynosił zaledwie 23 dni. Ustanowiła go w 1971 r. załoga pierwszej w dziejach stacji Salut 1 (Dobrowolski, Pacajew i Wołkow – wszyscy zginęli w drodze powrotnej, na skutek rozszczelnienia się statku). Dopiero w 1977 r. przyszedł lot, który trwał kwartał (Salut 6), w 1980 r. przekroczone pół roku (również Salut 6), a rok dopiero na Mirze w 1988 r. Aktualny rekord wynosi 437 dni i ustanowił go Walerij Polakow również na Mirze w latach 1994-95. To wciąż za mało na wyprawę na Marsa i z powrotem, jednak to właśnie dzięki stacjom kosmicznym pobytu wielomiesięczne stały się nie tylko możliwe, ale nawet rutynowe.

Można oczywiście pytać: dlaczego tak? W najszerszym planie trzeba powiedzieć, że model „stałe zamieszkiwane stacje kosmiczne blisko Ziemi” jest tańszy, prostszy i bezpieczniejszy niż model „loty ku Księżycowi i planetom”. Owszem, zbudowanie i utrzymywanie ISS kosztuje ogromnie dużo (trudno o precyzyjne liczby przy projektach tej skali, ale mówimy tutaj o minimum 150 miliardach dolarów), jednak jest to i tak ułamek kosztu, wysiłku i ryzyka, jakie pociągałoby – dajmy na to – utrzymywanie stałej bazy załogowej na powierzchni Księżyca. Niska orbita okołozemska to najbliższe, najprostsze i najtańsze „bycie na stałe w kosmosie”, jakie jest dzisiaj dostępne. Z chwilą, gdy planujemy coś dalszego, koszty, ryzyko i ogólna komplikacja rosną już nie tylko astronomicznie, ale i wykładniczo.

Nauka w nieważkości

Żadne przyszłe, wielomiesięczne loty w głąb Układu Słonecznego nie będą jednak możliwe bez wiedzy i doświadczenia zdobytego na stacjach okołozemskich. Przygotowanie takiej podróży wymaga solidnej wiedzy: jak zachowa się ludzkie ciało – oraz ludzka psychika – wystawione na tak długi czas na warunki kosmiczne? Na łamach „Tygodnika” pisał o tym niedawno Wojciech Brzeziński [zob. „Kosmiczna choroba”, „TP” 9/2019].

Na stacje kosmiczne można więc patrzeć jak na ośrodki treningowe przed lotami na inne planety. Ale oczywiście ich rola →

→ nie sprowadza się wyłącznie do tego. Służą też jako laboratoria, w których wykonuje się wszystkie te badania, których nie da się wykonać na Ziemi. Przede wszystkim chodzi o środowisko nieważkości (ściślej: mikrograwitacji). To jest ta jedna rzecz, której nie da się symulować na Ziemi. I to samo w sobie jest ciekawe: pracujemy nad sztuczną inteligencją i komputerami kwantowymi, ale stan nieważkości na Ziemi jesteśmy w stanie wytwarzać tylko na sekundy. Wszystkie eksperymenty, które potrzebują jej na dłużej, można przeprowadzić wyłącznie na stacji kosmicznej.

Z jednej strony przedmiotem badań jest oczywiście wpływ nieważkości na organizm człowieka, z drugiej – na rośliny i zwierzęta. W ich przypadku, rzecz jasna, ciągle można pozwolić sobie na więcej, włącznie z badaniem, jak nieważkość wpływa na ich rozmnażanie (czego u człowieka nigdy nie badano: w 1978 r. Argentyńczyk Emilio Palma został pierwszym człowiekiem, który urodził się na kontynencie antarktycznym, ale nikt nie urodził się jeszcze ani nie został poczęty poza Ziemią). Kluczowe dla dalszej eksploracji kosmosu są badania nad uprawą roślin i hodowlą tkanek. Ale także mnóstwo zjawisk fizycznych i chemicznych da się w nieważkości ująć od zupełnie nowej strony – dwa dobre przykłady to hodowla kryształów, która w „symetrycznym” środowisku mikrograwitacji może dać nowe efekty, i badanie procesów spalania, które w fundamentalny sposób zależą od konwekcji, a więc od przyspieszenia grawitacyjnego. To właśnie grawitacja sprawia, że płomień świecy ma znajomy kształt. W stanie nieważkości płomień będzie zupełnie inny... i nie jest to bynajmniej tylko ciekawostka, bo rozwój technologii spalania (w szczególności redukcja wytwarzania sadzy i innych produktów ubocznych) ma przecież zasadnicze znaczenie dla transportu, energetyki i ekologii.

Inną ważną przestrzeń badań otwiera fakt, że stacje kosmiczne – z definicji – znajdują się ponad ziemską atmosferą. Umożliwia to obserwacje astronomiczne niemożliwe z Ziemi. Jakże? Otóż astronomia „naziemna” polega tak naprawdę tylko na dwóch „oknach” widma elektromagnetycznego: do powierzchni Ziemi docierają fale radiowe oraz wąski przedział widma w okolicach światła widzialnego. Atmosfera dużo więcej blokuje, niż przepuszcza. Całą resztę da się obserwować tylko sponad niej. Podobnie sprawa

W jednym nikt i nic człowieka na orbicie nie zastąpi. Tylko człowiek zbada, jak człowiek reaguje na warunki kosmiczne.

się ma z obserwacją promieniowania kosmicznego: tu przykładem może być zainstalowany w maju 2011 r. na pokładzie ISS Magnetyczny Spektrometr Alfa, czyli detektor cząstek przeznaczony do badania antimaterii obecnej w promieniowaniu kosmicznym. Badania te dostarczają danych wykorzystywanych m.in. w modelach teoretycznych ciemnej materii.

Astronauta kontra robot

Tylko czy nie da się tego wszystkiego zrobić taniej i lepiej bez udziału człowieka? Jasne jest, że załogę Apolla musieli stanowić ludzie – wtedy chodziło o przewagę symboliczną i polityczną konkurencję między mocarstwami. Robot wbijający flagę w powierzchnię Księżyca nie spełnia celów propagandowych. Jednak w czasie żadnego z załogowych lotów na Księżyc nie dokonano spektakularnych odkryć naukowych (spośród 12 ludzi, którzy chodzili po Księżycu, tylko jeden, Harrison „Jack” Schmitt był naukowcem). Dużo się mówi o automatyzacji pracy na Ziemi. Czy praca badawcza w kosmosie nie jest najbardziej oczywistym zadaniem, które za nas mogłyby wykonywać maszyny?

Liczyb mówią same za siebie. Całkowity koszt teleskopu kosmicznego Hubble’a to kilkanaście miliardów dolarów – dziesięć razy mniej niż ISS (być może najdroższego obiektu zbudowanego przez człowieka). Ich wartość – dla astronomii i kosmologii – jest zaś nieporównywalna: Hubble pozwala nam zaglądać do wczesnych etapów ewolucji Wszechświata, określić jego wiek i tempo rozszerzania się, podglądać pozasłoneczne planety... Wkład ISS w rozwój tych dziedzin jest marginalny.

Bezpośrednia obecność człowieka przy obserwacjach jest coraz mniej potrzebna, a proces ten będzie przecież przybierał na sile, w miarę jak automaty i roboty będą radziły sobie coraz lepiej. „Następcą” teleskopu Hubble’a (który bynajmniej się na emeryturę na razie nie wybiera) będzie teleskop kosmiczny Jamesa Webba. Stosunek kosztów do wartości naukowej będzie tutaj jeszcze korzystniejszy dla teleskopu,

w porównaniu ze stacją kosmiczną. Także wspomniany Magnetyczny Spektrometr dałoby się wystrzelić jako osobnego satelitę. Urządzenie potrzebuje 2,5 kilowata mocy, co było jednym z argumentów za tym, że łatwiej zasilać go z pokładu stacji niż baterii słonecznych autonomicznego pojazdu. Ale – z drugiej strony – ileż takich spektrometrów można by umieścić na orbicie za pieniądze, które wydano na budowę i utrzymanie ISS?

W dobie zmian klimatu i coraz częstszych klęsk żywiołowych niezwykle istotniejsze staje się patrzenie nie tylko wzwyż, w kosmos, ale i w dół, na Ziemię. Tutaj przewaga automatów jest już wyraźna. Owszem, znamy i podziwiamy zdjęcia wykonane przez astronautów na orbicie. Są zrobione ręką człowieka, mają więc wartość sentymentalną, estetyczną, no i pobudzają do refleksji. Jednak zdecydowana większość istotnych danych obserwacyjnych Ziemi pochodzi z satelitów bezzałogowych. Argumentów dostarcza sama mechanika orbitalna: załogowa stacja kosmiczna porusza się po określonej orbicie i bezpośrednio nad określonym punktem powierzchni Ziemi pojawia się tylko raz na dobę (jeżeli szerokość geograficzna tego punktu jest mniejsza bądź równa nachyleniu orbity – w przeciwnym razie nie pojawi się tam w ogóle) i przelatuje nad nim w kilka minut. Trudno tu mówić o stałej obserwacji. Satelitów bezzałogowych zaś – nieporównanie tańszych – można wystrzelić więcej, tak żeby dany obszar stale był w polu obserwacji przynajmniej jednego z nich. Taniej, bezpieczniej, lepiej.

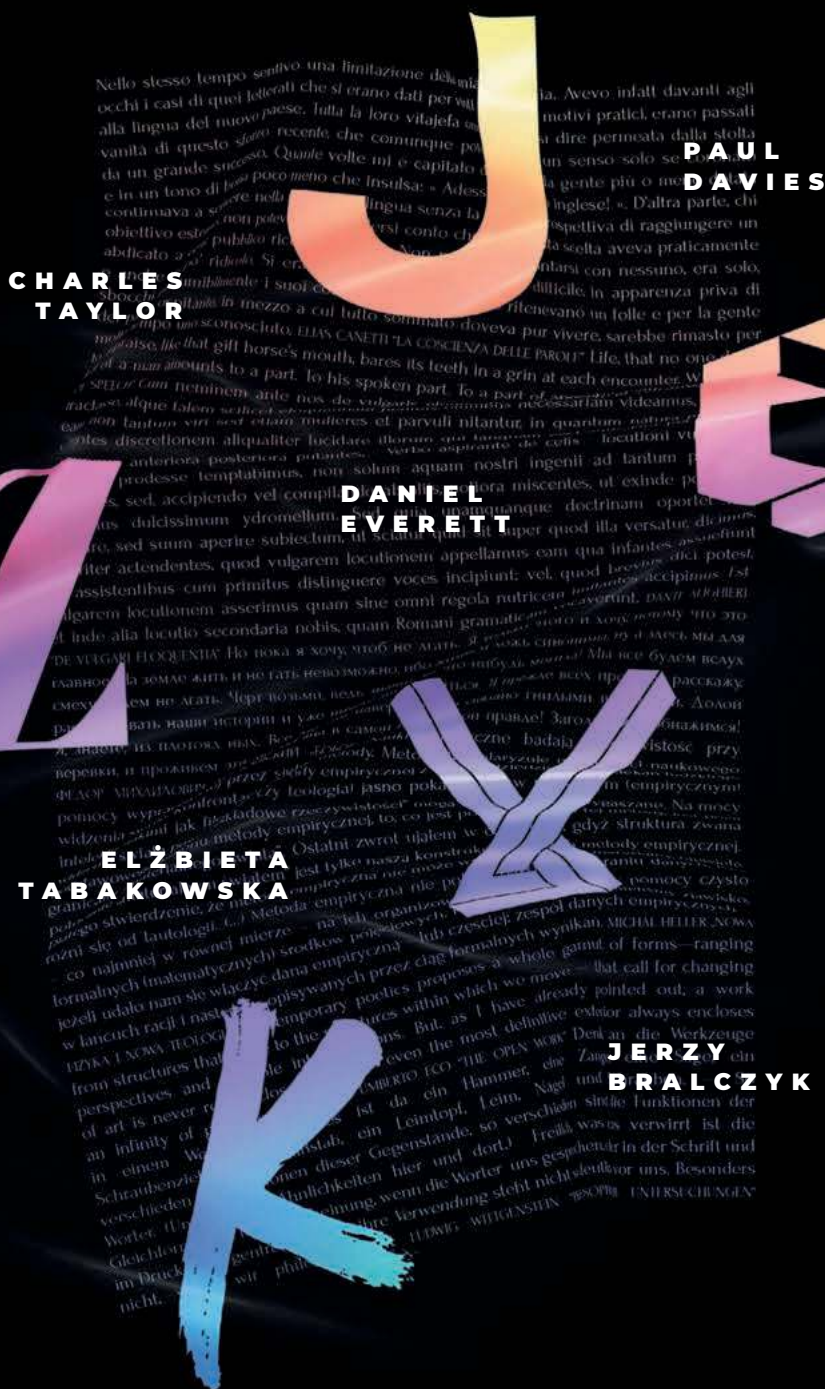
Czyżby więc stacje kosmiczne były zbędnym wydatkiem, fanaberią mocarstw, które chcą udowadniać swoją pozycję, wyrzucając miliardy na wątpliwe cele? Bo pozostaje wciąż jedno pole badań, w którym nikt i nic obecności człowieka na orbicie nie zastąpi. Jest nim oczywiście *gnóthi seauton* – poznać samego siebie. Tylko *Homo sapiens* w kosmosie będzie w stanie zbadać, jak *Homo sapiens* reaguje na warunki kosmiczne, jakie spotyka tam ograniczenia i perspektywy, by żyć i pracować. Na automaty można bowiem delegować wszystko, ale nie samo bycie człowiekiem.

Niezależnie więc od rozwoju technologii pytanie o sens załogowych stacji kosmicznych pozostaje otwarte. Jest bowiem równoznaczne z pytaniem o sens osobistej obecności człowieka w kosmosie w ogóle. I jako takie wykracza poza domenę nauki i technologii. © PIOTR STANKIEWICZ



**COPERNICUS
FESTIVAL**

COPERNICUS FESTIVAL 2019: JĘZYK



**CHARLES
TAYLOR**

**PAUL
DAVIES**

**DANIEL
EVERETT**

**ELŻBIETA
TABAKOWSKA**

**JERZY
BRALCZYK**

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

21-26.05.2019



Kraków

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA



UNIwersytet
JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE



**Copernicus
Center**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

WOJCIECH

Bonowicz: Zmiany



CZŁOWIEK MYŚLI, A CHCIAŁBY NIE MYŚLEĆ. Patrzy, a wolałby nie widzieć. „Wolno udałem się do łazienki, ochlapałem twarz wodą, uczesałem włosy. Gdybym mógł, choć trochę, przeczesać także i tę twarz – pomyślałem sobie, gapiąc się w lustro – ale to się nie da”. Trzeba myśleć o czymś innym. I patrzeć w innym kierunku.

Na przykład medycyna. Jak na razie, nie jestem dla medycyny szczególnym kłopotem, nie narzucam się, pieniędzy publicznych zużywam niewiele. Leczę się poczuciem humoru i nalewkami prezydenta Pomianka. I podziwiam. W związku z tym, że gościem tegorocznych Dni Tischnerowskich był Marek Krawczyk, wybitny chirurg i transplantolog, przez ostatnie tygodnie czytałem głównie książki o medycynie. Cuda, jakich dokonuje się w ludzkim ciele, przyprowadzają do zawrotu głowy. Ale determinacja tych, którzy do tego doprowadzili, otwierali nowe ścieżki, latami się nie poddawali, przyprowadzają do zawrotu głowy jeszcze większy. Wciągnęła mnie szczególnie książka Anny Matei „Recepta na adrenalinę”. Wycieczka w przeszłość – ale jaką! Chodziłem w młodości ulicą Napoleona Cybulskiego wte i wewte, przesiadywałem na rogu w barze dla taksówkarzy i nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, kim był. Teraz w książce Anny czytam, w jakich warunkach ten niezwykle uczony odkrył pod koniec XIX stulecia adrenalinę. Pękające mury zakładu przy ulicy św. Anny, przeciekający dach, skromny sprzęt do doświadczeń, który trzeba było nosić z piętra na piętro – wszystko to nie zniechęciło Cybulskiego do eksperymentów. On i jego współpracownicy pracowali wyłącznie z miłości do prawdy. Chcieli wiedzieć, jak jest, dostrzegali lukę w pracach swoich

kolegów (tak, wtedy tylko kolegów) z innych ośrodków i zamierzali ją wypełnić. Wszystko inne – w tym również fakt, że „stosunki materialne nie są odpowiednie” – było drugorzędne.

Przy okazji jest to też opowieść o cierpieniu, jakie zadawaliśmy zwierzętom, żeby dokonywać podobnych odkryć. Kiedy czyta się opisy psów czy królików umierających w konwulsjach, robi się na duszy jakoś ciężko, a świadomość, że bez tych ofiar postęp w medycynie by się nie dokonał, nie pomaga. Marian Tischner powiedział mi kiedyś, że zwierzętom, którym zadawaliśmy i zadajemy ból w laboratoriach, trzeba by postawić zbiorowy pomnik. Wdzięczność powinna nas mobilizować i chyba trochę mobilizuje, bo stosunek do zwierząt jako takich powoli, ale jednak się zmienia. Niektórzy z tego kpią, mówią o nadwrażliwości, a nawet o podważaniu fundamentów kultury – ale to są reakcje przewidywalne, w przeszłości było podobnie, zmiany zawsze budziły opór. Choćby wtedy, kiedy Cybulski i inni zaczęli domagać się, by na Uniwersytecie Jagiellońskim mogły studiować i pracować kobiety. Wybitny lekarz Ludwik Rydygier pisał wówczas (a Anna bezlitośnie cytuje): „Dopóki u mnie w Mydlnikach słowik śpiewa i żer przynosi samicy w gniazdku siedzącej, dopóty ja w równouprawnienie nie uwierzę”.

Bardzo by się chciało, żebyśmy byli mądrzejsi już i wszyscy, ale to niemożliwe. Prawdę mówiąc, w historii często stawka jest inna: chodzi o to, żeby nie zgłupieć na masową skalę. Głupota na masową skalę polega m.in. na oczekiwaniu, że „jakiś ktoś” rozwiąże problemy świata, my zaś mamy swój ogródek, swojego grilla i swoje śmieci, a na wielkie procesy to, co robimy, nie ma wpływu. I jeszcze – niech ten „jakiś ktoś” rozwiązuje, ale nas zostawi w spokoju. Młodzież ze szkół średnich urządziła niedawno strajk klimatyczny. Byłem dumny widząc tych ludzi, i byłem zawstydzony tym, że my, starsi, daliśmy im tak mało wsparcia. Młodzi, którzy wzięli udział w proteście, zrozumieli, że czekać się nie da i że muszą wziąć udział w zmianie, na którą za kilka, kilkanaście lat może być już za późno. Mam nadzieję, że się nie zniechęcą. Że wypowiedzą wojnę naszej gnuśności i beztroście. ©

PS. Cytat w pierwszym akapicie pochodzi z „Listonosza” Charlesa Bukowskiego w przekładzie Marka Fedyszaka.

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jaśle, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 533/18, toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po:

- a) Pawle Tyszko, s. Grzegorza, zm. 8 marca 1964 r. we Lwowie, ostatnio przed śmiercią zamieszkałym we Lwowie;
- b) Anastazji Tyszko, c. Daniela, zm. 12 lipca 1972 r. we Lwowie, ostatnio przed śmiercią zamieszkałej we Lwowie;
- c) Annie Stadnyk, c. Pawła, zm. 24 maja 2009 r. we Lwowie, ostatnio przed śmiercią zamieszkałej we Lwowie.

Wzywa się wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 (trzech) miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swoje prawo do dziedziczenia po ww. osobach, w przeciwnym bowiem razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie zs. w Świdniku, w sprawie I Ns 947/18, toczy się z wniosku Teresy Seroki postępowanie o stwierdzenie nabycia przez posiadacza samostanowienia w drodze uwłaszczenia własności nieruchomości położonej w Dorohuczycy, gm. Trawniki, oznaczonej w obrębie 0003 jako działki nr 781, 789, 846, 1500, 1831, 1840, 1903, 2381, 2614, o łącznej pow. 1,71 ha.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności, jeżeli zostanie wykazane.

Nagroda Literacka im. Wiesława Kazaneckiego

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 14/2019

Redakcja: MICHAŁ SOWIŃSKI



DAWID GROMADZKI / MAT. PRASOWE

Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego kształtuje przestrzeń polskiego pola literackiego już od dawna i ma dla niego duże znaczenie, gdyż wskazuje na niezwykle talenty literackie, jednocześnie otwierając przed nimi drogę do dalszej kariery i wyróżnień.

Po raz pierwszy przyznano ją w 1992 r. – i od ponad 28 lat otrzymują ją pisarki i pisarze uprawiający wszystkie rodzaje i gatunki literackie. Wymóg formalny, kształtujący specyfikę Nagrody, jest jeden: autorka bądź autor musi być związany z Białymstokiem – pochodzeniem, tematyką swojej twórczości bądź miejscem wydania. Wśród dotychczasowych laureatów znajdują się takie postaci jak: Edward Redliński, Ignacy



Karpowicz, Szymon Hołownia, Piotr Nesterowicz, Michał Książek czy Aneta Prymaka-Oniszk.

W tym roku laureatem został PIOTR JANICKI i jego pozbawiony tytułu tom poetycki, a także KRZYSZTOF CZYŻEWSKI za tom „Żegaryszki”, z uwzględnieniem całokształtu twórczości.

Pozostali nominowani to: IWONA MENZEL („Po wsze czasy”) oraz PIOTR NESTEROWICZ („Jeremiasz”).



Skok sarny w serce łąki

MONIKA OCHĘDOWSKA

Haiku to obrazek. A haiga – obrazek podwójny, ponieważ oznacza gatunek, w którym poetycki pejzaż wzmacnia ilustracja.

Nominowany do Nagrody im. Wiesława Kazaneckiego, z uwzględnieniem całokształtu twórczości artysty, tomik „Żegaryszki” Krzysztofa Czyżewskiego zawiera takich obrazków podwójnych fotografiami dokładnie 78. Utwory, zgodnie z konwencją gatunku, uporządkowano wedle pór roku. Czas nadaje „Żegaryszkom” zwartą kompozycję, wiążąc teksty w pewnego rodzaju pamiętnikarskie kontinuum. Ale tym, co urządziła poetycką wyobraźnię Czyżewskiego, jest przestrzeń. Zamieszczone w książce fotografie zdradzają wyjątkowy charakter portretowanego miejsca – położonej na południe od Krasnogrudy wsi Żegary, otoczonej jeziorami.

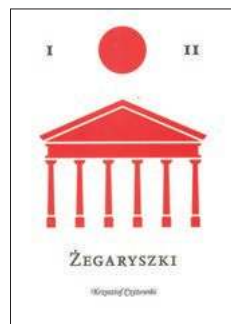
Na ten wyjątkowy krajobraz otwiera nas rozpoczynająca tom wiosna. Bohaterami kwietniowych i majowych haiku są spacerzy i wędrówki, a ich symbolem – przecinające się ścieżki. Nie zdobywanie celu, ale szlak, który po drodze wybierzemy, jest najważniejszy: „zdobywając szczyt / ciągle nie wiesz kim jesteś / dopiero schodząc”. Na fotografiach ptaki wznoszą się do lotu, a ich wypełniające przestrzeń nawoływania ewokują wspomnienia, odsłaniają sensy. Czasem trzeba jednak sięgnąć głębiej, do siebie, odwrócić się od świata, zdaje się mówić Czyżewski, zamieszczając w tej części „Żegaryszek” także kilka negatywów; „w zamkniętych oczach / droga biegnie do domu / otwórz a zniknie”. Lato z kolei przemawia kolorami. Słońce wydobywa z krajobrazu barwy, złoto i czerwienie. To pora zmysłowego wezbrania, „świat się płomieni / rozpalony czułością / słońca do ziemi”. Ruch, którego wtedy doświadczamy, wiąże się w „Żegaryszkach” z przemianą. Jeśli dla lata charakterystyczne jest wzbieranie, jesień to czas powrotu, osiadania, jakby wszystko ciążyło ku ziemi, krzepło. Wiele jesiennych fotografii znów przedstawia wodę, najczęściej brzeg jeziora – zapowiedź blednięcia, stygnięcia pejzażu smaganego wiatrem i deszczem. Zima rozlega się skrzypieniem. Z bielą otoczenia kontrastuje szarość zmierzchu, „rdza zgorzeliny”. Wiatr układa się do snu, światło się skrapla, iskrzy. Fotograficzne sztuczki są już niepotrzebne, krajobraz wygląda jak doskonały negatyw. Ciekawa przygoda czeka tych, którzy wiersze postanowią czytać na głos – pokonywanie, szczególnie „zimą”, zbitych spółgłoskowych zasp na jednym wydechu może okazać się nie lada wyzwaniem.

Mało w świecie Czyżewskiego ludzi. Dwie starsze kobiety symbolizują uchwyconą na moment tajemnicę, istotę haiku, ale też życie na pograniczu. Nie tylko tym symbolicznym, bo przecież pejzaż Czyżewskiego to także miejsce przygraniczne, skraj Polski, jej brzeg.

I jeśli czegoś mi w „Żegaryszkach” brakuje, to tylko dociegnięcia podlaskiego krajobrazu ryczącą w środku łąki krową, która przypominałaby, że wartością semantyczną słowa „haikai” jest „żart”. ©



Krzysztof Czyżewski



Krzysztof Czyżewski
ŻEGARYSZKI
Wydawnictwo Pogranicze
Sejny 2018

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI (ur. 1958) jest pisarzem, reżyserem i animatorem dialogu międzykulturowego. Współtwórca Ośrodka Pogranicze – sztuk, kultur, narodów w Sejnach, Fundacji Pogranicze oraz Międzynarodowego Centrum Dialogu w Krasnogrudzie. Wykładał na wielu uniwersytetach w Europie i Ameryce. Przewodniczący kapituły Nagrody im. Ireny Sendlerowej. Autor wielu książek eseistycznych, m.in. „Ścieżka pogranicza” (2001), „Linia powrotu. Zapiski z pogranicza” (2008), „Miłosz. Tkanka łączna” (2014) czy „Małe centrum świata. Zapiski praktyka idei” (2017), a także licznych publikacji poświęconych Podlasiu.



Piotr Janicki



Piotr Janicki
BEZ TYTUŁU
Wydawnictwo j
Wrocław 2018

PIOTR JANICKI (ur. 1974) jest poetą. Debiutował w 2006 r. tomem „Nadal aksamit”. W 2014 r. wydał „Wyrazy uznania”, za które rok później otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia w kategorii „poezja”. W 2016 r. ukazał się jego kolejny tom „13 sztuk”, za który był nominowany do Nagrody im. Wiesława Kazaneckiego oraz do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius”. W latach 2005-09 współtworzył zin poetycki „Cyc Gada”. Mieszka w Supraślu.

Język jak długie szpilki

ANNA KAŁUŻA

W poezji Janickiego kluczowe są manewry języka i oka, dzięki którym zbaczamy z utartych traktów obrazowo-tekstowych.

Nie ma większego banału niż opisywanie poezji jako odkrywania obszarów pomijanych i powszechnie uważanych za nieciekawe i niezajmujące! A jednak w przypadku zbioru N.N. tak właśnie jest. Wykorzystuje się w nim raczej wizualne niż dyskursywne możliwości języka. Do tego budowane są krajobrazy i komponowane dźwięki, które w przestrzeni wyobraźni służą do odróżniania rzeczy, nastrojów i podmiotów. Słowem, mamy tu do czynienia z odsłanianiem się rzeczywistości niewidzianej na co dzień. Choć oczywiście nie o sam proces odsłaniania tu chodzi, ale o manewry języka i oka, dzięki którym zbaczamy z traktów obrazowo-tekstowych, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Piotr Janicki bowiem – na nic zdało się wpisywanie do metryczki N.N. jako autora/autorkę tomu – odnawia widzenie językowe, a kiedy usiłujemy wejść w pokazywane przez niego obrazy, ślizgają się one niejako po brzegach naszych społecznych i kulturowych soczewek.

Ta zakrzywiona perspektywa, dzięki której widzimy śrubkę przyglądającą się człowiekowi, a z opisu grudniowego wiecu wybiera się dla nas wyłącznie informację, że mało który z jego liderów miał na głowie czapkę. W ten sposób nie tyle szyfruje się komunikaty, ile wydobywa z nich specyficznie afektywną melodię. Czasem jest to kocia muzyka, czasem psia – ale zawsze wystarczająco funkcjonalna, by odegrać swoją rolę. Bez kiczowatej szczerości „osobistego” wyznania, skupia się na emocjach mówiącego. Jego wiarygodność wynika zarówno z tego, o czym mówi, jak i z tego, w jaki sposób otwiera nam dostęp do tego, co mówi. W „Zwrocie akcji” wypuszcza nas do wiersza/obrazu tak: „wszyscy mamy zdolność zatrzymywania czasu na setki lat, by po ich upływie wrócić dokładnie do tego miejsca, w którym stanął”, w „Domu”: „Chciałbym z wami skakać z wysokich drzew albo robić trawersy wtedy, kiedy / język chybocze się jak długie szpilki”.

Nie znaczy to, rzecz jasna, że Janicki zawsze nas przywołuje. Często kieruje się do nas poprzez liczne apostrofy (czasem kierowane także do księżycy, szypułki, płyty winylowej, cywilizacji etc.), ale nie dlatego wciąż nas afektywna muzyka. Rzecz polega raczej na tym, że odzyskujemy tu wydarzenia w spekulatywnym trybie: mogłyby się wydarzyć, choć pewnie i tak się wydarzyły. Obserwujemy je z prawdziwym zaciekawieniem, wsłuchując się zarazem w coś, co Georges Didi-Huberman nazywa liryzmem dokumentalnym. Dokumentalność naznacza tu szczegóły przedstawienia i emocji, liryzm prowadzi nas do rozmnażającej się w utajony sposób polifonii głosów. A tym, co specjalnie nas w tym zbiorze uwodzi, jest odmowa poddania się reżimowi czasu rzeczywistego. Dokumentalność liryzmu Janickiego bywa więc często wystawiana na próbę, ale tylko jeśli będziemy przywiązani do tradycyjnych miar dokumentu i liryczności. ©

DAWID GROMADZKI / MAT. PRASOWE

Romanse z pogranicza

KATARZYNA TRZECIAK

Powieść Menzel to romans, w którym dystans i przenikliwość głównej bohaterki pozwalają zobaczyć kulturowe różnicowanie Podlasia po powstaniu styczniowym.

Białystok z powieści Iwony Menzel to miasto dziwne i wcale nie budzące sympatii. Tak widzi je bohaterka, szesnastoletnia Augusta, żona niemieckiego fabrykanta, mieszkająca w jego posiadłości – starym polskim dworze, który nie jest dla niej wymarzoną miejscą do życia. Założona przez Rosjan niemiecka kolonia to dla dorastającej dziewczyny, wychowanej w Darmstadt, „kraniec cywilizowanego świata”, część „kolosalnego odwłoku przedpotopowego potwora”, czyli Imperium Rosyjskiego. W Białymstoku przeważają Żydzi, rządzi garstka Rosjan, a Polacy izolują się w niepodległościowych fantazjach po upadku powstania styczniowego. I ten kontekst, ku zaskoczeniu samej bohaterki, okaże się wywrotowy dla jej mało obiecującego życia.

„Po wsze czasy” to obyczajowa historia, w której centrum znajduje się dorastająca kobieta, zmuszona do osiedlenia się na prowincji, wśród antypatycznych ludzi.

Jej niechęć staje się filtrem, przez który oglądamy opisywany świat. To uczucie eksponuje uprzedzenia bohaterki, ale pozwala też na krytyczne obserwacje, związane choćby z uprzedmiotowieniem młodej kobiety, sprowadzonej do roli dzikiego zwierzęcia stawiającego opór instytucjonalnej przemocy starszego męża.

Pobrzmiwają w tej konstrukcji echa Flaubertowskiej Emmy Bovary, choć raczej na poziomie kliszy niż przetworzenia czy aktualizacji tej złożonej postaci. Augusta ucieka w fantazję, ale i z niej powraca. Widzi przemoc relacji międzyludzkich, ale po latach ją obłaskawia, przez co wiele z jej krytycznych obserwacji zostaje tu potraktowanych jako młodzieńcze ekscesy. Udało się z nich ocalić wyłącznie ideał romantycznej miłości, wyraźnie przeciwstawiony instytucji małżeństwa i odłączony od społecznych problemów z nią związanych.

Powieść Iwony Menzel to romans, który dzięki konstrukcji bohaterki i obdarzeniu jej przenikliwością widzenia pozwala zobaczyć kulturowe różnicowanie popowstaniowego Podlasia. To historia konwencjonalna i konwencji podporządkowana, ale w ramach gatunkowego schematu dobrze i świadomie wykorzystująca złożoność czasu i miejsca, w którym rozgrywają się romansowe dylematy. W tej powieści to nie fikcja, lecz raczej materialny konkretny świat podtrzymuje lekturowe zaangażowanie. ©



Iwona Menzel



Iwona Menzel
PO WSZE CZASY
Wydawnictwo MG
Warszawa 2018

IWONA MENZEL jest z wykształcenia architektem. Za młodu wyjechała do Darmstadt w Niemczech, gdzie zajmowała się urbanistyką. Jako pisarka zadebiutowała w 2000 r. powieścią „W poszukiwaniu zapachu snów”. Od tego czasu wydała wiele kolejnych, m.in. „Zatańczyć czeczotkę” (2002), „Z widokiem na Castello” (2005) i „Nie chodź ciemną doliną” (2006), w których często opowiadała o niemiecko-polskim pograniczu kultur. Obecnie mieszka na Podlasiu.

Boski detektyw

MICHAŁ SOWIŃSKI

Nesterowicza, podobnie jak bohatera jego powieści, bardziej niż pytanie „kto zabił” dręczy metafizyczna natura rzeczywistości.

Powieść zaczyna się pozornie niewinnie – tytułowy Jeremiasz, młodzieniec ambitny i dobrze wykształcony, przemierza zachodnie rubieże Imperium Rosyjskiego przełomu XIX i XX wieku, tropiąc niebezpiecznego wywrotowca o znaczącym pseudonimie Przeciwny. Znakiem rozpoznawczym przestępcy są ścięte głowy, którymi znaczy swoją drogę – wydawałoby się więc, że mamy tu do czynienia z modnym swego czasu kryminałem retro, gdzie standardowe uroki detektywistycznej fabuły dodatkowo podkreślają historyczny pejzaż i rekwizyty. Autora jednak, podobnie jak samego bohatera, interesuje zupełnie co innego. Jeremiasz pragnie przede wszystkim uchwycić i zrozumieć metafizyczną podszewkę rzeczywistości, dostrzec sens w nieustannych zmaganiach rozumu i wiary. Dlatego też szybko porzuca rolę urzędnika śledczego III Oddziału Kancelarii Osobistej samego cara i zamienia się, podobnie jak jego biblijny imiennik, w proroka. Czasy jednak idą nowe, zaczyna się wiek elektryczności, więc Jeremiasz nieustannie kwestionuje i poddaje gruntownej analizie swój kontakt z Absolutem. Ciągoty ku transcendencji studzi co rusz jego własny, ukształtowany w epoce rodzącej się nowoczesności rozum, karmiony za młodu ateistycznymi pismami. Szybko więc okazuje się, że stawka prowadzonego przez niego śledztwa jest znacznie wyższa niż złapanie pospolitego kryminalisty. Niestety, podróżując przez podlaskie miejscowości Jeremiasz nie znajduje odpowiedzi na dręczące go pytania. Jego duszą i umysłem targają coraz większe rozterki, a sama powieść stopniowo zamienia się w metafizyczny traktat o naturze świata.

Nesterowicz nie pierwszy raz dotyka tego tematu – w reportażu historycznym „Cudowna” (wydanym w 2014 r. i uhonorowanym Nagrodą im. Wiesława Kazaneckiego) również poddawał wnikliwej analizie fenomen religijnego objawienia – zarówno z perspektywy egzystencjalnej, jak i społeczno-politycznej. Bo „Jeremiasz” to także zakrojony na wielką skalę fresk historyczny, w którym w bardzo sensualny sposób ukazany jest tygiel kulturowy, etniczny i religijny Podlasia sprzed ponad wieku. Mamy tu jednak do czynienia nie tyle ze skrupulatnością badacza przeszłości (choć wiele postaci i wątków jest autentycznych), co raczej z realizmem historycznym, który pod własnym ciężarem osuwa się w stronę surrealizmu. Sfera ducha nieustannie przenika przez ściany rzeczywistości, niczym wszechobecna w powieści wilgoć. Granice światów rozmywają się, dlatego też Jeremiasz rozdarty jest między boskim oświeceniem a mrokami choroby psychicznej. Która strona zwycięży? Na to pytanie, podobnie jak na wiele innych, nie ma jednoznacznej odpowiedzi w skomplikowanym podlaskim imaginarium Nesterowicza. ©



DAVID GROMADZKI / MAT. PRASOWE

Piotr Nesterowicz



Piotr Nesterowicz
JEREMIASZ
W.A.B.
Warszawa 2018

PIOTR NESTEROWICZ (ur. 1971) jest pisarzem i menadżerem. Absolwent Organizacji i Zarządzania na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, a także Polskiej Szkoły Reportażu w Instytucie Reportażu w Warszawie. W 2014 r. wydał książkę reporterską „Cudowna”, w której opowiada o serii cudownych objawień na Podlasiu w latach 60. W 2016 r. wydał kolejny tom reporterski „Każdy został człowiekiem”, opowiadający o zjawisku masowego awansu społecznego w latach 1946–1960. Współtwórca magazynu „Pismo”, którego do niedawna był redaktorem naczelnym.

CZYTANIE Z CIAŁA

BARBARA KLICKA, PISARKA:

Ludzkie ciepło jest jedyną siłą, która potrafi zażegnać obojętność świata.

Tata mógł nie kumać, o co mi chodzi,
ja mogłam nie kumać, o co chodzi jemu,
ale czasem wiedzieliśmy, kiedy się przytulić.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Przeżyła Pani pobyt w sanatorium w Ciechocinku?

BARBARA KLICKA: Powiedzmy, że zrobiłam porządny *research* i trochę tych miejscowości uzdrowiskowych pozwiedzałam. Ciechocinek też. Gdy zaczęłam pracować nad „Zdrojem”, to ze zdrową siłą patrzyłam na to, co tam się dzieje. Na przykład w Dusznikach Zdroju, i w ogóle w Kotlinie Kłodzkiej, jest przepięknie i sanatoryjny klimat właściwy Zdrojom wydał mi się tam odrobinę złagodzony pejzażem i historią tych miejsc.

Ciechocinek natomiast leży na przecięciu Mazowsza i Kujaw, nieopodal Wisły. Urodziłam się na Mazowszu i widoki, które oferuje ta okolica, no cóż, nie wydają mi się wstrząsające. Można chyba nawet powiedzieć, że jest to po prostu dziura między Toruniem a Włocławkiem, tylko że z tężniami. Ale to i tak nie najbardziej groteskowa miejscowość uzdrowiskowa, w jakiej byłam. Tuż pod Włocławkiem leży bowiem Wieniec Zdrój, do którego – kiedy mocniej zawieje – dociera dym z zakładów azotowych we Włocławku. Nijak się to miejsce nie kojarzy ze słownikowo pojmowanymi Zdrojem.

A jaki jest jeszcze Ciechocinek?

Dla mnie to miejsce jak z filmów Davida Lyncha. To nie jest mój ulubiony reżyser, ale jest u niego kilka scen, które naprawdę mnie poruszają. Na przykład pierwsza sekwencja z „Blue Velvet”. Widzimy w niej ojca rodziny, który szlauchem podlewa ogródek i nagle dostaje zawału. Upada, a kamera podąża za nim. Jej oko kieruje się w trawę, widzimy zbliżenie tego, co tam się dzieje między żdźbłami; toczące się procesy rozkładu, zjadania. Sielska sceneria amerykańskiego przedmieścia ujawnia nagle swoje ukryte okrucieństwo. Zdaje

mi się, że w tych Zdrojach, w Ciechocinku, jest podobnie: tuż za ich prząsnością, za wesołą muzyczką ukrywa się intensywniejsza niż w wielu innych miejscach świadomość umierania.

Bo przyjeżdżają tam ludzie chorzy?

Jeśli pomyślimy o chorobie jak o takim nagle przyspieszonym procesie umierania, to ktoś, kto jej właśnie doświadczył, jest jakby pół kroku bliżej własnej śmierci. Duża część zabiegów, którym podlegają pensjonariusze, służy oddaleniu tego poczucia. To w uzdrowiskach ludzie żyją jakby bardziej.

W Ciechocinku czuje się przyspieszony puls życia – wszystko jest erotyczne, wszystko się kojarzy, chadza się na dancingi i na występy artystyczne. Szybko i łapczywie. Na przykład za jedną z moich współlokatorek, zdecydowanie dorosłą osobą, przysnuł się kiedyś ciechociński saksofonista, który przemawiał do niej zwrotami w rodzaju: „Cóż ja mogę, jestem tylko biednym grajkiem” lub „Masz oczy jak gwiazdy”. A ona patrzyła na niego w zachwycie i – jestem pewna – wierzyła w każde jego słowo. To było niesłychane.

Scena jak z „Jesteśmy na wczasach” Wojciecha Młynarskiego.

Wiadomo, muzycy mają swoje argumenty. Ale mówiąc już serio, to ja widzę w tej scenie również ciemne strony. Wie pani, w czasie zabiegów medycznych związanych z górnym odcinkiem kręgosłupa jest moment, w którym lekarz wykonuje głową pacjenta taki ruch, jakby chciał mu skrócić kark. Należy na to pozwolić, należy rozluźnić mięśnie i nie stawiać oporu. Ale przecież zdrowy odruch polegałby na tym, by kogoś, kto chce skrócić nam kark, obezwładnić, po czym rzucić się do





PIOTR SADURSKI DLA „JP”

ucieczki, prawda? Tego wymagałby od nas najprościej pojmowany instynkt, powinniśmy mieć taki odruch bezwarunkowy. Podleganie leczeniu polega między innymi na tym, że pokonuje się, zdejmując z siebie odruchy obronne. Tylko później osoba pozbawiona tej naturalnej bariery rusza w świat i okazuje się, że to ma swoje konsekwencje. Mam na myśli to, że granice między tym, co wewnątrz, a tym, co na zewnątrz takiej osoby, mogą stać się o wiele bardziej płynne.

To spotyka właśnie bohaterkę „Zdroju”, Pani najnowszej książki. Zupełnie jak Hansa Castorpa w „Czarodziejskiej górze” Tomasza Manna. Czy literatura kształtowała Pani dziecięcą wyobraźnię?

Najbardziej pamiętam „Porwanego za młodu”. Pewnie z powodu tego spektakularnego tytułu (*śmiech*). Czytałam, a właściwie było mi czytane, również sporo literatury awanturniczo-podróżniczej. Mam dwóch braci – młodszy jest na tyle młodszy, że wychowywał się raczej oddzielnie, ale mama i babcia czytały na głos książki dla naszej starszej dwójki. W związku z tym lektury dobrane były chyba tak, żeby nie były zbyt dziewczynskie. To były wszystkie „Tomki” Szklarskiego, była indiańska trylogia „Złoto Gór Czarnych”. Chociaż pamiętam też „Zaczarowany ogród”. No a z ciut późniejszych czasów również na przykład Sienkiewicza, który do dziś kojarzy mi się z literaturą dla dzieci. Obawiam się, że imię zostało mi nadane na cześć Basi Wołodyjowskiej, a i mój starszy brat Tadeusz też może mieć, jakby to powiedzieć, swój literacki pierwowzór.

Ponieważ dość często chorowałam i nie najlepiej mi się samodzielnie czytało z powodu gorączki, mama zapisała mnie do biblioteki zbiorów specjalnych dla niewidomych. To się działo przed erą audiobooków, mama przynosiła do domu tekturowe pudła pełne kaset. Na jedną część trylogii składało się ich kilkaset. Wstawiałam sobie do łóżka magnetofon – dwukasetowy jamnik firmy Sanyo, która już chyba nie istnieje, i chowałam się razem z nim pod kołdrę. Pamiętam, że byłam zazdrosna o dźwięk. Chciałam, by ten człowiek z kasyty czytał wyłącznie dla mnie.

Czytanie we dwójkę jest szczególnym rodzajem intymności.

To prawda. Mój były mąż czytał mi na głos na przykład książkę swojego dzieciństwa – „Kluska, Kefir i Tutejszy”, ale pamiętam też wspólne lektury „Pani Bovary”, „Niezwycięzonego” czy „Odkrycia nieba”. Wspominam te chwile jako momenty wielkiej bliskości. A nie tak dawno temu ktoś wtedy bliski czytał mi na głos „Świątość w sierpniu” Williama Faulknera w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.



→ Gdzie się Pani wychowała?

Do dziewiętnastego roku życia, zanim przeprowadziłam się do Warszawy, mieszałam w Płocku. Jest tam bardzo okazałe i ładne muzeum secesji z naprawdę zaskakująco bogatą kolekcją, piękna panorama Wisły, która wygląda w tych okolicach jak płynące jezioro (jest rozległa, szeroka, rozlazła), katedra z kopią drzwi gnieźnieńskich i martwym królem, amfiteatr, w którym odbywają się teraz noce kabaretowe, i Petrochemia, zwana po nowemu Orlenem. Płock, jak sporo tej wielkości byłych miast wojewódzkich, swój szczyt rozwoju ma już chyba za sobą. Związany był najpierw, rzecz jasna, z rozbiciem dzielnicowym, a ostatnio z napływem tak zwanej inteligencji technicznej z całego kraju. Z Petrobudową, krótko mówiąc.

O tym śpiewał Kazik Staszewski, a teksty pisał jego ojciec, pracownik Petrobudowy: „Szatkuj dwie zmiany zimą i latem / wyśpisz się w piachu pod kombinatem. / Ręk trzeba wiele, pomników mało, / kogoś złamało, lecz życie trwa. / Więc niechaj zabrzmi slogan bojowy: / inżynierowie z Petrobudowy!”.

Stanisław Staszewski to jeden z wybitniejszych polskich tekściarzy! Ale wracając do Płocka – sama trafiłam już chyba tylko na końcówkę tej petrochemijnej *prosperity*. Pod koniec lat 80. w Płocku działały jeszcze takie przybytki jak Dom Technika i Dom Chemika. Przez jakieś trzy miesiące uczęszczałam do jednego z nich na próby zespołu tanecznego dla dzieci o nazwie Petrolinki. Do dziś czuję się nieco poruszona myślą, że byłam kiedyś Petrolinką (*śmiech*).

W latach 90. Płocki Ośrodek Kultury i Sztuki miał kilka znakomitych pracowników, do których uczęszczała masa ciekawych świata ludzi.

Ja, chyba od 13. roku życia, należałam do Klubu Literackiego Marabut, prowadzonego przez Marka Grałę, ale był też Klub Farbiarnia, w ramach którego spotykali się ludzie uzdolnieni plastycznie, czy bardzo fajowy Teatr Dokąd. Miasto zaczęło się systematycznie kurczyć, od kąd menadżerowie wyższego szczebla zarządzający Orlenem w znacznej mierze przenieśli się z Płocka do Warszawy. Teraz Płock wydaje mi się być trochę jak stary człowiek, który powoli się kurczy. Ale może tylko tak mi się zdaje z mojej uchodźczej perspektywy.

A pierwsze wspomnienia z Płocka?

Pewnie to, o którym opowiem, wcale nie jest pierwsze, za to z całą pewnością jest silnie zmysłowe. Kiedy miałam niecałe sześć lat, moja rodzina przeprowadziła się do wybudowanego przez tatę na przedmieściach Płocka domu. Dom miał ogród, który dla nas – dzieci mieszkających do tej pory w bloku z wielkiej płyty – był dość jednak tajemniczym miejscem. Któregoś dnia do domu wpadł mój starszy brat, Tadeusz, wołając: „Basia, Basia, w ogródku jest szczur”. Prawdopodobnie zwiodło mnie brzmienie słowa, bo pamiętam jak dziś, że pomyślałam, że szczur to taka jaszczurka. Było lato, więc wsunęłam na stopy plastikowe, ażurowe butki dla dziewczynek, które u nas nazywało się po prostu „plastyczkami”. Pobiegłam do ogrodu i z wielkim zdziwieniem zobaczyłam zwierzę futerkowe, które się w dodatku w ogóle nie ruszało.

Byłam podwójnie zdziwiona: po pierwsze dlatego, że zupełnie nie spodziewałam się czegoś jakby pluszowego, po drugie zachowującego się tak, jakby na mnie czekało. W tej sytuacji myśl o tym, żeby go pogłaskać, wydała mi się zupełnie naturalna. Nachyliłam się, by to zrobić, i wtedy szczur bardzo mocno ugryzł mnie w kostkę. Właściwie, można powiedzieć, wpił się w nią. Widzę go do dziś, jak lata przyczepiony zębami do mojej wierzgającej nogi. W końcu jakoś puścił, nie pamiętam dokładnie, w jakich okolicznościach. Narobiło się dużo krzyku, mama załadowała mnie do samochodu i zawiozła do szpitala, gdzie dostałam zastrzyk przeciw tężcowi. Uznano, że szczur zachowywał się nienaturalnie i trzeba mi na wszelki wypadek podać również serię bolesnych zastrzyków przeciwko wściekliznie.

Ale to nie koniec drastycznych scen, bo w tym czasie, kiedy ja jestem z mamą w szpitalu, mój ośmioletni brat Tadeusz upolował tego szczura, który nadal siedział na środku ogródka. Zewłok gryzonia został pocztą wysłany do Warszawy na badania. Chodziło o to, żeby potwierdzić lub wykluczyć wściekliznę. Wyniki przyszły po dwóch tygodniach i okazało się, że zakłóciłam szczurowi ostatnie chwile życia – był pod działaniem trutki. Umierał, kiedy go chciałam pogłaskać.

Gdzie tu zmysłowość, o której Pani mówiła?

W tej opowieści najjaskrawsze są dla mnie wspomnienia ciepła, pragnienie do-

tknięcia futerka, a potem ból ugryzienia i zastrzyków. Pamięć tych doznań jest jak gwóźdź, na którym trzyma się we mnie cała ta opowieść. To dzięki niej wiem z całą pewnością, że mi się wydarzyła, mimo że słowa, przy pomocy których ją opowiadam, mogą być pożyczone na przykład od mojej mamy – musiałam sto razy później słyszeć, jak ona ją opowiada.

W fabularyzowanej autobiografii Nabokova „Pamięci, przemów” jest fragment, w którym narrator relacjonuje nam swoje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. Chodzi o moment, w którym jako zupełnie jeszcze niemowlę przeczołguje się przez pieczarę wybudowaną dla niego z poduszek na kanapie. To, co pamięta, czy też utrzymuje, że pamięta, to intensywność zmysłowych doznań wewnątrz tej pieczary – faktury materiału, jego szorstkości. Przypuszczam, że Nabokov żywcem wymyśla to wspomnienie, co nie zmienia faktu, że co do zasady ja mu naprawdę wierzę.

Bo ono służy literaturze.

Kiedy pierwszy raz przeczytałam „Pamięci, przemów”, sama też usiłowałam sobie przypomnieć swoje pierwsze wspomnienie, takie, które opiera się jeszcze słowom. To, co – wydaje mi się – udało mi się wyłowić z pamięci, to obraz wiszącej w naszym pierwszym mieszkaniu makatki, grubo tkanej i nierównej, z wydzierganymi schematycznie domkami i cieniami ciągnącymi się w dół, jakby przechodzącymi w przepastne piwnice. Bardzo się tych domów bałam.

Jeszcze inne zmysłowe doświadczenia z dzieciństwa?

Wie pani, od lat przyglądamy się sobie z moimi rodzicami – oni mnie, ja im – i zastanawiamy się chyba, skąd się sobie wzięliśmy. To trochę niewyjaśniona zagadka, bo jesteśmy naprawdę niesłychanie różni. Kiedyś ta różnica bywała dość przykra dla obu stron, teraz jest o wiele bardziej zabawna. Tak czy inaczej, ciągle i wciąż wiele naszych motywacji jest dla nas nawzajem, mówiąc delikatnie, niejasnych.

W takich sytuacjach jedyną w miarę efektywną metodą budowania więzi jest coś, co określa się jako bycie ciepłym. Jestem wielką wielbicielką tej ludzkiej umiejętności i moje wspomnienia z najwcześniejszego dzieciństwa dotyczą właśnie owego ciepła wydzielanego w moim

kierunku przez rodziców. Zwłaszcza z tatą miałam pewien rodzaj paktu opartego właśnie na tej czułości. On mógł nie kumać, o co mi chodzi, ja mogłam nie kumać, o co chodzi jemu, ale czasem wiedzieliśmy, kiedy się przytulić, albo przepłynąć wspólnie na drugą stronę jeziora.

To jest kapitał na całe życie.

Ludzkie ciepło jest – tak mi się zdaje – jedyną siłą, która potrafi chwilowo zażegnać fenomen obojętności świata. Krótko mówiąc – jak dla mnie – gra warta jest świeczki. Fascynująca i straszna wydaje mi się cecha, którą nazywam emocjonalnym skąpstwem, a która polegałaby na oszczędzaniu siebie na nie wiadomo jaki wypadek, na nieangażowaniu się, bo może się zdarzyć rozczarowanko, na bezustannym trzymaniu dystansu. Ten rodzaj skąpstwa bardzo wpływa na cielesny sposób funkcjonowania w świecie.

To są wątki, które wracają w Pani pisaniu. I jeszcze w pieśni ludowej „Wianek” przywołanej na płycie „Czarny war” zespołu Pochwalone, z którym Pani występowała. Tekst tej pieśni poświęcony jest Karolinie Kózkównie, przez Jana Pawła II ogłoszonej błogosławioną.

Nie wiem, czy akurat ta piosenka byłaby o tym. Karolina Kózkówna miała 17 lat, kiedy została uprowadzona przez żołnierzy rosyjskich podczas I wojny światowej. Usiłowali ją zgwałcić, lecz ona wybrała śmierć i to za ten wybór została przez Kościół wyniesiona na ołtarze. Ta historia niesłuchanie mnie bulwersuje. W moim świecie godnym pochwały heroizmem byłoby w tej sytuacji przeżyć i naprawdę nie pojmuję, jak – za pośrednictwem takiego przykładu – można powiedzieć kobietom na całym świecie, że lepiej jest oddać życie niż błonę dziewiczą. Zdaje sobie sprawę, że męczennicy religijni umierali za wiarę, ale na litość – mówimy tutaj nie o wyparciu się wyznawanych wartości, tylko o tym, żeby pozwoić tej przemocy się przetoczyć, a potem spróbować wrócić do życia, mówimy o 17-letniej dziewczynce!

Moją ślepą plamką jest to, że nie jestem osobą religijną, ale wydaje mi się, że ta historia jest przeciw życiu, przeciw samej jego istocie. Tekst piosenki, o której pani wspomina, składa się z pięknego wiersza Marty Podgórniki i dwuwiersu zaczerpniętego z poezji tradycyjnej, który brzmi: „Ładniej pannie umrzeć niżeli się wydać /

Od lat przyglądamy się sobie z moimi rodzicami – oni mnie, ja im – i zastanawiamy się chyba, skąd się sobie wzięliśmy. To trochę niewyjaśniona zagadka, **bo jesteśmy naprawdę niesłuchanie różni.**

Ładniej wianeczkowi jak go z trumny wydać”. Więc ja się pytam: naprawdę?

Bardzo nieoczywiste są portrety kobiet z piosenek na tej płycie.

Poza tekstami o tym, że kukułeczka kuka, a panna męża szuka, w poezji tradycyjnej można znaleźć wiersze, w których kobiety niesłuchanie dosadnie dają świadectwo swojemu pożądaniu, o tym, jak dokonują aborcji, jak zakopują płody pod progiem chałup, jak cierpią przez swoich mężów i nie lubią swoich dzieci. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiej reprezentacji kobiecości w kulturze, a okazuje się, że podobnie jak dziś, tak i w kulturze ludowej takich nieoczywistych świadectw jest bardzo wiele. Te tradycyjne teksty zderzałyśmy ze współczesną poezją pisaną przez kobiety. Chodziło o to, by pokazać, jak te wątki się kontynuują, płaczą i wracają. I jak bardzo są różne od tego, co nazwałabym obowiązującą wersją kobiecości.

Ona sprowadza się do atrakcyjności fizycznej.

Lata temu byłam na wakacjach nad ciepłym morzem z moją kilkanaście lat starszą przyjaciółką. Dużo pływałyśmy, bo, rzecz jasna, dbałyśmy o linię. Moją przyjaciółką zwierzała mi się ze swoich kłopotów i nagle na środku tego ciepłego morza, w połowie wyznaczonego na ten dzień pływackiego dystansu, powiedziała: „Boże, jak ja bym chciała mieć już to wszystko z głowy, niech już przyjdzie ta menopauza!”.

No, nie wiem...

To oczywiście był raczej czarny żarcik, wyrażający jednak głęboko zakorzenioną

fantazję o tym, że jest się czymś innym niż swoje ciało, że ono bywa jakimś terrorystą, którego jak najszybciej należałoby rozbroić. W tej morskiej historii chodziło o ciało tęskniące za czyjąś obecnością i niepozwalające o tej tęsknocie zapomnieć, ale sprawa komplikuje się jeszcze w wypadku bólu i choroby, zwłaszcza długotrwałych. Osoba, której ciało nieustannie przysparza cierpienie, ma do wyboru albo utożsamiać się z bólem, albo założyć, że jest czymś innym niż boląca ją ręka czy noga. Nie tak łatwo, jak sądzę, znaleźć świecką odpowiedź na pytanie, czym w takim razie jest, skoro nie tym. No i żadna fantazja nie zmieni faktu, że ciało nadal będzie jedynym dostępnym jej narzędziem, jedynym dyktafonem do nagrywania świata.

To bardzo interesujący dyktafon.

Moi rodzice wymagali ode mnie, od nas, dużej samodzielności. Kiedy jako dziecko znajdowałam się w trudnych sytuacjach, na przykład w szpitalu, albo innym miejscu, w którym nie miałam szans czuć się zbyt komfortowo, część mnie zaczynała pełnić wobec mnie samej funkcje opiekuńcze. Potrafiłam się sama pocieszać i uspokajać, mówić do siebie, nakłaniać do dzielności. To są po stokroć sportretowane w kulturze procedury (*śmiech*).

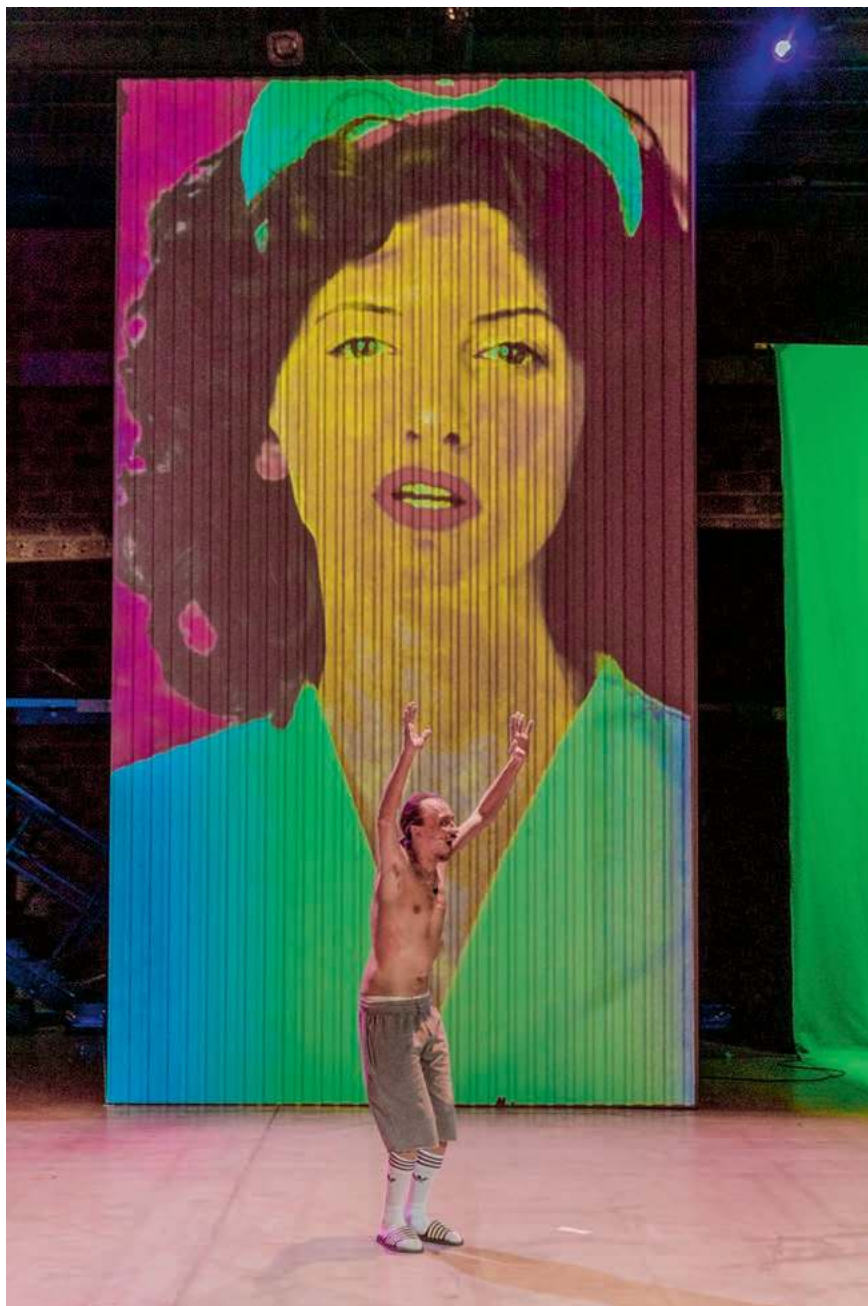
Na ogół, tak słyszałam, ludzie lubią dość dokładnie wiedzieć, kim są, mi natomiast bliska jest myśl, że jestem wielopostaciowa, mam wiele ról i tożsamości. Daje to pewność, że w zależności od potrzeby można być i silną, i słabą, że można zostać zarówno swoją własną matką, i swoim własnym dzieckiem. Ta wielopostaciowość wydaje mi się doskonałą procedurą ratunkową zwłaszcza w sytuacjach zagrożenia.

Mówi to Pani, która otarła się o śmierć, ale zupełnie się jej nie lęka.

No nie wiem, nie jestem przekonana. Owszem, chorowanie jest chyba trochę jak śmierć rozłożona na raty i w tym sensie oddala pacjenta czy pacjentkę od miłego przecież przeświadczenia o własnej nieśmiertelności. Ale wie pani, mi się zdaje, że lęku przed śmiercią mogą nie czuć tylko osoby chore psychicznie, głęboko religijne lub takie, które mają poczucie spełnienia. Chyba nie mogłabym jednoznacznie zaliczyć się do żadnej z tych grup (*śmiech*).

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



„Inni ludzie” Doroty Masłowskiej w reżyserii Grzegorza Jarzyny, TR Warszawa

teatr w mieście”, a dziś należących do tych twórców, na których kolejne przedstawienia się czeka. Oba są też oparte na pracy zespołowej i współczesnych wersjach teatru chórowego. W końcu – oba zobaczyłem dzień po dniu, odbywając w międzyczasie podróż przez przysłowiowe pół Polski.

Co jest dalej?

Piotr Cieplak miał na zaproszenie dyrektora Jacka Głomba wystawić w Legnicy „Wyzwolenie” Stanisława Wyspiańskiego. Uznał jednak, że oryginalny dramat nie przystaje do współczesnej wrażliwości. Zaprosił więc do współpracy Magdę Drab – aktorkę teatru legnickiego i zespołów offowych, a zarazem jedną z najciekawszych dramatopisarek młodego pokolenia, laureatkę Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej za rok 2017 – do stworzenia nowego, autorskiego tekstu. Mimo odmiennego języka i stylu, zachowuje on wyznaczniki kompozycyjne dramatu Wyspiańskiego i jest nawiedzany przez jego widma, w czym może najgłębiej przypomina „Wyzwolenie” daremnie egzorcyzmujące duchy „Dziadów” i „Kordiana”.

Z trzech aktów dramatu Wyspiańskiego w przetworzeniu Drab zostały dwa: Polska współczesna i akt z Maskami. Część pierwsza jest fabularnie osnuta wokół pytania o tożsamość, zadawanego uparcie „Aktorowi, Który Miał Zostać Obsadzony Jako Konrad, Ale Tak Się Nie Stało” (Bogdan Grzeszczak). Choć wszyscy wiedzą, że poprawna odpowiedź na pytanie „kim jesteś?” brzmi „Polakiem”, to „Kondzio” (jak sam się przedstawia) nie umie lub nie chce jej udzielić, mimo podpowiedzi otaczającego go, znakomicie zindywidualizowanego chóru (paradoks Polski współczesnej – wspólnota, ale rozdzielona na jednostki). Dopiero pojawiająca się na scenie samotnie i dużo później niż reszta „Kobieta Obsadzona Jako Konrad” (Magda Drab) udziela odpowiedzi, rozpoczynając prowadzenie gry, której jest protagonistką i (jak się później okazuje) twórczynią.

Widowisko „Polski współczesnej” to w swej zasadniczej formule brawurowa śpiewogra (muzyka oryginalna Paweł Czepulkowski i Michał Litwiniec), gorzko prześmiewczy śpiewnik domowy współczesnych Polaków. Poszczególne jego sekwencje mają siłę potencjalnie bluźnierczą i wybuchową w wirtuozerskim spo-

MARCIN OLIVA SOTO / MATERIAŁY PRASOWE

Widmologie teatralne

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

**Dwa odległe miasta, dwa odmienne teatry.
To samo udręczenie i jedno pragnienie: niech będzie inaczej.
Piotr Cieplak i Grzegorz Jarzyna wystawiają Polskę współczesną.**

NA POZIOMIE KRONIKARSKIM, „INNYCH ludzi” Doroty Masłowskiej i Grzegorza Jarzyny w TR Warszawa i „Wyzwolenie” Magdy Drab i Piotra Cieplaka w Le-

gnicy łączy zaskakująco wiele, nie tylko jednoczesne premiery. Oba przedstawienia zostały zainscenizowane przez reżyserów kiedyś współtworzących „najszybszy

sobie łączenia radykalnie odmiennych tropów i tradycji.

Pieśń ulegających opresji kobiet to współczesna wersja hymnu „Gaude mater Polonia”, tworząca wraz z towarzyszącymi sekwencjami muzycznymi jedną z najwspanialej ironicznych i queerowych scen kobiecego gniewu, jakie pojawiły się ostatnio na polskiej scenie. Podobną siłę ma podniosły, wielogłosowy chórą dziękczynienia, że nie jesteśmy Semitami. Ale najbardziej wzruszający moment tej współczesnej Polski wyśpiewanej to pieśń o czynieniu sobie ziemi poddaną i końcu świata natury. Anita Poddębniak śpiewa ją na melodię kolędy „Lulajże Jezuniu”, tę samą, którą przejmował idący do krematoryjnego pieca chór ludzi w finale „Akropolis” Teatru Laboratorium. Pieśń Narodzenia znów stała się w polskim teatrze pieśnią Zagłady...

Wkrótce potem zostajemy zaproszeni do wyobrażenia sobie i pokazania na palcach, jak wiele nas łączy (podobne ćwiczenie wykonywali wcześniej aktorzy na scenie). Z tak wyobrażoną Polską zostajemy odesłani do domów. Aktorzy się kłaniają i część publiczności naprawdę zdaje się myśleć, że to koniec. Oczywiście nie.

Teraz następuje część druga: atak Masek – reprezentantów stereotypów Polski współczesnej, a zarazem aktorów teatru legnickiego – na koleżankę, której scenariusz właśnie zagrali. Ta część jest o wiele trudniejsza do zniesienia. Tworzą ją powtarzane z niewielkimi, ale precyzyjnymi różnicami sekwencje pytań i wyrzutów Masek oraz odpowiedzi Drab, układające się w coraz bardziej męczącą się niemożliwości splecioną z pragnienia uwolnienia się od Polski współczesnej i tęsknoty za jakąś inną – dobrze urządzonej, pozwalającą żyć, troszczyć się o siebie, być odważnym i wytrwałym w codziennych obowiązkach i powinnościach.

Ta dobrze znana tęsknota za „normalnym krajem”, przecinana i podważana jest przez wypowiedziane wprost przekonanie, że „normalny kraj” to oksymoron. Wyzwolenia nie będzie nie tylko dlatego, że są rzeczy, od których uwolnić się nie da (jak wyparta pamięć biernego współudziału w Zagładzie). W „Wyzwoleniach” nie ma bowiem tego, co kluczowe dla „Wyzwolenia”: procesu przemiany i rozwoju „myśli ścigającej siebie”. Magda Drab wykrzykuje wprawdzie gniewne i brutalne „sp...jcie z Konradem i arcydramatem”, które jest odpowiednikiem Kon-



„Wyzwolenia” Magdy Drab w reżyserii Piotra Cieplaka, Teatr Modrzejewskiej w Legnicy

radowego „Poezjo precz!!! Jesteś tyranem”, ale ten krzyk nie jest egzorcyzmem, lecz symptomem udręki i niemal rozpaczliwym wrzaskiem niezgody. W finale wracamy do punktu wyjścia – do marzeń, że jeszcze „będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie”. Ktoś otworzy okna i będzie długo, długo wietrzył.

A ściana między nami

Marzenie o świeżym powietrzu pojawia się też w „Innych ludziach”. Pojawia jako zanegowane, bo skąd wziąć świeże powietrze w zasnutej smogiem Warszawie, zamieszkałej przez ludzi pozbawionych wszelkiej świeżości i tchu? Odpowiedź wydaje się paradoksalnie prosta: trzeba pojechać poza centrum, na Wał Miedzeszyński do klimatyzowanych wewnątrz ATM Studio, gdzie od kilku lat pokazuje swoje przedstawienia TR Warszawa. Piękna wiosenna sobota, przestronna sala i atrakcyjne nowoczesny spektakl zapewniają wytchnienie w postaci dwóch godzin iluzji nieprzynależności.

Jarzyna zaadaptował powieść Masłowskiej na multimedialną zespołową kompozycję słowno-muzyczną, do której nie da się jednak użyć terminu „śpiewogra”, bo podstawową „formą podawczą” jest tu rap. Jego specyficzny beat – jednocześnie monotonnie transowy i pulsujący niepokojem – dominuje nad całym przedstawieniem i rządzi jego dramaturgią, regulując przeplatanie sekwencji aktorskich i scen wideo, współdziałających ze sobą na poziomie daleko przekraczającym stereotypowe opowieści o nadmiarze ekranów wy-

pierających żywych aktorów. Jarzyna wraz z całym zespołem realizacyjnym przenosi w „Innych ludziach” teatr multimediów na nowy poziom zaawansowania nie tyle (choć też) technologicznego, ile artystycznego i dramaturgicznego.

Produkcyjnie, reżysersko, aktorsko „Inni ludzie” to przedstawienie znakomite. Ale ta perfekcja ma zaskakujące skutki. Cóż bowiem się dzieje, kiedy hipsterska warszawska publiczność, przybyła do modnego warszawskiego teatru, ogląda ten hipernowoczesny spektakl o nieudanym raperze Kamilu, jego grubej matce, chudej dziewczynie, biuściastej i dzianej kochance, jej egocentrycznym mężu i wszystkich innych irytująco godnych pożalowania pokrakach, którzy ich otaczają? Nieuchronnie zaczyna pracować mechanizm społecznej i kulturowej dystynkcji, który przemienia tę niby-drapieżną opowieść w historię o egzotycznych „innych”, których, owszem, spotykamy, czy też raczej – wyobrażamy sobie, że spotkać możemy, ale z którymi nie mamy nic wspólnego. Gotowa propozycja na Open'er Festival, dzięki której przyjeżdżająca tam coraz lepiej uposażona, coraz bardziej złota młodzież będzie mogła się poczuć lepiej, zanim pójdzie pod scenę, by chóralnie wyznać, że jest „jak Tamagochi”. Nie sądzę, by kiedykolwiek obejrzeni tę wielkowiejską fantazję o sobie ludzie podobni do Kamila. Nie będzie ich stać.

Perfekcyjna maszyna artystyczno-producentka wydaje się tu uruchomiona głównie po to, żeby maksymalnie oddzielić inscenizowaną rzeczywistość od nas. ➔

→ W efekcie wytwarza nie iluzję sceny, lecz iluzję widowni jako „innych ludzi”, niemających nic wspólnego z tymi śmiesznymi i żalosnymi typami i typicami, męczącymi się w Polsce, którą sami sobie ustanawiają co dnia, a której szczerze i organicznie nienawidzą, uciekając w seks, narkotyki, sny o potędze i Boże Narodzenie w Kambodży.

Na dwie godziny i kilkanaście minut jesteśmy poza „tym krajem”. Pochwyceni w wizualno-dźwiękowo-słowny trip, wraz z twórcami go artystami i technikami wytwarzamy jego przeciwieństwo: sprawnie funkcjonującą, atrakcyjną, wolną od anachronizmu, zadowoloną z siebie wzajemnie całość.

Gdzie tyz ta Polska?

Niezależnie od wszystkich różnic – estetycznych, performatywnych, ideowych, geograficznych – jakie dzielą spektakle Drab/Cieplaka i Masłowskiej/Jarzyny, łączy je na głębszym poziomie wspólnota diagnozy, według której Polska współczesna to kraj nie do życia, zarządzony na własny obraz i zgubę przez ludzi, którzy nie mają pojęcia, jak go zmienić.

Byłoby jednak daleko idącym uproszczeniem uznanie tej diagnozy jedynie za kolejny przejaw polskiego narzekactwa i wiecznego niezadowolenia z siebie. Tak, to też. Ale tu pracuje coś jeszcze, coś chyba głębszego, a niemającego się do końca przebić i wyrazić wprost. Oba przedstawienia mimo wszystko uciekają od masochistycznej chłosty narodowej, której nieszczęsnym arcydziełem jest „Wesele”. Wyraźnie chcą wyjść poza chochole taniec

„albośmy to jacy tacy i inni nie będziemy”. Chcą wyjść, nawet jeśli nie bardzo wiedzą, dokąd i ku czemu.

Przesycające oba spektakle miazmaty współczesnego udręczenia wydziela narastające poczucie, że polskość dziś wyobrażana, ucieleśniana i performowana nie obejmuje tych postaw, sposobów działania, przekonań, które my sami w praktyce naszego życia dzieńpo dniu rozpoznajemy jako dające siłę, radość, satysfakcję i miłość. To, co jest projektowane jako pozytywna alternatywa: ekologia, dbałość o siebie wzajemnie, sprawność produkcyjna, estetyczna atrakcyjność, a w końcu – powtórzę to jeszcze raz – miłość, nie wiąże się z polskością. Co nie znaczy: nie istnieje w Polsce.

Polacy całkiem często bywają proekologiczni, troszczą się o siebie wzajem, produkują sprawnie, wyglądają atrakcyjnie i doświadczają miłości. Ale robią to nie jako Polacy, lecz jako „inni ludzie”. Między wspólnotą wyobrażoną a realnymi praktykami osób mieszkających tu i teraz nastąpił rozjazd. Siła, z jaką negocjują go oficjalne przedstawienia, odpowiada tej, z jaką powraca upiorem w teatrze, który staje się przestrzenią swobodnego oddechu, wyobrażania sobie i wytwarzania życia w „indziej”, które paradoksalnie tworzy codzienne doświadczenie, niestanowiące zarazem podstawy zbiorowych procesów tożsamościowych. Te opierają się bowiem uporczywie na wartościach anachronicznych: poświęceniu życia, gotowości na śmierć, kulcie ofiary.

Praktyki niezgodne z dominującymi wzorami wyobrażania sobie zbiorowości

rodzimej znajdują schronienie i wsparcie w teatrze. Usiłuje on nie tylko wystawić ich narastającą niespójność z modelami polskości celebrowanymi oficjalnie, ale też połączyć w jakiś nowy, nieanachroniczny i zarazem niewykorzeniony sposób istnienia w świecie, który stopniowo staje się coraz wyraźniej po-narodowy. W podejmujących to trudne wyzwanie przedstawieniach nie widać jeszcze nawet zarysu tego, jak ów sposób istnienia miałby wyglądać, jak można by połączyć wpisana w nas rodzimą przeszłość ze wspólnotą, która nadchodzi. Ale widać ogromną potrzebę wykonania tej pracy. „Wyzwolenia” i „Inni ludzie” może nieświadomie, niejasno i nie bez błędzenia wytwarzają doświadczenie potencjalnej alternatywy.

Drab i Cieplak dokonują tego przez wypowiedzenie do końca frustracji i wskazanie na codzienną troskę o siebie, innych i świat. Jarzyna – przez artystyczno-technologiczną kompozycję stanowiącą radykalny kontrast wobec tego, co w jej ramach się pojawia. W efekcie poprzez sztukę, przez samą logikę konstrukcji artystycznej oba spektakle wywołują owo widmowe „indziej”, które krąży po Polsce jako duch nieznannej przyszłości.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Magda Drab, WYZWOLENIA

– reż. Piotr Cieplak, Teatr Modrzejewskiej w Legnicy, premiera 16 marca 2019 r.

Dorota Masłowska, INNI LUDZIE

– reż. Grzegorz Jarzyna, TR Warszawa, premiera 15 marca 2019 r.

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na
„Lekcje
czytania”



ŚREM I LEM

W czwartek 4 kwietnia Agnieszka Gajewska spotka się z uczniami LO w Śremie, żeby porozmawiać o opowiadaniach Stanisława Lema pt. „Polowanie”. Lekcja odbędzie się w ramach Śremskich Dni Judaizmu – Shalom Śrem.

OPOLE Z TISCHNEREM

W piątek 12 kwietnia Wojciech Bonowicz poprowadzi lekcję w II i III PLO. Tematem dyskusji będą eseje ks. Józefa Tischnera „Jak przerwać spiralę nienawiści” i „Przestrzeń jako projekt wolności”.

„Lekcje czytania” w Opolu odbędą się w ramach Dni Tischnerowskich organizowanych 11-12 kwietnia przez opolską Miejską Bibliotekę Publiczną. Gościem głównym imprezy będzie ks. Michał Heller.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcje czytania” – napisz: lekjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na [f](https://www.facebook.com/LekcjeCzytania) / LekcjeCzytania



Motyki w dłoń!

MONIKA OCHĘDOWSKA

Wyniki badań stanu czytelnictwa w Polsce opracowane przez Bibliotekę Narodową rokrocznie wywoływały publicystyczny lament i wrzawę. Tym razem jest inaczej.

WFERWORZE PUBLICYSTYCZNYCH DYSkusji o tym, czy dziś w ogóle warto czytać, zniknęły same wyniki badań czytelnictwa, które zaskakująco wiele mówią o naszych zwyczajach i skłonnościach.

Wbrew pozorom nie tylko coraz więcej książek kupujemy – częściej dostajemy książki w prezencie i chętniej niż jeszcze dwa lata temu wypożyczamy je z bibliotek. Mimo to z roku na rok mizerniej nasze domowe księgozbiory – 80 proc. badanych deklaruje dziś posiadanie mniej niż stu książek. Być może przeczuliśmy nasze biblioteki do czytników, oszczędzając przy tym nieco miejsca w niewielkich mieszkaniach, ale trudno na podstawie zebranych przez Bibliotekę Narodową danych jednoznacznie wnioskować o popularności e-booków. Z papieru chętnie rezygnują tylko ci, którzy jednocześnie „sprawnie korzystają z komputera” – niestety wstępny raport nie podaje sposobu, w jaki te kompetencje oceniono.

NIEZMIERNIE RZADKO DEKLARUJEMY, ŻE KORZYSTAMY Z ZASOBÓW INTERNETOWYCH, również tych nieodpłatnych czy nielegalnych – to kolejne zaskoczenie. Do lektury jakichkolwiek dłuższych tekstów w formie elektronicznej przyznaje się tylko 10 proc. Polaków. Tymczasem popularne serwisy umożliwiające udostępnianie plików z książkami notują miesięcznie miliony odsłon.

Niepokojące jest to, że najmłodsi respondenci częściej w wyborze lektur kierują się listami bestsellerów i atrakcyj-

nością okładki, jednocześnie pielęgnując wewnętrzne przekonanie o niezależności własnych wyborów i odporności na przekaz reklamowy. Uczniowie szkół średnich i studenci za zupełnie nieprzydatne uznają nagrody literackie. Tę diagnozę potwierdzają wydawcy – wyróżnienie książki przez krytyków nie przekłada się znacząco na sprzedaż tytułu.

Czy nas to martwi, czy nie – ledwie 13 proc. młodych kobiet i tylko 4 proc. mężczyzn lubi czytać. Po skończeniu nauki do lektur powrócą ci, którzy wyrobili sobie nawyk czytania w szkole. A na razie czytać nie lubimy. Szczególnie w czasie wolnym od pracy (po książkę sięga wówczas 7 proc. z nas), na wakacjach (5 proc.), w autobusie (3 proc.) i w kolejce do lekarza (2,6 proc.). Czytamy najchętniej w domu, gdy podczas burzy zawiesi się Netflix i nic lepszego nie idzie wymyślić. Wtedy, ostatecznie i niechętnie, sięgamy po tekst.

NAJBARDZIEJ NIEPOKOJĄCE SĄ JEDNAK NIE WYNIKI BADAŃ, ALE HISTERYCZNA REAKCJA, jaka towarzyszyła ich publikacji – odkąd Biblioteka Narodowa upubliczniła swój raport, kilkanaście procent tych, którzy wciąż „bardzo lubią czytać książki”, dowodziło w internecie, że dla psychicznej higieny lepiej jest jednak pieścić grządkę. Co więcej, obrona posiadania książki oka-

zywała się „przejawem neoliberalnych słabości i klasistowskich ciągót”, a krytyka konieczności posiadania – postironicznym populizmem. Czytasz – fetyszyzujesz; publicznie przyznajesz, że czytanie jest dla ciebie ważniejsze od serialu – oddajesz się czynnościom samotniczo-ipsacyjnym, przekonują ci, którzy... na co dzień czytają. „Chcesz rozpoznać świat? Lepiej klikaj w memy” – pisze doktor literaturoznawstwa i krytyk literacki.

Nie dziwię się – przed czytaniem współczesnej prozy ostrzegają nawet jej twórcy. „Czytanie książki jest równie pożyteczne co skopanie ogródka, zrobienie ciasta” – pisze laureatka Paszportu „Polityki”, której lektura niegdyś „zastępowała trudne kontakty z rówieśnikami, otoczeniem, rzeczywistością, pozwalała zapomnieć o wymaganiach świata i własnych deficytach”. Jeśli dla pisarki upominającej się dotąd w swojej twórczości o głos kobiet w debacie publicznej czytanie stało się zniechacą „średnioklasowym intelektualizmem”, rodzi się pytanie, gdzie tak naprawdę stoją notorycznie przez nią piętnowane „lamelowe płoty mentalne”.

A MOŻE NIE MA CO SIĘ ŻYMAĆ? Socjologowie przewidują, że niebawem klasa średnia zniknie, bogaci będą się bogacić, a biednym pozostanie pielienienie ogródka. Rozwój technologiczny związany z rewolucją cyfrową, na którą tak chętnie powołują się krytycy klasistowskiej dyktatury stęchłego czytelnictwa, pogłębia rozwarstwienie społeczne. Coraz doskonalsze oprogramowanie umieszczane w coraz tańszym sprzęcie wykonuje coraz częściej nasze prace, przyczyniając się do spadku zatrudnienia nie tylko w sektorze produkcyjnym, ale i usługowym.

Niestety potencjał raportu Biblioteki Narodowej po raz kolejny nie zostanie wykorzystany w publicznej debacie i nie przełoży się na rozwiązania systemowe. Przydałyby się nam one dziś bardziej niż kiedykolwiek, bo umiejętność wyszukiwania, selekcji i interpretacji informacji stała się nie tylko ważna, lecz wręcz kluczowa.

Zagubienie informacyjne wyrzuca nieczytające narody na peryferie świata. Badacze nazywają tę tendencję neokolonializmem XXI wieku. Umiejętność pielienienia może się okazać przydatna. ©P





„Chroń swój zamek” – ekran gry „Heroes of Might and Magic 3”

Bohaterowie nie są zmęczeni

PIOTR TARCZYŃSKI

Statystycznie graczami komputerowymi są w 80 procentach ludzie dorośli. Może to dlatego niektóre gry nie chcą się zestarzeć.

DWADZIEŚCIA LAT, KTÓRE W TYM ROKU minęło od premiery „Heroesów”, „HoMM3”, czyli „Heroes of Might and Magic III”, jest w świecie gier komputerowych wiecznością. Tymczasem mnóstwo ludzi na całym świecie wciąż siada przed ekranem, żeby zdobyć jeszcze kilka klejnotów, zająć jeszcze jedną kopalnię, poczekać do kolejnego tygodnia, kiedy w zamku pojawią się nowe jednostki i będzie można wreszcie pokonać tę watahę zielonych smoków strzegących Helmu Niebiańskiego Oświecenia czy Zbroi Ognistej Mocy.

Spór o zamki

W 1995 r. New World Computing wypuściło grę „Heroes of Might and Magic”,

spin-offliczącej wówczas już pięć odsłon serii gier fabularnych RPG, „Might and Magic”, dziejącej się w świecie zamieszkanym przez magów, elfy, smoki i inne stworzenia *fantasy*.

Pomysł na rozgrywkę – strategię z elementami RPG – wzięty był z wcześniejszej produkcji tej samej firmy, „King’s Bounty”. Z gry fabularnej zaczerpnięto aspekt przygodowy: zawodnik porusza się bohaterem po mapie i zdobywa punkty doświadczenia konieczne do rozwoju jego zdolności, odkrywa nowe tereny, znajduje magiczne artefakty, walczy ze strażnikami ich potworami. Kluczem jest jednak część strategiczna: gromadzenie zasobów (złota, drewna, kamienia, kryształów, klejnotów, siarki i rtęci), koniecznych

do rozbudowy miasta i zakupu coraz potężniejszych jednostek, żeby stworzyć armię, która pozwoli stoczyć bitwy z przeciwnikiem i zdobyć jego miasta. Gracz wykonuje ruchy na zmianę z przeciwnikiem, w czasie swojej kolejki może wykonać ograniczoną liczbę posunięć: przejść z punktu A do punktu B, wznieść jedną nową budowlę itp. Bitwy przypominają rozbudowane szachy na planszy złożonej z sześciokątów.

Trochę niespodziewany sukces pierwszych „Heroesów” – będących przecież w zamierzeniu tylko dodatkiem do szalenie popularnej serii RPG – sprawił, że już rok później, na bazie istniejącego kodu, powstała część druga. Dodała nowe elementy, takie jak ulepszanie jednostek, dodatkowe umiejętności bohaterów, poprawiono też grafikę. Dwójka okazała się wielkim sukcesem, ale dopiero kolejna odsłona serii, nad którą pracowano trzy lata, doprowadziła sprawdzoną formułę do perfekcji: „HoMM3” rozwinęło i ulepszyło wszystkie zalety poprzednich części, stanowiło idealne połączenie zarządzania na poziomie mikro i makro, a przy tym olśniewało wykonaniem.

Choć gra jest dwuwymiarowa, wszystkie występujące w niej obiekty stworzono na podstawie modeli trójwymiarowych, co bardzo ulepszyło grafikę, ale sprawiło,

że wcześniejsza, nieco cukierkowa oprawa z części drugiej ustąpiła szacie nieco poważniejszej. Niektórzy recenzenci krytykowali to rozwiązanie, ale szybko się okazało, że gracze byli zachwyceni. W kolejnych misjach ciekawej i przemyślanej kampanii dostawaliśmy szansę pokierowania każdym z ośmiu zamków. Natomiast w misjach pojedynczych – albo w grze z przyjaciółmi, o czym za chwilę – każdy znajdował sobie ulubioną twierdzę.

Wybór dyktowany był tyle względami strategicznymi, co estetycznymi – każde miasto dostało swój wyjątkowy styl, różniło się wyglądem budynków i zamieszkujących je jednostek, miało także znakomicie dobraną ścieżkę dźwiękową. Jej twórca, Paul Romero, do dziś zresztą jeździ po świecie z koncertami, prezentując „Symphony of Heroes”, złożoną z utworów skomponowanych do kolejnych odsłon serii – dwa lata temu wystąpił np. we wrocławskim Narodowym Forum Muzyki. Wybór miasta był na swój sposób wyborem tożsamościowym – czy najbardziej lubię żyjące w zgodzie z naturą elfy, czy zamieszkujących ośnieżone szczyty gór czarodziejów? A może wolę zostać nekromantą, który po każdej bitwie wskrzesza dziesiątki szkieletów do swojej armii nieumarłych?

Wkrótce na szkolnych przerwach zaczęły się toczyć nieskończone dyskusje na temat tego, który z zamków jest najlepszy (spór najczęściej toczył się między zwolennikami leśnego Bastionu a magicznej Fortecy), a który do niczego się nie nadaje (tu akurat łatwiej było o porozumienie – wszyscy byli zgodni, że pustynny zamek barbarzyńców jest do bani).

Noce bezsenne

Wówczas, na przełomie wieków, rzadkością była gra „dla wszystkich” oferująca tak piękną oprawę wizualną, która jest atrakcyjna i dziś, po dwóch dekadach – tylko w inny sposób. Nie da się ukryć, że 3D starzeje się bardzo szybko: ciągły postęp w dziedzinie grafiki komputerowej sprawia, że nawet gry sprzed kilku lat, które wówczas zachwycały wizualnie, marnie wypadają przy swoich kolejnych częściach i dziś wydają się nam kanciaste, po prostu brzydkie.

„Wiedźmin 2” z 2011 r., kiedyś olśniewający jakością tekstur i światła, błędnie przy młodszym zaledwie o cztery lata „Wiedźminie 3”, którego słusznie okre-

śla się mianem jednej z najpiękniejszych gier, jakie kiedykolwiek powstały. Galopowanie konno przez lasy i podziwianie olśniewających zachodów słońca słusznie budzi zachwyt (nawet postronnych obserwatorów – proszę spytać mojego męża, któremu zdarzało się siadać przy mnie, żeby podziwiać piękno wysp Skellige), ale nikt nie ma wątpliwości, że już za parę lat pojawią się gry, przy których nawet „Wiedźmin 3” będzie wydawał się topornym.

Tymczasem „Heroesi” zestarli się znakomicie – pikseloza w dwóch wymiarach raz dużo mniej niż w trzech, a to, co „siernieżne”, jest teraz postrzegane jako „ujmujące”, a zatem znakomicie mieści się w kategorii *vintage*. Wypuszczeni w 2015 r. „Heroesi” w HD, z wygładzonymi teksturami i animacjami, okazali się niewypałem, bo dawali tylko to, co zdążyli już zrobić fani gry w jednym z wielu nieoficjalnych modów, czyli chałupniczo stworzonych modyfikacji.

Społeczność oddanych fanów zawsze była siłą serii, choć pewnie producenci nie za każdym razem by się z tym zgodzili. Pierwszy z dwóch oficjalnych dodatków do „HoMM3” – „Ostrze Armageddonu” – musiał zostać radykalnie zmieniony, kiedy wypuszczono na próbę *concept art* i gracze fatalnie zareagowali na pomysł dodania dziewiątego miasta, łączącego estetykę *fantasy* z *science fiction*. Pod wpływem gróźb bojkotu New World Computing nakazało twórcom całkowitą reorientację kierunku. Także czwarta odsłona serii, z 2002 r., spotkała się z bardzo chłodnym przyjęciem. Być może gdyby była to osobna gra, potraktowano by ją inaczej, ale nie wytrzymała porównań ze swoją poprzedniczką – źle przyjęto całkowitą zmianę mechaniki (pozwalającą na przykład tworzyć armie złożone z kilku bohaterów) i grafiki (gra toczyła się w rzucie izometrycznym).

Kłęska „Heroesów IV” przyczyniła się do bankructwa New World Computing i prawa do serii trafiły do Ubisoftu, francuskiego potentata w branży, który nie popełnił już błędów poprzedników. Kolejne odsłony – piąta, szósta i siódma – skupiały się jedynie na dalszym udoskonaleniu sprawdzonej formuły (z lepszym lub gorszym skutkiem), a nie próbowały wymyślać „Heroesów” na nowo. W końcu najbardziej lubimy piosenki, które już kiedyś słyszeliśmy – z gramii komputerowymi jest podobnie, o czym może świad-

czyć choćby niegasnąca popularność serii „Assassin’s Creed”, liczącej już jedenaście głównych tytułów i tyle samo pobocznych.

Ubisoft zachował się bardzo sprytnie i produkcję kolejnych części „Heroesów” zlecił studiom z Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie seria od początku cieszyła się ogromną popularnością; piątkę stworzyli Rosjanie, szóstkę Węgrzy. Nie wiem, czy zbadano przyczyny tego zjawiska, ale gdybym miał zgadywać, to wynikało to z warunków społeczno-ekonomicznych w naszej części świata. Na przełomie wieków mało kto miał komputer w domu, a już zwłaszcza taki, na którym dało się grać w najnowsze produkcje. Gry były drogie – stąd ówczesna popularność przeróżnych giełd komputerowych, na których sprzedawano ich pirackie kopie. A choć w teorii istniała możliwość grania w „Heroesów” przez internet, mówimy o czasach, w których z siecią łączyliśmy się modemem telefonicznym – wszyscy pamiętamy mieszaninę pisków i trzasków, która 20 lat temu była „dźwiękiem internetu”, blokowanie linii, a do tego horrendalne rachunki pod koniec miesiąca. Tymczasem „Heroes of Might and Magic III” była grą bardzo ekonomiczną – pozwalała na wspólną zabawę przy jednym sprzęcie, w pracowni informatycznej albo u kolegi lub koleżanki, którzy mieli w domu „pe-ceta” (przeważnie zresztą należącego do rodziców).

„Heroesi” to dwie gry w jednej. Tryb klasyczny pozwala samodzielnie przechodzić kolejne mapy, czy to misje kampanii, czy pojedyncze scenariusze, choć z czasem dla doświadczonego gracza rywalizowanie z komputerem nie stanowi wielkiego wyzwania nawet na najwyższym poziomie trudności. To, co dla wielu ludzi było najważniejsze, to właśnie tryb tzw. „gorących krzeseł”, w którym gracze wykonują ruchy na zmianę. Były to zasadniczo odmienne koncepcje gry – z jednej strony eskapistyczna ucieczka w piękny świat o przejrzystych zasadach, który dawał zarazem poczucie bezpieczeństwa i sprawczości – zahukany nastolatek (czy nastolatka, bo w „Heroesy” namiętnie grały też dziewczyny, co nie było wówczas takie oczywiste – gry komputerowe uważano raczej za chłopacką rozrywkę) mógł zostać wielkim dowódcą i władcą swojej baśniowej krainy. Z drugiej strony – zabawa towarzyska w gronie przyjaciół, czyli *de facto* gra planszowa, tylko na ekranie ➔

→ komputera. Bezsenne noce spędzane z przyjaciółmi nad „Heroesami” to dla wielu moich rówieśników doświadczenie pokoleniowe. Najpierw obowiązywało taktyczne zawieszenie broni i eliminowanie komputerowego przeciwnika, a potem, nieuchronnie, zwracaliśmy się przeciwko sobie, by raz na zawsze udowodnić wyższość „swojego” miasta.

Wciąż działa

Niewątpliwie sporą rolę w ciągłej popularności „Heroesów” odgrywa nostalgia, dominująca estetyka dzisiejszych czasów. Lata 90. to też epoka wyjątkowa – i to z różnych powodów. O ile w Stanach była to dekada szczęśliwości, „ostatnia taka” przed początkiem XXI wieku, który zaczął się zamachami z 11 września, by potem przeżyć kryzys gospodarczy, o tyle w Polsce była to „pierwsza taka” dekada, kiedy dołączyliśmy do Zachodu i mogliśmy wreszcie cieszyć się tym, co nasi rówieśnicy w Stanach i Europie.

Dzisiejsi trzydziestoparolatkwowie żywią do tamtych lat szczególny sentyment (mniej o to, czy słusznie), a że wkroczyli w wiek, kiedy nie są już tylko odbiorcami kultury, ale też jej twórcami, nostalgia ta objawia się na najróżniejszych polach. W filmografii mamy na przykład „Stranger Things” albo „Zawód: Amerykanin”, seriale doskonale rekonstruujące lata 80. W modzie ejtisowe kresze i welury ustępują już powoli miejsca najtiszowemu dzinsowi. „Oldschool” objawia się też w grach – nie tylko wraca się do tych starych i sprawdzonych, ale tworzy nowe, celowo stylizowane na lata 90.

Z nostalgią trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie, żeby nie popaść w bezkrytyczny sentymentalizm. Czy w ciągu tych 20 lat nie powstały lepsze strategie od „Heroesów”? Bez wątpienia – zarówno pod względem grafiki, jak i mechaniki. Cóż jednak zrobić, skoro nadal wciągają jak diabli? Przygotowując się do napisania tego tekstu, zainstalowałem sobie na komputerze „HoMM3” i włączyłem „na chwilę”, by przypomnieć sobie tamtą magię. Efekt był taki, że na dwa dni zupełnie wsiąknęłam.

© PIOTR TARCZYŃSKI

Na jednej desce

ANITA PIOTROWSKA

Z montażu amatorskich taśm wideo i profesjonalnych nagrań wyłania się poruszający obraz młodych ludzi, którym bez żadnych zabezpieczeń przyszło zderzyć się z dorosłym życiem.

DLA NIEWTAJEMNICZONYCH JEST TO PO prostu kawałek sklejk na kółkach i brawurowa chłopacka zabawa. Filozofia deskorolki? Poezja skateboardingu? Gdyby tylko o tym był debiutancki dokument Binga Liu, zapewne jego widownia ograniczyłaby się do członków deskowej subkultury. Nie byłoby ani nominacji do Oscara, nagrody w Sundance, ani wielkich emocji, które w przypadku tego filmu są przecież czymś więcej niż efektem nagłego wyrzutu adrenaliny.

Jeśli „Jutro albo pojutrze” Liu można by naprędce z czymś porównać, byłoby to fabularne „Boyhood” Richarda Linklatera – rozciągnięta w czasie i chwytająca za serce opowieść o dorastaniu we współczesnej Ameryce. Ta jednak historia wydarzyła się naprawdę, jest dużo bardziej brutalna, a stojący za kamerą kieruje ją w wielu momentach wprost na siebie.

Właśnie owa wewnętrzna, chwilami nawet autotematyczna perspektywa Liu, który dorastał z deskorolką pod pachą w podupadłym mieście Rockford, decyduje o wyjątkowości tego, co oglądamy na ekranie. Przyzwyczajeni do ciągłego filmowania młodzi skaterzy, kiedy schodzą z deski, przestają uprawiać akrobacje i popisy. Nie muszą niczego udawać czy spełniać oczekiwań twórcy, bo jest on po prostu jednym z nich. Na początku filmu liczą sobie po kilkanaście lat i mieli strasznego pecha urodzić się w takim miejscu. Sporej wielkości ośrodek przemysłowy w stanie Illinois należy dziś do tzw. Pasa Rdzy. Wyprowadzka dużych firm spowodowała w ostatnich dekadach postępujące bezrobocie, coraz większe wyludnianie się i rosnącą przestępczość.



Oraz głęboko ukrytą brutalizację życia rodzinnego.

W takich okolicznościach wychodzenie z dzieciństwa musi być jeszcze bolesniejsze. Dołóżmy do tego kolor skóry: Zack jest biały, Bing pochodzi z Chin, zaś Keire to Afroamerykanin – niby wszyscy jadą tu „na jednej desce”, lecz przynależność rasowa mocno determinuje, a czasem też zobowiązuje. Historia przyjaźni i wspólnej pasji zostaje więc skonfrontowana ze społecznym fatalizmem. Czy zaniedbywane, maltretowane, pozbawione perspektyw dzieciaki mają jakąkolwiek szansę, by być kimś lepszym od swoich ojców i ojczymów?

Bajecznie filmowane ewolucje skate’owe można interpretować jako próbę przejęcia kontroli nad swoim życiem. Jako chwilową ucieczkę od rzeczywistości, dorosłości, odpowiedzialności. Ale w którymś momencie życie bohaterów gwałtownie przyspiesza. Mając 21 lat Zack zostaje ojcem. Jeszcze przed chwilą puszczał z dachu fajerwerki z okazji „święta Ameryki” – teraz pracuje jako dekarz, coraz ostrzej popija i źle traktuje matkę swego dziecka. Keire’owi, jak wielu innym czarnoskórym chłopakom, łatwo wejść w konflikt z prawem, a szanse na znalezienie pracy lepszej niż przy zmywaku są raczej mizerne. Bing, czyli jedyny, któremu udało się zdobyć wykształcenie i złamać tym samym klątwę Rockford, wcale tak naprawdę z tego miejsca nie wyjechał. Dlatego organizuje coś na



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Jutro albo pojutrze”

kształt psychoterapii z użyciem kamery, sadzając przed nią również swoją matkę, brata i siebie samego.

Wszyscy tu zresztą próbują uporać się z demonami dzieciństwa i wyrwać się z otaczającej beznadziei. Film, który miał „zbierać najlepsze momenty” z życia trzech kumpi, coraz bardziej skręca w stronę gorzkiej opowieści inicjacyjnej. Niczym widzowie w otwartym skateparku, oglądamy kolejne podskoki, obroty, upadki – figury coraz mniej kontrolowane, za to coraz bardziej karkołomne.

Bo jak przysłało na dokument z prawdziwego zdarzenia, w „Jutro albo pojutrze” nic nie jest do końca przewidywalne. Dotyczy to głównie wątku Zacka, największego z tej trójki wielbiciela życiowych sportów ekstremalnych, który stacza się na naszych oczach. Takiej postaci żaden scenariusz nie jest w stanie wyznaczyć prostego toru, choćby miał on biec już tylko w dół. Po drodze zawsze pojawiają się jakieś szczeliny tudzież inne niespodzianki i przeszkody, do których nawiązuje oryginalny tytuł filmu. Ale też Liu jako dokumentalista powściąga swoje korekcyjno-kreacyjne zapędy, co dla kogoś, kto patrzy na degrengoladę bliskiego przyjaciela z dzieciństwa, musi być szczególnie trudne.

Będąc przez te wszystkie lata w samym centrum zdarzeń, kończący właśnie trzydziestkę reżyser unika jednak epatowania domową przemocą czy systemową

biedą. Wystrzega się czysto publicystycznych diagnoz. Ameryka Ameryką, lecz w tym samym stopniu, co o konkretnie umiejscowioną krytykę społeczno-ekonomiczną, chodzi tu o przełamanie zbiorowego milczenia. O zatrzymanie spirali krzywd wyrządzanych najsłabszym, czyli kobietom i dzieciom, oraz uchwycenie momentu tej zmiany w obiektywie.

Z montażu amatorskich taśm wideo i coraz bardziej profesjonalnych nagrań (deskorolkarz Bing w tzw. międzyczasie zdążył awansować na rasowego filmowca) wyłania się poruszający obraz młodych ludzi, którym bez żadnych zabezpieczeń przyszło zderzyć się z dorosłym życiem. Coś, co miało być zapisem aktywności lokalnych skaterów, zrobionym na gorąco, w stylu *cinéma vérité*, odsłania coraz więcej ciemnych zakamarków i uruchamia w widzu kolejne pokłady empatii, szczególnie zaskakujące dla kogoś, kto nigdy nie sympatyzował z deskorolką. Amerykański dokument mówi też między wierszami o skomplikowanej relacji dokumentalista-kamera-bohater. Wiele się wydarza na tej linii, zwłaszcza w przypadku samego Liu, który jak najuczciwiej próbuje spełniać w filmie obie te role. ©

JUTRO ALBO POJUTRZE (*Minding the Gap*)
– reż. Bing Liu. Prod. USA 2018. Dystryb. Against Gravity. W kinach od 5 kwietnia.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [6 – 12 IV]

1. The Disaster Artist



Biograficzny, reż. James Franco, USA 2017, Cinemax, 7 IV, 20.00, 8 IV, 11.50, 9 IV, 20.00, 10 IV, 9.55, 12 IV, 21.55

Tommy Wiseau, urodzony w Poznaniu jako Tomasz Wieczorkiewicz, nazywany jest dziś najgorszym reżyserem świata. Doczekał się tego miana za sprawą filmu „The Room” z 2003 r., uchodzącego za szczyt złego smaku i reżyserskiej nieporadności. O kulisach jego powstania napisano najpierw książkę, a niedawno powstała jej adaptacja, gdzie Franco wciela się także w główną rolę.

2. Ucho wewnętrzne



Dokumentalny, reż. Magdalena Gubała, Szymon Uliasz, Polska 2016, TVP Kultura, 7 IV, 23.35

Właśnie otrzymał nagrodę Orta za muzykę do filmu „Kler”. Saksofonista Mikołaj Trzaska zabiera nas w podróż po miejscach, które ukształtowały jego wewnętrzny pejzaż. Pojawiają się też ważni dla niego ludzie, np. Andrzej Stasiuk, oraz bardzo osobiste wspomnienia. Muzyka gdańskiego artysty znajduje w filmie wyszukaną formę wizualną.

3. Obsesja Eve II



Serial, reż. Phoebe Waller-Bridge, USA/Wielka Brytania/Włochy 2019, HBO GO, 8 IV

Przed nami kolejne osiem odcinków brawurowej opowieści o znudzonej agentce brytyjskiego wywiadu, która zostaje wciągnięta w wyrafinowaną grę z młodą psychopatyczną morderczynią. Kobiety obsadzone w rolach stereotypowo męskich tworzą tu relację pikantną i wieloznaczną. Również za sprawą aktorek: Sandry Oh i Jodie Comer.

4. 7 uczuć



Tragikomedia, reż. Marek Koterski, Polska 2018, player.pl, vod.pl
Adaś Miauczyński podczas sesji psychoterapeutycznej cofa się do czasów

dzieciństwa, by raz jeszcze przeżyć swoje traumy szkolne, domowe i podwórkowe. Gombrowicz spotyka się tu z Korczakiem, słychać dalekie echa teatru Kantora, a w poruszających rolach dziecięcych wystąpili m.in. Michał Koterski, Gabriela Muskała i Katarzyna Figura.

JAN

Klata: *Achtung! Achtung!*



ROLA SKANDALU W KARIERZE ARTYSTYCZNEJ jest trudna do przecenienia, jak dotąd nikt nawet nie podjął próby monografii, co samo w sobie jest kolosalnym skandalem. Byłaby to praca wyczerpująca, od Fidiasza do Janusza Panasewicza, od Christophera Marlowe'a do Mela Gibsona, od Strawińskiego do Lyncha. Gdzie wizjonerzy, gdzie konkwistadorzy myśli, teraz się nie snuje śmiałych wizji ze strachu przed najmniejszym błędem, teraz się ostrożnie negocjuje strategie, teraz się pomalutku, w ciepłym koterii kuratoruje idiom, i wszyscy zadowoleni na przecięciu kanapowych paradygmatów, zero przemocowości i opresji jakiegokolwiek świeżej myśli.

Weźmy szerokie wody odniesień do Holocaustu – gdyż każdy wie, że jak skandal, to Holocaust, nie ma się co rozdrabniać, musi być pasiak. I jest pasiak, a nawet kilka, potencjalnie wiszących, na filmiku promującym najnowszy album grupy Rammstein. Kontrowersyjnie? Kontrowersyjnie, zwłaszcza

w Niemczech, zwłaszcza że zespół – jak sama nazwa wskazuje – niemiecki. Więc sypią się zarzuty, że „Rammstein wykorzystuje w celach rozrywkowych cierpienie i mord milionów ludzi, co jest lekkomyślne i obrzydliwe”. Hmm, argument chybiony, kulą w płot, bezsensowną salwą koszący Stevena Spielberga i Live Aid.

„Nie wolno wykorzystywać cierpienia i nieludzkości Holocaustu dla celów reklamowych czy efektów mających na celu popularyzację produktów niezależnie od ich rodzaju”. Hmm, produktów? „Życie jest piękne”? „Łaskawe”? „Pianista”?

Rammstein znakomicie przepracował i przenegocjował idiom słoweńskich tytanów prowokacji z grupy Laibach. Panowie z Rammsteina jako kuratorzy idiomu sprawdzili się nader gracko, przesuwając granice prowokacji na wiele nowych pól, o których się Słoweńcom nawet nie śniło, bijąc ich na głowę zwłaszcza na polu oprawy wizualnej. Na wielce inteligentne teledyski Rammstein nie żałuje ani mamony, ani inwencji, i to widać gołym okiem, tego się nie da odzobaczyć, okulocentryczność XXI wieku w pełnej krasie.

Tytuł najnowszego singla to oczywiście „Mein Kampf”... przepraszam, nie, jeszcze nie, tytuł najnowszego singla to oczywiście „Deutschland”. Video arcyciekawe, wręcz dowcipne, sprytne, Germania w pełnej krasie i przekroju, muzyka – jak zwykle – mniej, choć wpada w ucho, niestety. Tak czy owak, będą dziesiątki, a może i setki milionów odsłon, wróżę niebywałą popularność. I o to idzie, wszak najgorszy taki skandal, którego nikt nie zauważy.

©

Lektor: Dziedzictwo czasem kłopotliwe



■ Jacek Purchla
**MIASTO I POLITYKA.
PRZYPADKI KRAKOWA**
Universitas, Kraków 2018,
ss. 212 + 133 ilustracje

STOŁECZNE KRÓLEWSKIE Miasto Kraków – tak się oficjalnie nazywamy. „Trwałość i siła stygmatu stołeczności Krakowa to przykład znaczenia dziedzictwa materialnego i niematerialnego jako czynnika rozwoju – pisze autor. – Tego niezwykłego zjawiska nie można oderwać od kontekstu politycznego. Relacja pomiędzy miastem a polityką to w przypadku Krakowa nie tylko funkcja polskiego

losu! Kraków to także Europa Środką”.

Jak się ta zależność przekłada na konkret? Co dla Krakowa wynika z lekcji XX wieku (w tym niemieckiej okupacji) i z doświadczeń trzech dekad odrodzonego samorządu? Co się udało, a czego nam brakuje? Prof. Jacek Purchla jest świetnym znawcą nie tylko architektury i urbanistyki Krakowa minionych dwóch stuleci, ale też społecznego,

ekonomicznego i politycznego kontekstu jego rozwoju. Píše więc o narodzinach „Wielkiego Krakowa” i kształtowaniu się jego dzielnic, o wspomnianej tradycji stołeczności Krakowa i jego funkcjach metropolitalnych, o współczesnej kulturze pamięci, która jest dziś fundamentem naszego stosunku do przeszłości.

Ilustruje to krótki szkic o Wawelu jako „dziedzictwie kłopotliwym” i polu napięć. Najpierw był spór między konserwatorami austriackimi i polskimi na temat sposobu renowacji zamku po przejęciu go od wojska austriackiego: tylko konserwować czy rekonstruować? Potem wawelski pochówek marszałka Piłsudskiego i przeniesienie przez arcybiskupa Sapiechę jego trumny do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów wywołały kryzys w stosunkach państwo – Kościół. Lata wojny, gdy Krakauer Burg stał się re-

zydencją gubernatora Franka, pozostawiły trwały ślad w postaci okazałego budynku na miejscu dawnych kuchni królewskich (czy jednak słusznie postąpiono, zacierając ostatnio jego cechy charakterystyczne?). I wreszcie konflikt ostatni,

związany z pogrzebem pary prezydenckiej, wciąż otwarty i sprawiający, że Wawel miast łączyć znów dzieli.

Na koniec wspomnę arcyciekawy artykuł o architekturze Trzeciej Rzeszy w Krakowie. Temat, który długo stanowił tabu, dotyczy nie tylko Wawelu, ale i np. domów mieszkalnych przy dzisiejszej ul. Królewskiej, rozmaitych ingerencji na Starym Mieście oraz projektu wielkiej dzielniczkiej rządowej na Dębnikach autorstwa Huberta Rittera. Dzięki znakomitym ilustracjom wszystko to – także modele owej dzielnicy – można zobaczyć. Polecam!

©©

PAWEŁ

Bravo:

Rybka zwana Alicją



PIĘĆ. TYLE EURO WZIĘŁA ODE MNIE PANI w małej smażalni za wielką jak kinowy kubeł popcornu tutkę pełną sardeli i kalmarów w tymim miasteczku Cetara nieopodal Amalfi. A może raczej wiosce? Piętrowe domy przy brukowanych zaułkach tworzą

cych regularną siatkę i solidny murowany kościół z kopułą nie stanowią tutaj jeszcze o miejskości. Miasto od wsi tym się różni, uczyli mnie na studiach, że większość populacji nie trudni się zajęciami rolniczymi (albo rybołówstwem, jeśli jesteśmy nad morzem). A tu miejscowi poza sezonem letniskowym żyją głównie z połowu. Ale za to wieczorami, iście po miejsku, spędzają czas w miejscach publicznych. Mimo morskiego chłodu młodzi rzną w rozklekotane piłkarzyki roztawione wprost na ulicy, przy czym bluźniercza zawilgość ich przekleństw nie ustępuje tym, które dobiegają z wnętrza baru, gdzie starsi śledzą mecz na telewizorze. Akurat jakiś niezbyt ważny, więc jest szansa wejść, wypić kawę z zachowaniem w całości usznych bębneków. Kawę dokładnie taką, jakiej trzeba o jedenastej wieczorem – z twarzym kopem w finiszu, spaloną i gorzką. Wiele można złego o tym skrawku Włoch powiedzieć, choćby to, że pograża się w coraz brutalniejszym nierządzie, a bieda i jakość usług publicznych są na poziomie Bułgarii, ale nie dali sobie jeszcze wmówić, że kawa ma głąskać podniebienie.

Miasto, wioska, nie dojdiesz, nieraz łamałem sobie zęby na tym słowie *paese*. Jak śpiewał krakowski bard, by nazwać światło, nie trzeba języka, wystarczy oczu przed nim nie zasłaniać. Mnie tu nie światło ściągnęło ani widoczki, choć ten odcinek wybrzeża od Sorrento w dół słynie z malarskiego przepychu – oraz cytryn, które rzekomo trafiają do limoncello, jakie każdy choć raz w życiu dał sobie wcisnąć na lotnisku. Ja jednak do Cetary przybyłem kierowany węchem, szukając sławnych macerowanych w soli sardeli, które w wyniku takiej metamorfozy przybierają nazwę anchois. A zwłaszcza lokalnej specjalności – zagęszczonej cieczy gromadzącej się w beczkach po takim procesie. *Colatura di Alicie*, bo srebrna, a skromna ta rybka w lokalnym narzeczu ma na imię Alicja.

Najbardziej wewnętrzny z tajemnych kręgów sekty czcicieli dobrego jedzenia poznasz po tym, że żaden zapach nas nie odstraszy. Owszem, nie ma co tworzyć iluzji, że np. nerki cięlice podczas moczenia nie wypełniają domu dość trudnym do zniesienia smrodem. Albo – żeby użyć wegańskiego przykładu – kalfior, jak się go ugotuje (a ugotować parę minut trzeba, nawet gdy młodziutki), nie zabija kuchni odorem ściery. Czy takie sardale ze słoja – ileż ja się złorzeczeń nasłuchałem, gdy jeszcze

żył pod jednym dachem z trójką niewdzięcznych subtelnych nosków: duszone na oliwie emanują przenikliwą rybią esencją, której niekoniecznie chcielibyśmy używać jako perfum. Wszystko to prawda, ale przecież serce się raduje: zapach uleci, a błołość w brzuchu zostanie na długo. Prowadząc już całkiem swoje gospodarstwo, nie muszę się teraz ograniczać. Wiedziony zaś duchem swobody smrodzenia bez granic przybyłem nabyć najbardziej esencjonalną rybną ciecz. Moc ma taką, że sprzedają ją w buteleczkach z kropłomierzem.

Nabywszy, co trzeba, resztę kolejnego dnia spędziłem już bardziej kanonicznie, kontemplując strome zbocza skał wbitych w iście łażeniowy lazur morza, gęsto nakrapiane na żółto. Wszędzie te cytryny, idąc skrajem drogi można nieraz wdepnąć w uległy owoc, który spadł, jak nie przymierzając, robaczywe jabłko ze zdziczałej jabłoni przy płocie. Tutka smażonych rybek, jak się rzekło, białe wino – a w Kampanii umieją je robić porządnie – jak pod takim niebem można źle życzyć ludzkości?

A przecież to w tych okolicach, na nieodległej Capri, stoi do dziś pomnik Lenina – przyjeżdżał tu, jeszcze przed rewolucją, do ważnych bolszewików, którzy, wylegując się miesiącami w willi wynajmowanej przez Gorkiego, knuli niewłaściwe odchylenia. Cóż to musiał być za surrealistyczny kocioł... Gorki jako autorytet duchowy, miłujący wprowadzić ruski lud, ale ceniący włoskie ciepłko, Łunaczarski i Bogdanow jako spece od politgramoty, prowadzący wykłady w partyjnej akademii pod palmą, aż wreszcie Iljicz nie zdzierzył i pogonił towarzystwo. Poszło z grubsza o to, czy trzeba czekać, aż robotnicy wyłonią

swoją awangardę umysłową, czy spokojnie wystarczy partia zbudowana przez panów inteligentów między Capri, Paryżem a Genewą.

Kłótnie w tej jaczejce nie kończyły się dobrze dla przegranych. Chociaż np. Bogdanow zaznał ledwo paru dni na Łubiance i zmarł po swoimemu. Miał skłonność do mnożenia utopii, pisał o komunizmie na Marsie i badał na sobie, czy przez transfuzję krwi można zachować wieczną młodość, zmarł po jednym z takich zabiegów, kiedy

przetoczyli mu krew gruźlika. Jest takie sławne zdjęcie z tych czasów – Lenin gra z nim w szachy i coś krzyczy... a widzieliście już na Instagramie Platformy cukierkowy obrazek Tuska i Schetyny, jak popijają mineralną i herbatkę? No ale u nas przegrany, na szczęście, dostaje w najgorszym razie nudną synekurę. Może jakiś *think tank* na Capri? ©



Dwa proste przepisy z Alicją. 1. Na patelni topimy łyżkę **masła** na osobę, dajemy po dwa **fileciki anchois** i dalej podgrzewamy na minimalnym ogniu, bardzo długo, aż się całkiem rozpuszczą, a masło troszkę zbrązowieje. Wylączamy, gotujemy **spaghetti** i prosto z garnka przerzucamy na jeszcze ciepłe masło, intensywnie mieszamy. Posypujemy na wydaniu **pieprzem** i siekaną **natką**. Proste a genialne. 2. Siekamy drobniutko garść dobrych **czarnych oliwek**, dwa-trzy **orzechy włoskie** na osobę, garść **orzeszków piniowych**, jeśli mamy, i trochę natki. Wrzucamy na oliwę na patelni, trochę podgrzewamy, przerzucamy na nią ugotowany makaron, na wydaniu spryskujemy **colaturą** – ale zamiast niej może być oliwa ze słoiczka po anchois; też ma mocny smak.

KOGO ONE WOŁAJĄ

W miejscu uderzeń o wieniec serce jest tak zbite, że mógłbym się przejrzeć w lustreczku, które w tym miejscu powstało. A gdybym był na Rusi, to przeglądałbym się w języku, bo tam bijak dzwonu tak właśnie się nazywa.

TEKST **JACEK PODSIADŁO** ZDJĘCIA DLA „TP” **FILIP KOWALKOWSKI**



O WYNIOSŁOŚCI, ZŁOŚLIWOŚCI I INNYCH TRUDNYCH CECHACH osobowościowych dzwonów przekonałem się już na początku swej drogi kampanologa, podczas inicjacyjnej „sesji” wyjazdowej, kiedy na przykład pierwszy raz zdarzyło się, że dzwon mnie gonił. A jeśli nawet nie gonił, to na pewno ja przed nim uciekałem. Ale żeby nie budować zbędnych napięć, od razu też zaznaczyć, że dzwony zawsze doceniają cierpliwość chodzącego wokół nich człowieka i w końcu ją nagradzają.

W zażyłość z dzwonami zawsze łatwo wchodzili najbardziej rasowi przedstawiciele społeczeństwa otwartego, czyli postaci z jego marginesów. W mieście byli to – i mam nadzieję, że są – różnego rodzaju „samotni w tłumie”: bezdomni nędzarze, włóczędzy, kloszardzi, odmienicy wszystkich odmian. Tryb życia miejskich nomadów, spędzanie większości czasu pod gołym niebem, zakłócone relacje z bliźnimi – powodują ich większe wyczerpanie na te aspekty życia miasta, które większości mieszkańców spowszedniały do tego stopnia, że stały się dla nich niemal niezauważalne.

Jednym z tych aspektów może być bicie dzwonów. W wigilijnej opowieści podzielonej na kwadrans zamiast na rozdziały, czyli w „Dzwonach, które dzwonią, gdy odchodzi stary rok i nadchodzi nowy”, Charles Dickens czyni ty-

*Dzwonnica Teresa Ziarnek,
Bługowo, marzec 2019 r.*

tułowe dzwony jedynymi pobratymcami londyńskiego starca na posyłki, Toby’ego Vecka. To one, niczym sygnały wysyłane przez niewidzialne siły, regulują jego życie, puste, bo wypełnione oczekiwaniem na drobne zlecenia, które nie nadchodzą. A nawet pustka łatwiejsza jest do wytrzymania, kiedy podlega regulacjom. I ponieważ Toby nie jada obiadów, chwali sobie dzwony też i za to, że powiadamiają go przynajmniej o porze obiadowej.

„Tak więc Toby – pochylony i na zgiętych kolanach, z łaseczką pod pachą – dla rozgrzewki biegał po chodniku swoim drobnym truchcikiem. A gdy rozbrzmiewał głos dzwonów, Toby tym samym drobnym truchcikiem wybiegał na jezdnię, aby zadarłszy do góry głowę spojrzeć na szczyt dzwonnicy.

Wyprawę tę odbywał kilka razy dziennie, gdyż dzwony były mu jedynymi towarzyszami. Kiedy usłyszał ich głosy, spoglądał zawsze ciekawie hen w górę, gdzie mieszkali, i zastanawiał się ciekawie, jak też puszczane są w ruch i jakie młoteczki w nie uderzają. Może jego zainteresowanie było tym żywsze, że między dzwonami a nim istniało pewne podobieństwo. Wisiały na dzwonnicy w pogodę i niepogodę, jak on wystawione na deszcze i wichry, (...) i nie dla nich były – podobnie jak nie dla Toby’ego – wszystkie te przysmaki, które subiekci ze sklepów doręczali kucharkom przez drzwi frontowe lub przez okna su teren”.

Tak to brzmi w przekładzie Krystyny Tarnowskiej. Dalej Dickens pisze o „zawilej naturze” uczuć Toby’ego Vecka względem dzwonów i, próbując je nazwać, waha się między upodobaniem a miłością. Bez wahań pisze za to o odczuwanym przez swego bohatera szacunku, a nawet uczuciu czci zmieszanej z lękiem. Im bardziej bezrobotny goniec wsłuchuje się w dźwięk dzwonów, tym wyraźniej one do niego mówią. Dźwięk ten znajduje rezonans w jego duszy i potęguje te uczucia, które aktualnie nim owładają. Jak zmieniał się w uszach Toby’ego Vecka głos dzwonów w zależności od jego stanu psychicznego?

„– Ach, Meg droga – dodał wskazując widelcem na wieżę i pod wpływem stawy wpadając w coraz większy zapał – ileż to razy słyszałem, jak wołały do mnie: »Toby, Toby, głowa do góry, Toby!« (...) Kiedy bardzo jest już ze mną kiepsko – ciągnął Toby – kiedy tak jest źle, że doprawdy gorzej być nie może, dzwony wołają: »Toby, Toby, nieza długo dostaniesz pracę, Toby! Toby, Toby, nieza długo dostaniesz pracę, Toby!«. Tak wołają, có-ruchno. (...) Dzwony nigdy mnie nie zwodzą”.

Zatem głos dzwonu wzmacnia i odpowiada echem temu, co gra człowiekowi w duszy. Kiedy nastrój człowieka się pogarsza, dzwony też zmieniają swój ton na minorowy. W opowiadaniu Dickensa zmianę taką nastroju Toby’ego spowodowała rozmowa z przedstawicielami wyższych sfer, podczas której nasłuchiwał się o faktach, cyfrach, dobrych dawnych czasach i własnym „złym urodzeniu”.

„– Jesteśmy źli, pod każdym względem źli! – rzekł Toby zaciskając dłonie. – Żli z urodzenia. Nie mamy prawa żyć na tej ziemi.

Zaledwie Toby skończył mówić, odezwały się dzwony. Głos ich brzmiał głęboko, donośnie, dźwięcznie, ale nie było w nim zwykłej nuty zachęty. Ani jednej nawet nutki.

– Głos całkiem im się zmienił! – zawołał stary Toby wsłuchany w dźwięk dzwonów. – Nie słyszę ani słowa z tego, co dawniej mówiły. A bo też z jakiej racji miałbym słyszeć? Przecież nie



→ ma dla mnie miejsca w nadchodzącym roku ani w starym roku. Och, wolałbym umrzeć!

A tymczasem dzwony wydzwaniały swoje kuranty, od których powietrze zdawało się dygotać. »Zrobić z tym porządek, zrobić z tym porządek! Dobre dawne czasy, dobre dawne czasy! Fakty i cyfry, fakty i cyfry!«.

Oczywiście w oryginale Dickens'a mowa dzwonów jest bardziej dźwięczna i rytmiczna niż jej odwzorowanie w polszczyźnie: „*Put 'em down, Put 'em down! Good old Times, Good old Times! Facts and Figures, Facts and Figures! Put 'em down, Put 'em down!*”.

Ludzie w położeniu nie tak dramatycznym, jak sytuacja dickensowskiego bohatera, skłonni byli przypisywać dzwonom wypowiedzi odpowiednio lżejszego kalibru. Na stronie internetowej parafii w Barczewku jej długoletni mieszkaniec, Ernest Ruch, dzieli się następującym wspomnieniem: „Jeden sąsiad nazywał się Langkau. Jak ufundowano w kościele dzwony – dwa, mniejszy i większy – to mówiono, że jak bije większy, to słyhać: »Langkau dał, Langkau dał...«. A mniejszy bije: »Za mało dał, za mało dał...«. W uszy rzuca się rytmiczna zbieżność mowy dzwonów w Londynie i Barczewku. Ale samo to, że człowiek chętnie wkłada dzwonom w usta konkretne słowa, że rozumie ich mowę i sam czasem z nimi rozmawia, sprawia, że podobieństwo dzwonów do ludzi i związki uczuciowe między jednym a drugim można chyba uznać za udo wodnione.

Łowcy dźwięków

Zainteresowanie dzwonami to pasja zaraźliwa. Wystarczyła pięciominutowa rozmowa telefoniczna z Marią Mitek, nauczycielką z Łobzenicy, a już i ona była kampanolożką gotową do badań terenowych, nasłuchu okolicznych dzwonów i wdrapywania się na wieże, jeśli zajdzie potrzeba. Mało tego, kiedy poruszyła temat w szkole, lekcja polskiego zamieniła się w zgodną z oczekiwaniami władz edukacyjnych lekcję patriotyzmu lokalnego, a po południu dziatwa szkolna rozbiegła się po okolicznych wioskach w poszukiwaniu dzwonów i dotyczących ich podań i legend, aby badając ich historię poznawać bogatą historię tych ziem. A wszystko po to, żebym mógł przyjechać na gotowe.

I rzeczywiście, kiedy już przyjechałem, Maria miała przygotowaną całą długą listę dzwonów w pobliskich miejscowościach. Normalnie porobiła profesjonalne tabelki z informacjami o rodzaju dzwonu, porze bicia wień, kontakcie z opiekunem itp. Wyznaczyła też role poszczególnym członkom naszego zespołu badawczego. Jej mąż Remigiusz (Maria mówi: Remi) został wcielony do zespołu w charakterze kierowcy. Z pogodną rezygnacją, wiedziony małżeńską miłością, skrętnie skrywając zdrowy rozsądek, którym obficie obdarowała go natura, będzie nas woził, gdzie sobie tylko mylnie zażyjemy. Da się przy tym zauważyć u niego pewną rezerwę, w pełni jednak zrozumiałą, jeśli się weźmie pod uwagę, że Remigiusz jest

Pan Zdzych czeka
już pod dzwonami,
w każdej dłoni trzyma
po zielonym sznurze.
Procesja wylewa się
z kościoła, żeby obejść go
dookoła. I to jest ta chwila,
kiedy dzwony wynagradzają
naszą cierpliwość,
**zwalają się nagle swoim
grzmotem na procesję.**

to przeniesiona do rezerwy, której w żadnym razie nie należy łączyć ze stanem spoczynku, osoba wojskowa.

Był ostatni dzień bożocielskiej oktawy, a więc zarazem dzień ostatniej szansy na nagranie bicia w dzwony towarzyszącego wokółkościelnym procesjom. Ze spisu Marii wybraliśmy kilka kościołów, które mieliśmy szansę obskoczyć, jeśli Remigiusz odpowiednio rozbija cylindry swej maszyny. I wtedy właśnie dzwony pokazały swój charakter.

Najpierw popędziliśmy do Sławianowa, do dzwonu całkiem niedawno, bo w 2005 r. odzyskanego z niemieckiej niewoli, a ulanego wieki temu przez jednego z moich mistrzów, Michaela Witterwera. I spóźniliśmy się, bo okazało się, że w tym szczególnym okresie pory nabożeństw, a więc i bicia w dzwony,

także są nietypowe. W drugiej miejscowości dzwonnica, starsza pani, rozchorowała się, a jej zmiennik nie dotarł do kościoła z przyczyn, jak się okazało po bliższym ich zbadaniu, głęboko ludzkich.

Niezrażeni tym pomknęliśmy w stronę Dębna, gdzie specjalnie dla nas miał zadzwonić mały, nieużywany dzwon, ale zanim tam dotarliśmy, Agnieszka, uczennica Marii, zadzwoniła, że dzwon owszem jest, ale nie ma sznura do niego. No to skręciliśmy do Tłukomów. Miotaliśmy się jak łowcy burz w licznych programach telewizyjnych o łowcach burz, tyle że my byliśmy łowcami dzwonów. Co rusz słyszeliśmy, że dzwonią, ale nigdy nie wiedzieliśmy, w którym kościele. Remigiusz w ogóle nie komentował naszych poczynąń, skupił się na prowadzeniu. Na szczęście zdążyliśmy na mszę w Tłukomach. Dzwon był gotowy do użycia, dzwonnik umówiony, sprzęt nagrywający roztawiony. W trakcie mszy, pięć minut przed wyruszeniem procesji, lunęło jak z cebra. Pięć minut, mówię, stałem blisko wyjścia, więc widziałem. I ksiądz odwołał procesję, a razem z nią dzwonienie. I choć w trzy minuty później znów wyszło słońce, decyzji swej nie zmienił, żeby nie narażać na szwank autorytetu kapłana. „Nie będzie żadnego nagrywania” – zdawały się mówić do mnie dzwony z całej okolicy.

Z wywiadu Marii i jej uczniów wynika, że w szachulcowej dzwonnicy z 1766 r. w Wysokiej znajdują się dwa małe, nieużywane dzwony, i duży, wprawiany w ruch prądem. Ale ja dzwonów napędzanych elektrycznie nie nagrywam. Taki jestem. Też mam swój charakter i w ogóle mnie nie interesuje, co ma mi do powiedzenia elektryczność. Nie będę zatem zapisywał jego dźwięku, ale przynajmniej sobie obejrzę tego wypchane tygrysa.

Mam szczęście. Trwa jakiś remont w zespole klasztornym, na placu kościelnym leżą okryte plandekami stosy nie wiadomo czego i dzwonnica też służy za tymczasową składnicę stołów, ławek i innych sprzętów, które pod gołym niebem nie byłyby bezpieczne. Piętrzą się one stertą, której szczyt niemal sięga interesującego mnie dzwonu. I wpadam na pomysł, na który może nikt przede mną nie wpadł. Asekurowany okrzykami Marii „Nie spadnij!” wspinam się po tej nieco chwiejnej konstrukcji z recorderem w rękę.



Blugowo, marzec 2019 r.

Skoro nie nagram samego dzwonu, nagram to, jak dzwon słyszy świat. Okazja jest niepowtarzalna. Nie miją pięć minut i stoję oko w oko z zabytkowym grubasem. Odczytuję napis biegnący wokół wieńca. Już jego początek porusza basową strunę w moim sercu. Znam na pamięć to wyznanie, to wspomnienie własnych narodzin, a i tak za każdym razem wrzucam się od nowa: „Płynąłem przez ogień”, „DURCH DAS FEYR ICH FLOS, SIMON KOYSKE UND JOCHIM WITARNS FROM POSEN MICH GOSSSEN ANNO 1664”.

Płynął przez ogień, którym oblali go w 1664 r. Szymon Koyski i Jochim Witarns z Poznania. Miło spotkać znajomego, Koyski (także Koysche, Koisch, a nawet Woysicke) to przedstawiciel całego giserskiego rodu Koyskich wywodzącego się z Głogowa. O Witarnsie nie słyszałem, ale zapamiętałem. Mały, zżerany przez korozję sąsiad o wyszczerbionej krawędzi nosi na sobie dający się jeszcze odczytać napis „BERLIN 1827”. Wkładam głowę do środka wielkiego dzwonu. W miejscu uderzeń o wieniec serce jest tak zbite, że mógłbym się przejrzeć w lustreczku, które w tym miejscu powstało. Człowiek przeglądający się w sercu – brzmi nieźle. A gdybym był teraz gdzieś na Rusi, to przeglądałbym się w języku, bo tam bijak dzwonu tak właśnie się nazywa.

Dźwięk wewnątrz dzwonu rzeczywiście rozlega się inaczej niż wszędzie. Trochę tak, jakbym znalazł się pod wodą, w dzwonie nurkowym. Po krótkiej chwili słyszę głośny szmer i nagle mój dzwon rusza z miejsca. Tak, zaczyna się

kołysać! A ja od pasa w górę jestem w środku. Nie przemyślałem tego dokładnie, ale chyba zakładałem, że w dzwonicy jest jakiś pstryczek-elektryczek i kiedy trzeba włączyć dzwon, odpowiednia osoba, niezawodnie odpowiedzialna, przychodzi, upewnia się, że nikogo nie ma w środku dzwonu i dopiero go startuje. Kto nie jest Marią ani Remigiuszem i nie widział, jak uciekam przed synem Szymona Koyskiego i Jochima Witarnsa, niech żałuje. Nie chodziło tylko o to, żeby dzwon mnie nie strącił z kopca zbudowanego z ław i stołów, ale też o ucieczkę na tyle szybką, żeby nie dogonił mnie jego dźwięk. Wiem już, jak potwornie potrafią boleć uszy, kiedy się stoi po dużym bijącym dzwonem i nie ma zatyczek w uszach.

Pan Zdzych odlatuje

Kościół w Blugowie, najmniejszej parafii całej bydgoskiej diecezji, stoi nad brzegiem Jeziora Sławianowskiego. Między wojnami był to już naprawdę koniec świata – środkiem podługowatego jeziora biegła polsko-niemiecka granica. Maria ma tu rodzinę i bierze ją na wspomnienia. Pamięta, że kiedy była taka malutka, że mieściła się w koszyczku na rowerze, mama przywiozła ją pod kościół, gdzie były właśnie dzwony. Prawdopodobnie przyjechały wtedy do ciotki czy raczej ciotecznej babki, która swego czasu była tu dzwonniczką. Wszystko, co Maria opowiada, opowiada tak, że chce się wierzyć. Jak w bajkę.





Dickens czyni dzwony jedynymi pobratymcami londyńskiego starca na posyłki. To one **regulują jego życie**, puste, bo wypełnione oczekiwaniem na zlecenia, które nie nadchodzą. A nawet pustka łatwiejsza jest do wytrzymania, kiedy podlega regulacjom.

→ Dzwonnica to zewnętrzna konstrukcja stalowa nie bardzo wielkiej urody. Wzniesiono ją w pośpiechu w 1975 r., kiedy w ścianach kościelnej wieży dzwonnej pojawiły się rysy grożące pęknięciami. To częsty przypadek i bardzo ciekawy z punktu widzenia psychologii dzwonów, kiedy ich własne wahania i drżenia zagrażają samym fundamentom ich istnienia, powodując rozsuwanie się słupów rozhuśtanych zrąbnie albo pęknięcie kamiennych ścian wież. Trzy obecne tu dzwony, każdy innej wielkości, trochę się nawędrowały, po II wojnie światowej zostały przeniesione na wieżę z Fanianowa i Dębna.

Jest piękna słoneczna pogoda. Po deszczu nie ma już śladu. W kościele trwa nabożeństwo, w którym nie uczestniczymy. Ja kucam nabożnie przy rejestratorze. Pan Zdzych czeka już pod dzwonami, w każdej dłoni trzyma po zielonym sznurze. Procesja wylewa się z kościoła, żeby obejść go dookoła. W sumie skromniutka, bo to ostatni dzień oktawy i już się ludzie nachodzili. I to jest ta chwila, kiedy dzwony wynagradzają naszą cierpliwość, zwalają się nagle swoim grzmotem na procesję. Panu Zdzychowi przez dłuższą chwilę udaje się utrzymywać zgodny rytm obu dzwonów w ten sposób, że oba jednocześnie osiągają maksymalne wychylenie, choć każdy w przeciwną stronę. Dzwony biją wtedy idealnie równo, a dzwonnik z Bługowa wygląda trochę, jakby biegł na nartach, taką pracę wykonuje rękami. Tylko zamiast kijków do odpychania się od ziemi ma w rękach sznury, które łączą go z niebem.

Widać, że pan Zdzych po trochu odlatuje, może dlatego, że wie, że patrzymy i nagrywamy, ale nie wykluczamy też przyczyn głęboko ludzkich. Odlatujemy razem z nim, przyjemnie tak słuchać i patrzeć. Dzwony zaczynają się rozmiącać, ich dźwięki się rozjeżdżają, a potem powoli znowu się schodzą, żeby wychylać się jednocześnie w tę samą stronę, i pan Zdzych wygląda teraz, żeby już trzymać się wybranego porównania, jak narciarz stosujący archaiczną technikę tzw. bezkroku, zatem odpychający się oboma kijkami naraz. Maria jest w siódmym niebie. Łypię z boku na Remiego i coś tak widzę po jego

oczach, że i on zaczyna rozumieć, po co mu to było, ten cały ambaras z dzwonami.

Kościół nie jest duży i obejście go dookoła nie zajmuje dużo czasu. Uczestnicy procesji znikają w środku i pan Zdzych puszcza sznury, ale dzwony przez dłuższą chwilę nie chcą się uspokoić, zwłaszcza ten większy się rozhułał, odzywa się jeszcze, kiedy podchodzimy, żeby zacząć rozmowę. Kiedy pytamy, czy czasem dzwoni się wszystkimi trzema dzwonami naraz, pan Zdzych, wiążący właśnie sznury do kątownika, jakby pętał konie, jeży się: – A co, źle było?

Post scriptum

Dowiadujemy się, że pan Zdzych jest dzwonnikiem okazjonalnym i trochę przypadkowym, ale smykałkę do sznurów może też mieć jako daleki krewny siostr Bilińskich. Zuzanna i Kazimiera Bilińskie, „osoby bezzenne”, jak ładnie je określa opowiadający nam o tym proboszcz Marek Lewandowski, były pierwszymi tutejszymi dzwonnikami po wojnie, kiedy w Bługowie pojawiły się dzwony „ukradzione” w 1946 r. z Fanianowa i Dębna.

Kazimiera, która okazuje się tą daleką ciotką zapamiętaną przez Marię z dzieciństwa, żyła dłużej i dzwoniła do samej śmierci, potem jej obowiązki przejęli wyuczeni przez nią Teresa Ziarnek z mężem Kazimierzem. Według proboszcza Kazimiera Bilińska będąca ciotką Teresy Ziarnek wyuczyła ją „wygrywać wiadomości dzwonami”, które inaczej wzywały na modlitwę, a inaczej obwieszczały śmierć czy inne wydarzenia.

Pani Teresa, po dziś dzień mieszkanka Bługowa, ciągnęła za sznury, jak długo zdrowie pozwoliło. Potem dzwony po prostu zamilkły, sporadycznie ciągnęli za nie parafianie z łapanki, aż wreszcie pojawił się pan Zdzych. I to właśnie on okazał się ostatnim w poczcie bługowskich dzwonników. Zdzisław Zdrojewski, bo do historii przechodzi się jednak odświętnie. W rok po moich nagraniach dzwony w Bługowie zostały podłączone do prądu.

© JACEK PODSIADŁO

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok.

Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: rodzina.gov.pl

Szczegółowy regulamin prenumeraty na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



STANISŁAW

Mancewicz:

Awizo



ZAISTE BARDZO NAS CIESZĄ DONIESIENIA, że Gospodarz nie chodzi na pocztę i nie odbiera listów poleconych. Raduje nas ta postawa, jest nam bowiem bliska i zbliża nas do władzy. Nie masz cwaniaka nad warszawiaka – chciałoby się pierw powiedzieć.

Rzec jednak trzeba, że i my – choć do Mazowszan nam nieźmiernie daleko, zarówno pod względem geograficznym, jak i mentalnym – mamy solidny wkład w rozwijanie metod unikania listonoszy z niewygodnymi przesyłkami. Zastanawialiśmy się przy okazji, czy tego typu nieaktywność, uprawiana przez człowieka publicznego, może mu w oczach jego fanów zaszkodzić. Otóż każdy kraj ma swą – jak wiadomo – specyfikę.

Oto, dajmy na to, we Włoszech czy we Francji człowiek na świeczniku, złapany z kochanką *in flagranti* może się nie martwić o popularność. Duch tych krain podpowiada elektoratowi, że mężczyzna aktywny w tych sprawach dowodzi swej siły, sprawności i skuteczności, które łącznie przekładają się na jego przydatność ojczyźnie. Polityk zdrow i chędogi poprawia nastrój mas i oddala podejrzenia, że mógłby ów oto być w rządzeniu niedołęgą, podjąć fatalne w skutkach decyzje bądź nie podejmować żadnych. Nie da się ukryć, że nie tylko *limes* masła i oliwy, nie tylko granica swobodnie rosnącej winorośli, nie tylko kult ziemniaka i zacieru różni nas od tych krajów, bo różni nas także widzenie i ocenianie swych przedstawicieli.

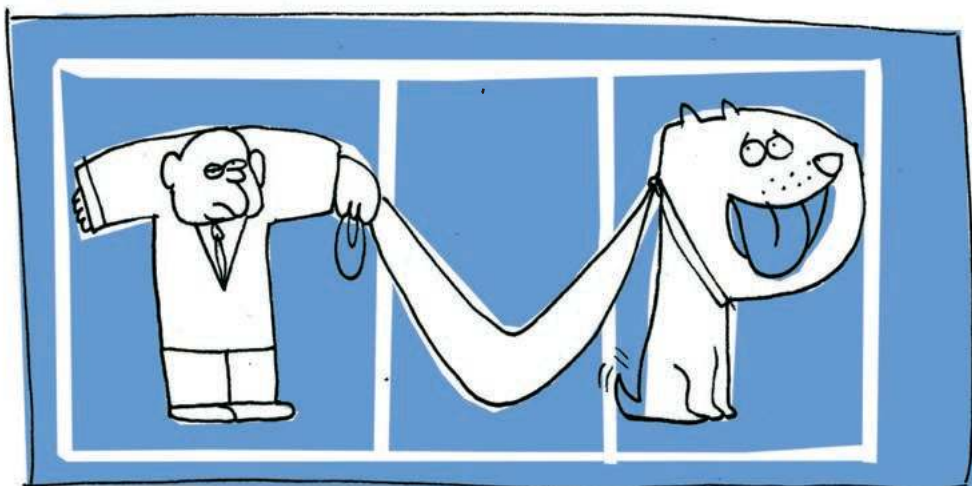
Oto popatrzmy, że wszyscy politycy nasi, którzy wykazali się pewną, bezprzesadną, ale jednak gibkością płciową, skończyli natychmiast w kotle, by nie rzec: w woku, w którym byli poddawani szybkiemu smażeniu bez tłuszczu. Zamiast francuskiego

czy włoskiego poklasku znajdowali wszędy wyrazy najgłębszego oburzenia i potępienia.

Inaczej rzecz się ma z piciem. Gdzie indziej temat ten, jeśli idzie o trzeźwość polityków, w zasadzie nie istnieje. U nas owszem, to bowiem oczywiste, że pije się tu i więcej, i częściej, i raczej do spodu, bo bez spodu napicie się nie liczy. Otóż, popatrzmy, że choć afery z pijanymi parlamentarzystami się zdarzają, to ludzi tych raczej nie spotyka los cudzołożników. Trochę się gędzi, jest nieco nadęć, telewizje pokazują jakichś leżących na dywanach ludzi, w nieładnych garniturach, tłumaczących się potem, że wzięli a to jakąś pastylkę, chlapnęli jedno piwko, pół setuchny, mieli chrzciny, że byli śpiący, a to, że musieli przemyśleć pewne sprawy państwowej wagi w pozycji horyzontalnej. Po buziach widać, że trzymają się ledwie na nogach, są pięknie spuchnięci, chrapliwi i cierpią na światłowstręt. Komuś to przeszkadza? Ma to jakieś daleko idące konsekwencje polityczne? Skądże. Naród pijący ma pijących przedstawicieli. Sprawy zatem nie ma. Słowem, szeroko pojęte obyczaje, w najszerszej ocenie społecznej, miewają różne – za przeproszeniem – odbeki. Pokładziny z kochanką nie są dobrze widziane, leżenie na podłodze w sosie własnym, po litrze czystej wyciągniętej z gwinta, uważane jest za zachowanie znakomicie swojskie, by nie rzec – kulturalne. Seks, co widzimy ostatnio bardzo ostro, w żadnej formie się w Polsce nie przyjął. Mamy tu głównie na myśli publiczne wyrażanie się na jego temat w inny sposób niż narzucony masom przez zatwardziałych kawalerów. Ktoś powie, że to dziwne. Dziwne, ale cóż poradzić. Jeśli zaś idzie o chłanie – przykład idzie i od dołu, i od góry. I tu także poradzić nic się nie da.

Na koniec, to oczywiste, musimy wrócić do nieodebranych, bezskutecznie awizowanych przesyłek. Otóż niewątpliwie Gospodarz wie, co robi, wie też, że czyn ten jest społecznie akceptowany. W kraju naszym ludzie bez względu na to, czy są trzeźwi czy są na bańce, czy są w stałym związku czy w luźnych relacjach, poleconych listów starają się nie odbierać i zawzięcie popierają także czyniących. Tak oto – mamy nadzieję – dzięki naszej niesłychanej przenikliwości dorzuciliśmy przed wyborami kolejny klocek do diagnozy politycznej, społecznej i obyczajowej naszego umiłowanego społeczeństwa. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



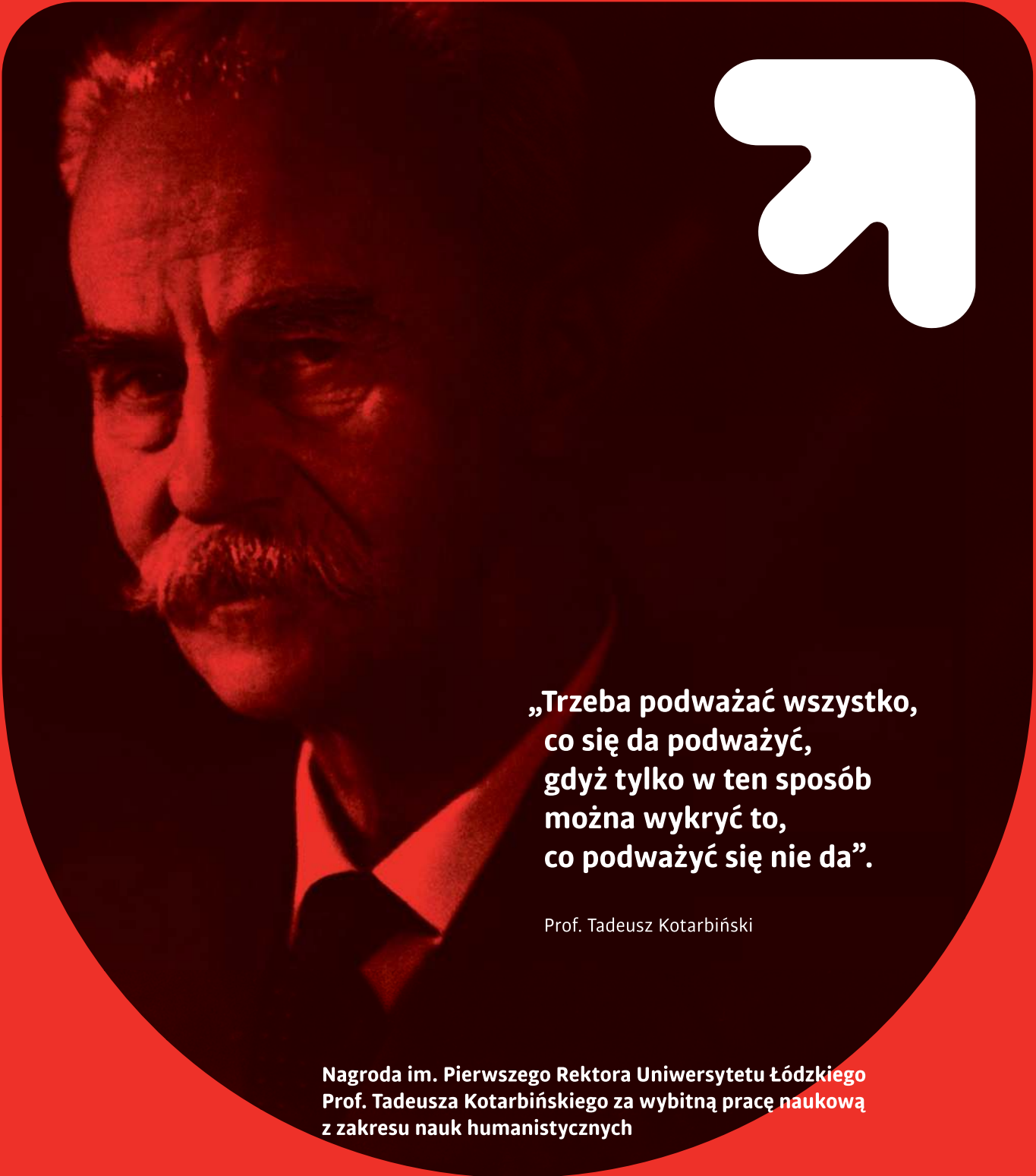
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**KSIĄŻKI
W TYGODNIKU**
magazyn literacki

14/2019

poezja te- raz





„Trzeba podważać wszystko,
co się da podważyć,
gdyż tylko w ten sposób
można wykryć to,
co podważyć się nie da”.

Prof. Tadeusz Kotarbiński

**Nagroda im. Pierwszego Rektora Uniwersytetu Łódzkiego
Prof. Tadeusza Kotarbińskiego za wybitną pracę naukową
z zakresu nauk humanistycznych**

Autor pracy uznanej za najlepszą otrzymuje **nagrodę w wysokości 50 000 zł**
V Gala wręczenia nagrody odbędzie się **24 listopada 2019 r.**
(Sala Koncertowa Filharmonii Łódzkiej)



UNIwersytet
ŁÓDZKI

Więcej informacji:



www.nagrodakotarbinskiego.uni.lodz.pl

w numerze

■ POEZJA TERAZ

4. Karolina Felberg *Życie na małych wyspach*
7. Kacper Bartczak, Katarzyna Czczot, Magdalena Kicińska, Aldona Kopkiewicz, Krzysztof Mrowcewicz *podpowiadają, do których poetów z przeszłości warto wracać*
11. Anna Kałuża, Grzegorz Jankowicz *o kondycji dzisiejszej poezji*

■ RECENZJE

16. Maciej Płaza o dramatach Weroniki Murek
18. Michał Sowiński o powieści Richarda Flanagana
20. Monika Ochędowska o książce Joanny Rudniańskiej
21. Aleksandra Wojtaszek o „Bębnach nocy” Miljenko Jergovicia
22. Katarzyna Trzeciak o opowiadaniach Lauren Groff

■ ODNALEZIONE W TŁUMACZENIU

- 24 Magda Heydel *Zamieszkać w podróży*
26. Nagroda translatorska im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego

■ RUBRYKI

28. Książki w pigułce
30. Jacek Podsiadło *Piętnaście tysięcy pęteł, czyli brachygrafia*
33. Joanna Olech *Dobre i pożyteczne*
36. Stanisław Bajtlik *Żyć w kosmosie i przetrwać*
37. Ks. Adam Boniecki *o książce „Wierchołek góry lodowej. Kościół i pedofilia”*
38. Inga Iwasiów *Jak sobie radzić*
39. Piotr Śliwiński *Margines, przyczółek*
38. Bartosz Minkiewicz

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sowiński
 Redakcja: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz,
 Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski,
 Monika Ochędowska, Michał Sowiński
 Projekt graficzny: Marek Trojanowski
 Skład: Andrzej Leśniak

OKŁADKA: Marek Zalejski / ADOBE.STOCK.COM

ZDJĘCIA AUTORÓW:
 TYMOTEUSZ LEKLER / AUTOGRAF, GRAŻYNA MAKARA x4,
 MICHAŁ NIEDZIELSKI, MICHAŁ SOWIŃSKI,
 ARCHIWUM PRYWATNE x4

WSPÓŁWYDAWCA



„Książki w Tygodniku” wydajemy we współpracy z Fundacją TP, dzięki darowiznom od Czytelników przekazanych na jej rzecz za pomocą modułu FaniPay na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

Poezja za trzy grosze

KILKA LAT TEMU ESTER BLOOM, amerykańska poetka, prozaiczka, reporterka, eseistka i redaktorka, opublikowała artykuł, w którym przekonywała, że pisanie książek, zwłaszcza książek literackich, ze szczególnym naciskiem na tomiki poezji, nie jest pracą. Kafka, Dickens, Nabokov – żeby się utrzymać, każdy z nich musiał wykonywać jakiś przyziemny zawód, a literaturą zajmował się w czasie wolnym. Powinniśmy traktować pisanie jako odskocznnię od codziennego życia, tylko wtedy będzie ono dla nas – i pisarzy, i czytelników – sferą absolutnej wolności.

ARGUMENTY BLOOM SPOTKAŁY SIĘ Z KRYTYKĄ. Wskazywano na fakt, że jej podejście otwiera drogę do rozmaitych patologii, przede wszystkim pozwala wydawcom wykorzystywać autorki i autorów, płacąc im mało lub nie płacąc w ogóle. Odwrotną stroną wolności, o której pisze Bloom, jest uzależnienie twórców od warunków, w jakich muszą tworzyć. Jeśli dzielisz swój czas między zajęcia, które nie mają ze sobą nic wspólnego, jeśli każdego dnia przechodzisz z jednej sfery do drugiej, jeśli na pisanie szukasz chwili wolnej od pozostałych zatrudnień (np. urzędowych, jak Franz Kafka, czy akademickich, jak Iris Murdoch, lub prawniczych, jak Wallace Stevens), to znaczy, że nie jesteś autonomiczny/autonomiczna. A trzeba pamiętać, że obok czynników ekonomicznych i instytucjonalnych są jeszcze inne determinanty: polityka, media, edukacja, dostęp do kultury etc.

DLACZEGO TAK RZADKO o tych uwarunkowaniach rozmawiamy, zwłaszcza w kontekście poezji? Jeśli wiersz jest dziełem, to pisanie poezji jest pracą, a do jej wykonywania potrzebne są określone warunki. Właśnie o nich postanowiliśmy opowiedzieć.

© P GRZEGORZ JANKOWICZ



ZYGMUNT JANUSZEWSKI

Życie na małych wyspach

KAROLINA FELBERG

Dzisiaj to najmłodsza poezja najakuratniej oddaje stan polskiej poezji w ogóle – kryzysu, w jakim znalazła się za sprawą gospodarki wolnorynkowej, i marginalizacji, na którą niegdyś skazała się sama wzruszeniami ramion.

Předstawiam poecie znajomego z pracy. Mężczyźni wymieniają uprzejmości.

– A ty, czym się zajmujesz?

– Jestem poetą.

Konsternacja. Spojrzenie na mnie. Wy myślą jakiś zabieg, dla podtrzymania rozmowy.

Niezliczoną ilość razy uczestniczyłam w podobnych konwersacjach i chętnie przyznam, że przytoczona wersja to wcale nie najcieńszy kaliber. „Poeta? Fajnie, ale nie pytam o hobby, tylko zawód” albo: „Tak, tak, ale ja pytam, gdzie naprawdę pracujesz” – to tylko dwa przykłady reakcji na wyznaczenie „jestem poetą”. Poetą, czyli kim? Poeta to zawód, hobby, misja czy powołanie? Jako krytyczka od lat towarzysząca poezji Bohdana Zadury (ur. 1945), Piotra Sommera (ur. 1948), Andrzeja Sosnowskiego (ur. 1959) i ich młodszych kolegów oraz koleżanek po piórze, skądinąd wiem, że poezja „nie jest strategią przetrwania, / ani sposobem na życie”, lecz z drugiej strony od dawna nie mam złudzeń, że to przede wszystkim forma (twórczego – niech będzie) czekania.

Finał symptomatyczny dla tej tradycji wiersza „Czym jest poezja” Andrzeja Sosnowskiego wprost przykazuje: „Żadnej zwłoki nie żałuj, / bo może sama zaśpiewa? Może nagle powie / jakie są ludy i wojny, jakie mozoły i rejsy, / jak sprawy stoją, a jak interesy?”. A co, jeśli nie zaśpiewa? I czy losem poety jest rzeczywiście czekanie na poezję? Na odpowiednie dla rzeczy słowa? A jeśli tak, to czy to jest aktywność, za którą winno się płacić? Ile? I jaką walutą?

Jak, gdzie i kiedy?

Wbrew pozorom rodzima poezja to poletko dynamiczne. W późnych latach 90.,

kiedy zaczynała się moja przygoda ze współczesną literaturą, prężnymi ośrodkami poetyckimi były Warszawa, Legnica, a kilka lat później – Wrocław. Kraków pozostawał w tyle, bo kojarzył się wtedy z noblistami, ewentualnie pretendentami do tego tytułu. Dzisiaj niegdyś liderzy w zasadzie już nic nie znaczą – swój moment miały Poznań i Śląsk, potem Łódź oraz Toruń, a obecnie najsilniej błyszczy... Kraków. To tam przeży się, koci i pokazuje pazury najmłodsza poezja polska. I nie Nobla to wcale zasługa, tylko dziarskiego grona młodopoezyjnego. To sytuacja nowa i wcale nie oczywista.

W przeciwieństwie do aktywności cyfrowej, której polscy poeci oddają się masowo co najmniej od dwóch dekad. Początkowo jednak była to grupa zapaleńców za fascynowanych nowymi technologiami i możliwością tworzenia przy ich pomocy nowych gatunków literackich – poezji cyfrowej (cyberpoezji). I choć nurt ten pozostał niszowy, nie oznacza to wcale wycofania się poetów ze świata cyfrowego – przeciwnie. W ostatnich latach wielu zaczęło używać mediów społecznościowych do działań *stricte* autopromocyjnych. Część z nich czyni to wprost, część uprawia rozmaite gry i zabawy towarzyskie. Powieściopisarz oraz poeta Jacek Dehnel (ur. 1980) prowadzi na Facebooku coś na kształt dziennika opinii na tematy zasadnicze (równość, wolność, emancypacja), a Justyna Bargielska (ur. 1977), jedna z ikon *selfie* feminizmu, używa mediów społecznościowych do referowania różnicy z codziennością, choć nie stroni również od zdań nieco bardziej angażujących.

Jeśli lata 90. upłynęły pod znakiem poezji referującej przede wszystkim wielkie bolączki i małe doniosłości dnia codziennego (perspektywa szersza, metafizyczna

czy historiozoficzna – poza paroma wyjątkami – nie wydawała się wówczas specjalnie interesująca), to współczesna *praxis* idzie znacznie dalej. Poetki i poeci epatują nas swoją prywatnością już nie tylko przez słowo poetyckie, lecz również poprzez obrazy. Udostępniają więc swoje wizerunki i zdjęcia bliskich (w tym dzieci), a także wnętrza szaf, sypialni i mieszkania. Co z tego mają prócz lajków? Mniej lub bardziej realną, nieodmiennie zaś angażującą obie strony więź z czytelnikami.

Mądry Polak po szkodzie

„Napisałibyśmy wiersze / pełne niezłych idei / lub jakichkolwiek. / Ale, drogi Julianie, / żadna nie stoi za oknem. / Tak, za oknem ni chuja idei” – deklarowało onegdaj trzech (młodych i gniewnych) Marcinów (Baran, Sendek, Świetlicki – roczniki 60.). Dla jasności – wcale nie oni pierwsi w historii literatury zapragnęli zdjąć z poezji wszelkie powinności i posłannictwa. Potem przez całe lata starczał im „tyci pokój”, w którym uprawiali poetyckie chałupnictwo z tego, co akurat mieli pod ręką – z bólu zęba, z własnych pragnień oraz niespełnień, a czasem także z resentymentu. Co ciekawe, w tym ewidentnym, zdawałoby się, ograniczeniu upatrywali źródło osobistej wolności. „Patrzę w oko smoka / i wzruszam ramionami” – deklarował Świetlicki, ustawiając się w kontrze do „poezji niewolników” karmiącej się ideami i ideologiami.

Lecz jeśli poezja z natury swej nie jest wcale „interwencją” ani „strategią”, to jej siła nie powinna słabnąć nigdy, nawet w czasach, kiedy potężny smok karleje do pozornej przyjaźni jaszczurki. Praktyka życiowa pokazuje jednak, że jest zgoła inaczej. Wolny rynek i demokracja liberalna,



Marcin Świetlicki z zespołem Świetliki w warszawskim klubie Proxima, listopad 1997 r.

choć naturalnie nie są krwiozerczymi reżimami, na wzruszenia ramion poety odpowiadają tym samym: bezwzględny *désintéressement*. O ile w latach 90. poeci czasu przełomu nierzadko bywali beneficjentami ogólnej *prosperity*, etat publicysty kulturalnego czy wykładowcy uniwersyteckiego mogli zatem traktować jako alternatywę lub nawet ostateczność, o tyle w dekadzie następnej umowa na czas nieokreślony stała się przywilejem dostępnym tylko nielicznym twórcom. W pierwszych dekadach XXI wieku stopniowa, acz nieuchronna prekaryzacja zawodów artystycznych stała się bowiem faktem. Prawdę mówiąc, wśród poetów z roczników 50. i 60. jako tako radzą sobie w rzeczywistości późnego kapitalizmu tylko ci, których zatrudniają na umowę o pracę uczelnie wyższe. Reszta zależna jest od stypendiów, grantów, nagród oraz... mał-

żonków. Dość kłopotliwa to sytuacja, bo zdecydowana większość twórców tego pokolenia to mężczyźni. Dopiero w rocznikach 70. pojawi się bardzo silna (i liczna!) reprezentacja kobiet.

Kolejnym skutkiem obopólnego *désintéressement* jest postępujący kryzys na rynku wydawniczym. Owszem, funkcjonuje ciągle jeszcze kilka oficyn zorientowanych na wydawanie najnowszej poezji polskiej (choćby WBPiCAK, Biuro Literackie, a5, Instytut Mikołowski), ale coraz częściej nawet uznany i nagradzany twórca, prócz książki, musi ze sobą przynieść środki na jej wydanie. Zaprzyżniony ze mną wydawca postanowił pozostać w pełni niezależny wobec wszelkich dotacji, dlatego też zupełnie zrezygnował z wydawania poezji.

Z tego wszystkiego wynika niezbicie, że wzruszający ramionami poeta – mimo

wszystko – potrzebuje prężnie działającego rynku wydawniczego i silnych oraz stabilnych instytucji kulturalnych. Pozostaje jednak pytanie, czy współcześnie ktoś potrzebuje jeszcze poety?

W czerwcu 2017 r. profesor Ewa Łętowska wygłosiła wykład „Konstytucja i poezja”, który rozpoczęła od przytoczenia frazy „Niczego o nas nie ma w Konstytucji” z wiersza „Pod wulkanem” Marcina Świetlickiego. Słuchałam tego wywodu z zaciekawieniem, momentami nawet – z niekłamany wzruszeniem. Do czasu. W pewnym momencie obecni na sali politycy przejęli mikrofon, by potwierdzić, że również i w ich opinii istnieje niezbywalny związek między poezją a wolnością, demokracją i praworządnością. Ze zdumieniem słuchałam wypowiedzi Leszka Balcerowicza na ten temat, bo jakoś nie mogłam sobie przypomnieć, by wcześniej →

→ ujmował się za poetami i artystami – by uznawał ich niezbywalność i deklarował konkretne rozwiązania systemowe czy choćby realną dlań pomoc. Jeśli mnie pamięć nie myli, w dyskursie liberałów dobry poeta to nieodmiennie głodny i nie-szczęśliwy poeta (patrz: Norwid). Tymczasem jak trwoga, to do...

Co ciekawe, wywołany przez Łętowską Świetlicki „stał do apelu” i na początku 2018 r. zameldował się z autorskim wyborem wierszy zatytułowanym „Polska (wiązanka pieśni patriotycznych)”. W książeczce tej zreferował fenomen „drobnej zmiany”, która sprawiła, że nasz naród uległ trwałym podziałom, a państwo rozpadło się na „miliard Polsk”.

Nawiasem mówiąc, chwilę później z podobną w tonie książką poetycką „Po szkodzie” wystąpił Bohdan Zadura. I jeśli w wierszu „Demokracja” z opublikowanego w 2016 r. tomu „Już otwarte” Zadura otwarcie krytykował proces wyborczy („wybierzcie swoich / przedstawicieli / a oni / już was / urządzi”), to teraz, w tytułowym wierszu „Po szkodzie”, gorzko skonstatował: „to już chyba lepiej / byłoby / nie wybierać / żadnego”.

Co łączy książki obu poetów? Twórców, przypomnijmy, przez lata na widok smoka „wzruszających ramionami”? Nie-wczesność. Bo jak mawia przysłowie, mądry Polak po szkodzie...

Multimedialność prekariuszy

Roczniki 70. i 80. od lat przeprowadzały szturm na salony poetyckie z pozycji *stricte* ideologicznych. Widząc bowiem, że poeci starsi opuszczają gardę w tematach zasadniczych, ich przedstawiciele dążyli przede wszystkim do zatrzymania postępującej prekaryzacji zawodu (*sic!*) poety oraz wprowadzenia praktyk zgodnych z polityką równościową (parytety). Ujmując tę sprawę z grubsza, Szczepan Kopyt odnosił się do marksizmu, Kira Pietrek referowała opresję i wykluczenia, jakim podlega pracownica korporacji, a Konrad Góra proponował dyskurs anarchistyczno-antysystemowy. Przy czym lwia część ich rówieśników nie włączyła się wcale w ich lewacko-kontrkulturową rewolucję. Sporo poetów z roczników 70. i 80. zajęło skrzydło konserwatywne (co ciekawe, akurat ci autorzy całkiem dobrze radzili sobie w tym, jakże przecież niedofinansowanym, sektorze – patrz: Tadeusz Dąbrowski), a *gros* poetek (ale nie tylko) podjęło rękawiczkę krytyki ekolo-

■ Wolny rynek i demokracja liberalna, choć naturalnie nie są krwiożerczymi reżimami, na wzruszenia ramion poety odpowiadają tym samym: bezwzględny *désintéressement*.

gicznej i feministycznej (Ilona Witkowska, Julia Szychowiak), zorientowanej jednakowoż nie wyłącznie na kobietę, ale przede wszystkim na matkę i dziecko (Joanna Mueller, Justyna Bargielska, Julia Fiedorczuk). Jeszcze bardziej rzecz upraszczając, można przyjąć, że poeci debiutujący na przełomie XX i XXI wieku nie wzruszają już ramionami, ale przeciwnie – pełni zaangażowania i uzbrojeni we własne racje, opinie, dyskursy – dążą do konfrontacji. Działają. Przy czym pokolenie to, choć powszechnie krytykuje zastane warunki, zasadniczo potrafi włączyć się i wykorzystać – ewentualne – szanse czy sposobności. Znamienne, że większość wymienionych przeze mnie poetek średniego pokolenia odnajduje się zarówno w poezji, jak i w prozie (Bargielska, Barbara Klicka), eseistyce (Mueller, Fiedorczuk), literaturze dziecięcej (Mueller, Bargielska) i młodzieżowej (Agnieszka Wolny-Hamkało) oraz w dramacie (Wolny-Hamkało, Klicka). Większość z wymienionych pań nie posiada umowy o pracę, a przy tym łączy aktywność artystyczno-kulturalną z wychowywaniem dzieci. Część z nich angażuje się również politycznie, a przynajmniej – społecznie i środowiskowo.

Instytucje w odwrocie

W 2004 r. w Krakowie powstał Instytut Książki, który stanowi instytucję narodową, powołaną w celu popularyzacji książek i czytelnictwa oraz promocji języka polskiego i literatury polskiej na świecie. Poeci rozmaicie wypowiadają się na temat tej instytucji – jedni uważają, że bez jej pomocy ich wiersze nie zostałyby przetłumaczone na języki obce i wypromowane w innych krajach, inni zysmają się, że placówka promuje „swoich” (w zależności, rzecz jasna, od tego, kto nią wła-

śnie dowodzi). Mnie najbardziej interesują informacje o nowościach wydawniczych. Wchodzę zatem w odpowiednią zakładkę, klikam w pierw „Literatura”, potem „Poezja” – i wreszcie wszystko staje się jasne. Bo jeśli wierzyć prowadzonej przez IK stronie, w bieżącym roku nie ukazała się jeszcze ani jedna książka poetycka, zaś w 2018 wyszło ich... 11. Brnę dalej – wszak Instytut Książki wydaje na zlecenie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego kilka czasopism kulturalnych, z czego trzy tytuły publikują polską poezję współczesną („Akcent”, „Odra”, „Twórczość”), z kolei w „Nowych Książkach” znaleźć można omówienia poetyckich nowości wydawniczych. Także i tu święte prawo selekcji zwycięża nad kryterium reprezentatywności. Poeci obecni w jednym medium są ignorowani przez pozostałe tytuły. Sytuacja ta nie jest wcale *novum*. Katarzyna Janowska opublikowała w „Polityce” w 2005 r. miniprzewodnik po polskiej poezji współczesnej, który zatytułowała „Federacja niepodległych nisz”. Tak bowiem właśnie, jako swoiste „życie na wyspach”, wygląda świat kultury w tym kraju, w którym „Poetów przeklętych / wyparli żołnierze wyklęci / Patriotyczną młodzież / patriotyczna odzież” (Bohdan Zadura, wiersz „Postęp” z tomu „Po szkodzie”).

800 tomików wierszy

Jak jest w takim razie naprawdę? „W 2000 roku wydano w Polsce 800 tomików wierszy. A ile liryków krąży w Internecie, ile tomów wydały osiedlowe kluby lub domy kultury, ile wierszy wykrzyczeli młodzi poeci na Slam-Poetry? Tego nikt nie jest w stanie zliczyć” – referowała Janowska.

Współcześnie ukazuje się średnio 200 książek poetyckich rocznie (wydanych po raz pierwszy), z czego mniej więcej jedna czwarta to debiuty. Poza tym wychodzą także tomy wierszy zebranych lub też wybranych danego poety oraz antologie. Jeśli chodzi o te ostatnie, warto odnotować „Solistki” i „Warkoczami”, czyli zbiory poezji kobiet. Z kolei hitami zeszłego sezonu okazały się „Zawrót głowy. Antologia polskich wierszy filmowych” Darka Foksa oraz „Znowu pragnę ciemnej miłości” Joanny Lech. Ten drugi tytuł, reklamowany zresztą jako „poetycka podróż po światach, które mieszczą się pod powiekami i w uścisku dwójki zakochanych w sobie ludzi”, opublikowany został przez

W.A.B. – firmę wydawniczą niespecjalizującą się dotąd w wydawaniu poezji, posiadającą za to prężny dział reklamy. W rezultacie o antologii Lech, która, nawiasem mówiąc, trafiła na empikowe półki w całym kraju, mówiono wiele i nie zawsze sprawiedliwie, zaś kapitalnej antologii Foksa nie przeoczyli tylko najuważniejsi, bo sposób jej dystrybuowana, delikatnie mówiąc, pozostawiał wiele do życzenia. I tak to zwykle jest z poezją w Polsce.

Od selfie-feminizmu do infantylizmu

Ostatnią część dedykuję, posiłkując się słowami z poematu „[beep] generation” Tomasza Bąka (ur. 1991), „wszystkim znajomym / stojącym przed dylematem: / smażyć frytki czy pisać doktorat”. Obecnie najmłodsza polska poezja najakuratniej oddaje stan poezji polskiej w ogóle – kryzysu, w jakim znalazła się za sprawą gospodarki wolnorynkowej i marginalizacji, na którą niegdyś skazała się sama (wzruszając ramionami). Znamienne, że ubrania z sieciówek, które dla pokolenia przełomu 1989 roku były przedmiotem pożądania, a dla roczników 70. i 80. środkiem do estetyzacji własnej biografii (*selfie-feminizm*), w tomie „lalka bellmera” Anny Fiałkowskiej (ur. 1994) są już tylko znakiem wszechobecnej opresji. Bohaterka Fiałkowskiej raz czuje się jak towar, innym razem – zachłannie konsumuje, lecz oba te stany nie przynoszą jej żadnej ulgi. Być tu i teraz – współcześnie, to tkwić w przestrzeni nierozstrzygalności, nieoczywistości, pomieszkania dyskursów, wojny informacyjnej, niepewności wynikającej z nieweryfikowalności tego, co jest – i generalnej impotencji. „Smażyć frytki czy pisać doktorat?” – kto nie zaznał piekła niedojrzałości, ten nie był poetą ni razu. ©

KAROLINA FELBERG (ur. 1981) jest doktorem nauk humanistycznych, historyczką literatury, krytyczką literacką, publicystką kulturalną i redaktorką. Pracuje w Agencji Kreacji Teatru Telewizyj. Współpracuje z „Tygodnikiem Kulturalnym” w TVP Kultura oraz Zespołem do Badań nad Literaturą i Kulturą Późnej Nowoczesności przy IBL PAN.

MUZEUM LITERATURY / EAST NEWS



Zuzanna Ginczanka, kwiecień 1938 r.

Powroty

Wiersze są żywe, o ile wciąż je czytamy, stale z nimi dyskutujemy, robimy z nich nowy użytek. Poprosiliśmy poetki i poetów, krytyczki i krytyków, by powiedzieli nam, jakie poetyckie języki z przeszłości wpuścić w przestrzeń dzisiejszej komunikacji.

**Zuzanna Ginczanka:
Nie otaguje jej nikt**

Nie upilnuje mnie nikt / Grzech z zamachu i nietoperzy” – pisała w „Zdradzie”. Zamach – miękkość tego słowa, przy którego wypowiedzianiu usta wydają z siebie wężowy dźwięk. Zmysłowy, organiczny, przedwieczny; ani kobiecy, ani męski, ani polski, ani żydowski, ani z ciała, ani z ducha. Delikatne: „szzzzz...”, jak wtedy, kiedy chcemy kogoś uciszyć. Miękko, ale stanowczo zarazem. Uwolnić się od zgłębku, odrzucić na bok jednym ruchem to, co dookoła, i zanurzyć się w wyobrażonym.

Tak, czasem wystarczy jedno słowo, żeby odnaleźć swój rytm w tym, co zapisane przez kogoś innego. Usłyszeć go i za nim podążyć. Bardziej to intuicyjne niż racjonalne. I może dlatego tak trudne do zdefiniowania.

Jej poezja, dzięki wysiłkom nielicznych, ale zdeterminowanych – jak Izolda Kiec czy Agata Araszkiewicz – jest dostępna, a powtarzana od wielu lat fraza o „odkrywaniu zapomnianej poetki” nareszcie stała się nieaktualna. Zuzanna Ginczanka istnieje pomiędzy innymi poetkami i poetkami, nie trzeba jej przywracać świata. Bo brzmienie jej wierszy – te „poważne” zaczęła pisać w Równem jako nastolatka, →

→ zginęła w 1944 r. w Krakowie, na trzy lata przed trzydziestymi urodzinami – nadal uderza łatwością, z jaką można się z nimi zgrać. Niezależnie od tego, kiedy powstały i z czym wychodzi się im na spotkanie, czytelniczka lub czytelnik znajdzie w nich tajemnicę. I własny do niej klucz.

Nie jest tych tekstów wiele – w jedynym wydanym za życia, w 1936 r., tomie poetyckim „O centaurach” zaledwie 17, reszta zachowała się w cudem ocalałych rękopisach i przedwojennej prasie. Zarazem jednak bogactwo: Ginczanka pisała tak, że z wersów powstawały misterne konstrukcje, podobne wzorom malowanym na bliskowschodniej ceramice, gdzie zwierzęce przeplata się z tym, co człowiecze, a całość przemienia się w dzikość, zasyś. W języku nie bierze zakładników: słowa ogląda uważnie niczym szlachetny kamień, po czym podrzuca je, zongluje, przetwarza, nadpisując nowe znaczenia. Treść nabrzmiewa intensywnością jak zieleń w ogrodzie po majowym deszczu. Bliskość natury, tworzenie z nią jedności jest, a na pewno może być jednym z tych kluczy, po przekręceniu których otwierają się interpretacje. Sama je zresztą sugeruje, podsuwa przed oczy: „Nie jestem niczem innym, jak mądrą odmianą zwierząt / i niczem innym nie jestem jak czujną odmianą ludzi” („Deklaracja”).

Ale w jej wierszach jest więcej: bo i zachłanność, niepohamowany głód obcowania ze światem, przesuwanie granicy tego, co nieznane, ale nie krok po kroku, tylko susami, stale myląc tropy. Jest odwaga mierzenia się ze zbyt ciasno postawionymi ścianami, w których przyszło żyć. Potrzeba, by się w nich rozpychać łokciami, ukruszyć wpierw, żeby móc potem gwałtownie rozbić. Jest wreszcie i stałe, poszukujące dla siebie nowych form wybijanie się na niepodległość, raz po raz, z młodości w dojrzałość, z niewinności w namietność, ze skrzeku w pojedynczy głos. Dzisiaj, w otągowanym szczelnie świecie, tym bardziej wydaje się on wyraźnie rozbrzmiewać. © MAGDALENA KICIŃSKA

Adam Mickiewicz: Literatura dla kucharek

Walter Benjamin narzekał, że historia literatury zamiast badać „geologiczną strukturę książkowych Alp”, zadawała się „widokiem samych szczytów”. Zafascynowany pojęciem „litera-

tury dla kucharek”, przekonywał, że to właśnie klasa społeczna, do jakiej należą czytelniczki, jest kategorią dużo ciekawszą poznawczo niż utarte sądy estetyczne. Oczywiście historia literatury od czasów Benjamina bardzo się zmieniła. Pod wpływem teorii feministycznej czy postkolonialnej zaczęła nie tylko uważnie przyglądać się tekstom funkcjonującym dotąd na marginesie, ale również podejrzliwie traktować kryteria, które zdecydowały o ich nieobecności w literackim kanonie.

Mnie samej bliska jest idea historii literatury kwestionującej kanon. Dlatego więc uważam, że warto dziś czytać „Ballady i romanse” Mickiewicza, należące do najczęściej cytowanych tekstów, uważane za szczytowe (!) osiągnięcie polskiego romantyzmu? Dlatego że, stanowiąc dziś wierzchołek książkowych gór, mogą nam powiedzieć coś ważnego o ich „geologicznej strukturze”. Do tego jednak konieczne jest przyjrzenie się im tak, jak proponuje Benjamin – czyli koncentrując się na pożytku z pogrupowania tekstów literackich według klas społecznych, z których wiodą się ich odbiorcy. Dziś Mickiewicza czytają uczniowie szkół podstawowych i średnich? A kto czytał jego debiutancki tom, gdy ten się ukazał?

Dużo częściej mówi się, kto go czytać nie chciał. Mnie samej w szkole wbijano przede wszystkim do głowy historię o niezrozumieniu, z jakim spotkały się poezje Mickiewicza w literackich salonach Warszawy. Gdyby ktoś mnie wtedy zapytał o wczesną recepcję „Ballad i romansów”, odpowiedziałabym pewnie, że docenili je jedynie bliscy przyjaciele poety z filomackiego kręgu, a i tu nie obyło się bez głosów krytycznych. Kiedy po latach przeczytałam, jakim powodzeniem cieszył się ten tom wśród dworskiej służby, jedynego odłamu ludu, który umiał czytać, byłam bardzo zaskoczona. I uświadomiło mi to, jak fałszywie w gruncie rzeczy rozumie się często ludowość „Ballad”. Ujmowana przede wszystkim w terminach poetyki, kojarzy się raczej z nowatorskim zabiegiem językowym, wyszukaną grą literacką, gestem genialnego prekursora, a nie sposobem, by uczynić tekst przystępnym i zrozumiałym dla niewykształconych odbiorców. Nie chcę przez to powiedzieć, że Mickiewiczowskie ballady nie są nowatorskie i wyszukane literacko. Raczej – że dziś warto je czytać również z innych po-

wodów, że ich wielką wartość odkryjemy dostrzegając w nich to, czym w istocie były, gdy zostały wydane po raz pierwszy – a mianowicie „literaturą dla kucharek”.

Na takiej lekturze można naprawdę wiele zyskać. Bo – po pierwsze – pozwala ona ich językowe nowatorstwo zdefiniować nie tylko poprzez negację – w odniesieniu do reguł klasycystycznej poetyki. Po drugie, można zobaczyć jak na dłoni mechanizmy funkcjonowania kanonu nieodłącznie związane go ze społeczną (a nie wyłącznie estetyczną) hierarchią. I po trzecie – by zatrzymać się na najbardziej oczywistych korzyściach – można odnaleźć w nich ślady codziennego życia tych klas, których historie zostały wymazane z dominującej narracji o przeszłości.

Wiemy mniej więcej, co mogło w nawiązaniach do folkloru pociągać (bądź odrzucać) czytelnika z klas wyższych, dla którego miał on powab czegoś nieznanego. Ale co w historii „Świtezianki” mogło zauroczyć chłopkę, która o rusałkach, południcach i dziwożonach słyszy od dziecka? Nie dowiemy się tego już nigdy, to prawda.

Ale spekulacje na ten temat mogą okazać się bardzo ożywcze. W ludowych podaniach Mickiewicza wyraźnie interesuje topos walki Dawida z Goliatem; historii, w której słaby zwycięża silnego na skutek przypadku czy ingerencji sił wyższych. Kobiety i dzieci z obłożonego miasta znajdują schronienie pod wodą; uwiedziona i porzucona przez paniczka chłopka mści się na dawnym kochanku, zamieniając go w głaz; zbójca podczas napadu rzuca broń, roztkliwiony widokiem dzieci. To historie cudownego ocalenia, które od zawsze opowiadali sobie uciśnieni. Jest bardzo prawdopodobne, że opowiadały je sobie również litewskie służące. W ich wersji historie te przepadły, ale może ta Mickiewiczowska – skoro tak bardzo przypadła im do gustu – nosi do nich pewne podobieństwo?

Chłopskie korzenie polskiego społeczeństwa to kłopotliwa część naszego dziedzictwa. To wciąż szlachecki dworek znajduje się w centrum zbiorowej wyobraźni, choć wiadomo przecież, że przodkowie większości z nas w czasach Mickiewicza mieszkali w wiejskich chatach. Nie bójmy się czytać „Ballad i romansów” jako „literatury dla kucharek”. Zawiera się w nich wspólna historia dzisiejszych chłopek i tych, którzy wywędrowali ze wsi do miast, odebrali wykształcenie i przeszli

drogę społecznego awansu. To nasza historycznoliteracka geologia i wspólna genealogia.

© KATARZYNA CZECZOT

Tadeusz Różewicz: Powroty

Powiedzmy, że poezja to subkultura pozostająca w wielowątkowej relacji z kulturą podstawową, produkowaną przez wspólnotę językową. Relacja jest niesymetryczna. Poezja nie istnieje bez kultury oficjalnej, oficjalna kultura może zaś brać z poezji, co jej się podoba, ale może też się od niej dystansować, odżegnywać, może – lub przynajmniej tak jej się wydaje – głuchnąć na niektóre jej głosy, wypierać je.

Wracam do Różewicza, ponieważ staje się on dziś, jakże zaskakująco, poetą aktywnie wypieranym przez naszą kulturę. Oczywiście, ludzie zajmujący się poezją pamiętają o nim, młodzi poeci czytają go, wydawane są świetne opracowania i wybory jego wierszy, pojawiają się bloki redaktorskie w prasie międzynarodowej. Mimo to twierdzą, że w obrębie zasadniczego obiegu kulturowego w Polsce trwają procesy, dla których Różewiczowski system metabolizowania idei, emocji i pamięci staje się elementem niewygodnym, obcym ciałem. W zarządzaniu rzeczywistością, które polega na mnożeniu pomników, gestów i chwil uświęconych, a także symbolizacji głoszonych mocnym głosem z podwyższonych mównic, których moralność sprowadza się do wytykania winnych palcami, Różewiczowski system przetwarzania myśli i czucia może być tylko przeszkodą.

Zdjęcie wychwycone z Facebooka. Grupa młodych ludzi pod pomnikiem Pękniętego Serca na terenie byłego obozu koncentracyjnego dla dzieci w Łodzi. Najwyraźniej chodziło o wycieczkę pogładową połączoną ze złożeniem kwiatów, zapaleniem zniczy. Rzuca się w oczy twarz przewodniczki, na której maluje się uśmiech. Ma to być uśmiech jak najbardziej „na miejscu”, refleksyjny, ślący sygnał otuchy, kojący ranę. To uśmiech, który ma przywracać układ odniesienia.

Nie potrafię wytłumaczyć, czemu ten uśmiech jest dla mnie gestem głęboko chybionym. Po co się sfotografowali? Dlaczego zamieścili to zdjęcie na Facebooku? Skąd ten spokój i samozadowolenie? Czy nie jest tak, że sama nazwa miejsca anuluje wszelki układ odniesienia, ogalaca

z wszelkiej znaczącej mimiki? Czy stwierdzenie, że obóz był niemiecki, nie polski, coś zmienia? Gdybym rozmawiał z instruktorką, poprosiłbym ją, żeby wróciła do Różewicza.

Pisanie wierszy po Zagładzie, a więc, jak wiemy, zadanie niemożliwe, jest u Różewicza ustawicznym przekonywaniem się, że wojna powiedziała nam coś o nas, o naszej zwyczajności, czego nijak nie da się sfotografować, dotknąć, przetworzyć, sprowadzić do kwestii narodu, ale czego też nie da się usunąć. Wiersze Różewicza odsłaniają zasadniczą usterkę w zwyczajnej kondycji ogólnoludzkiej. Jako medium są na antypodach fotki na Facebooku – są zmaterializowaną pomyłką technologii zapisu. Nieporadne, koślawe, niepiękne – są takim przeżyciem historii, które unieważnia wyjaśnienia, a wytykanie palcami czyni śmiesznym. Są relacją niemożliwą. Po ich lekturze myśl o poczuciu dobrze spełnionego obowiązku moralnego jest niedorzeczna.

Wiersze te są tyleż wypierane, co niezbywalne. Linijka po linijce przypominają, że współautorem zakodowanej w nas katastrofy, tej, którą ujawniła wojna, i która trwa, jest każdy z nas.

© KACPER BARTCZAK

Mikołaj Sęp Szarzyński: Wszystko jest poezją

Już samo nazwisko jest poezją. Sęp Szarzyński. Sęp – ptak śmierci, posępny i zaszepiony; Szarzyński – szarzynna i nędza życia, szarość melancholii, świat oglądany przez zadymione szkło. Gadający, skrzeczący człowiek-ptak.

Jak w błysku intuicji Jana Lebnsteina, naiwnego niczym dziecko, dojrzałego dojrzałością starego mistrza, ilustratora „Rytmów”. Sęp według Lebnsteina: owalny kartusz, po lewej Miłość, po prawej Śmierć, pośrodku Coś – ni to człowiek z ptasim dziobem ubrany w niekształtną rogatywkę, ni to wąsaty ptak z monstrualnym grzebieniem na głowie. Coś, w czym ludzkość zмага się z ptasiością, a to zmaganie przytłacza i boli. Coś o pustym, martwym oku, nie oku, ale dziurze powielającej otwór dzioba, nie dziurze, ale pustce, za którą nic nie ma, nie pustce, ale twardej kości, zamykającej owalną płycinę, z której to Coś się wyłania.

Czy ten rysunek to epitafium? Prawdziwe życie jest przecież gdzie indziej –

w Anielicy o krągłym ramieniu i modnej niegdyś fryzurze, w zafrasowanej Śmierci, gładzącej łysy czerep. Po lewej ciało, skrzydło, ptak – po prawej kość i śmierć. I te łapy monstrualne, i te balety palców, co przebiegają, tańczą, wskazują. Ta nastroszona skrzydłem Miłość, co akrobatycznie wskazuje, ta Miłość, co ma wszystko w małym palcu, a my wokół niego bezradnie owinięci; ta Śmierć, z wirującym kręgosłupem, co nic nie robi, bo nic robić nie musi – czeka.

Czy wyrachowana, zimna poezja Mikołaja Sępa Szarzyńskiego jest dziś martwa, podobnie jak jej autor, którego istnienie jeszcze do niedawna było problematyczne, niepewne i bez śladu? Teraz ten ślad już istnieje. Odnaleziono bowiem książkę, która należała do poety. Odnaleziono listy, które zapisał, skomplikowaną plecionkę dziwnej winiety pracownicę przez niego wyrysowaną.

Odpowiedź na to pytanie wcale nie jest prosta. Sęp pisze o tym, o czym staramy się za wszelką cenę zapomnieć. O przemianach i śmierci, o Bogu i pustce, o miłości, która nie jest – choć mogłaby być – rozkoszą. O miłości skazanej na niepewność i samotność, bo nigdy nie przenikniemy tego, kogo kochamy. To paradoks mistyka, co szuka Boga w sobie, to paradoks Narcyza, który w oczach kochanej widzi tylko samego siebie: „Usechł z tesknice potem jego ciało / kwiatem się stało”.

Ale choć staramy się zapomnieć, to przecież każdego z nas spotka wcześniej czy później jakieś cierpienie: miłość, która przyszła nie w porę i nie mogła się spełnić, śmierć bliskich, udręki starości, świadomość zbliżającego się końca. Każdy z nas będzie w końcu Tristanem, Hamletem, Felicytą o prostym sercu, królem Learem.

Wielką siłą Sępowej poezji jest intelektualny chłód. O tym, co boli i napawa lękiem, poeta pisze twardo i rzeczowo. Nie histeryzuje, nie rozpacza, nie oburza się. W precyzyjnym, logicznym wywodzie zderza tylko ze sobą pojęcia: rozkosz, śmierć, Bóg, grzech, czas, wieczność, pustka, pełnia. A one grzechoczą bezradnie, uwięzione w sztywnym gorsecie wiersza, układają się w zaskakujące porządki, wystawiają na próbę ludzki intelekt, bo Sępową logiką nie jest wcale jednoznaczność.

Za pomocą modyfikacji szyku, karkołomnej elipsy, niespodziewanych przerzutni poeta odniednia sensy, burzy proste rozwiązania, daje do myślenia. Przynajmniej w jego sonetach, jak w wielu ➔

→ współczesnych wierszach, interpunkcja jest niepotrzebna.

Czy lepiej zapisać tak: „Z wstydem poczęty człowiek, urodzony / Z boleścią, krótko tu na świecie żywie...”, czy tak: „Z wstydem poczęty człowiek urodzony / z boleścią krótko tu na świecie żywie...”.

Każdy z wersów daje skończony sens, uwzględnienie i zasygnalizowanie przecinkami przerzutni prowadzi do jednoznaczności wyводу, blokując maszynę produkującą dodatkowe znaczenia. Jako Sępowski edytor zawsze drżałem przed postawieniem przecinka lub kropki, czułem się jak cenzor, przemądrzały interpretator, morderca ducha tej poezji. Bo w tych wierszach jest przecież duch. Sęp posiadał bowiem tajemnicę, jak z suchych pojęć, ba, z każdego słowa można zrobić poezję. Ostrożny nad miarę, często odwoływał się na przykład do teologicznych terminów. Czy tomistyczne dystynkcje *in se* (w sobie), *per se* (przez siebie) nadają się do wiersza? Dzięki Sępowi wiemy, że tak: „I od takiego (Boże nieskończony / w sobie chwalebnie i w sobie szczęśliwie / sam przez się żyjąc) żądasz jakmiarż chciwie / być miłowany i chcesz być chwalony”.

Sęp był odkrywcą tego, co dziś wydaje się oczywiste. Poezję można zrobić ze wszystkiego. Poezją może być abstrakcyjne pojęcie, poezją może być dźwięk, i to nie tylko ten płynny, ale i zgrzytliwy, skrzeczający, warczący. Oto na przykład dźwiękowy odpowiednik ruin Wiecznego Rzymu: „Ty co Rzym wpośród Rzymu chcesz baczyć pielgrzymie / a wždy baczyć nie możesz w samym Rzymie Rzymie / patrzaj na okrąg murów i w rum obrócone / teatru i kościoły i słupy stłuczone. Te są Rzym”.

To jest poezja.

To ciągle jest poezja.

Wielka poezja.

© KRZYSZTOF MROWCEWICZ

Klemens Janicki: **Tuż obok**

Kiedy czytam stare teksty, najbardziej niezwykle wydają mi się głosy, które mogłyby wybrzmieć także i dziś, tuż obok mnie. To głosy, które wciąż mają siłę łudzenia, że stoi za nimi żywa osoba, przeżywająca właśnie radość, żal, miłość, melancholię, lęk, zachwyty lub ból. I że jest to na dodatek konkretny człowiek – ma imię, twarz i ciało, ma ukochanego lub ukochaną, ma przyjaciół, popleczników i wrogów, swoje ulice, książki i sny,

■ Janicki pisze o swoim życiu, przeplatając wątki autobiograficzne refleksjami egzystencjalnymi.

i jeszcze jakiś nieznośny dramat, który zgotowała mu rzeczywistość. I jedyny w swoim rodzaju łut szczęścia.

Gdyby nie ów łut, Klemens Janicki nigdy nie zostałby poetą i wykształconym humanistą, urodził się bowiem w chłopskiej rodzinie. Gdyby nie pewna skaza, skończyłby jako autor żywotów królów i arcybiskupów oraz wierszy okolicznościowych, po które nikt już oczywiście nie sięga, jeśli chce poczytać literaturę. Karierę Janickiego, w tym studia we Włoszech, złamała puchlina wodna. Poeta miał dwadzieścia parę lat i pewność, że koniec jest blisko – konwencję dla opowieści o swoim losie odnalazł w „Tristiach” Owidiusza, które wciąż stanowią wzór spokojnego, rytmicznego zagłębiania się w siebie i swoje życie blisko kresu. Jego elegie należą do tych form literackich, które, choć powtarzane, cudze i tradycyjne, dają przestrzeń dla wyjątkowej opowieści.

W „Tristiach” Janicki pisze po prostu o swoim życiu, przeplatając wątki autobiograficzne refleksjami egzystencjalnymi. Te ostatnie są banalne i fascynujące jednocześnie.

Kolejny raz czytamy o bezsilności wobec śmierci i kolejny raz odczuwamy jej niesamowitość, nawet jeśli autor nie próbował powiedzieć nic nowego o przemijaniu, a zdecydował się jedynie zapisać: „Na moim grzbiecie czarny kubrak, ciemną / Mam twarz. Czerń tylko zgadza się z mą treścią. / Bo oprócz chorób, jęków i boleści / Niczego nie znam. Zwą mnie księgą żalów” albo „I jeszcze więcej powiem, moje życie – / Ty, co tak często życie mi przywracasz! – / Sam to usłyszysz, kiedy przyjdiesz do mnie / Po wielu latach – przyjdiesz ty i wszyscy, / Których zostawiam. Bo żadnemu z ludzi / Losy nie dały tu wiecznego domu”.

W elegiach znajdziemy również nazwiska mecenasów, nawiązania do ówczesnych realiów i inne wtręty, które mogłyby przeszkadzać w płynnej lekturze



Pomnik Klemensa Janickiego w Poznaniu

tych tak współcześnie brzmiących fragmentów. Ale to te właśnie wtręty sprawiają, że egzystencjalne refleksje poety brzmią wyjątkowo. Gdyby nie obecność szumu z zagubionego już świata, gdyby nie ślady pierwiastków całkowicie odrębnych, żadne wyznania nie miałyby takiej mocy, mocy poezji. U Janickiego, który pisał po łacinie i którego czytam w przekładzie Zygmunta Kubiaka, język wydaje się raczej przejrzysty. Nie byłby taki, gdyby poeta tworzył od razu po polsku. Czasem jednak właśnie niejasność starej językowej formy, która przebiega z polskiego przekładu, może oddalić nas od tekstu na tyle, że głos poety znów przemówi, jakby ten stał tuż obok. Bliskość da się wyczuć dopiero z dystansu. I ja także nie mówię nic nowego stwierdzając, że nie da się przeżyć spotkania z osobą pozbawioną „tego czegoś” – czegoś całkiem obcego.

© ALDONA KOPKIEWICZ

Poezja_2019

ANNA KAŁUŻA, GRZEGORZ JANKOWICZ

**Dyskutujemy w przestrzeni publicznej
o warunkach, w jakich pracują lekarze, nauczyciele, górnicy czy policjanci.
A czy zastanawialiście się kiedykolwiek,
w jakich warunkach tworzą poetki i poeci?**

ANNA KAŁUŻA: Zaczniemy od określenia parametrów kształtujących współczesne warunki produkowania tego, co artystyczne.

Na pierwszym miejscu wskazałabym transmedialny horyzont działań artystycznych i kulturowych. Dziś co prawda nie dążymy już do tego, by poszczególne sztuki oczyścić z „obcych” właściwości innego medium – z poezji wyrzucić malarzskie opisy, a z malarstwa anegdotyczne i narracyjne zadłużenia w literaturze – ale by zapewnić swobodniejszą wymianę między literaturą, sztukami wizualnymi i innymi tradycyjnie rozumianymi przedsięwzięciami artystycznymi.

W ramach tak określonego transmedialnego horyzontu intensywnie pracują mechanizmy przechwytywania pracy artystycznej. Kapitalizm kognitywny nie jest zainteresowany produktami, ale zawłaszczaniem sposobów wytwarzania wiedzy, a system narodowo-patriarchalny – kontrolowaniem ich związku z pamięcią i historią.

Drugim parametrem byłby zatem kapitalistyczny kognitywizm, który sprzyja przekształceniu każdej formy aktywności w pracę i zysk. Trzeci parametr wpływający na aktualne produkowanie i cyrkulowanie artystyczności to coraz bardziej ograniczony dostęp do kultury dla coraz większej ilości ludzi. Przychodzą ci do głowy jeszcze inne parametry?

GRZEGORZ JANKOWICZ: Jednym z najważniejszych i najbardziej determinujących czynników wydaje mi się sposób finansowania działań artystycznych, a w szczególności literackich.

Z pewnej perspektywy, zarezerwowanej dla progresywnych artystek i artystów, a także ich komentatorów, wydaje się, że rozmycie, o którym wspominałaś, jest czymś niemal oczywistym. Odejście od podziałów między sztukami i mediami to przyjmowany za aksjomat punkt wyjścia działań artystycznych.

Wystarczy jednak zmienić perspektywę i poszerzyć zakres obserwacji, by zorientować się, że sztywne podziały mają się bardzo dobrze, a może nawet są mocniejsze niż wcześniej. Przykładem mogą być konkursy stypendialne organizowane przez samorządy miejskie. Dodam: bardzo potrzebne konkursy. Artyści składający wnioski o dotację muszą wybrać jedną z dziedzin wskazanych przez organizatora konkursu. Dla przykładu w Krakowie mamy m.in.: Literaturę, Teatr, Sztuki wizualne, Intermedia czy Kulturę cyfrową. Kandydat wskazuje jedną z kategorii i – nawet jeśli w swojej codziennej praktyce zaciera granice między sztukami – jest zmuszony

przykroić konkursowy projekt do obowiązującej matrycy pojęciowej. Losy jego wniosku zależą od postawy ekspertów, którzy mogą przymknąć oko na jego transmedialny charakter, traktując hasło „Literatura” jako umowny znak, albo odrzucić wniosek, zarzucając mu rozmycie rodzajowych i gatunkowych granic.

Z doświadczenia wiem, że jurorzy raczej doceniają „transgresję”, postrzegając ją jako wartość dodaną, natomiast kandydatki i kandydaci za wszelką cenę próbują wpasować się w narzucone ramy. Znajdują się w schizofrenicznej sytuacji. To, co zostało wyrzucone drzwiami, powraca oknem, zmuszając ich do cynicznej gry z reprodukowanymi matrycami.

AK: Od rozpoznania tych warunków zależy nasza zdolność poruszania się, nasze pozycje i stanowiska. Artystki i komentatorki muszą liczyć się z tym wszystkim, od czego próbują się uwolnić i co próbują zakwestionować.

Ale trzeba też wiedzieć, czego się chce. Trzeba ocenić, czy stawka tego oporu nie jest zbyt wielka, i czy w związku z tym nie traci on znaczenia. Dlatego dziś – czy tylko dziś? – tak łatwo rzucać w sztuce i krytyce oskarżenia o konformizm i lawirowanie, ale też zbyt ofensywne odcinanie się od pewnych praktyk ekonomicznych, ideologicznych czy instytucjonalnych wcale nie musi oznaczać skutecznego oporu. Nie chciałabym szczególnie narzekać na środowisko poetycko-krytyczne, ale mam sporo wątpliwości, czy działania artystyczne wynikają tu z rozpoznania warunków brzegowych, czy są po prostu cały czas nieświadomą próbą podtrzymania mitu wagi poezji, która z mocą brnie przez świat i nie musi się na nic oglądać.

Szeroko rozpowszechnione zjawisko tzw. poezji zaangażowanej nic tu nie zmieniło: nie chodzi bowiem o to, co możemy wyczytać z wierszy, ale o to, jakie pozycje obsadzają lub chcą obsadzić poetki i poeci, krytyczki i krytycy. Niewiele i niewiele z nich – powiem to górnolotnie – chce wziąć odpowiedzialność za to, co robi i w jakim miejscu się sytuuje. Choć oczywiście jest coraz więcej takich, którzy w bardzo świadomy sposób konstruują swoją pozycję artystyczną: Darek Foks, Ilona Witkowska, Kacper Bartczak, Konrad Góra, Kira Pietrek, Natalia Malek.

GJ: Nie chodzi – jak sądzę – wyłącznie o kwestię braku odpowiedzialności za to, co robimy w przestrzeni literackiej i – jako ludzie zajmujący się poezją – w innych sferach społecznych.

→ Kilka lat temu byłem członkiem zespołu socjologiczno-literackiego, który opracował raport o stanie polskiego pola literackiego (książka ukazała się nakładem wydawnictwa Ha!art). W roku ubiegłym Krakowskie Biuro Festiwalowe podobne badania przeprowadziło w Krakowie. Z obu raportów wynika, że poetki i poeci mają silną potrzebę autonomii, a zarazem poczucie, że nie dysponują odpowiednimi narzędziami, za pomocą których mogłyby i mogliby tę autonomię wywalczyć oraz ochronić.

Znów na pierwszym miejscu listy problemów pojawia się czynnik ekonomiczny. Niemal wszyscy ankietowani prowadzą „podwójne życie”: żeby się utrzymać, muszą wykonywać inną – często niezwiązaną z poezją – pracę. Ale to nie wszystko.

Struktura porządku medialnego sprawia, że profesjonalne teksty na temat poezji, pomagające w procesie tworzenia właściwych tej sferze hierarchii wartości i negocjujące z innymi przestrzeniami społecznymi warunki, na których owe wartości są transmitowane dalej, ukazują się wyłącznie w czasopiśmie branżowych o małym zasięgu. W mediach wysokonakładowych o poezji mówi się bardzo rzadko, zwykle przy okazji dużych wydarzeń literackich, ewentualnie nagród, a i tak jest to możliwe wyłącznie dlatego, że dane medium otrzymuje zewnętrzne dofinansowanie, gdyż z biznesowego punktu widzenia inwestycja własnych środków w promocję poezji jawi się jako nieracjonalna.

I wreszcie trzecia kwestia: współczesna poezja jest niemal całkowicie nieobecna w polskiej szkole. Edukacja literacka nie uwzględnia jej ani jako pozytywnego, ani negatywnego punktu odniesienia. Powstaje puste miejsce, które próbują zapełniać festiwale literackie oraz aktywiści organizujący warsztaty, wprowadzając do swoich programów lekcje czytania wierszy.

Jednak tylko w kilku przypadkach mamy do czynienia z działaniami o charakterze ciągłym. Zwykle są to pojedyncze spotkania, które – mimo że oceniam je ze wszech miar pozytywnie – nie zlikwidują wspomnianej luki. A im będzie ona większa, tym sytuacja uczestników pola literackiego będzie trudniejsza. Nie dziwię się, że młodzi twórcy i krytycy wybierają drogę zaangażowania, chcąc uczynić wiersz częścią ogólnospołecznej komunikacji, częścią rozmowy o wartościach ważnych dla nas wszystkich. Ale literatura zaangażowana i angażująca żyje tylko o tyle, o ile prowadzi walkę z przeciwnikami. Odnoszę wrażenie, że ta walka przyjmuje u nas formę lokalnego sporu. Reguła „swoją przeciw swemu w imię wspólnego” jest nieprzekonująca, bo wewnętrznie sprzeczna. Nie ustanawia jednostkowej uniwersalności, która potencjalnie może zaangażować każdą i każdego.

AK: Tak, od dawna mówimy o tym, że wiersze działają w kosmicznej dziurze, którą można nazwać polską infrastrukturą kulturalną. Nic pod tym względem od wielu lat się nie zmienia. Determinacja poetek i poetów związana z pragnieniem, by mimo wszystko nadal pisać, powinna stać się przedmiotem poważnych socjologicznych badań.

Odnoszę wrażenie, że poezja stała się konkurencją dla fotografowania – chodzi o samą czynność robienia zdjęć. Badacze tacy jak Marek Krajewski i Rafał Drozdowski piszą, że amatorska, nieprofesjonalna fotografia jest narzędziem walki

o społeczne i kulturowe przystosowanie, o widzialność. Coraz trudniej jednak uczynić ją gestem znaczącym.

Podobnie z poezją dziś – żeby ją zrozumieć, musimy ją czytać w podwójnej i nierozdzielnej optyce: socjologicznej i estetyczno-artystycznej. Umożliwi to spojrzenie na poezję jako na praktykę społeczną, która ma swoje rozmaite wymiary i służy różnym interesom. I nie chodzi tu wcale o tzw. socjologiczne dane, wskaźniki i parametry, instytucjonalne programy itd.

Ostatnio coraz częściej podkreśla się, że poezja to nie tylko produkowanie konkretnych obiektów, ale również proces wytwarzania podmiotowości, także społecznej. Może więc warto ponownie zwrócić uwagę na wiersz jako fakt społeczny? Widzimy dzisiaj, że obrazy i pomniki w przestrzeni publicznej mają potężny oddźwięk, wywołują dyskusje i realne zmiany świadomości – by odwołać się na przykład do niemieckiego artysty Hansa Haackego i jego strategii „pomnikowania”.

Skonfrontowanie się z pojedynczymi wierszami-obiektami czy raczej, jak chce Kacper Bartczak – organizmami – połączone z pragnieniem wzmocnienia ich obecności w obiegu publicznej komunikacji, mogłoby dziś naładować baterie dys-



ADAM STEPIEN / AGENCIA GAZETA

kursów krytycznych. Pod pewnymi jednak warunkami. Nie dobrze byłoby, gdy te krytyczne działania nakierować na autonomiczne, wyabstrahowane wartości i jakości estetyczne. Znacznie lepiej byłoby z wiersza uczynić materialny element kulturowego procesu, jakim jest formowanie się/kwestionowanie określonego porządku wspólnot i społeczeństw. Wiersz nie tyle jako punkt dojścia i objaśniania, ale raczej jako jedna z możliwych materializacji naszych zdolności do myślenia o kolektywnych i ciągle na nowo alternatywnych modelach życia, języka i obrazów.

GJ: Jednak by te poetyckie materializacje stały się realną możliwością zmiany języka, form życia i relacji społecznych, objaśnianie – rozumiane jako negocjacja znaczeń i wartości – jest niezbędne.

Warsztatów pisania wierszy muszą towarzyszyć warsztaty czytania wierszy i ich interpretacji. Zapowiadając dzień, w którym wszyscy staną się poetami, Lautréamont musiał podejrzewać, że będzie to zarazem kres wiersza jako nośnika zmiany. Być może wyobrażał sobie, że wtedy już żadna zmiana nie będzie potrzebna. Dla nas jednak jest ona niezbędna. Gdy wszyscy piszą, nikt nie czyta, ewentualnie – jak

w przypadku przywoływanych przez ciebie prywatnych praktyk fotograficznych – ktoś lajkuje.

Nie chodzi mi, rzecz jasna, o to, by ograniczać dostępność narzędzi umożliwiających pisanie wierszy. Upominam się o praktykę interpretacyjną, o propagowanie narzędzi, za pomocą których możemy nie tylko percypować i afirmować procesy artystyczne i ich materializacje, ale także negocjować z innymi ich sens.

Po raz kolejny rozbijamy się o dwie rafy:

1) wyrwa w systemie edukacyjnym, który ignoruje fakt, że partycypacja w kulturze jest możliwa tylko o tyle, o ile młodzi ludzie mają kontakt z jej aktualnymi, a nie wyłącznie historycznymi zjawiskami;

2) wykluczenie z pełnego udziału w kulturze wielu grup społecznych, np. osób niepełnosprawnych, seniorów czy osadzonych w więzieniach.

Od lat zajmuję się organizacją warsztatów czytania. Praca ta ma charakter oddolny. Przez długi czas postrzegałem ją jako alternatywę dla zinstytucjonalizowanych działań edukacyjnych (w szkołach, ośrodkach opieki społecznej, domach kultury, bibliotekach etc.). W pewnym momencie jednak wspomniane instytucje zaczęły się do mnie zgłaszać z prośbą o pomoc w zrealizowaniu podobnych zajęć. Uświadomiłem sobie wówczas, że to, czym się zajmuję ja oraz inni aktywiści, nie jest alternatywą, tylko nowym „modelem”. Daję cudzysłów, gdyż nawet najbardziej konsekwentnie realizowane programy oddolne nie zastępują rozwiązań o charakterze systemowym.

W ich przypadku mamy bowiem do czynienia z rozmaitymi ograniczeniami: niewystarczającym zapleczem logistycznym, mniejszym zasięgiem oddziaływania czy niedoborami finansowymi. Gdybyśmy powiedzieli, że dziś większość osób ma utrudniony dostęp do kultury, byłoby to obraźliwe dla tych, którzy rzeczywiście – z powodu np. problemów zdrowotnych – nie mogą w niej stale uczestniczyć, ale wydaje się, że w kontekście poezji teza ta – w lekko zmodyfikowanej postaci – jest prawdziwa.

Większość potencjalnych odbiorców nie ma z poezją żadnego kontaktu. I to nie tylko w mniejszych miastach. Największy festiwal poetycki w Polsce w ciągu kilku dni przyciąga realnie dwa, trzy tysiące osób. Ogromnie cieszy fakt, że są wśród nich seniorzy, aktywiści z innych krajów (np. z Ukrainy) czy niesłyszący. A gdzie jest „reszta”? Znowu daję cudzysłów, ⇨



Happening „Sobota pod prokuraturą z poezją śpiewaną”, Krakowskie Przedmieście, Warszawa, 24 lutego 2018 r.

→ tym razem po to, by podkreślić paradoks, z jakim mamy dziś do czynienia w polu poezji: nieobecna większość jest resztą, której brakuje. Jak przeciwdziałać tej sytuacji?

AK: Dawniej myślałam, że kluczem do wzmocnienia widzialności poetyckich komunikatów jest wydobywanie ich utajonych związków z wizualnością – że należy zwracać uwagę przede wszystkim na relacje werbalnego z obrazem, pokazywać przejścia między zmateralizowanymi ideami, emocjami, koncepcjami w języku i w innych mediach. Słowem, nie troszczyłam się aż tak bardzo o poezję, ale o szerokie spektrum artystyczności i dostęp do kultury w ogóle. Mocno wierzyłam w horyzont transmedialny, ale szybko okazało się, że stwarza on znacznie wyższe wymagania dla użytkowników kultury niż bardziej tradycyjne modele. Zresztą, skłonność do jasnych i przejrzystych klasyfikacji jest ogromna i nawet jeśli trafia na rynek książka prawie artystyczna, to napotyka na swojej drodze rozmaite trudności: niektórzy uważają, że fotografie czy inne media mają nadrobić niedoróbki wierszy albo że „przesłaniają” teksty itp. Poetom i poetkom, którzy chcą wykorzystać potencjał związków werbalno-wizualnych, nie jest łatwo na polskim rynku komentarla.

Z pewnością wynika to z dość rygorystycznego myślenia o tym, co uznajemy za poezję: część z nas ma bardzo określoną jej wizję i zamiast wizję tę weryfikować pod wpływem praktyki artystycznej, usztywnia się jeszcze bardziej, przez co wiele ciekawych rzeczy odrzuca się bez refleksji. Te z góry określone oczekiwania dotyczące poetyckich komunikatów też blokują współtworzenie kultury przez rozmaite grupy. I dlatego w Polsce kultura ciągle jest zarządzana odgórnie, choć to akurat coraz ciekawiej się zmienia w kierunku, który Pascal Gielen (dyrektor centrum badawczego Arts in Society na Uniwersytecie w Groningen) i Thijs Lijster nazywają „podbudową dobra wspólnego”.

GJ: Nie jestem pewien, czy teza o „odgórnym zarządzaniu” jest do obronienia w kontekście poezji.

Pole literackie jest bowiem stale torpedowane heteronomicznymi czynnikami, które powodują, że nawet polityczne instrumenty służące do porządkowania działają w nim niekonsekwentnie. Można to zaobserwować na przykładzie aktualnej strategii grantowej Ministerstwa Kultury.

Z pewnością natomiast powszechna jest zębna praktyka wykluczania. Spotykamy ją w przypadku niemal wszystkich środowisk poetyckich, zarówno tych konserwatywnych, jak i progresywnych. Krytyka danego sposobu pisania nie jest w polskiej przestrzeni poetyckiej jedynie krytyką wiersza,

■ Anna Kałuża:

Poezja to nie tylko produkowanie konkretnych obiektów, ale również proces wytwarzania podmiotowości, także społecznej. Może więc warto ponownie zwrócić uwagę na wiersz jako fakt społeczny.

■ Grzegorz Jankowicz:

To, co estetyczne, jest polityczne nie dlatego, że stanowi medium dla określonej ideologii, lecz dlatego, że zmienia politykę poprzez wpływ na nasze zmysły. Co zatem poezja robi z naszym sensorium?

lecz także, a nawet przede wszystkim – delegitymizacją autorki lub autora. Jeśli poezja ma być podbudową dobra wspólnego (a jestem przekonany, że może taką rolę spełnić, także dlatego, że jest jednym z najbardziej ekonomicznych przykładów komunikacji literackiej), to spór artystyczny i krytyczny nie może być redukowany do konfliktu politycznego, co nie znaczy, że nie należy mówić o ideologii czy polityce przy okazji rozmowy o poezji (są one istotnymi elementami jej sposobu istnienia i działania). Jeśli wiersz jest wyłącznie narzędziem politycznym, to oczywiście musi przegrać z innymi – efektywniejszymi – instrumentami, które funkcjonują w przestrzeni społecznej. Wciąż zgadzam się z Jacques’em Rancière’em, że to, co estetyczne, jest polityczne nie dlatego, że stanowi medium dla określonej ideologii, lecz dlatego, że zmienia politykę poprzez wpływ na nasze zmysły. I to jest pytanie, które należałoby postawić dzisiejszej poezji polskiej i światowej: co robisz z naszym sensorium?

AK: Wracamy więc do początku naszej rozmowy i kontekstu zmysłowo-medialnego. Teraz powinniśmy porozmawiać o konkretach: np. o strategii klaunady Adama Kaczanowskiego, lirycznym dokumentalizmie Piotra Janickiego, minimalistycznych interwencjach Ilony Witkowskiej, badaniach dźwiękowych Roberta Rybickiego, nieposłuszeństwie estetycznym Natalii Malek, odzyskiwaniu wiedzy w ostatnich wierszach Szczepana Kopyta, kontrobrzowaniu u Darka Foksa itd. Następnym razem? Ale my też działamy i piszemy w tym samym ograniczającym i przyblokowanym krajobrazie decyzji ministerialnych, pracy zarobkowej i zenującej infrastruktury kulturalnej.

GJ: Nie pozostaje nic innego, jak zapowiedzieć naszą książkę i działania artystyczno-krytyczne, które będą towarzyszyły jej powstawaniu, a potem publikacji. ©®

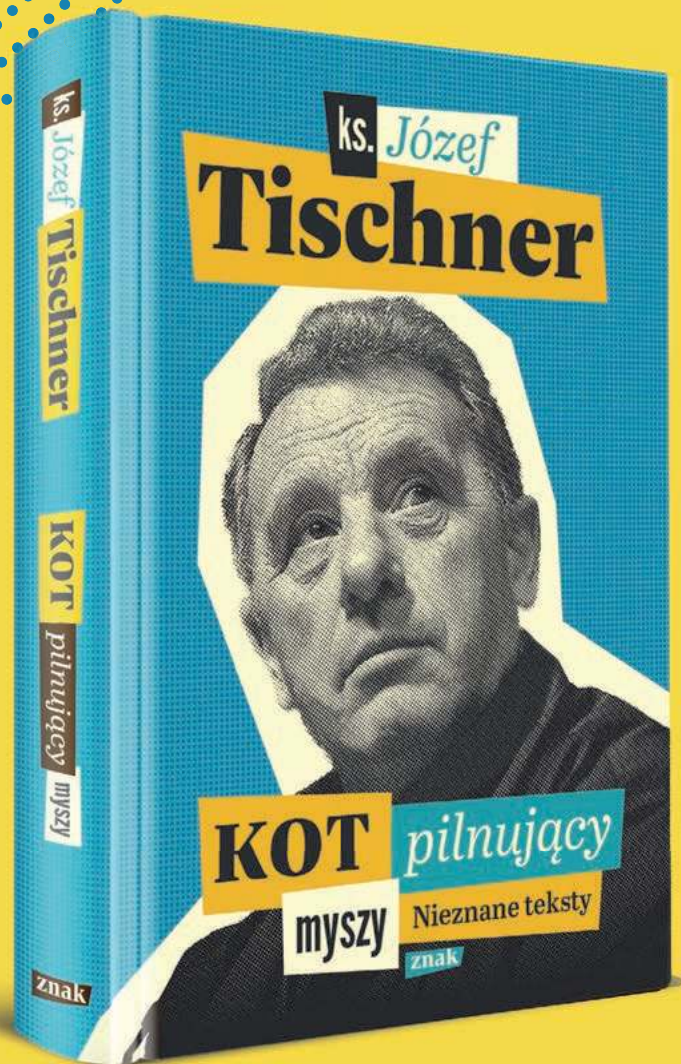
ANNA KAŁUŻA jest adiunktem na Uniwersytecie Śląskim. Autorka książek o współczesnej poezji, ostatnio zajmuje się związkami języka i obrazu, pracując nad książką „Splątane obiekty. Przechwycenia artystyczno-literackie w niewspółmiernym świecie”.

GRZEGORZ JANKOWICZ jest aktywistą literackim, dyrektorem programowy Festiwalu Conrada, redaktorem „Tygodnika Powszechnego” i dyrektorem programów literackich Fundacji Tygodnika Powszechnego. Pracownik Działu Literackiego Krakowskiego Biura Festiwalowego. Współpracuje z Centrum Studiów Humanistycznych UJ. Niebawem w Wydawnictwie Ossolineum ukaże się jego książka „Blizny. Eseje”.

ARGUMENTY

przegrywać

nigdy nie mogą z emocjami



Jako publicysta wiernie towarzyszył **przemianom**, które zachodziły w Polsce. Wiele jego artykułów z lat dziewięćdziesiątych nigdy nie ukazało się w książkach. *Kot pilnujący myszy* to zbiór takich właśnie tekstów – atrakcyjnych, ale trudno dostępnych. Tematy w nich poruszane wciąż są obecne w publicznej debacie: od pytań o to, jaką pozycję powinien zajmować Kościół w demokracji, przez refleksję nad tym, jakie są tej demokracji słabości, po niezwykle aktualne spostrzeżenia dotyczące miejsca Polski w Europie. Znajdziemy tu też artykuły polemizujące z linią ideową Radia Maryja, dyskusję z Jackiem Kuroniem o aborcji czy teksty wyjaśniające, dlaczego Tischner upominał się o żołnierzy z oddziału Józefa Kurasia „Ognia”.

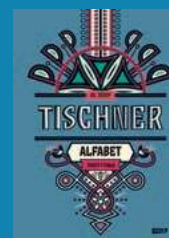
60 znak

Skąd wyszliśmy?

Co się dzieje?

W którą stronę zmierzamy?

Przeczytaj także:



A u nas życie takie małe



MACIEJ PŁAZA

**W tekstach Murek nie ma zbawienia ani nadziei.
Autorka obserwuje krzątanie swych postaci na pozór z dystansem
i czarnym humorem, nigdy jednak nie traci dla nich cichego współczucia.**

Weronika Murek zasłynęła dotąd głównie jako prozaiczka, ale nim za debiutancką „Uprawę roślin południowych metodą Miczurina” otrzymała Nagrodę Gombrowicza i szereg nominacji, wiosną 2015 r. zdobyła laur dramatopisarski: Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną za sztukę „Feinweinblein”. Wydany teraz zbiór, zawierający ten dramat i dwa nowsze, potwierdza, jak wyjątkowym zdarzeniem był w polskiej literaturze ten podwójny debiut.

„Feinweinblein”: czasy powojenne, jakby brzask kończący straszną noc, ale do słońca daleko. Panuje strach przed Niemcami, którzy ponoć wciąż wytwarzają z polskiej krwi guziki i rączki do parasoli; z gazety patrzy „gęba niesympatyczna” Adenauera, jeszcze gorszy jest tylko mityczny Feinweinblein, którym straszą się dzieci. Ludzie pomału wracają do życia – grają w karty, zakładają sady, chodzą na pocztę, próbują cieszyć się tym, co podsuwa nowy świat. We wsi jest świetlica, telefon. Największą pociechę daje radio: muzyka, audycje z poradami, gimnastyka, telefony od słuchaczy; w radiu coś się dzieje, toczy się prawdziwe życie. Radio to taki skarb, że chłopci Knauerowie wymienili na nie swojego głupiego synka, który „nie podlegał próbom pracy”. Błache audycje niby łagodzą ludzką udękę, ale zarazem urągają jej, pogodna muzyka nie rozprasza mroku: ni stąd, ni zowąd wiesz się nauczycielka; świetlicowa wdycha, że gdyby mogła wybrać rodzaj śmierci, chciałaby udławić się czymś smacznym, najlepiej sernikiem. Jakieś dziecko (jak to dziecko) lepiej zbratane z mrokiem niż dorośli, którzy (jak to dorośli) uwierzyli w życie, powtarza, że „jest jedno lekarstwo na śmierć: liść polnej babki”.

Postacie z „Feinweinbleina”, szkicowane lekką, sugestywną kreską, czasem jednym dialogiem, kilkoma kwestiami, stoją nam przed oczyma w swoim bezrad-

nym człowieczeństwie, złożonym z bólu, strachu, głodu, tęsknoty i ukrytej głęboko czułości. Są rzeczywiste i symboliczne zarazem: do szpiku polskie w swoich odzwyczajach, gestach, jednocześnie dźwigając ciężar istnienia, który jest uniwersalny – przez co ich małe, trudne życie nabiera wymiaru tragedii. To godni następcy bohaterów Becketta, Ionesco i Mrożka, i z tej tradycji wyrasta ten dramat: mroczny, ale subtelny, pełen wisielczego, ale nie cynicznego humoru, prosty i oszczędny, ale głęboki, niedający spokoju.

„Wujaszki”, drugi z trzech dramatów zawartych w tomie, rozgrywa się po odzyskaniu niepodległości, gdy „pokój wybuchł w Polsce ze zdwojoną mocą”, ale już w mniej konkretnej przestrzeni; obecny w niej Narrator wyczarowuje poszczególne sceny, zmienia dekoracje. Murek odchodzi od teatru realistycznego i teatru absurdu w stronę polskiej tradycji dramatu wizyjnego, doprawiając go gombrowiczowską ironią. Narodowe upiory, jak wiadomo, przychodzą od święta, zbudzone mocą obrzędu – tu przy wieczery wigiliijnej. Czterech pocziwych wujaszków snuje opowieści, w których kłębią się fantazmaty II Rzeczypospolitej: zjawia się dziarski, podobny do Wieniawy-Długoszewskiego Mr Automobil, który, jak powiada, „nawiedza kuriozalne narracje historyczne”, jest „eine kleine Premierministerklavier” Paderewski, kasztanka Piłsudskiego, są Dmowski i Eligiusz Niewiadomski; w saloniku „dworku ziemiańsko-pańskiego” gawędzą „polskie konie bojowe”. W tym kłębowisku pulsują też niby-schulzowskie fantazje erotyczne, przemycają artefakty lepszego świata, jak sandwiche czy napój Dr. Pepper; wódczane rytuały sprowadzają wujaszków „na dno męskich anegdót”; nie brak też oczywiście mocarnych postaci-symboli, jak Chopin, w którym „jest wszystko, czego nam trzeba: kontusze kolorowe, pasy złotem lite, posępne czamarki, kra-

kowskie rogatywki, szlacheckich szabel brząk, kos chłopskich połysk (...). Jęk piersi, bunt ducha, kościółek”.

Czemu to wszystko służy? Gadaniu. Polska jest pogrążona w niekończącej się głądźbie: opowiadamy sobie i jesteśmy opowiadani, archaicznym i głupim, ale niezawodnym, uświęconym językiem szlachetczyzny i tromtadacji. „Trans-Atlantyk”? Nie, właśnie nic podobnego. Humor „Wujaszków”, soczysty i pyszny, nie osuwa się w szyderstwo. Śmiejemy się z wujaszków, bo dobrze ich znamy, są ulepiani z tej samej siemiężnej tradycji co my – zresztą przecież takie wujaszki głądzą różne głupstwa na weselach i wigiliach. Murek nie uprawia jednak zjadliwej satyry, nie pastwi się nad prząsnością naszych obyczajów, jałowością rodzinnego rytuału, macyzmem narodowych mitów. Przeciwnie, obśmiewa je z wdziękiem; jeśli nawet polskość jest zplekciem fantasmagorii nietworzących sensownej całości, ma w sobie przynajmniej dziwnie piękną poezję.

Poetyckie „Morowe”, ostatni utwór w zbiorze, sięga do sfery najgłębiej egzystencjalnej: choroby. Killkoro chorych gra ze sobą w ślepą babkę, przekomarza się, opowiada sobie wzajem historie, wymienia żale. Łatwo rozpoznać w nich owe doraźne wspólnoty w nieszczęściu, jakie zawiązują się co dzień w niezliczonych poczekalniach szpitali i przychodni. Narracją nie steruje już żaden opowiadacz-zaklinacz: z didaskaliów przemawia do nas narratorka, ale zamaskowana w swym gąszczu tajemniczych komentarzy, z rzadka tylko wychylająca się zza ich bezosobowej formy. Mieszka ona w tej samej bolesnej przestrzeni co postacie, tak jak one wydaje się słabsza od choroby, nie mniej niż one lęka się krwi, która w kolejnych scenach dramatu co krok „występuje” w różnych porach i miejscach – przeklęty omen śmierci jakby rodem z Poe’go. Chorzy w „Morowym” nie chcą wyzdrowieć: choroba ich uwzniośla,

nadaje ich życiu sens, trzymają się jej więc kurczowo, boją się, czy aby tabletki im nie pomogą, czy nie zostaną wypisani ze szpitala. Wstępując między chorych, wkraczamy w inny świat, wspólny nie tylko im, ale i lekarzom. „Choruj zdrów, jeśli tylko masz siłę”, mówi Chory Lekarz, a Chora Lekarka tak ujmując prostą filozofię choroby, zjawiska rozrąbującego ludzką wspólnotę na dwie połowy, których nie da się scalić żadnym współczuciem, żadną pomarańczą przyniesioną w odwiedzinach: „Zdrowi ludzie są, jacy są; zdrowi. Oni mają swoje zwyczaje, oni mają własne kraje na to, nas zrozumieć jest trudno i trzeba chociaż w jakimś momencie życia być chorym, pochorowanym lub przynajmniej chcieć tego od siebie”.

Każdy z tych dramatów jest inny w swej tematyce i poetyce, ale wypełnia je podobna materia, wyciągnięta zarazem z prząskiego rodzimego gruntu i z tej powszechnej ciemnej dziedziny, w której mieszkamy wszyscy, nieznający początku i bojący się końca. Bohaterowie Weroniki Murek żyją z cieniem trwogi nad głowami, pod chmurą cierpienia, która nigdy nie odsłania słońca; malutcy, robaczkowaci, śmiertelnie zabawni, śmieszni przez łzy, bo przecież, jak powiedziałby Beckett, nic nie jest tak śmieszne jak nieszczęście. Miarą wielkości pisarza, który mierzy się z mrokiem, jest to, czy wrzucając weń swoich bohaterów, potrafi oddać im godność, należą każdemu człowiekowi, nawet

wymyślonemu, a więc stanąć po ich stronie. Murek, choć w jej utworach nie ma zbawienia, właściwie nie ma nawet nadziei, i choć obserwuje krzątanie swych postaci na pozór z dystansem, często też najczarniejszym z czarnych humorem, nigdy nie traci dla nich cichego współczucia. Czytelnik, choć bynajmniej nie zmuszany do płaczu, mimo woli staje się członkiem tej zbolalej wspólnoty, w której, z braku innych sensów, najbardziej sensowną rzeczą jest opowiadać własny los.

Murek ma nadzwyczajną umiejętność wyciągania zewsząd – z historii, z kultury, z religii, z wierzeń, z folkloru, z zabaw, z obyczajów – rzeczy pierwszych, definiujących: akcesoriów i obrzędów chorobowo-szpitalnych, które w jej rękach stają się metaforami ludzkiej kondycji; artefaktów tworzących imaginariusz narodowe; pierwotnych rytuałów, które sprawiają, że człowiek jest człowiekiem; dorosłych i dziecięcych sposobów obłaskawiania ciemności, cierpienia i śmierci. Murek ociosuje z kory pień polskiej i ludzkiej kondycji, i wydłubuje rzeczy z samego rdzenia. To piśmiennictwo głębinowe, i to w sposób intuicyjny: widać w nim zaplecze kulturowe, wpływ tradycji literackiej, ale widać też, że jego treść jest przeżyta, wzięta z serca.

Autorka „Feinweinbleina” ma też naturalny talent dramatyczny, maszynę teatralną puszczą w ruch z wielką łatwością. Postacie aż przebiegają nogami, by

wybieść na scenę, od razu tę scenę widać i widać też, że wszystko zagra. Ich przeobrażenia, przebieganie, zjawienie się, posiadówki, głądzenia, przekomarzenia i inne interakcje, doskonałe wyciemnienie w „Feinweinblein”, gdy gra tylko radio – wszystko to jest niewymuszone, nie czuje się oporu materii. Wiele sytuacji przyjmuje dynamikę gier, zabaw czy rytuałów – i to też jest trafione, zwłaszcza w dramacie, nazwijmy to, nierealistycznym; nie inaczej jest przecież u wielkich patronów Murek: Becketta, Gombrowicza, Mrożka. W jej dramatach widać dziedzictwo absurdalno-groteskowo-egzystencjalistycznego teatru, ale są one wypełnione tak osobnymi i osobliwymi treściami, że nie ma mowy o wtórności.

Tyle w nich też przeszywających spostrzeżeń, jak to: „Cudze ciała chwalimy, a swoich nie znamy, choć jest w ziemi wybór nieprawdopodobny”. I oryginalny język, soczysty, bogaty; kto z młodych pisarzy umiałby znaleźć sercowinę jabłka? I mądrość, i dojrzałość. Wybitna pisarka, wyjątkowa książka. ©



• Weronika Murek
FEINWEINBLEIN.
DRAMATY
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec 2019

REKLAMA



Dom Literatury w Łodzi



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział w Łodzi

Wydajemy głównie książki poetyckie, we współpracy ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich Oddziałem w Łodzi. W ramach kilku serii. „Białe kruki, czarne owce” ma największy prestiż. To tu ukazały się „Rozmowy z głuchym psem” D. Foksa („Silesius” za całokształt twórczości, nominacje do Nike i Gdyni), „Wiersze organiczne” K. Bartczaka (nominacje do Gdyni i „Silesiusa”) czy, ostatnio, „Karma dla psów” P. Groblińskiego (jedna z 19 najpiękniejszych okładek według „Polityki”) oraz debiuty prozatorskie I. Kempa „Chcemy się tylko podpalić” i Z. Macheja „Antidotum Noctis”. W tym roku pojawia się „Obce jabłonie” M. Grzebalskiego. „Biblioteka DL” to nowa seria. Otworzą ją „mniej niż jedno zwierzę” B. Sadulskiego (kwiecień) i „Szantung” D. Riley (przeł. J. Jarniewicz, czerwiec, Festiwal Miłosza). Ponadto, w eksperymentalnej serii „Szumy, zlepy, ciągi” wybrzmia „Pieśni Myrmidonu” K. Piotrowiak-Junkieta (maj). A jest jeszcze najstarsza seria, „Biblioteka ARTERII” (50 pozycji), goszcząca już takich autorów jak M. Zegadło, M. Jurzysta i P. Gajda. Zwracamy szczególną uwagę na debiutantów. To nie tylko laureaci konkursu im. J. Bierzina (organizowanego przez DL i SPP OŁ), ale też inne bardzo oczekiwane pierwsze książki – jak „adblock” K. Pfeifera (czerwiec, na zdjęciu okładka autorstwa G. Fijasa).

RAFAŁ GAWIN



kasper pfeifer

Spektrum literackich możliwości



MICHAŁ SOWIŃSKI

Flanagan z opowieści o pretensjonalnym wannabe pisarzu, podejmującym się wydawniczej fuchy, aby wyżywić rodzinę, stworzył pełen egzystencjalnego napięcia thriller o granicznych punktach literatury.

Wszystkie powstałe w dziejach świata powieści można podzielić na dwie kategorie – do pierwszej należą te opowiadające o pisarzu zmagającym się z procesem twórczym, do drugiej pozostałe (trudno oszacować, których jest więcej). Sieganie po wątki autotematyczne jest z reguły gestem rozpaczliwym, podejmowanym w obliczu kompletnego uwiadu wyobraźni (skoro nie wiem o czym pisać, napiszę o sobie piszącym). Ale jak od każdej reguły, są wyjątki i z pewnością należy do nich Australijczyk Richard Flanagan, który w swoich powieściach nieustannie testuje granice i warunki możliwości snucia opowieści, wplatając do swych książek liczne wątki autotematyczne. A robi to z taką gracją, że na pierwszy rzut oka można nawet tego nie zauważyć.

Nie tym razem jednak. W „Pierwszej osobie”, siódmej już powieści, Flanagan idzie na całość. Jest rok 1992, Kif Kehlmann, podówczas 31-letni pisarz (czyni go to rówieśnikiem autora) wciąż pracuje nad swoją pierwszą książką, jednocześnie zmagając się z licznymi problemami natury zawodowej i osobistej. Pracuje dorywczo, gdzie się da, ledwo wiążąc koniec z końcem, a każdą wolną chwilę poświęca na dopieszczanie opasłego zbioru notatek, które jednak za nic nie chcą ułożyć się w upragnioną powieść. Do tego kilkuletnia córka i żona w zaawansowanej, bliźniaczej ciąży. Słowem – sytuacja graniczna, która wymaga ostatecznej decyzji: albo zostanie w końcu tym pisarzem, albo na zawsze da sobie spokój i weźmie się do uczciwej pracy. Nieoczekiwanie jednak pojawia się rozwiązanie trzecie, połowiczne, pozwalające jeszcze chwilę zanurzyć się w słodkiej niedojrzałości.

Do dużego australijskiego wydawnictwa zgłasza się Siegfried Heidl, znany na całym świecie oszust. Za sprawą niejasnych interesów z CIA i NASA udało mu się wyłudzić od kilku banków niebagatelną kwotę 700 milionów dolarów. Proces wciąż trwa i aby lepiej wypaść przed sądem, Heidl potrzebuje autobiografii. A żeby ją napisać, niezbędny jest *ghostwriter* – wybór pada na Kifa. Urażona duma niespełnionego pisarza każe mu z miejsca odrzucić ofertę, ale krytyczna sytuacja finansowa wygrywa ze zranionym ego. Jest jeden haczyk – na napisanie minimum 75 tysięcy słów ma równo sześć tygodni.

Zadanie jest wykonalne, bo Kif brak weny (talentu?) nadrabia jako pracowity rzemieślnik. Problemem okazuje się jednak Heidl, który swoim z pozoru bezsensownym gadulstwem skutecznie torpeduje wysiłki swojego „ducha”, próbującego wydrzeć z niego choćby szczątkowe fakty z jego życia. Dni i tygodnie mijają, a w Kifie narasta rozpacz

– każdy, kto choć raz w życiu musiał na termin wypełnić limit znaków, będzie empatyzował z tą torturą. Na dnie beznadziei pojawia się jednak myśl, że paplanina króla oszustów nie jest wcale bezcelowa. Kif powoli odkrywa demoniczną naturę swojego klienta – tajemnicą jego sukcesu jest całkowity brak właściwości. Heidl nigdy niczego nie potwierdza, ale też niczemu nie zaprzecza, skutecznie natomiast fabrykuje kolejne poszlaki, zasiewa w umysłach ludzi pomysły na swój własny temat, które zamieniają się w bujne fantazje. Pozwala każdemu wierzyć w to, co dla niego wygodne – choćby przedstawicielom banków, od których wyłudzał kolejne milionowe kredyty. Jednakże dla tego arcymistrza iluzji pieniądze to jedynie chwilowy kaprys – zdobywał je z łatwością, więc bez żalu się ich potem pozbywał.

Jaki jest zatem jego cel? Trudno przeniknąć motywację tego znudzonego swoimi możliwościami kreacji *ex nihilo* umysłu. Niemniej na swoje ostatnie dzieło wybrał właśnie Kifa. Z tego nijakiego, wciąż jednak pełnego potencjału życia postanowił uczynić *opus magnum* wieńczące karierę postmodernistycznego bożka manipulacji. Co jakiś czas uchyla przed nim rąbka tajemnicy swojego sukcesu, co daje wgląd w mroczną otchłań, jaką może być życie pozbawione ograniczeń i konwenansów. Kif patrzy w niego jak zahipnotyzowany, bo dostrzega w jego biografii – tej prawdziwej, a nie w kleconym przez siebie naprędcie zbiorze frazesów – sztukę w najczystszej postaci. Każe mu to odrzucić dziecinne wyobrażenia o byciu artystą, którymi karmił się do tej pory. Czy jednak starczy mu odwagi, aby zrobić decydujący krok i przejść na stronę Heidla?

■ „Pierwsza osoba” to analiza pełnego spektrum literackich możliwości – od chałtury pisanej za grosze i pod dyktando pazernego wydawcy aż po sztukę czystej kreacji, wykraczającą daleko poza słowa wydrukowane na papierze.

Flanaganowi udało się rzecz niezwykłą – z opowieści o pretensjonalnym wannabe pisarzu podejmującym się wydawniczej fuchy, aby wyżywić rodzinę, stworzył pełen egzystencjalnego napięcia thriller o granicznych punktach literatury. W tej postmodernistycznej parodii sytuacji faustowskiej – wszak Heidl proponuje coś na kształt demonicznego paktu – Flanagan opowiada przede wszystkim o sobie. Z Kifem bowiem dzieli nie tylko metrykę, ale również pochodzenie i – najprawdopodobniej – doświadczenie granicznego momentu, gdy wybiera się lub odrzuca literaturę jako radykalną formę życia. „Pierwsza osoba” to wielopoziomowa gra autobiograficzną konwencją (w trakcie lektury

przestaje być oczywiste, kto i o kim pisze), a przy tym wyznaczenie wiary w nieskończone możliwości literatury (w tej sytuacji Heidl jest najwyższym kapłanem tego kultu).

Flanagana bowiem nigdy nie zadowala samo opowiadanie historii – jakkolwiek poruszająca i prosta formalnie by ona była (żeby wspomnieć tylko nagrodzone Bookerem „Ścieżki północy”). Jego uwaga zawsze ześlizguje się na literackie szwy, punkty nośne fabuły i konstrukcji. Jakby cały czas analizował, ile są jeszcze w stanie udźwignąć, zanim runą z hukiem (niczym tama w „Kłaśnięciu jednej dłoni” albo trawiona płomieniami kolonia w „Księżdzie ryb Williama Goulda”). Mówiąc inaczej, „Pierwsza

osoba” to analiza pełnego spektrum literackich możliwości: od chałtury pisanej za grosze i pod dyktando pazeznego wydawcy, aż po sztukę czystej kreacji, wykraczającą daleko poza słowa wydrukowane na papierze. A wariantów do przetestowania zostało jeszcze wiele – to przecież dopiero siódma powieść. ©P



• Richard Flanagan
PIERWSZA OSOBA
przeł. Maciej Świerkocki
Wydawnictwo Literackie
Kraków 2019



Book's not dead – tu się dobrze czyta!

TYGODNIK
POWSZECHNY



Stuchaj w
Apple Podcasts

Szukasz dobrej lektury? Chcesz być na bieżąco z premierami książkowymi albo zacząć przygodę z literaturą chińską, ale nie wiesz od czego zacząć? Masz ochotę podzielić się wrażeniami z festiwalu literackiego? Szukasz książki na prezent dla dzieci?

Dołącz do grupy 4 tys. czytelniczek i czytelników, która zainspiruje, poleci lekturę, opowie o klasycie i oplotkuje nowości. Łamiemy zasadę, że o gustach się nie dyskutuje.

Zapraszamy na powszech.net/bnd



MONIKA OCHĘDOWSKA

REKLAMA

DO KOGO NALEŻY FRANZ KAFKA?

Obawiałem się, że to będzie kolejna książka, która z Kafki uczyni lokaja dźwigającego walizki z wyobrażeniami autora na temat Kafki. Nic z tych rzeczy; Benjamin Balint stworzył fascynującą, niezwykle wyważoną i delikatną opowieść, wzór dla dziennikarstwa humanistycznego.

— MAREK BIEŃCZYK —



KSIĄŻKA DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA



KULTURALNY
SKLEP.PL

W FORMIE E-BOOKA NA

publio.pl

JUŻ W SPRZEDAŻY

Atomowy grzyb w kolorach tęczy



MONIKA OCHĘDOWSKA

Współczesny człowiek jest samotny, mówił Resnais, reżyser „Hiroszimy, mojej miłości”, unieruchomiony w wiecznej traumie. Zdaniem Rudniańskiej sztuka pozwala się z tego odrętwienia ocknąć, daje możliwość przeżycia żałoby.

Dziś „Hiroszima to brand” – rzucił Konrad, młody stołeczny artysta, jeden z bohaterów nowej książki Joanny Rudniańskiej. „Jak Penderecki napisał dziewięć minut muzyki i potem nazwał to »Tren ofiarom Hiroszimy«, to do tej pory jest hit. A »Hiroszima, moja miłość«? Każdy wie, co to Hiroszima”. Oglądana na nowo produkcja Alaina Resnais’go, do której wielokrotnie odsyła czytelnika Rudniańska, zaskakuje nowatorstwem filmowego języka, choć od premiery minęło dokładnie 60 lat.

Zanim poznamy twarze kochanków, Resnais pokazuje w zbliżeniu fragmenty ich ciał – obsypane prochem nagie ramiona splecione w miłosnym uścisku. Zaraz potem oglądamy poparzonych i rannych po ataku na Hiroszimę. „Śmierć w obliczu miłości czy miłość w obliczu śmierci. Co byś wołała?” – pyta On Ją w książce Rudniańskiej chwilę po tym, jak wychodzą z kina, w którym po „Hiroszimie” pokazano jeszcze „Miłość” Michaela Hanekego. W obu gra Emmanuelle Riva. Dychotomia tego pytania materializuje się w historiach dwóch bohaterek – terapeutki Bibi (zdrobnienie od Beatrycze, alegorii miłości Dantego) oraz jej matki, artystki, która przeżyła obóz w Ravensbrück i śmierć jednej z córek, bliźniaczek. Motyw podwójności (poza przewodnim motywem podwójności Hiroszimy i Holocaustu, dwóch najsilniej obecnych w kulturze modeli masowej śmierci) jest Rudniańskiej szczególnie bliski – przy uważnej lekturze zauważamy, że właściwie każda z bohaterek kogoś prędzej czy później udaje, korzysta z przebrania.

Przebranie chroni przed szaleństwem. Szaleństwo – przed lękiem. A życiu bohaterów Rudniańskiej nieustannie towarzyszy strach.

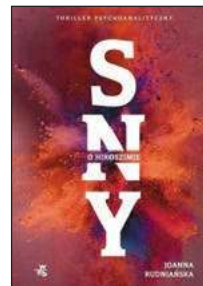
Każde przedsięwzięcie, ale i każda podróż, odbywa się w cieniu jakiegoś kataklizmu, katastrofy. Nie tylko przeszłej, jak Auschwitz, Hiroszima, Ravensbrück, ale i współczesnej, czasem prywatnej. W Smoleńsku spada samolot, w Islandii wybucha wulkan, na Haiti dochodzi do trzęsienia ziemi, rozpada się małżeństwo, kończy się romans, ginie dziecko. Pewnego dnia w gabinecie Bibi pojawia się Japończyk Suzuki, który jednego dnia jest „normalnym człowiekiem, a następnego już wariatem” – „to stało się trzy miesiące temu, w niedzielę, podczas obiadu”. To wtedy nieoczekiwanie wróciły wspomnienia. Szaleństwo przychodzi nagle, wypełnia cię całego i wtedy przez chwilę rozumiesz – mówił w swoim filmie Resnais – ale kiedy odchodzi, nie rozumiesz już niczego. Szaleństwo, o którym opowiada Rudniańska, rodzi się z lęku przed zapomnieniem o wszystkich tragediach, które przytrafiły się ludzkości.

Jean Cayrol, pisarz i autor scenariusza „Nocy i mgły”, jednego z pierwszych filmów dokumentalnych poświęconych Zagładzie, wyreżyserowanego zresztą

przez Resnais’go, zaproponował kategorię „bohatera łazarzewego”. To człowiek, pisał Cayrol, który nie może się uwolnić od swego głównego, często traumatycznego, doświadczenia, jednocześnie czując, że nie jest w stanie żyć jak dawniej. Człowiek, który poznał śmierć, nie odnajdzie się w świecie. Podobnie człowiek współczesny, który jest tej historii świadomy. Świadomość dramatycznych zdarzeń na zawsze odmieniła ludzkość. To, co możemy zrobić, to w sposób emocjonalny na tragedię odpowiedzieć. O tym właśnie robił swoje filmy Resnais. Funkcję katartycznego oczyszczenia świadków symbolizuje u Rudniańskiej terapeutka Bibi, która pozwala swoim pacjentom przejść przez proces żałoby, wyzwolić się ze strachu przed obojętnością i zapomnieniem.

„Sny o Hiroszimie” to oddająca hołd kinematografii francuskiego reżysera opowieść o artyście. O kondycji artysty, która bliska była samemu Resnais’mu – współczesny człowiek jest samotny, unieruchomiony w wiecznej traumie, powtarzał w kolejnych autotematycznych filmach reżyser. W „Snach” artysta jest starą kobietą wciśniętą w kimono, z włosami upiętymi w kok, upudrowaną twarzą. Niedługo umrze, konstatuje Rudniańska. Czy twórczość może zapobiec nieuchronności tego wyroku? ©©

■ Motyw podwójności jest Rudniańskiej szczególnie bliski – przy uważnej lekturze zauważamy, że właściwie każda z bohaterek kogoś prędzej czy później udaje, korzysta z przebrania.



• Joanna Rudniańska
SNY O HIROSZIMIE
W.A.B.
Warszawa 2019

Dudnienie historii



ALEKSANDRA WOJTASZEK

„Bębny nocy” to starannie wydestylowany eliksir z twórczości sarajewianina, w którym skupiają się jego literackie obsesje, ulubione motywy i zabiegi.

Miljenko Jergović jako jeden z nielicznych pojugosłowiańskich pisarzy jest stale obecny na polskim rynku wydawniczym, a przy tym to twórca niezwykle płodny. Dlatego zwyczajowym zarzutem wobec pisarza jest deprecjonująca już w samym pojęciu „nadprodukcja”, a chorwacka krytyka często oskarża go o rozwadnianie niewątpliwego literackiego talentu. Niewielkich rozmiarów „Bębny nocy. Studium” dobitnie jednak temu przeczą – stanowią bowiem starannie wydestylowany eliksir z twórczości sarajewianina, w którym skupiają się jego literackie obsesje, ulubione motywy i zabiegi.

Fikcyjny dziennik Josipa Gubernika, przedmiot tytułowego studium, obejmuje jego rzekomy pobyt w Sarajewie w latach 1914–19. Jergović fascynują wyjątkowe momenty w historii: czasy przełomu i kresu. Nieprzypadkowo dziennik Gubernika ukazuje się drukiem tylko dwukrotnie, w roku 1946 i 1992 – datach wyznaczających granice istnienia innego wielonarodowego organizmu państwowego. Kluczowe dla powieści pytanie o przemianę bohatera z wiernego poddanego monarchii austrowęgierskiej w orędownika rodzącego się Królestwa Jugosławii jest lustrzanym odbiciem innego, wielokrotnie stawianego w twórczości autora pytania – o przyczynę połączonego z nacjonalistyczną prężnością rozpadu socjalistycznej Jugosławii i kres projektu wspólnej tożsamości.

Być może nie powinno zatem dziwić, że transformacja światopoglądu Gubernika wydaje się nieszczerólnie przekonująca, a poszczególne epizody jego losów niedokończone i fragmentaryczne. Jergović, portretując sławetny bałkański „nadmiar historii”, zamiast wielkich narracji proponuje mikrohistorie i poplątane tożsamości. Notka biograficzna na odwrocie chorwackiego wydania „Bębnow nocy”

informuje, że ich autor „nie przynależy do nikogo ani niczego”. Trudno jednak powiedzieć to samo o jego twórczości. Nieuchwytność i niedomknięcie losów bohaterów połączone z ironią powodowaną utratą złudzeń bliskie są innym pisarzom austro-węgierskich rubieży – austromodernistom, jak nazywa ich Marjorie Perloff. Wszak fundamentem twórczości Rotha, Celana czy Canettiego stało się właśnie doświadczenie końca imperium habsburskiego. „Bębny” dudnią również aluzjami do utworów noblisty Ivo Andrića, który w opowiadaniu „List z 1920 roku” nazywa Bośnię krajem strachu i nienawiści.

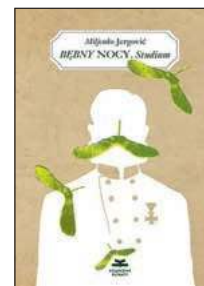
Literackie Sarajewo zaludniają postaci historyczne, takie jak słynny poeta Tin Ujević czy przywódca młodobośniaków Danilo Ilić. Jergović umiejętnie miesza fikcję z rzeczywistością, wypełnia faktograficzne luki, wskazując na narracyjność historii. Choć oddala się przy tym od deklarowanego studium i zdradza się z wiedzą, którą dać może tylko literatura, nie historia. Intertekstualność przestaje być jedynie grą, przy jej pomocy tworzy się poetykę

nowej wrażliwości, odsłania pęknięcia i pozwala wybrzmieć nostalgii.

Być może u podłoża popularności Jergovicia w Polsce leży także fakt, że opowiada on o Bałkanach tak, jak lubimy. Sarajewo to zatem miejsce na styku kultur, magiczne, choć śmiercionośne, gdzie historia gwałtownie się zagęszcza, a tożsamość staje się narzędziem opresji. W powieści symbolizują to tytułowe bębny, na których wygrywana jest historia XX wieku, a także przynależące do kultury wysokiej skrzypce, skonstrastowane z ludowymi, typowo bałkańskim gęslami (materialne artefakty jako pretekst do opowieści to kolejny ulubiony motyw pisarza). Autor wyostża jednak i przejawia ten stereotyp, dokonuje swoistej auto-orientalizacji i autobalkanizacji, czym w istocie rzuca wyzwanie czytelnikowi i jego przyzwyczajeniom.

Aby zamknąć listę niezbędnych składników w twórczości Jergovicia, potrzebujemy jeszcze tylko wyjątkowych bohaterów – naznaczonych odmiennością albo wręcz ułomnością, niewytłumaczalną obsesją, ludzi o złamanym życiorysach i kłopotliwej tożsamości. Innych, w których można przeglądać się jak w zwierciadle. Wydaje się, że Miljenko Jergović wciąż na nowo opowiada tę samą historię, zmieniając ewentualnie dziejowe dekoracje. Jednak zadziwiająco trudno się od niej oderwać. ©

■ Jergović opowiada o Bałkanach, jakie lubimy. Sarajewo w jego książkach to miejsce na styku kultur, magiczne, choć śmiercionośne, gdzie historia gwałtownie się zagęszcza, a tożsamość staje się narzędziem opresji.



• Miljenko Jergović
BĘBNY NOCY. STUDIUM
przeł. Magdalena
Petryńska
Książkowe Klimaty
Wrocław 2019



KATARZYNA TRZECIAK

Wszystkie odcienie samotności

Skuteczność literackich portretów Lauren Groff polega na wyważeniu między uniwersalizacją postaci a nadaniem im ekscentryczności; wyważeniu między dojmującą samotnością a wcale nie beznadziejnymi próbami jej osławiania i łagodzenia.

Tutaj rzeczy umierają. Umierają, a rozkładając się jednocześnie użyzniają grunt, na którym tętnić zaczyna nowe życie. Zgnilizna wykarmia coś nowego. Niekoniecznie lepszego, po prostu innego. Coś dziwnego i bliskiego zaczyna przylegać do twojego ciała”. Tak charakteryzowała Florydę w 2017 r. pisarka i eseistka Kristen Arnett, gdy na łamach „Literary Hub” wyjaśniała, dlaczego tak trudno jest pisać o tym zmitologizowanym stanie Ameryki. Próbuując przekroczyć mroczny stereotyp rasistowskiego, konserwatywnego miejsca, Arnett sama przyznawała słuszność niektórym demonizującym Florydę przekonaniom. Problem bowiem w tym, przekonywała autorka, że Florydy nie da się oglądać z bezpiecznego dystansu, bo to miejsce inwazyjne, duszne, oplatające dzikością, z którego można uwolnić się jedynie przenosząc się gdzie indziej.

Wyciszone przez Kristen Arnett właściwości bagienne, lesistego stanu, a także uchwycony w memach fenomen „Florida man” (ucieleśnienie mieszkańca Florydy jako sprawcy osobliwych, dziwnych przestępstw), powracają w amerykańskich recenzjach zbioru 11 opowiadań Lauren Groff, pisarki, która przeniosła się na Florydę i tam też umieściła większość opowieści z najnowszej książki. Szczęśliwie nie znajdziemy w nich ironicznych, zjadliwych karykatur rodem z nagłówków prasowych, donoszących o mężczyźnie aresztowanym za rzekome naprawianie samochodów przy pomocy plasteliny. Choć trudno także szukać we „Florydzie” zindywidualizowanych, szczegółowo dookreślonych postaci jako kontrwizerunków dla krzywdzącego stereotypu.

W 11 opowiadaniach postaci są często bezimienne, określają je role życiowe (matki, siostry, samotne kobiety) i geografia miejsca z jego szczególnymi

właściwościami przyrodniczo-klimatycznymi. Tak jest choćby w przypadku bohaterki otwierającego zbiór opowiadania. „Duchy i puste miejsca”, chodzącej po ulicach, by w ten sposób skanalizować swój gniew i wściekłość na życie rodzinne. Jej spacer to dla nas, czytających, okazja do zobaczenia Florydy jej oczami. Przestrzeń staje się tu szczególnym azylem i łącznikiem z innymi, równie osamotnionymi jednostkami. Podczas tych przymusowych wędrówek oczy bohaterki z równą wnikliwością lustrują życie nieznanym sąsiadów, co nieludzki krajobraz, tętniący życiem roślin, ptaków i innych zwierząt, wyróżniających się osobliwymi zachowaniami i rytuałami. Północna Floryda jest tu miejscem zrównującym byty, niwelującym gatunkowe hierarchie, które okazują się nieważne w obliczu radykalnej, jednostkowej samotności.

Bo to właśnie samotność jest głównym żywiołem łączącym wszystkich bohaterów i bohaterki „Florydy”, choć jej poszczególne realizacje zależą od zróżnicowanych właściwości klimatycznych tego miejsca. Groff nie tylko problematy-

zuje antropocentryczny punkt widzenia na świat, ale tworzy również niezwykle katalog typów społecznej hierarchii i odpowiadających im rodzajów osamotnienia. W doskonałym opowiadaniu „W wymyślonych kątach okrągłej Ziemi”, nawiązującym do sonetu Johna Donne’a nie tylko tytułem, ale i symbolicznymi motywami, mitologiczna historia życia Jude’a uzupełniona jest o diagnozę różnic społecznych, wynikających właśnie z warunków naturalnych. Wszak klimat Florydy jest bezlitosny – na jego złagodzenie mogą pozwolić sobie wyłącznie bogaci, których stać na zakup klimatyzacji.

Skuteczność literackich portretów Lauren Groff polega na wyważeniu między uniwersalizacją postaci i nadaniem im, także w języku (co jest zasługą wspaniałego przekładu Dobromiły Jankowskiej), pewnej ekscentryczności; wyważeniu między dojmującą samotnością a wcale nie beznadziejnymi próbami jej osławiania i łagodzenia. Dzięki temu 11 historii opiera się parabolizacji, a ich bohaterów i bohaterki trudno ostatecznie zamknąć w abstrakcyjnych formułach „każdego” i „każdej”. To w dużej mierze zasługa pisarskiej empatii wobec wycinka rzeczywistości o nazwie „Floryda”. Osobliwego, ale nie egzotycznego, o którym chce się słuchać więcej, niż oferują sensacyjne i plotkarskie doniesienia. ©

■ Problem w tym, że Florydy nie da się oglądać z bezpiecznego dystansu, bo to miejsce inwazyjne, duszne, oplatające dzikością, z którego można uwolnić się jedynie przenosząc się gdzie indziej.



• Lauren Groff
FLORYDA
przeł. Dobromiła
Jankowska
Pauza
Warszawa 2019

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 14/2019

**ODNALEZIONE
W TŁUMACZENIU**

Redakcja: MICHAŁ SOWIŃSKI

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Zamieszkać w podróży

MAGDA HEYDEL

Przekład literatury to przestrzeń, w której stawką komunikacyjnej gry nie jest skuteczność i wydajność, ale coś znacznie istotniejszego – spotkania mimo różnic i trudności, zwłaszcza jeśli są one duże.

Charlie Marlow, ulubiony narrator Conrada, w jednej z tych swoich niekończących się opowieści, tych, co to nie mają konkluzji ani twardego jądra, a zobaczyć je można tylko jako opar oświetlony blaskiem księżyca, wraca pamięcią do swojej pierwszej podróży na stanowisku oficera na starym, rozlatującym się brygu „Judea”. Pedantycznie opisuje kolejne awarie, przecieki, zapłony, wreszcie i zakończony pożarem statku wybuch, który miał ostatecznie pogrzebać nadzieje na dotarcie do wymarzonego Bangkoku. A jak mantrę powtarza dwa westchnienia: „ach, młodość!” oraz: „Wschód!”.

„Pamiętajcie, miałem dwadzieścia lat, po raz pierwszy w randze drugiego oficera, a Wschód czekał na mnie” – z lekką ironią, ale i nie bez dumy, Marlow rysuje portret siebie samego w wieku niewinności. Wschód czeka na ambitnego, wykształconego młodego Brytyjczyka, przedstawiciela rasy zdobywców, który pokona każdą przeszkodę, zaryzykuje każde niebezpieczeństwo i nie straci wiary w to, że dotrze do celu, choćby wiosłując resztką sił, w szalupie z zaimprovizowanym żaglem. Młody Marlow naiwnie ekscytuje się Wschodem „wonnym jak kwiat, cichym jak śmierć, ciemnym jak grób”, ale opowiadający nam o tym doświadczony marynarz wie, że to było piękne uproszczenie i niebezpieczne uroszczenie.

„Poznałem fascynującą siłę Wschodu – powiada bohater Conrada, który ma już za sobą rejsy po Azji Południowo-Wschodniej, a także Afryce Środkowej – widziałem tajemnicze wybrzeża, spokojną wodę, krainy brązowych narodów, gdzie podstępna nemezis czai się, ściga, wyprzedza tak wielu z rasy zdobywców, szcycącej się swą mądrością, wiedzą i siłą”. Conradskie narracje podważają baśniowe wyobrażenia tych, którzy czują się w prawie, by szukając wzruszeń i przeżyć posługiwać się Wschodem jako tłem dla wła-

snych scenariuszy. Podróż na Wschód, daleki czy bliski, nie jest spełnieniem rojeń o egzotyce, lecz spotkaniem z innością naturalną a nieoczekiwaną – z prawdziwym, skomplikowanym światem, w którym żyją ludzie z krwi i kości.

„*West the best, East the beast*” – tą zgrabną formułką posłużył się parę lat temu Norman Davies, opisując stereotypowe postrzeganie Wschodu – bynajmniej nie tego dalekiego, lecz właśnie ojczyzny Conrada, który, patrząc z perspektywy tzw. starego Zachodu, sam był przecież przybyszem ze wschodnich rubieży naszego maleńkiego kontynentu. Sprawdzając się nie tylko w odniesieniu do stosunków europejskich upraszczająca generalizacja, która szerokim gestem rozgarnia rzeczywistość na dwie strony – tu u nas jest cywilizacja, ład i racjonalizm, tam u nich jest egzotyka, chaos i (być może) duchowość – zapewnia komfort uporządkowania sobie skomplikowanego i trudnego do pojęcia świata, a zarazem uniwersalny klucz do zamykania umysłu. Za wschodnią granicę wygodnie jest eksportować wszystko to, czego u siebie nie chcemy, bo burzy dobre samopoczucie mieszkańców jasnego, racjonalnego i postępowego Zachodu, nie pasuje do wyobrażenia siebie samych, które hołubimy. Na ów stworzony na własne potrzeby Wschód łatwo narzucić siatkę swoich kategorii, przy pomocy których oswaja się to, co inne, więc nieoczywiste, blokując sobie jednocześnie możliwość zrozumienia, spojrzenia z innej, nieoczywistej perspektywy. A na koniec, wsiadając do powrotnego samolotu, można komfortowo potwierdzić własne przekonania i z satysfakcją poklepać się samemu po plecach: no u nas coś takiego by się na pewno nie mogło zdarzyć...

Z podróżą nierozzerwalnie związana jest jej odwrotność: bycie u nas, na miejscu. Podróż zachęca do zadawania pytań, co to znaczy „być u siebie”, jak to jest być „u nas”? Stabilne zbiorowe istnienie

w określonym miejscu domaga się prze-myślenia. Jednoznaczność zakorzenienia i pewna stałość to przecież iluzja: ruch ludzi, towarów i idei jest wszechobecny, co więcej – każde stabilne miejsce ruchowi właśnie zawdzięcza tożsamość i żywotność. Brak dopływu, izolacja i szczelne granice nie wspierają rozwoju miejsc; przeciwnie, będąc zwykle efektem działania jakiegoś rodzaju władzy totalitarnej, skazują je na zastyganie w sztywnych formach, podporządkowują gotowym wzorcom, zabraniają zadawać pytania o siebie, przekreślając próby zrozumienia samych siebie.

James Clifford w książce „*Routes. Travel and Translation in the Late 20th Century*” powiada, że pytanie „Skąd jesteś?” („*Where are you from?*”) należałoby zastąpić pytaniem „Pomiędzy czym jesteś?” („*Where are you between?*”), by uchwycić specyfikę owej uniwersalnej kondycji naszych czasów, którą określa mianem „zamieszkania w podróży” czy „podróżnym zamieszkaniem”. Podróż – daleka od triumfalnie ekstatycznej wyprawy młodego Marlowa, ale także od pozbawionej odpowiedzialności podróży wygodnickiego turysty, często wymuszona, ratująca życie, będąca ostatnią nadzieją albo wyrazem odwagi i desperackiej gotowości do podjęcia wyzwań – jest codziennym doświadczeniem ludzi na całym świecie. Nie da się już, twierdzi Clifford, rozdzielać od siebie uprzywilejowanych podróżnych-kosmopolitów i osiadłej zwyczajnej reszty. Oznaczałoby to nałożenie na oczy kłapek jednej, uproszczonej ideologii podróży. Każde miejsce, nawet jeśli jest domem, miejscem „u siebie”, bardziej niż punktem startowym lub docelowym, okazuje się przystankiem w drodze, a kategorie „u nas” i „u nich” podlegają relatywizacji, hybrydyzacji i podważeniu. Granice nie są już po prostu ściśle wyznaczonymi liniami fizycznego podziątku. To raczej pogranicza, obszary współistnienia, wcale nie marginalne, lecz umiejscowione często w samym wyobrażonym centrum.



HERMANN ERBER / BEW

Obszarami pogranicznymi są wielkie miasta globalnego świata, obozy dla uchodźców, szlaki migracji i ruchu turystycznego, ale także każde najmniejsze nawet miejsce, do którego dociera internet. Wszędzie następuje wymiana, rozmowa, przekład.

Pograniczność, hybrydyczność, relatywność – te słowa coraz częściej pojawiają się w odniesieniu do przekładu, który w epoce globalizacji i migracji jest wszechobecną i niezbędną praktyką. Nie sposób rozważać przekładu po prostu w kategoriach operacji językowej, polegającej na przeniesieniu idei oraz słów z jednego miejsca w drugie, z jednego języka do drugiego. Tak rozumiany staje się raczej narzędziem oddzielania, utwierdzania i wzmacniania podziału, a nie punktem możliwego, choć niepewnego, porozumienia. Podróż to jedna z dawnych i popularnych metafor przekładu, ale posługując się nią warto zachować czujność, bo metafory nie są niewinne, kryją w sobie ideologię. Klasyczna opozycja: czy autora przyprowadzić do czytelnika, czy raczej czytelnika wysłać w podróż do autora („Czy tłumacz to biuro podróży?” – zapytał ktoś ostatnio w trakcie dyskusji o tłumaczach), jest znakomitą ilustracją takiego dualistycznego i opozycyjnego myślenia. Trudno się z tego dwudzielnego schematu wypłatać, ale właśnie przekład domaga się tego najbardziej i pomaga w tym zadaniu jak mało co.

Rzecz nie w tym, by dokonywać zmiany metafor na efektowniejsze, lecz by lepiej

zrozumieć, co się za sprawą przekładu wydarza. Tłumaczenie, a w istocie jego twórcy, tłumacze, ludzie „zamieszkali w podróży”, nie mogą opowiedzieć się po którejś ze stron granicy, bo nie są „skądś”, lecz „pomiędzy”. Znajdują się w sferze pogranicznej czy raczej to sfera pograniczna znajduje się w nich, niosą ją ze sobą i w sobie. W praktyce przekładu do głosu dochodzi nieoczywistość komunikacji, następuje spowolnienie i komplikacja porozumiewania. Rozmowa z udziałem tłumacza trwa dłużej, jest bardziej wymagająca. Przekład podkreśla istnienie różnicy, a jednocześnie zaburza iluzoryczne przekonanie o samowystarczalności monokultur z obu stron granicy. W pejzażu dźwiękowym wielojęzycznego świata, w którym żyjemy, równoległe rozbrzmiewają rozmowy w wielu językach, warto się jednak wsłuchiwać w próby ich zbliżenia, uwspólnienia, które stają się zaczątkami nowych, obiecujących konwersacji. To właśnie miejsca przekładu, punkty w pogranicznej, hybrydowej sferze „pomiędzy”, gdzie zawiesza się oczywistość, podejmuje negocjacje, szuka się porozumienia.

Przekład literatury to przestrzeń, w której stawką komunikacyjnej gry nie jest skuteczność i wydajność, ale coś znacznie istotniejszego – spotkania mimo różnic i trudności, zwłaszcza jeśli są one duże. Tłumaczami są także pisarze-podróżnicy, ich książki to przekłady *par excellence*, zawierające oczywistość komunikacji za-

pisy „zamieszkania w podróży”. Bywają bardzo odmienne, zależne od trasy, środka transportu, celu (lub jego braku), temperamentu podróżnika, stylu pisarstwa oraz przyświecającej mu (lub go zaciemniającej) ideologii. Jeśli jednak, nie popadając w nadmierną generalizację, szukać cech wspólnych nowoczesnego podróżopisarstwa, to może dałoby się je ująć podobnie, jak ujmuje się istotę przekładu w kulturze: jako gotowość, by próbując podjąć rozmowę z tym, co dalekie, spojrzeć z dystansu także na siebie, wyzbywając się pewności co do własnej autodefinicji, ryzykując rezygnację z przewagi w spotkaniu albo z młodzieńczej naiwności godnej dwudziestoletniego Marlowa. Przekład, tak samo jak daleka podróż, wymaga wyjścia ze strefy komfortu, nie obiecując bynajmniej, że będzie wejściem w krainę łagodności. ©

MAGDA HEYDEL (ur. 1969) jest historyczką literatury i tłumaczką. Kieruje redakcją pisma „Przekładaniec”. Wykłada przekładoznawstwo na UJ.

4. edycja Gdańskich Spotkań Literackich „Odnalezione w tłumaczeniu” odbędzie się 11-13 kwietnia. Program dostępny jest na: www.odnalezionewtłumaczeniu.pl.

Wstęp na wszystkie wydarzenia jest bezpłatny.

**instytut
kultury
miejskiej**

GDANSK
miasto wolności

Nagroda Prezydenta Miasta Gdańska

NOMINOWANI



■ **Ben Fountain**
DŁUGI MARSZ W POŁOWIE MECZU
przeł. Tomasz Gałązka
Czarne, Wołowiec 2017

Brawurowy przekład książki, która zdobyła najważniejsze amerykańskie nagrody literackie. Ośmiu żołnierzy z grupy Bravo ocalało z wymiany ognia z irackimi bojownikami. Teraz jako bohaterowie narodowi odbywają *tournée* po całym kraju, aby przekonać rodaków do dalszego prowadzenia wojny – w Święto Dziękczynienia mają być gośćmi drużyny futbolowej Dallas Cowboys i wystąpić w przerwie meczu. Powieść Fountaina to karkołomne spiętrzenie amerykańskości: mieszka się w niej język futbolu, Teksasu, erotyki i militarnego etosu. Tłumacz wziął na siebie zadanie wynalezienia (albo po prostu stworzenia) w polszczyźnie warunków poznania współczesnej Ameryki wyłaniającej się z krytycznego oglądu i zderzenia języków.

TOMASZ GAŁĄZKA jest z wykształcenia historykiem. Z polskiego na angielski tłumaczył prace historyczne o dziejach i Zagładzie Żydów polskich, z angielskiego na polski około dwudziestu powieści i pozycji z literatury faktu oraz ponad sto opowiadań, w tym utwory Raya Bradbury'ego, Arthura Machena, Joe R. Lansdale'a, George'a Pelecanosa, Edith Nesbit, Newtona Thornburga, George'a V. Higginsa czy Neala Stephensona.



■ **Elfriede Jelinek**
RECHNITZ. ANIOŁ ZAGŁADY
przeł. Monika Muskała
Korporacja Ha!art
Kraków 2017

Dramat „Rechnitz. Anioł Zagłady” Elfriede Jelinek, będący częścią książki „Między Placem Bohaterów a Rechnitz. Austriackie rozliczenia”, opowiada autentyczną historię z czasu II wojny światowej. Pisarka upomina

się o pomordowanych w masakrze w Rechnitz robotników przymusowych, w większości węgierskich Żydów. Dramat zapisany jest w formie jednolitego monologu, bez podziału na role – można go uznać za poemat lub monolog poetycki. Jak objaśnia tłumaczka, mowę postaci i wewnętrzną dramaturgię wyłonić trzeba było z magmy językowej, w której postaci są zanurzone. Trudność tłumaczenia polegała m.in. na językowym ukonstytuowaniu postaci, bez naruszania ograniczoności zdialogizowanego horyzontalnie i wertykalnie poematu.

MONIKA MUSKAŁA jest tłumaczką literatury niemieckojęzycznej i dramatopisarką. Od 1993 r. mieszka w Austrii. Tłumaczy głównie współczesnych autorów, takich jak Thomas Bernhard, Werner Schwab, Heiner Müller, ale i klasyków jak Friedrich Schiller, Frank Wedekind, Ödön von Horváth. Z Gabriellą Muskałą napisała trzy sztuki pod pseudonimem Amanita Muskaria.



■ **Marcel Proust**
W POSZUKIWANIU UTRACONEGO CZASU. W STRONĘ SWANNA
przeł. Krystyna Rodowska
Officyna, Łódź 2018

Pierwszy z siedmiu tomów ponadczasowego arcydzieła Marcela Prousta. Dotąd był w polszczyźnie obecny dzięki przekładowi Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Krystyna Rodowska zaznacza, że tłumacz podejmujący się nowej interpretacji, jaką jest każde tłumaczenie wybitnego utworu z przeszłości, choćby nie tak dalekiej, musi być przygotowany na nieustający dialog języków: oryginału i języka docelowego, a także na dialog kontekstów kulturowych, w których każdy z tych języków jest zanurzony. Nowy przekład stanowi więc wyzwanie i przedstawia się jako skomplikowana, czasem też ryzykowna materia wyborów.

KRYSZYNA RODOWSKA jest poetką, tłumaczką literatury francuskiej i iberoamerykańskiej, przede wszystkim poezji, a także krytyczką i eseistką. Opublikowała osiem książek poetyckich, jej wiersze przetłumaczone zostały na

jedenaście języków. Biuro Literackie wydało w latach 2008 i 2011 jej dwie obszerne antologie osobiste – poetów francuskich i latynoamerykańskich. W 1996 r. otrzymała Nagrodę „Literatury na Świecie” za przekład powieści Jeana Geneta „Ceremonie żałobne”.



■ **Péter Nadas**
PAMIĘĆ
przeł. Elżbieta Sobolewska
Biuro Literackie
Stronie Śląskie 2017

„Pamięć” to monumentalna i legendarna powieść węgierskiego pisarza Pétera Nádas. Przetłumaczona już prawie na wszystkie europejskie języki, trafia do rąk polskiego czytelnika ponad 30 lat po swojej premierze. Nadas jest od lat nie tylko wymieniany jako kandydat do literackiej Nagrody Nobla, ale też cieszy się opinią jednego z największych innowatorów współczesnej prozy węgierskiej. W „Pamięci” przedstawia losy pokolenia dorastającego w latach 50. i powraca do największych traum węgierskiej historii: stalinizmu i dramatu powstania 1956 roku.

ELŻBIETA SOBOLEWSKA jest absolwentką hungarystyki, tłumaczką i popularyzatorką literatury węgierskiej, redaktorką. Tłumaczyła m.in. dzieła László Krasznahorkaiego, Imre Kertésza i Pétera Esterházyego. Publikowała na temat literatury węgierskiej w „Literaturze na Świecie”, „Nowych Książkach” czy „Gazecie Wyborczej”. Laureatka Nagrody im. Miłana Fústa za całokształt pracy translatorskiej.



■ **Elizabeth Bishop**
SANTARÉM
przeł. Andrzej Sosnowski
Biuro Literackie
Stronie Śląskie 2018

Zbiór „Santarém” z obszernym posłowiem tłumacza Andrzeja Sosnowskiego przybliży polskim czytelnikom twórczość jednej

za twórczość translatorską im. T. Boya-Żeleńskiego

z najważniejszych postaci amerykańskiej literatury. Wiersze i trzy małe prozy Bishop w przekładzie Andrzeja Sosnowskiego zasadniczo różnią się od tych, które przyswoił polszczyźnie Stanisław Barańczak. Sosnowski reprezentuje zgoła inną formację poetycko-translatorską, uwypukla odmienne płaszczyzny znaczeniowe, inny jest też kontekst, w jakim dzisiaj – po 20 latach – powraca amerykańska poetka.

ANDRZEJ SOSNOWSKI jest poetą, prozaikiem, tłumaczem, a także wykładowcą literatury amerykańskiej. Laureat m.in. Nagrody im. Kościelskich, Nagrody Literackiej Gdynia, Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” i nagrody miesięcznika „Odra”. Redaktor „Literatury na Świecie”. Tłumaczył m.in. takich autorów, jak Ezra Pound, John Ashbery, John Cage, Ronald Firbank, Edmund White i Harry Mathews.



■ **Sándor Márai**
DZIENNIK 1949–1956;
DZIENNIK 1957–1966
przeł. Teresa Worowska
Czytelnik, Warszawa 2017 i 2018

Rozszerzony wybór z dzienników Sándora Máraiego, jednego z najwybitniejszych pisarzy węgierskich XX wieku, pełen jest wnikliwych zapisków o otaczającym go świecie, społeczeństwie, kulturze i sztuce. Także amerykańskiej, gdyż pisarz wyemigrował do Stanów w 1952 r. Teresa Worowska z wyczuwalną przyjemnością przenika język Máraiego, zważając na jego obrazowanie i rytm, by ze swobodą ukazać i przekazać polskiemu czytelnikowi bogactwo myśli, refleksji oraz emocji pisarza wobec otaczającej go zmiennej rzeczywistości; by przedstawić los człowieka, który wraz z bliskimi traci

kulturową i geograficzną ojczyznę – zarówno Węgry, jak i Europę – a także, by pokazać niedole emigracyjnego pisarza.

TERESA WOROWSKA to hungarystka i tłumaczka z języka węgierskiego, doktor literaturoznawstwa. Przetłoczyła utwory m.in. Sándora Máraiego, Petera Esterházyego, Gyuli Krúdyego, Ágnes Nemes Nagy i Dezső Kosztolányiego. Za twórczość translatorską otrzymała nagrody „Literatury na Świecie”, „Zeszytów Literackich” i polskiego PEN Clubu.



■ **Djuna Barnes**
OŚTĘPY NOCY
przeł. Marcin Szuster
Ossolineum
Wrocław 2018

Polski przekład książki Djuny Barnes z 1936 r. to literackie wydarzenie. Jej tematem centralnym jest nieheteronormatywna seksualność – etykieta literatury lesbijskiej zepchnęła książkę na margines modernistycznego pisarstwa. Świat Barnes to jednak sam środek modernizmu: uwrażliwienie na język, komplikacje doświadczeń i form komunikacji. Zdaniem tłumacza główną rolę w utworze odgrywa język: „gesty, nieprzejrzyste, bogaty leksykalnie i kapryśny składniowo, pełen kalamburów, obsesyjnie wielogłosowy, perfidnie wyrafinowany, niekiedy hipnotyczny i transowy”.

MARCIN SZUSTER jest z wykształcenia filozofem i amerykanistą. Od 2006 r. sekretarz redakcji „Literatury na Świecie”. Przetłoczył m.in. „Lęk przed wpływem” Harolda Blooma (z Agatą Bielik-Robson), „Co na kolację” oraz „Alfreda i Ginewrę” Jamesa Schuylera, a także takich autorów jak John Ashbery, William S. Burroughs, Henry Green, John Keats, Paul de Man, Walter Pater czy Edward Said. Współredaktor antologii „Reprezentacje Holokaustu”. Píše na tematy związane z przekładem. ©®

LAUREATKA



RENATA DĄBROWSKA / MAT. PRAS.

MAŁGORZATA ŁUKASIEWICZ
LAUREATKA NAGRODY ZA CAŁOKSZTAŁT TWÓRCZOŚCI TRANSLATORSKIEJ

Urodziła się w 1948 r. w Warszawie. Studiowała lingwistykę i filozofię, początkowo jej zainteresowania

kierowały się w stronę literatury francuskiej, szybko jednak zwyciężyła kultura niemiecka. Jest jedną z najwybitniejszych polskich tłumaczek filozofii i literatury niemieckojęzycznej, a także eseistką i krytyczką literacką. Wprowadziła do polszczyzny m.in. dzieła Hansa Georga Gadamera, Jürgena Habermasa, Theodora W. Adorna, Maksa Horkheimer, Friedricha Nietzschego, Richarda Wagnera, Heinricha Bölla, Hermanna Hessego, Patryka Süskinda i W.G. Sebald. Małgorzata Łukasiewicz jest także najważniejszą w Polsce tłumaczką Roberta Walsera. Poświęciła mu w 1990 r. monografię zatytułowaną „Robert Walser”. Opublikowała również kilka książek eseistycznych o translatoryce i literaturze nie tylko niemieckiej: „Rubryka pod różą” (2007), „Jak zostać artystą. Na przykładzie Thomasa Manna” (2011), „Dziwna rzecz – pisanie” (2012) i „Pięć razy o przekładzie” (2017). Członkini kapituły Nagrody Literackiej Gdynia w latach 2006-18.

Za swoją działalność translatorską i popularyzatorską Małgorzata Łukasiewicz została wyróżniona wieloma polskimi i zagranicznymi nagrodami – jest laureatką m.in. Nagrody „Literatury na Świecie”, PEN Clubu, „Zeszytów Literackich” im. Pawła Hertz, Nagrody im. Kazimierza Wyki, Nagrody im. Hermanna Hessego czy Nagrody Polsko-Niemieckiej. Jej przekłady są wysoko cenione przede wszystkim ze względu na wierne, plastyczne oddanie przekazywanego sensu i erudycyjność. Jej zdaniem dobry przekład to taki, „w którym widać, że nie ślizgamy się po wierzchu, tylko wnikamy w materię danego tekstu, jakakolwiek by ona była”. W wywiadzie z Zofią Zaleską, opublikowanym w tomie „Przejęzyczenie. Rozmowy o przekładzie”, mówiła o swojej pracy: „Może przemawia przede mną cechowa zarozumiałość, ale gotowa jestem się upierać, że tłumaczenie to królewską drogą, najbardziej obiecujący sposób obcowania z literaturą”. ©®

Książki w pigułce

Wolałaby nie

Konbini to japońska sieć całodobowych sklepów spożywczych. Keiko Furukura ma 36 lat i przez całe swoje dorosłe życie pracuje dorywczo w jednym z nich. Rodzina i nieliczni znajomi nie mogą tego pojąć – dlaczego nie znajdzie sobie normalnej pracy? Jak to możliwe, że wciąż nie ma męża, własnego mieszkania? Czemu nie żyje normalnie, jak inni? Keiko nie potrafi odpowiedzieć na żadne z powyższych pytań. Wie tylko, że Konbini zapewnia jej spokój i bezpieczeństwo – ab-

solutne życiowe minimum, które jej jednak w zupełności wystarcza. Więcej – daje szczęście, którego naturę zrozumieć mogliby jedynie jej odlegli kuzyni: kopista Bartleby i podobni mu odszczepieńcy, dobrowolnie zrzekający się swoich udziałów w rzeczywistości. Ten obsceniczny skandal nie może jednak trwać w nieskończoność – świat, choć z opóźnieniem, upomni się o Keiko. Wszak wiemy od Melville'a, że nie można bezkarnie mówić, że wolałoby się nie.

© P MICHAŁ SOWIŃSKI



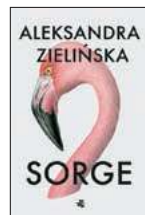
■ **Sayaka Murata**
DZIEWCZYNA Z KONBINI
przeł. Dariusz Łatoś
Wydawnictwo Uniwersytetu
Jagiellońskiego
Kraków 2019

Sorge znaczy kłopot

Powieść Aleksandry Zielińskiej tworzą przeplatające się historie trzech kobiet – Adeli, Tuli i „dziewczyny” – które poza miejscem zamieszkania łączy traumatyczne doświadczenie utraty. Przekłada się ono na relacje mieszkańców całego, naznaczonego tragiczną historią miasteczka Sorge (z niemieckiego: niepokój, zmartwienie). Odkłada się również w ciałach bohaterek, a wielopoziomowość tego smutku odpowiada wielopiętrowości narracji. Powieść zbudowana jest z motywów, które

znamy już z twórczości Zielińskiej – to napięcie, podszyte lękiem i urazą relacje rodzinne oraz pokazane w dużym zbliżeniu fizjologiczne aspekty cielesności. O ile jednak w poprzednich książkach udało się autorce rozpiąć je na intrygujący materiał literacki, w którym chłodny, precyzyjny język powoli sączył kipiące pod jego powierzchnią emocje, to teraz wyszło na odwrót. Z przegadanego „Sorge”, mimo świetnie zgranych postaci, napięcie ulatuje zbyt szybko.

© P MONIKA OCHĘDOWSKA



■ **Aleksandra Zielińska**
SORGE
W.A.B.
Warszawa 2019

Światłoczułość słowa

W jednym z zebranych w tomie mikroesejów Claudio Magris pisze: „Tak jak mała próbka pobranego materiału może ujawnić w histologicznym badaniu ogólny stan zdrowia danej osoby, tak być może również część strony lub tablicy (...) może oddać prawdziwy stan rzeczy”. Jednak miniatury włoskiego autora nie mają aspiracji do zaprezentowania ostatecznej prawdy, z rozmysłem skupione są na drobnych fenomenach i pojedynczych wydarzeniach, skojarzeniach wywołanych naj-

banalniejszymi czynnościami. 48 uporządkowanych chronologicznie zapisów z lat 1999–2016 przypominają notatki na serwetkach, albo posty na Facebooku. Choć dotyczą tematów odległych, razem składają się na interesującą podróż przez współczesność, widzianą oczami wybitnego intelektualisty i akademika – niemalą rolę odgrywa w niej umiejętność przeplatania ironii z czułością wobec świata w jego najdrobniejszych przejawach.

© A ALEKSANDRA WOJTASZEK



■ **Claudio Magris**
MIGAWKI
przeł. Joanna Ugniewska
Wydawnictwo Literackie
Kraków 2019

Zaleje wszystko

Gdynia – miasto ucieleśniające marzenie o nowoczesnym porządku – w latach 30. przypominała bardziej błotnisty plac budowy niż spełniony sen Le Corbusiera. 1/3 przedwojennych mieszkańców żyła w dziko budowanych osiedlach, domkach często stawianych przez jedną noc. Takich miejsc już prawie nie ma – wyjątkiem jest Pekin, który Salcia Hałas opisuje w swojej balladzie. To opowieść o trzech kobietach, które próbują żyć, mimo że ciąży nad nimi widmo eksmi-

sji, jako że Pekin zaraz zniknie rozjechany przez koparki. W tej opowieści o końcu świata, gdzie język Masłowskiej spotyka się z metafizyką Rymkiewicza (sprzed tupolewa oczywiście), rzeczywistość ulega systematycznemu wymazywaniu. Korzenie świata podmyte przez wodę z przeciętej rury (subtelne zagrywki dewelopera) zaczynają gnić, infekując rozkładem i rozpaczą wszystko dookoła. Skąd wziąć nadzieję, skoro nawet kwiaty straciły zapach?

© P MICHAŁ SOWIŃSKI



■ **Salcia Hałas**
POTOP
W.A.B.
Warszawa 2019

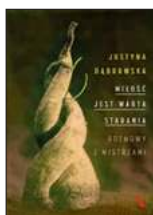
Książki w pigułce

Radość przemijania

Sztuką nie jest wyłącznie postawienie celnego pytania, lecz doprowadzenie do sytuacji, w której rozmówca udziela uczciwej odpowiedzi. Tym bardziej jest to trudne, kiedy kwestie dotyczą spraw delikatnych – starzenia, cielesności, emocji... Justyna Dąbrowska w „Miłość jest warta starania” wywiady prowadzi z osobami co najmniej po siedemdziesiątce, które nie muszą już nic nikomu udowadniać, ścigać się z ambicjami, pielęgnować

społecznej pozycji; słowem – mogą mówić „wszystko, co pomyśli głowa”. W tej książce o smakowaniu życia na każdym jego etapie i profitach płynących z przemijania opowiadają m.in. Kazimierz Kutz, Wanda Wilkomirska, Krystyna Starczewska. To jednocześnie zapis stanu świadomości pokolenia, które już odchodzi, a które zachwycę żarliwością w nadawaniu sensu istnieniu.

© KATARZYNA KUBISIOWSKA



■ **Justyna Dąbrowska**
MIŁOŚĆ JEST WARTA STARANIA.
ROZMOWY Z MISTRZAMI.
z fotografiami Mikołaja Grynberga
Agora, Warszawa 2019

Nie ma nic, tylko las

Opowieść Moniki Sznajderman o Beskidzie Niskim otwiera wspomnienie jednej z najmroźniejszych zim. „Przy trzydziestu czterech stopniach na minusie studnia zamrzła – czytamy – długo rozbijałam niewidoczną w głębi, twardą taflę, rzucając w nią kamieniami. W ciszy pękały od mrozu drzewa w lesie i słychać było te kamienie, odbijające się od lodu”. To było jeszcze w Łosiu, starej wsi nad Ropą. Ale prawdziwym bohaterem książki jest Wołowiec i jego dawni mieszkańcy, o których Sznaj-

derman upomina się równie wytrwale, jak o wodę z zamrażniętej studni. Studiując stare parafialne księgi, dzienniki i prasę przywołuje tych, którzy zabrały epidemie, pogromy i fale emigracji. Z imienia i nazwiska wymienia sąsiadów, którzy zginęli w Zagładzie. Beskid Niski to „świat osieroconego krajobrazu”, ale też polski Teksas – to tu pod koniec XIX w. wybuchła gorączka czarnego złota. Boleśna, fascynująca, niezwykle zmysłowa lektura.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA



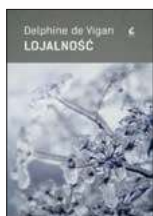
■ **Monika Sznajderman**
PUSTY LAS
Czarne
Wołowiec 2019

Portrecistka frustracji

Opowieść Delphine de Vigan to kameralny dramat rozpisany na kilka głosów. Oś fabuły jest banalna – oto dwóch nastolatków odkrywa zakazane uroki picia alkoholu. Po jakimś czasie zaczyna to budzić obawy ich nauczycielki, która, porzucając profesjonalny dystans, angażuje się coraz mocniej w ich życie. Sprawa szybko jednak wymyka się spod kontroli – chłopcy piją na umór, aby uciec przed piekłem rodzinnego życia. Rozwiedzeni, przepełnieni goryczą i zatopieni w depresyjnej beznadziei

rodzice nie są w stanie nawet dostrzec problemu, o śladowej choćby empatii nie wspominając. W krótkich, dynamicznie zmieniających perspektywę rozdziałach autorka kreśli brutalny obraz francuskiej zubożałej klasy średniej, która nie tylko nie potrafi wydobyć się z przytłaczającej szarości swojego życia, ale dodatkowo tę niemoc i brak nadziei reprodukuje w kolejnym pokoleniu. De Vigan wyrasta na czołową portrecistkę lęków i frustracji współczesnego Zachodu.

©© MICHAŁ SOWIŃSKI



■ **Delphine de Vigan**
LOJALNOŚĆ
przeł. Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak
Sonia Draga
Warszawa 2019

Mistrz

Kiedy stary Sándor Márai w 1989 r. zabił się na amerykańskim wygnaniu, nikt poza hungarystami o nim u nas nie słyszał – dziś jego polskie przekłady zajmują sporą półkę. Jest wśród nich powieść „Sindbad powraca do domu” – wspaniała hołd, jaki Márai złożył swojemu literackiemu mistrzowi. Był nim Gyula Krúdy (1878–1933), wielbiony także przez Imre Kertésza. Uczniów dobrze już znamy, o mistrzu wiedzieliśmy niewiele, a dwie wydane po polsku jego książki trafiły

na zły czas. Powinien to zmienić wybór jego opowiadań i felietonów (granice gatunków są tu płynne) w przekładzie dwóch świetnych tłumaczek. Cóż to za proza: liryczna, a zarazem precyzyjna, pełna humoru podszytego makabrą, oniryczna i nasycona erotyką, uwodząca od pierwszego zdania i budująca mikrokosmos, w którym chciałoby się zamieszkać. A Elżbieta Cygielska daje w posłowie barwny portret tego niezwykłego pisarza. Czytajcie Krúdyego!

©© TOMASZ FIAŁKOWSKI



■ **Gyula Krúdy**
MIASTO UŚPIANYCH KOBIET
przeł. Elżbieta Cygielska i Teresa Worowska
Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 2019



Piętnaście tysięcy pęteł, czyli brachygrafia

Nie pamiętam już, który pisarz powiedział, że największym nieszczęściem pisarza jest to, iż myśl frunie, a słowa idą na piechotę. Nawet jeśli nie był to Dostojewski przed spotkaniem Anny Snitkiny, to trafił chłop w dziesiątkę! Odkąd człowiek wymyślił pismo, stara się też wymyślać sposoby przyspieszenia pisania. Do dośnięcia myśli sporo mu jeszcze brakuje, ale można chyba przyjąć, że pismo dogoniło język, kiedy nasze smartfony zaczęły zamieniać głos na znaki. Oczywiście biedzili się nad tym już starożytni Grecy, bo nad czym oni się nie biedzili. Próbowali przyspieszyć akt pisania z dwóch powodów i na dwa sposoby: dla oszczędzenia czasu albo materiału pisarskiego chcieli pisać szybciej albo krócej. Tak powstały tachygrafia, czcigodna poprzedniczka stenografii, oraz blisko z nią spokrewniona brachygrafia – system skróconego zapisu i zarazem sztuka właściwego odczytywania zastosowanych skrótów.

„Że zaś pismo kształtnie kreślone – pisały za pozwoleniem Zwierzchności „Roczniki Towarzystwa Warszawskiego»” w roku 1817 – nie mogło być szybkim, a sztuka Drukarska nie była znaną: w działaniach sądowych, aktowych, tudzież w rękopismach używano pęteł, czyli pewnych znaków, które kilka głosek, całe słowa, a czasem i więcej wyrażały”. Pierwszym kompletnym systemem „pewnych znaków” były tzw. noty tyrońskie stworzone przez Tyrona, niewolnika Cyce-rona wyniesionego do godności osobistego sekretarza i biografę swego cicerone. Tyron wymyślił tych not 5 tysięcy. Zwykle były to początkowe litery słów w połączeniu z dominującą w słowie samogłoską, ewentualnie znakiem diakrytycznym. Słowa szczególnie często występujące, na przykład imiona, oznaczano tylko ich inicjałem. Z czasem not tyrońskich przybywało, w okresie największej popularności było ich 15 tysięcy, a pozostały w użyciu aż do XI w.

ŁATWO SIĘ DOMYŚLIĆ, ŻE 15 TYSIĘCY PĘTEŁ WYMAGAŁO, aby reguły ich stosowania były ścisłe i czytelne. Wszak pismo skrótowe jest rodzajem szyfru. Zaczęto więc tworzyć słowniki skrótów, jakie i dziś są potrzebne, żeby daleko nie szukać, na wstępie dzieł encyklopedycznych. Choćbym się zawiesił na szelkach u sufitu, nie opiszę zachodzących na tym polu procesów lepiej niż Józef Szymański w „Naukach pomocniczych historii”. Obszerne przytoczenie jego słów winno mi być wybaczone tym łatwiej, że ich lektura pobudza wyobraźnię jak próby odcyfrowania tajnych znaków templariuszy znajdowanych przez Pana Samochodzika:

(...) geneza abrewiacji to przede wszystkim starożytna epigrafika, gdzie w inskrypcjach stosowano skrócenia *per suspensionem* (przez zawieszenie) imion i nazw (np. L – Lucius, KAL – Kalendas), a więc

Moje zainteresowania brachygraficzne datują się na przełom lat 60. i 70. ubiegłego stulecia, kiedy w kościele w rodzinnej Szewnie zauważyłem na ścianach inskrypcje zaczynające się skrótem D. O. M.

przez obcięcie wyrazu, z zachowaniem pierwszej lub kilku pierwszych liter. Drugim źródłem były najstarsze rękopisy chrześcijańskie, głównie greckie, w których skróty stosowano przy imionach boskich (*nomina sacra*) bądź z szacunku, bądź dla zachowania tajemnicy. Były to skrócenia *per contractionem* (przez ściągnięcie) i polegały na zachowaniu pierwszej i ostatniej litery wyrazu, czasem i niektórych wewnętrznych. Stąd wywodzą się takie skróty, jak DS – Deus, SPS – Spiritus, IHS – Iesus (...).

W pełnym średniowieczu, a więc w wiekach XIII-XV, system ten został rozbudowany do tego stopnia, że niejednokrotnie bez specjalnych studiów porównawczych odczytanie rękopisu stało się wręcz niemożliwe. (...) Dzisiaj



system budowania skrótów jest taki sam jak w średniowieczu, z przewagą skrótów *per suspensionem* (np. – n.p., mp, itp.) i *per contractionem* (dr, mgr). Również wynalazek druku spowodował ograniczenie znaków umownych (np. § – paragraf, % – procent itp.). Liczniej dochowały się one w krajach anglosaskich, wywodząc się wprost ze średniowiecza, jak np. £ – librum – funt na oznaczenie jednostki pieniężnej, aczkolwiek nie ma ona dzisiaj nic wspólnego ze średniowieczną jednostką monetarną.

(...) zabieg skracania jest zaznaczany znakami nadpisywanymi nad skrącanym wyrazem lub dopisywanymi do skrącanego wyrazu. (...) Zarówno litery nadpisane, jak i znaki symboliczne i znaki wywodzące się z alfabetu łacińskiego obsługują suspensje, jak i kontrakcje, ale w pewnych okresach albo też w określonych regionach lub nawet środowiskach pisarskich rysują się pewne prawidłowości w ich stosowaniu, które badania paleograficzne usiłują rozpoznać i uporządkować. Nie trzeba dodawać, że służą one także dla prowadzenia krytyki zewnętrznej badanego tekstu. Chociaż zainteresowanie abrewiacjami sięga w głąb średniowiecza, dotąd nie wypracowano systemu, który z punktu widzenia dydaktycznego byłby najużyteczniejszy. (...)

Abrewiacja przez ściągnięcie polega na zastąpieniu nadpisany znakami (najczęściej kreską w różnych formach) zgłoszek występujących wewnątrz wyrazu. Jeśli zachowano litery odpowiadające pierwszej i ostatniej zgłosce (np. na – natura, nc – nunc, ds – deus, oi – omni, mr – mater), mówimy o abrewiacji czystej lub regularnej. Jeśli obok pierwszej i ostatniej litery wyrazu zostawiono którąś ze środkowych liter (np. apls – apostolus, pbr – presbyter, aia – anima, occo – occasio, lra – littera, oio – omnino), mówimy o abrewiacji mieszanej lub nieregularnej.

Trzeba dodać, że w książkowym zapisie tych ostatnich dewiacji nad niektórymi literami znajdują się kreski, tworząc znaki, których nikt nie potrafi wycisnąć ze swojego komputera. W dalszej części jest jeszcze ciekawiej, bo pojawiają się znaki coraz bardziej wy-

myślne, ale nie będę ich tu odrysowywał, zainteresowanych odsyłam do książki Szymańskiego. Warto też zajrzeć na stronę <http://dawnepismo.ank.gov.pl/pl/pismo-w-przeszlosci/pismo-w-pigulce/page/0/2>, gdzie znajdziemy bardzo ciekawe i zachowujące oryginalny kształt graficzny przykłady skrótów w formie umożliwiającej sprawdzenie swoich zadatków na deszyfranta. Skarbnicą tajemniczych znaków służących skondensowaniu pisma są zeszyty „Corpus Inscriptionum Poloniae”. We wstępie do jednego z nich Maciej Janik pisał w 1986 r. o sygnalizujących pominięcia kresceczkach, kropceczkach, tyldach i fajeczkach: „Nie sądzimy, aby podnosiły one w jakiś szczególnie sposób wartości estetyczne pisma. Wprost przeciwnie rzecz się ma w przypadku ligatur i enklaw – te znakomicie ożywiają często monotony wyraz plastyczny inskrypcji”.

O TAK, KAMIENIARZE SZYBKO ZAUWAŻYLI, ŻE ZASTOSOWANIE LIGATURY I ENKLAW wzbogaca wizualną stronę wykuwanych tekstów, a przy okazji może też poświadczать ich kunszt. Ligatury to bliźnięta syjamskie liternictwa, tworzą je pary znaków tak często lub tak blisko obok siebie występujących, że normalnie zrastają się ze sobą. Takie zrosty jak powszechne w łacinie zbitki „æ” czy „œ” spotykamy dziś na przykład w nazwach niektórych zespołów uprawiających muzykę dawną, więc hołdujących też dawnym sposobom pisania. Nieco inne jest pochodzenie zrostów z udziałem litery f. Litera ta tak wierzyła wszystkim swoimi kończynami na cztery światy strony, że często wchodziła w kolizję z najbliższymi sąsiadkami. Dla uniknięcia zderzenia f z kropką nad i, zamiast pisać „brachygrafia” można skorzystać z ligatury i napisać „brachygrafia”, podobnie ma się rzecz z ligaturami fl czy ff. A chyba najbardziej dziś znana ligatura to popularna „etka”: &. W angielskim zastępuje trzyliterowe „and”, czyli „i”, i rzeczywiście wciąż można dostrzec w jej kształcie ślady łacińskiego *et* znaczącego właśnie „i”. Ciekawe, że Szkoci i Irlandczycy zamiast angielskiej etki wciąż używają zastępującej *et* noty tyrolskiej, takiej jak gdyby siekierki z zawiniętym trzonkiem rzuconej od prawa do lewa.

Enklawa to z kolei dwie litery, z których drugą zapisano dla oszczędności miejsca w poprzedzającej ją. Tak, w środku! Zatem stosowano enklawy w przypadkach, kiedy po majuskuale mającej w sobie dużo wolnej przestrzeni (C, D, O, Q, U) następowała jakaś niezbyt rozcapierzona minuskuła, możliwa do zmieszczenia we wnętrzu poprzedniczki. Enklawami były więc m.in. znaki symbolizujące dziś prawo autorskie i oryginalność produktu: ©, ®, ®. Pamiętam z dzieciństwa odwrotność enklawy ©, używaną jako rebus, którego rozwiązaniem było słowo „owce”. Czasem upychano jakieś litery pod dachem dużego T, pod wysokim brzuchem P albo w kącie dużego L, i to też były enklawy.

Moje zainteresowania brachygraficzne datują się na przełom lat 60. i 70. ubiegłego stulecia, kiedy w kościele w rodzinnej Szewnie zauważyłem na ścianach inskrypcje zaczynające się skrótem D. O. M. Wyjaśnieniem matuli, że chodzi o demiurga optymalnego i maksymalnego, nie dowierzałem. A kościół w mojej rodzinnej wsi to nie jest taki sobie zwykły kościół, tylko perła baroku →



→ i nic nie szkodzi, że późnego. Słynie licznymi cudami, ale też pewnym nietypowym zabytkiem epigrafiki. W przypadku źle rozplanowanych starodawnych inskrypcji jedną z ich cech jest rosnąca w miarę postępu tekstu ilość zastosowanych skrótów. Po prostu autor napisu za wszelką cenę musiał się zmieścić na powierzchni, którą dysponował.

Kiedy jednak fundator szewnieńskiego kościoła, proboszcz Sebastian Pisulewski, umyślił sobie także upamiętniającą jego własne zasługi inskrypcję, zasług tych było tak wiele i tak się na ich temat autor rozpiął, że całość nie zmieściła się na jednej tablicy. Dlatego Pisulewski nie żałował sobie i ufundował dwie takie tablice, obie zaczynające się od D. O. M., ale inne zasługi wyszczególniające.

W JĘZYKU POLSKIM SKRÓTÓW DOKONYWANO RZADZIEJ, ZE WZGLĘDU NA BRAK „SŁOWNIKÓW” TYCH SKRÓTÓW, ustalonych reguł ich stosowania. Najczęściej stosowany był skrót R. P. dotyczący „roku Pańskiego”. Mówimy o dawnej polszczyźnie, bo jako dział paleografii, brachygrafia zajmuje się tylko dawnymi skrótami, najczęściej ogranicza się do średniowiecznej łaciny. A miałyby co badać, gdyby zechciała się zająć skrótami w języku najnowszym, tymi wszystkimi IMHO, MBSZ, face2face i zmaj się... Osobiście nie mogę się doczekać, kiedy do paleografii zostaną zaliczone teksty stworzone w czasach PRL-u, żeby i do nich móc przyłożyć brachygraficzne oko.

W wolnych chwilach, których jako pisarz mam więcej, niż człowiek jest w stanie wytrzymać, przepisuję z rękopisu w niewiadomym celu powojenne wspomnienia milicjanta. Mam już dużo przepisane i zaprezentuję teraz fragment wybrany ze względu na występujące w nim skrócenie, którego nie udało mi się rozszyfrować. Może ktoś pomoże. „Pracuje w Bepie”, czyli gdzie? Nie wiem nawet, czy była to BEPA, BEP czy może tylko B. P.? O Bezpieczeństwo Publiczne raczej nie chodzi, gdyż budowaniem domów piętrowych chyba się ono nie zajmowało.

W dniu 1 maja 1949 r. wszyscy funkcjonariusze z komisariatów i Komendy Wojewódzkiej wyszliśmy w nowym umundurowaniu zabezpieczać pochód pierwszomajowy, na rynku Kościuszki była ustawiona trybuna honorowa i ulicą Lipową do ulicy Kilińskiego naprzeciw kina Ton przechodził pochód, zaś za kościołem farnym następowało rozwiązanie pochodu. Pierwszy raz w życiu przyszło [mi] zabezpieczać uroczystości pierwszomajowe w wojewódzkim mieście, zaś następnie akademie i zabawy pierwszomajowe. W pochodzie brało [udział] dużo ludzi z zakładów pracy i z okolicznych wsi gospodarze na furach, ładnie wyglądał pochód. W m-cu kwietniu 1949 r. od swych znajomych ustaliłem adres najlepszego kolegi z Milejczyc, który to pracował [w] Gminie jako sekretarzem, ja do niego często chodziłem i dobrze żyliśmy, był nim Tynkiewicz Mikołaj, który to przeniósł się do Białegostoku i pracował w Komitecie Wojewódzkim Stronnictwo Ludowe, a mieszkał na ul. Waryńskiego nr 29 naprzeciw żydowskiej bożnicy. Po ustaleniu jego adresu udałem się do niego w odwiedzin, który to przyjął mnie serdecznie, ucałowaliśmy się jak starzy znajomi i wypiliśmy po symbolicznym kieliszku, tyle lat nie widzieliśmy się z nim po tak trudnych i ciężkich przeżyciach wspólnie w Milejczycach. W rozmowie z nim ustaliłem, że jego brat, który to służył w niemieckiej żandarmerii, również mieszka w Białymstoku i pracuje w Bepie, buduje domy piętrowe, którego to również odwiedziłem. Bardzo dla mnie dziękował, że przeprowadziłem dobrze dochodzenie, że

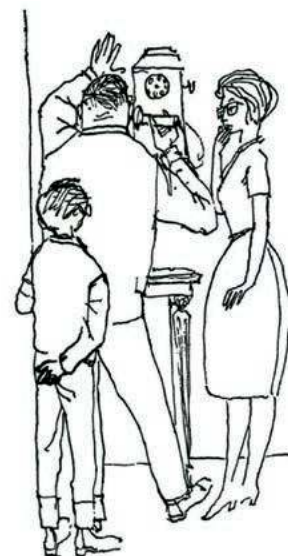
on wyszedł z więzienia na wolność, za co wypiliśmy po tym symbolicznym kieliszku za naszą pomyślność. Obaj bracia mieli żony Rosjanki z ZSSR, z którymi to żyli dobrze, żadnej awantury pomiędzy nimi nie było. Często gdy byłem w Białymstoku rodziny Tynkiewiczów odwiedzałem, nie szukałem sobie innego koleżeństwa. W wolnych chwilach latem w niedzielę ubierałem się po cywili i szłem do cerkwi na ulicy Lipowej, gdzie modliłem się do Boga, prosząc o zdrowie i szczęśliwą służbę w milicji, w tym okresie było surowo zakazane uczęszczać do kościoła i cerkwi, gdy ustalili że ktoś chodzi, groziło zwolnieniem z milicji, to musiałem chodzić skrycie, żeby nikt mnie nie zauważył.

Mój milicjant spisał swoje wspomnienia w latach 70., w kwitującym PRL-u. Wszystko kwitło wtedy wszystkim, a pocziwa polszczyzna kwitła niepospolitą ilością skrótów. Moim zdaniem nadużywanie ich było m.in. konsekwencją nader pospiesznej i pobieżnie przeprowadzonej walki z analfabetyzmem. Po prostu za szybko nauczono wszystkich czytać i pisać. Niedawny niemowa przemówił, i to od razu nowomową. Zdania jego uzyskały niezwykłą rozwlekłość, z którą właśnie skrótami próbował walczyć. Owszem, namnożyło się pleonazmów, dużo się w PRL-u pisało o maśle maślanym, ale nader szybko odkryto m-ło maślane i jego przydatność. Jak w powyższym fragmencie, gdzie mowa o „m-cu kwietniu”. Lektura dokumentów tej epoki bywa o tyle wymagająca, że najwyraźniej uznano wtedy, iż skracać każdy może, i trudno się doszukać rządzących tym skracaniem reguł.

NAJCZĘŚCIEJ SKRACANO „NA WYCZUCIE” SŁOWA SZCZEGÓLNIE DŁUGIE i te, które w danym tekście najczęściej się powtarzały. Mój milicjant nie nastrocza tu wielu problemów, poza m-cami najczęściej skraca licznych d-ców i ich z-ców. Ale w ramotach PRL-u zdarzają się skróty, które niedojrzałego brachygrafa łatwo mogą doprowadzić do bradykardii. Ciekawy przykład błędnie rozszyfrowanego skrótu wypatrzyłem w „Pod kłątą” Joanny Tokarskiej-Bakir.

Choć jest to dzieło monumentalne i dźwigające na swych kartach okazały aparat krytyczny (samyh przypisów prawie 3 tysiące), wśród cytowanych dokumentów znalazł się skrót tak nieprawdopodobny, że nawet rozbudowany aparat krytyczny zaciął się na nim. Autorka cytuje mianowicie raport o pogromie kieleckim sporządzony na gorąco prawdopodobnie przez ks. prof. Mieczysława Żywczyńskiego. W nawiasach kwadratowych skrzętnie zaznacza wszystkie poprawki wniesione do oryginalnego tekstu, najczęściej chodzi tu o skrót „Mil. Obyw.”. Ale nie tylko. „O godz. 14 m[inut] 20 tenże ks. Zelek otrzymał telefon od wiceprokuratora sądu w Kielcach z wezwaniem do interwencji na miejscu wypadków, gdyż na skutek napierania tłumów na wojsko, to ostatnie zmuszone będzie użyć broni”. I trzy zdania dalej: „Wojewoda w rozmowie prosił o interwencję, podając te same motywy, co wyrok [w oryg.: wprok.] sądu”. Ponieważ poza tym miejscem nie ma w cytowanym tekście wzmianki o żadnym wyroku sądowym, postawiłem uszy i mocniej nasunąłem na gałki oczne szkła kontaktowe, co doprowadziło mnie do oczywistego wniosku, że „wprok.”, i to zakończony kropką, nie oznacza wyroku, ale jest wymyślnym skrótem długiego tytułu wiceprokuratora. Niech ten drobny prz. zaśw., że d-ki człowiek uż. skr., d-ty potrz. i użyt. będzie brachygrafia.

© JACEK PODSIADŁO



Ilustracje Zbigniewa Piotrowskiego w książce „Widmo z Głogowego Wzgórza”, wyd. Dwie Siostry

Dobre i pożyteczne



JOANNA OLECH



WIEK: 10+

• Edward Fenton

WIDMO Z GŁOGOWEGO WZGÓRZA

przeł. Irena Tuwim, Dwie Siostry
Warszawa 2019

Dzięki serii „Mistrzowie ilustracji” wydawnictwo Dwie Siostry przywraca bestsellery sprzed półwiecza, co daje szansę na czytelnicze porozumienie międzypokoleniowe. Oto dziadkowie, rodzice i dzieci pochylają się nad jedną lekturą – odświeżoną, ale w znakomitej oprawie graficznej sprzed lat. Tak jest i tym razem. Książka „Widmo z Głogowego Wzgórza” miała amerykańską premierę w roku 1961, a dwa lata później ukazała się w Polsce z ilustracjami Zbigniewa Piotrowskiego (nie mylić z innym znakomitym grafikiem i pisarzem, Mieczysławem Piotrowskim), w tłumaczeniu Ireny Tuwim (!!!). Późniejsze edycje nie

dorównywały klasą pierwszej, toteż słusznie Dwie Siostry wybrały tę najlepszą: czarna, mroczna okładka z odważnym rysunkiem dobrze oddaje klimat tej kryminalnej powieści dla młodych.

Jej narratorem jest 12-letni James. Chłopiec zniechęcony dostaje list od dwojga kuzynów w podobnym wieku, Amandy i Obiego, którzy niedawno przeprowadzili się z rodzicami i młodszą siostrą do domu na pustkowiu. List wzywa Jamesa do rychłego przyjazdu, jako że w nowo nabytym budynku i w jego sąsiedztwie mają miejsce zagadkowe zjawiska. Chłopak za zgodą ojca wsiada do pociągu, aby spędzić weekend z rówieśnikami. Obawy kuzynostwa się potwierdzają: stara posesja, kupiona od kapryśnej i zdziwaczalnej staruszki, ma swoje tajemnice i zdaje się być nawiedzana przez widma. Nowi nabywcy niechętnie przejęli nieruchomość z żywym inwentarzem – zdziczały pies, który należał do poprzedniej właścicielki (zmarłej tuż po transakcji), teraz nie odstępował domu. James przybywa w samą porę – niebawem śnieżycą odcina jedyną drogę dojazdu, wysiada prąd i telefon. Domownicy, wraz ze zrzędliwą gospośią, zostają wydani na pastwę ciemności i mrozu. Wścibska trójka подростков

za dnia penetruje posesję od piwnic po strych. Ich dociekliwość przyniesie owoce – wkrótce zagadka ponurego domostwa zostanie rozwikłana.

Książka ma oldskulowy klimat, jest ciepła i dowcipna. Nie znać po niej upływu czasu, choć metrykę zdradzi niepojęta dla współczesnych dzieci nieobecność telefonów komórkowych, co jednak znakomicie służy gmatwaniu sensacyjnej intrygi.



WIEK: 10+

• Nicolas Vanier

SZKOŁA ŻYCIA

przeł. Matylda Górka
Rebis, Poznań 2019

Kiedy w latach 60. telewizja emitowała czarno-biały serial „Bella i Sebastian”, pustoszały piaskownice i trzepaki.



→ Wszyscy oglądaliśmy przygody obdarzonego niezwykle wdziękiem małego chłopca i jego psa-olbrzyma, śnieżnobiałego owczarka górskiego. Serial był adaptacją powieści Cécile Aubry, a główną rolę dziecięcą zagrał syn autorki. Ubocznym skutkiem popularności serialu był nagły wysyp na rodzimych porodówkach Sebastianów – imię, dotąd rzadkie w Polsce, stało się bardzo modne.

Pół wieku później francuski reżyser i podróżnik Nicolas Vanier dokonał nowej adaptacji książki i nakręcił trzy pełnometrażowe fabuły składające się na trylogię filmową pod tym samym tytułem. Szybko zdyskontował sukces „Belli i Sebastiana” i wkrótce napisał scenariusz kolejnego filmu („L'école buissonnière”) z innym chłopięcym bohaterem, po czym, po kilku niewielkich korektach intrygi, przerobił scenariusz na książkę, która właśnie ukazała się pod polskim tytułem „Szkoła życia”. (*Nota bene* na okładce wydawca bałamutnie przypisał Nicolasowi Vanier autorstwo powieści „Bella i Sebastian”. Co na to – za grobem – Cécile Aubry?)

„Szkoła życia” to dobra książka i obroni się nawet bez mylącego marketingu. Opisuje losy 11-letniego Paula, pólseroty, którego matka zmarła w połogu. Są lata 20., Francja dochodzi do siebie po Wielkiej Wojnie. Chłopiec, dorastający na przedmieściach Paryża, jest wątpliwym jedynakiem i nie zna innego życia niż w murach miasta. Któregoś dnia ojciec Paula, pracownik kolei, otrzymuje polecenie służbowego wyjazdu na kilkumiesięczny pobyt w Algierii. Nie mając z kim zostawić syna, powierza go opiece Célestine, niani swojej zmarłej żony, która służy we dworze na francuskiej prowincji. Z niezrozumiałego dla Paula powodu niania obdarza chłopca fałszywym nazwiskiem i nawet przed własnym mężem, łowczym, kłamie na temat pochodzenia 11-latka.

Nieśmiały mały paryżanin staje się obiektem kpin dzieci wiejskich i złośliwości ze strony gburowatego męża swojej opiekunki, toteż szwenda się samotnie po lesie, gdzie wkrótce pozna Totoche’a – wolnego ducha, króla miejscowych kłusowników. Chłopiec przylgnie niczym rzep do potężnego, na pozór groźnego mężczyzny i odtąd będzie za nim laził krok w krok. „Dziki”

Totoche zna puszcę jak własną kieszeń, powoli i nie bez oporów podzieli się tą wiedzą z chuderlawym dzieckiem. Z tygodnia na tydzień mały Paul mężnieje, nabiera odwagi. W samotnych wędrówkach zapuszcza się do dworu, gdzie rządzi stary hrabia. Nic nie umknie uwadze bystrego chłopca – za sprawą zasłyszanych plotek i niedomówień Paul poznaje lokalne sekrety i zbliża się do prawdy o własnej rodzinie, aż do zaskakującej puenty.

Autor powieści, poza tym, że reżyser i podróżnik, jest także aktywistą na rzecz środowiska. Wszystkie jego filmy kręcone są we wspaniałych plenerach, z nieujarzmioną naturą w tle. „Szkoła życia” jest także nasycona aurą dzikiej przyrody, szacunku i respektu dla niej. W opozycji do Paryża i jego smutnych mieszkańców, wieś i puszcza jawią się w książce jako enklawa wolności, sensu i urody życia. Nie ma tu jednoznacznie sportretowanych postaci – autor pozostawił przestrzeń dla krytycznego osądu młodego czytelnika. Żli okazują się być dobrzy, a dobrzy nie są bez grzechu. Intrygę wieńczy *happy end*. Książka w „chłopięcym” guście, ma szansę zjednać sobie nawet niechętnych lekturze nastolatków.



WIEK: 9+

• Per Nilsson

**NA ZAWSZE MILENA.
OPOWIADANIE O CHŁOPCU,
KTÓRY WIE,
JAK DŁUGO TRWA MIŁOŚĆ**

ilustrowała Pija Lindenbaum
przeł. Marta Rey-Radlińska
Zakamarki, Poznań 2019

Trzeci tomik opowieści o Dawidzie i Milenie autorstwa poczytnego szwedzkiego pisarza i autora scenariuszy filmowych. Per Nilsson przez wiele lat uczył w szkole, ponadto jest ojcem czworga dzieci, nie dziwi zatem jego umiejętność wchodzenia w buty 12-let-

niego chłopca. Cykl cienkich książeczek (każda na jeden czytelniczy kęs) to rzadki przykład fabuły, która o pierwszej, nieśmiałej miłości traktuje z chłopięcej perspektywy.

„Romans” dwojga nastolatków – w przededniu pierwszego pryszcza i hormonalnej burzy – sprowadza się do wspólnego przesiadywania na podwórkowej ławce i wyprowadzania psa w asyście młodszej siostry Mileny, ale Dawid czuje, że jego uczucie jest wyjątkowe. Kiedy dziewczyna z niewiadomego powodu, za sprawą szkolnej intrygi „zrywa z nim”, Dawid cierpi jak potępieniec. W tle jest rozwód rodziców, nowa narzeczona ojca i szkolne, chłopackie gry o przywództwo i przewagę. Cykl o Dawidzie zilustrowany został świetnie przez Piję Lindenbaum, znaną polskim czytelnikom z autorskich książek dla najmłodszych. Tom czwarty serii w przygotowaniu.



WIEK: 11+

• David Roberts

**SUFRĄZYSTKI I SUFRĄŻETKI.
WALKA O RÓWNOŚĆ**

Egmont, Warszawa 2019

Znakomita książka, przeczytana jednym tchem (!). Logiczna, klarowna, świetnie zaprojektowana. Nigdy dotąd lektura oddająca sprawiedliwość feministycznym ruchom kobiecym nie wydała mi się tak przystępna i dopasowana do wieku młodych czytelniczek/czytelników.

David Roberts, brytyjski grafik, ujął historię sufrażystek w kształt brawurowo zilustrowanego kalendarium. Pierwszą taką próbę podjął w szkole, w wieku lat 14, aby po 30 latach rozwinąć z talentem pomysły i nadać mu formę obrazkowego kompendium kobiecych dążeń emancypacyjnych i równościowych. Zaczyna od opisu „męskiego świata”, w którym kobiety przez wiele stuleci nie miały prawa do wolności wyboru, edukacji i dysponowania majątkiem, bez reszty zależne od

męskich krewnych. Potem przechodzi do pierwszych zwiastunów zmiany, aby dalej odnotować powstanie stowarzyszeń sufrażystek/sufrażetek i przejawy rodzącej się świadomości politycznej kobiet. Przytacza kluczowe daty i nazwiska: chronologicznie, rok po roku, od petycji do demonstracji, od incydentu do protestacyjnego marszu, od epizodu do jego dramatycznych następstw... Nanizane na oś czasu fakty obrazują walkę o równość jako proces – z jego zmienną dynamiką, okresami zastoju i zwątpienia, z nagłymi paroksyzmami ruchów emancypacyjnych, aż do zwycięstw (często połowicznych). Autor podkreśla

wagę wielkich osobowości wśród sufrażystek – portretuje kobiety, które były inspiracją dla tysięcy naśladowczyń. Odnotowuje ofiary, jakie ponosiły waleczne kobiety, tortury, jakim je poddawano, a także przywołuje nazwiska (nielicznych) mężczyzn – sprzymierzeńców sufrażystek.

Nie jest to tylko laurka. Roberts rzetelnie opisuje także zamachy na mienie i te aspekty walki sufrażetek (były bardziej radykalne od sufrażystek), które uchodziły za kontrowersyjne. Album zamyka galeria słynnych bojowniczek o prawa kobiet spoza Wielkiej Brytanii i długa lista państw wraz z datami nadania ich

obywatelkom praw wyborczych. Listę otwiera Wyspa Man (1881), a zamyka Arabia Saudyjska (2015). Książka ukazała się w Wielkiej Brytanii w roku ubiegłym, w stulecie ustawy z 6 lutego 1918 r., która brytyjskim kobietom nadała (częściowe) prawa wyborcze. Warto przypomnieć, że zaledwie dziewięć miesięcy później, w listopadzie 1918 r., do nielicznego podówczas klubu państw zrównujących pod tym względem kobiety i mężczyzn dołączyła Polska. „Sufrażystkom i sufrażetkom” daję pięć gwiazdek w moim nieformalnym rankingu „książek ważnych dla edukacji społecznej”.

© JOANNA OLECH

REKLAMA

DWIE NIEZWYKŁE POWIEŚCI Z KRAJU KWITNĄCEJ WIŚNI

Dziewczyna z konbini
to portret kobiety, która świadomie
wyrzeka się indywidualności
i próbuje dostosować się
do obowiązującego systemu.

Kwiat wiśni i czerwona fasola
to urzekająca
prostota opowieść o szacunku
do świata i drugiej osoby.



www.wuj.pl



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO



REKLAMA



Poetycka opowieść kameruńskiego poety, dramaturga i autora książek dla dzieci oraz francuskiego ilustratora. O ludzkim losie, o młodości i starości, o tym, co przemija i co pozostaje, i o tańcu oczywiście.

ZAKAMARKI



STANISŁAW BAJTLIK

Życ w kosmosie i przetrwać

**Historia Ziemi obfituje w wielkie katastrofy.
Czy przeżyjemy kolejną, która kiedyś musi nadejść?**

Zderzenia z obiektami kosmicznymi (asteroidy, komety), wybuchy wulkanów, globalne zmiany klimatyczne prowadziły do wymierania gatunków; w skrajnych przypadkach zagładzie ulegało ich przeszło 90 proc. Zderzenie z dużym obiektem z kosmosu doprowadziło do powstania Księżyca, a jak się sądzi – także zagłady dinozaurów. Michio Kaku, fizyk, profesor na City University of New York, jeden z twórców teorii strun (aspirującej do bycia przynajmniej wstępem do „teorii ostatecznej”), znany jako autor światowych bestsellerów popularnonaukowych, snuje rozważania na temat sposobu przetrwania ludzkości w obliczu nieuchronnej kolejnej katastrofy. „Przyszłość ludzkości” zaczyna się od krótkiego kursu historii rozwoju techniki raketowej i przedstawienia perspektyw jej rozwoju. Motywacje do eksploracji kosmosu są wielorakie. Nie tylko czysta żądza podboju nowych światów, nie tylko misja ratowania ludzkości przed skutkami ziemskich katastrof, ale i cele praktyczne, takie jak eksploracja minerałów. W Układzie Słonecznym liczba ciekawych destynacji wydaje się ograniczona. Oczywiście celem jest Mars i niektóre księżycy Jowisza czy Saturna. Kaku snuje fantastyczne, choć przedstawiane przez niego jako realne wizje kolonizacji tych obiektów. Fantazja autora sięga jednak dalej. Do dziś astronomowie odkryli tysiące planet krążących wokół gwiazd innych niż Słońce – aż trudno uwierzyć, że jeszcze ćwierć wieku temu nie znaleźliśmy ani jednej! Niektóre z tych planet przypominają Ziemię. Krążą wokół macierzystej gwiazdy w odpowiedniej odległości (umożliwiającej występowanie wody w stanie ciekłym). Sama gwiazda też

jest odpowiednia – produkuje światło o odpowiednim kolorze. Czy jest tam życie? Nie wiemy. Czy mogłoby się tam zagnieździć? Nie wiemy. Na pewno jednak nie byłoby łatwo tam dotrzeć. Najdalszą jak dotąd podróż w kosmosie odbyły sondy Voyager i Pionier, wystrzelone w latach 70. ubiegłego wieku. Po niemal pół wieku podróży opuszczają dopiero Układ Słoneczny. Samochód Tesla, wystrzelony przez Elona Muska, dopiero leci w kierunku Marsa. Do najbliższej gwiazdy droga jeszcze bardzo, bardzo daleka. Propozycje i pomysły Michio Kaku mogą się wydawać absurdalnie szalone. Autor jednak pokazuje, w jaki sposób literatura *science fiction* okazywała się prorocza czy wręcz inspirująca dla uczonych i inżynierów. Choć trzeba też pamiętać (czego Kaku nie kryje), że w większości przypadków całkowicie błędna i bezużyteczna. Lektura „Przyszłości ludzkości” może podzielać na wyobraźnię, zwłaszcza młodego czytelnika. Kaku wie, że przewidywanie przyszłości, nawet tej najbliższej, jest bardzo trudne, a co dopiero mówić o projektach do realizacji za setki czy tysiące lat. Konieczność ratowania ludzkości, a może nawet samego życia, zapewne nie pojawi się w najbliższym czasie (choć pewności nie ma). Globalne katastrofy występowały na Ziemi co kilkaset tysięcy lat. Chyba że do katastrofy (klimatycznej, wojennej, migracyjnej, zdrowotnej) doprowadzimy sami nierozważnym działaniem. O takiej możliwości Kaku również mówi. Zresztą celem przyświecającym autorowi było nie tylko snucie rozważań o odległej przyszłości, ale też rozpalenie u czytelnika zainteresowania naukami przyrodniczymi o charakterze podstawowym. Zainteresowania dość powszechnego w epoce podboju

kosmosu, które teraz znacznie osłabło, a czasem niemal zanikło.

W ostatniej części książki Kaku kreśli fantastyczne wizje wynikające z teorii strun. Teoria ta ma ambicje połączenia (mówiąc nieścisłe) teorii względności i mechaniki kwantowej. Kaku pisze o tunelach czasoprzestrzennych, które miałyby umożliwić kosmiczną podróż „na przelaj” przez czasoprzestrzeń i dostawanie się w krótszym czasie do odległych części naszej galaktyki, a nawet do innych galaktyk. Rozważa hipotezę wieloświata, w którym nasz Wszechświat byłby tylko jednym z wielu możliwych. Choć to się może wydawać absurdalne, można wtedy snuć fantazje o „ucieczce z Wszechświata” (tak, to też tytuł jednego z rozdziałów). Czy taki wieloświat istnieje?

Pamiętajmy (Kaku tego nie ukrywa), że to tylko matematyczne modele. Matematyka wydaje się być bogatsza niż rzeczywistość (chyba że ją samą też zaliczymy do rzeczywistości). Wiele jej pojęć nie ma materialnych desygatów. Zatem czy może to być prawda? Przychodzi na myśl znana bajka Ignacego Krasickiego, zaczynająca się słowami „Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził; / Był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził”. Kończy się ona tak: „A cóż to jest za bajka? Wszystko to być może! / – Prawda, jednakże ja to między bajki włożę”. ©



• Michio Kaku
**PRZYSZŁOŚĆ
LUDZKOŚCI**
przeł. Bogumił
Bieniok i Ewa
L. Łokas
 Prószyński i S-ka
Warszawa 2018



Jabłko Adama

KS. ADAM BONIECKI KUSI DO LEKTURY

Zmiana paradygmatu

Dziewięć rozmów o tym samym i z tym samym interlokutorem? Pomysł na pierwszy rzut oka mało zachęcający, okazał się jednak strzałem w dziesiątkę.

Ojciec Adam Żak, w latach 1996–2002 prowincjał Prowincji Polski Południowej jezuitów, a od 2013 r. koordynator ds. ochrony dzieci i młodzieży przy Konferencji Episkopatu Polski, nie jest jedynym autorem tej książki. Blisko jedną trzecią jej zawartości stanowią cztery najważniejsze dokumenty papieża Benedykta XVI i Franciszka dotyczące pedofilii w Kościele. Główna część to zbiór dziewięciu udzielonych przez o. Żaka (w latach 2017–18) wywiadów. Wszystkie dotyczą tytułowego tematu.

Te rozmowy, każda inna, lepiej niż jakakolwiek rozprawa apologetyczna podważają opinię, jakoby Kościół w sprawie pedofilii nie robił nic poza zamykaniem skandali pod dywan. O. Żak z nikim nie polemizuje, nie wyolbrzymia też własnych osiągnięć ani osiągnięć Kościoła. Z niebywałym realizmem i jakby mimochodem pokazuje rozmach, z jakim gigantyczna kościelna wspólnota, także w Polsce, podejmuje dzieło samooczyszczenia.

Pamiętajmy o funkcji, jaką pełni o. Żak. To właśnie on, bez względu na większe czy mniejsze zrozumienie problemu przez poszczególnych członków Episkopatu, reprezentuje filozofię i linię Kościoła w Polsce. Zresztą nie żali się na brak zrozumienia w Episkopacie (raczej stwierdza, że ono na ogół istnieje). Jest też świadom, że dla niektórych biskupów „zmiana paradygmatu z kultury dyskrecji na kulturę przejrzystości” może być trudna do przyjęcia, jak również tego, że zmiana dokonuje się dzięki mediom. „Nie ma co się na to w Kościele zżymać, trzeba uznać przejrzystość za wartość. Bo to jest wartość. I to wartość ewangeliczna” – mówi w rozmowie z Arturem Sporniakiem.

Podejmowane przez Kościół wysiłki niektórzy obserwatorzy interpretują jako

(spóźnione) zabiegi dla ratowania wizerunku instytucji. Reakcja o. Żaka na takie *dictum* jest ostra: „Nie o ratowanie wizerunku instytucji chodzi! Chodzi o bezpieczeństwo dzieci. (...) Chodzi o to, by uczynić wszystko, co możliwe, aby takie przypadki się nie powtarzały, ze względu na krzywdę ofiar i ze względu na Ewangelię” (rozmowa z Marcinem Makowskim).

Dlatego o. Żak jest przeciwny działaniom pospiesznym, powierzchownym. Poważne działania wymagają rozeznania sytuacji. Nad tym wciąż pracuje. Sceptycznie ocenia tych, którzy zaczynają wierzyć w to, co już zostało zrobione, i sądzą, że kryzys został opanowany, a skala zjawiska jest u nas mniejsza niż gdzie indziej (rozmowa z Tomaszem Królakiem i Marcinem Przeciszewskim). Przypomina, że w Polsce ponad 12 proc. dzieci doświadcza wykorzystywania seksualnego. „To olbrzymia skala. Dlatego stawiając czoło złu wykorzystywania we własnych szeregach, od początku musimy myśleć o wszystkich ofiarach”.

Rozeznanie sytuacji odnosi się także do rozpoznania przyczyn. W rozmowie z Arturem Nowakiem o. Żak, być może ku zaskoczeniu niejednego czytelnika, stwierdza: „dzisiaj wiemy, że to nie pedofilia sprawców jest najczęstszą przyczyną wykorzystywania seksualnego. Dlatego nie używam tego terminu, tylko mówię

o wykorzystywaniu seksualnym dzieci i młodzieży”. Rozmówca nie podejmuje tego wątku, a o. Żak wróci do niego w rozmowie z Królakiem i Przeciszewskim, w której wyjaśnia, że „niedojrzałość, a nie dewiacyjne zaburzenia preferencji seksualnej, to najczęstsza przyczyna prowadząca do poszukiwania tego rodzaju »rekompensaty«. Natomiast sprawców preferencyjnych, czyli takich, którzy mają trwale zaburzoną preferencję seksualną, jest stosunkowo niewiele” (ok. 4 proc. wszystkich sprawców). Bo największym indywidualnym czynnikiem ryzyka jest po prostu niedojrzałość psychoseksualna. Konstatacja to fundamentalna, jeśli chodzi o formację przyszłych księży. W tej rozmowie o. Żak kwalifikuje przekonanie o związku między homoseksualizmem a pedofilią jako „hipotezę badawczą, która nie została udowodniona”.

Ani oczyszczanie środowiska kapłańskiego, ani samo rozeznanie sytuacji nie wystarczą. Formacja ludzi przygotowanych do niesienia pomocy ofiarom to sprawa, do której o. Żak wraca w kilku rozmowach. Jest założycielem i dyrektorem Centrum Ochrony Dziecka przy jezuickiej Akademii Ignatianum w Krakowie. Prowadzi szkolenia dla biskupów, nie tylko zresztą z Polski, przygotowuje ludzi, którzy w diecezjach, zakonach i w różnych instytucjach będą służyć pomocą ofiarom pedofilii.

Rozmówcy pytają o procedury, o działania Watykanu, o współpracę Kościoła z polskim wymiarem sprawiedliwości. Bardziej wnikliwi, jak Sporniak czy Królak z Przeciszewskim, sięgają do głębszych rewirów, pytając o problemy sumienia związane z obowiązkiem denuncjacji czy o los osądzonych i odsuniętych od kapłaństwa sprawców.

Rozpisana na wywiady opowieść o. Żaka jest spokojna w tonie. W ujawnieniu skandalu pedofilii w Kościele jezuita dostrzega działanie Opatrzności Bożej. Życzliwie mówi o niekoniecznie życzliwych jemu i Kościołowi organizacjach broniących dzieci. Co do Fundacji Nie Lękajcie Się wyrazi w rozmowie z Arturem Nowakiem nadzieję, że „nadejdzie taki czas, że realny dialog będzie możliwy”.

W tej książce nie ma ani samochwalstwa, ani zadowolenia z siebie, jest natomiast obszerna wiedza o pracy Kościoła. To rzeczywiście, bez żadnej przesady, dokument „zmiany paradygmatu z kultury dyskrecji na kulturę przejrzystości”. ©



• Adam Żak SJ
**WIERCHOŁEK GÓRY
LODOWEJ. KOŚCIÓŁ
I PEDOFILIA**
wstęp ks. Piotr
Studnicki
WAM, Kraków 2019



Jak sobie radzić

Często muszę odpowiadać na pytanie, jak feministka radzi sobie z mizoginią. Zadają je także moderatorzy spotkań literackich. Nic dziwnego, to pytanie fundamentalne i pasuje do wielu sytuacji codziennych i czytelniczych. Na przykład do składów paneli festiwalowych, w których przeważają mężczyźni. Do niepisanych, lecz twardych hierarchii w świecie poetyckim. Forów popularnych portali, wrzających po opublikowaniu materiału o zarobkach w kulturze. Wydawanych pośmiertnie zapisków tużów scenopisarstwa, którym scena w klubie go-go wydawała się osią każdej fabuły, gdyż klub pełen nagich kobiet po prostu musimy podglądać z kinowego fotela. Do korespondencji Leopolda Tyrmanda i Sławomira Mrożka, w której ten drugi mityguje tego pierwszego w sprawie uwag na temat partnerek życiowych. A co z Czesławem Miłoszem? Miłosz to był nieustępliwy samiec alfa, może wyrzuciłam z domu jego książki? I co, poleciała za nimi kolekcja prozy Philipa Rotha?

Współczesność tylko na pozór jest łatwiejsza. Pisarze współcześni doby tak zwanego backlashu, czyli reakcji lękowej przed ukruszeniem męskiej dominacji, dostarczają wielu pretekstów, by publicznie pytać krytyczkę, jak sobie radzi, co zażywa po lekturze. Czyta Margaret Atwood na zmianę z Barbarą Klicką, a jak się jej skończy, to Zofię Nałkowską przekłada Małgorzatą Rejmer? Zostaje we własnym pokoju, z półkami wypełnionymi dziełami kobiet? Nie jest na bieżąco, czy przeciwnie – tropi „wykroczenia”, posługując się znanym tylko feministkom kluczem? A może udaje, że nie ma problemu, bo literatura dzieli się wyłącznie na złą i dobrą?

Ostatnio to standardowe pytanie padło podczas „Urodzin Leca” w Teatrze Polskim w Szczecinie. Jak mogę przeżywać wyniosłe inwokacje „o piękne panie”, jowialne porady z dziedziny

A co z Czesławem Miłoszem? Miłosz to był nieustępliwy samiec alfa, może wyrzuciłam z domu jego książki? I co, poleciała za nimi kolekcja prozy Philipa Rotha?

życia seksualnego, których udzielał czytelnikom genialny autor „Myśli nieuczesanych”? Mierzę się z nimi czy lawiruję między ładunkami lekceważenia?

Wiedziałam, że egzamin z konsekwencji zbliża się nieuchronnie. Cesałam tego Leca z każdej strony, badając własne reakcje. Były wątle, nie wywoływały potrzeby rzucenia nową edycją aforyzmów o ścianę. Drugą ręką kartkowałam Michela Houellebecqa oraz Jonathana Littella – ci światowej sławy pisarze to są dopiero przewrotni krytycy równościowych mrzonek – więc Lecowe nawoływanie

nie dziewcząt do rozkrzyżowania nóg wydało mi się niewinną igraszką. Utworów ewidentnie ustawiających kobiety w pozycji głupszych znalazłam kilkanaście w zbiorze liczącym kilkaset myśli. Frywolne, ale i mentorskie, złożyłyby się na broszurkę.

W teatrze powiedziałam, że odpuszczam, biorąc pod uwagę specyfikę obyczajową lat 50. i 60., gdy powstała większość aforyzmów. Jednak w głębi czytelniczej duszy nie jestem przekonana do własnej odpowiedzi. Być może odpuszczam, ponieważ nie mam wyjścia, jeśli chcę czytać. Cały tamten świat, o którym tak często rozmawiam podczas dyskusji literackich, zaludniony jest postaciami mężczyzn, przywiązanych do swoich miejsc w kawiarniach, posad w czasopiśmie, ról w kulturze. Zdjęcia pokazują ich w zmiętych garniturach, na tle książek, czasem w towarzystwie pięknych kobiet. Są tak bardzo u siebie, zbudowani lub złamani politycznie, niezłomni lub kunktatorscy. Finezyjni erudyci, poeci i prześmiewcy. Ich żarty publiczności przyjmują gromkim śmiechem, ich dylematy rozważamy na uniwersyteckich seminariach. Nie wiedzą, że za kilkadziesiąt lat wszystko to zniknie, a biografki i monografistki opiszą ich życie i twórczość jako należące do zamkniętej epoki patriarchalnej. Puszą się, wydani na pastwę analiz, podejmowanych przez młode polonistki, których nie zdołają już uwieść. ©

MOJE STORY BARTOSZ MINKIEWICZ





Margines, przyczółek

W recenzji „Zdroju”, bardzo interesującej książki Barbary Klickiej [rozmowę z nią publikujemy w dziale Kultura – red.], czytam o autorce i jej wcześniejszym dorobku, ściślej zaś o miejscu tej twórczości w przestrzeni społecznej: „była dotąd znana jako poetka, co oznacza, że raczej nie była znana, bo jeśli literatura jest marginalną sprawą, to poezja współczesna to margines tego marginesu. Sytuację zmieniają może nieco nagrody”. Muzo, nie być znanym to jest nie być wcale.

W tym momencie można byłoby zacząć opowieść o tym, że z tego marginesu na marginesie, którym poezja jest przecież od dekad, a nie od dekady, wyszły impulsy decydujące o zmianach świadomości wcale licznych czytelników wszystkiego prócz wierszy. Wspomnę tylko, że w latach 70., w arcyciekawym okresie przełamywania się różnych tradycji i postaw, bardziej wiersze niż proza podpowiadały język kształtującego się zwrotu. Owszem, oddziaływał Gombrowicz ciągle niedoczytany, Konwicki nostalgię nicował ironią, Lem znosił granice humanistycznej wyobraźni, a jednak na repertuar zakłęb, otwierających sezamy, złożyli się głównie poeci i poetki. To oni rozpruli balon gierkowskiej propagandy, przetestowali siłę sceptycyzmu (Szymborska), gniewu na nijakość (Herbert), nieufności wobec fejkowego języka (młodzi z pokolenia '68).

I dalej można pokazywać, że z literatury lat 80. zostało parę wierszy, „piosenek” – intymnych czy politycznych – odciskających się na obrazie rzeczywistości. Świat jako scenę, społeczeństwo jako widowisko, kto przedstawił lepiej niż poeci i „poeci przebrani” za prozaików (np. Dorota Masłowska)? Kto odkrył i uwiódł paradoks obecności, polegający na zamianie treści w dekoracje, z którego wynika, że chcąc mieć coś do powiedzenia i mieć szansę na bycie wysłuchanym, trzeba mówić z marginesu,

Margines marginesu, poetycki erem, nie jest czymś zupełnie nowym, za to być może nowa jest skala aroganckiej obojętności głównego nurtu na to, co idiomatyczne i oboczne.

bez poczucia, że najważniejszą właściwością głosu jest głośność? Chociaż podejście to załatuje naftaliną, to przecież bez jakiejś cząstki naiwności kultura traci grunt i błyskawicznie staje się tylko i wyłącznie brutalnym cwaństwem, jak prawie wszystko wokół.

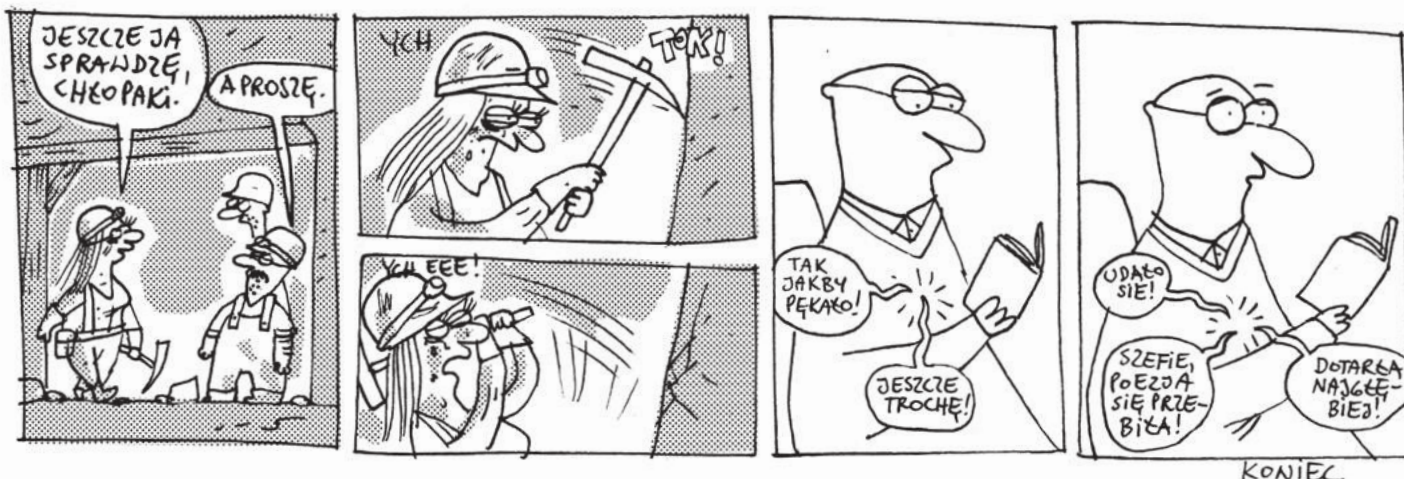
Zatem margines marginesu nie jest czymś zupełnie nowym, za to być może nowa jest skala aroganckiej obojętności głównego nurtu na to, co idiomatyczne i oboczne. Znacząłoby to jednak, że niepopularność i związana z tym bezsilność poezji jest wręcz warunkiem jej nieobliczalności, źródłem nieda-

jącego się wykluczyć wpływu na przyszłość.

Nic nowego. W poezji i krytyce nieomal od początku szukano alibi dla ekskluzywności wiersza, braku oczywistych zysków z jego istnienia. Z czasem, kiedy wykruszały się fundamenty religijne liryki, a funkcje dydaktyczne czy ludyczne traciły na znaczeniu, o usprawiedliwienie to było coraz trudniej. Aż powiedziano: podmiotowość, samodzielność myślenia, etyczność bez autorytetów, polityczność przeciw polityce, zapis pojedynczych i zbiorowych doświadczeń, oddźwięki końca świata.

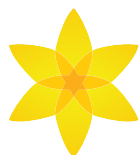
O sile bezsilnych Václav Havel wyrażał się bez złudzeń, ale i bez defetyzmu. Przywołany przez niego kierownik sklepu warzywnego, posłusznie głoszący hasła władzy, uśmierca życie na potrzeby ideologii i zarazem jest jedną z jej ofiar. „Ideologia (...) zasłania przepaść między intencjami systemu a intencjami życia; udaje, że roszczenia systemu wynikają z potrzeb życia. Jest to swoisty świat pozorów przedstawiany jako rzeczywistość”.

Dużo by pisać o dzisiejszych kłopotach z poczuciem rzeczywistości, postprawdzie, ideologii i populizmach, dominacji spektaklu; pewnie dlatego wydaje się Havel autorem nieprzedawnionym. Po lekturze jego eseju demokracja i wolność stają się na powrót celem, a nie stanem posiadania, poeci zaś to współcześni dysydenci. Idący na margines, broniący przyczółka. ©



POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich



19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE
WARSZAWSKIM

ŁĄCZY NAS PAMIĘĆ

polin.pl

Partnerzy:



Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzej Duda
Lata 2018



Prezydent Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
Mieczysław Duda

Współorganizator:



Instytut Pamięci Narodowej
Polski Instytut
Pamięci i Edukacji

Wspierają:



Silesia Family Foundation

Partnerzy medialni:

wpolityce

wyborcza

naszemasto

VIVA!

onet

sens

ams

ojostrane24

onet

onet